

A close-up portrait of a young woman with dark hair styled in two buns, looking directly at the camera with a neutral expression. She has light-colored eyes and is wearing small, dark, round earrings. The background is a soft, out-of-focus mix of yellow and blue tones.

Liz Carlyle

**Kochanka
hrabiego**

Liz Carlyle

Kochanka hrabiego

przełożyła
Magdalena Sikorska

Warszawa 2016

bis

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Epilog](#)

ROZDZIAŁ 1

Anglia 1856

Niektórzy w doświadczonej niedoli dopatrują się odpuśczenia win, a niedola, jaka spadła na Northumbrię w lutym, wystarczyłaby, żeby rozgrzeszyć człowieka z morderstwa z premedytacją. Hrabia Hepplewood nie popełnił morderstwa z premedytacją – no, nie całkiem. Niemniej ustawiczne, przeszywające do szpiku kości zimno oraz krupy lodowe raz po raz bębniące w okienne szyby, tak czy owak skazywały go na poniekąd zasłużone odosobnienie.

Jeśli wszakże znalazł się w więzieniu, to nader luksusowym. Z perłą w postaci eleganckiego dworu w stylu palladiańskim, otoczonego osiemdziesięcioma akrami pagórkowatego parku, posiadłość Loughford przywodziła na myśl ekspozycję ozdobnych miniaturowych budowli, fontann oraz ścieżek i jako całość tchnęła pięknem, którego nie przyćmiłaby najpodlejsza nawet pogoda.

Co więcej, elegancji tej nadano połysk dzięki potężnemu zastrzykowi gotówki – konkretnie pieniędzy z fabryk zmarłego teścia hrabiego – tak że dom uchodził obecnie za najwspanialszą rezydencję w promieniu trzystu kilometrów.

Hepplewood siedział na pozór swobodnie w pomieszczeniu, które wszyscy nazywali gabinetem jego dziadka, choć bowiem szósty hrabia nie żył od trzydziestu lat, dom równie dobrze mógłby nadal należeć do niego. Ojciec Hepplewooda nie zawracał sobie głowy posiadłością; żył dla polityki i pozwolił, by Loughford podupadło.

Hepplewood z kolei żył dla grzechu.

Do realizacji jednej i drugiej pasji najlepiej nadawał się Londyn.

Odrzuciwszy na bok przeczytany właśnie list, hrabia uznał, że nie da rady wrócić do miasta dostatecznie szybko. Podniósł lodowato błękitne oczy na swojego sekretarza.

– Zatem nowa guwernantka przedkłada nam referencje od markizy Petershaw? – mruknął z krzywym uśmiechem. – Czy to nie zakrawa na ironię, panie Jervis? List polecający od La Séductrice, damy o najgorszej sławie w Londynie.

Jervis dyskretnie odkaszlnął.

– Nie zawsze można wybierać pracodawców, opierając się na ich moralności, milordzie.

– Nie, zapewne nie. – Hrabia uśmiechnął się szerzej. – W przeciwnym wypadku raczej nie pracowałby pan dla mnie.

Błada twarz Jervisa nabrała koloru. Jakby chcąc przyćmić trafność uwagi swego pracodawcy, sekretarz wskazał leżący na biurku plik papierów.

– Młoda kobieta przyniosła także entuzjastyczną rekomendację od wiejskiego pastora z Sussex.

– Który skądinąd sprawia wrażenie moralizującego nudziarza – rzekł hrabia, podnosząc się leniwie, żeby okrążyć masywne biurko. – No cóż. Miejmy nadzieję, że panna Aldridge nie jest aż tak nijaka, skromna i zindoktrynowana, jak wyżej wzmiankowany, bo trudno jej tu będzie znaleźć kolejnego wikarego na męża. Przyślij ją.

Jervis z ukłonem opuścił gabinet.

Moment później Hepplewoodowi zaparło dech.

Isabella Aldridge z całą pewnością nie była nijaka.

Przeciwnie, okazała się ciemnowłosą, kruchą pięknością; być może najpiękniejszym stworzeniem,

jakie kiedykolwiek widział, o porcelanowej twarzy i gęstych atramentowych puklach, których nie mogło zakamufłować najbardziej choćby surowe uczesanie. Kiedy weszła przez drzwi w szarej sukni, zdał sobie sprawę, że jest także wysoka, choć o wiele za chuda jak na jego upodobania.

Wolno wypuścił powietrze z płuc, czując więcej niż drobną ulgę.

Zatrzymała się w pewnej odległości od biurka i dygnęła w sposób zarazem pełen wdzięku i stosownie uległy, a na krwistoczerwonym dywanie jej spódnice wyglądały jak kałuże płynnego srebra.

– Wasza lordowska mość – powiedziała cicho, spoglądając na niego, kiedy się podnosiła.

– Dzień dobry – przywitał się chłodno Hepplewood, arystokratycznie cedząc słowa. Cisnął na bok jej papiery. – Panna Aldridge, jak mniemam?

Skinęła głową, choć nie do końca potakująco.

– Ściśle mówiąc, pani, milordzie – sprostowała cichym, gardłowym głosem. – Pani Aldridge. Jestem wdową.

– Ufam, że bezdzietną? – rzucił cokolwiek szorstko.

W jej oczach pojawiło się wahanie, po czym wbiła wzrok w dywan.

– Nie zostałam pobłogosławiona dziećmi – odparła. – Małżeństwo trwało bardzo krótko. Byłam wtedy bardzo młoda.

Pani Aldridge bynajmniej nie wyglądała na osobę, której młodość przeminęła.

Hepplewood beczelnie otaksował ją spojrzeniem z góry na dół, zaklinając się, by utrzymać się w ryzach, kiedy gestem zapraszał, żeby zajęła krzesło przed nim. Pomimo posępnego stroju i cichego zachowania wedle jego oceny pani Aldridge nie liczyła sobie wiele ponad dwadzieścia pięć lat – a Hepplewood uchodził za znawcę kobiecych wdzięków.

Słumił gorzki uśmiech. Jej związek był bez wątpienia krótki i tragiczny. Co za koincydencja.

Jednakże małżeństwo pani Aldridge zostało przypuszczalnie zawarte w okolicznościach bardziej honorowych niż jego własne. Może poślubiła żołnierza? Albo starszego dżentelmena?

Tyle że w tym drugim przypadku wychodzi się za mąż wyłącznie dla pieniędzy – a gdyby pani Aldridge miała choć pensa przy duszy, nie byłoby jej tutaj.

Z pewnością wiedziała, z kim ma do czynienia.

Już choćby lady Petershaw mogła jej to wyłożyć dostatecznie jasno. Hrabia i markiza obracali się w tym samym kręgu towarzyskim; kręgu, który znajdował się jeśli nie na samym skraju wytwornego towarzystwa, to na pewno blisko jego rubieży.

Przy czym socjeta, ta żałosna zbieranina idiotów, wiedziała ledwie o połowie dokonań Hepplewooda pomimo wymienianych z nerwowym chichotem skandalicznych plotek. Prędko nauczył się ukrywać swoje co bardziej mroczne nawyki – przeważnie w małym domu na wsi albo w paryskim burdelu.

Nie, pani Aldridge nie byłaby chyba tak głupia, żeby odpowiedzieć pośrednikowi, ale nie zebrać informacji na temat charakteru przyszłego pracodawcy?

Jednakże usadowiwszy się na krześle, kobieta nadal patrzyła na niego szeroko rozstawionymi, frapującymi oczami. Te oczy wbijały się w pamięć – fiołkowoniebieskie, w oprawie gęstych czarnych rzęs, nie osądzały, nie znać w nich też było strachu.

Nie, biła z nich rezygnacja. Kobieta wyglądała tak, jakby przybyła do jego domu w przekonaniu, że to przedsiónek Hadesu, gotowa przetrwać próbę.

Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...¹

No cóż. Ten kwiatusek łatwo będzie zerwać...

Hepplewood momentalnie zdał sobie sprawę, jakim torem zdążają jego myśli, i zmienił ich bieg.

Wykluczone, żeby Loughford stało się przystanią dla pokus. Miał nadzieję, że nadal posiada dość rozeznania, by zaspokajać swe prymitywne potrzeby z dala od rodzinnego domu.

Z dała od Lissie.

Kobieta zaskoczyła go, zabierając głos:

– Czy mogę spytać, milordzie, o imię i wiek dziecka? Pański pośrednik, pan Gossing, nie udzielił mi za wielu informacji.

– Lady Felicity Chalfont – odparł z arystokratyczną manierą. – Liczy sobie pięć lat.

– Felicity – powtórzyła, jakby rozkoszowała się nowym dla niej brzmieniem. – Jakie piękne imię.

– Nie wybierałem go – rzekł oschle. – Woła się ją Lissie. Felicity to jest, a ściślej mówiąc, było imię jej matki. Rodzina żony zażyczyła sobie, żeby je wykorzystać.

Dlaczego, u diabła, to powiedział?

Pani Aldridge to nie interesowało. Co więcej, w ogóle nie był to jej interes.

Chcąc zatuszować niezręczność, porwał znów z biurka jej podanie i prześlizgnął się po nim nieobecnym wzrokiem. Nie widział sensu, by je czytać, treść nic go nie obchodziła. Nie zamierzał zatrudniać pani Aldridge.

Nadal na pół siedział wsparty biodrem o biurko. Pozycja nie służyła podkreśleniu jego autorytetu, nie odpowiadała też dżentelmeńskiej etykiecie; chciał po prostu dokładnie przyjrzeć się tej kobiecie. Może wręcz lekko ją pobudzić. Znów odezwał się w nim diabeł. Czego potrzeba, żeby te piękne, nawet jeśli odrobinę zapadnięte policzki nabrały koloru?

Pomijając ów szczegół, jej twarz była doskonałością, z delikatnym nosem, wysokimi, lecz łagodnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i tymi wielkimi oczami o nietypowej barwie, co do których nie wiedzieć czemu spodziewał się, że będą brązowe. No i włosy – tak, one, wyobrażał sobie, stanowiły jej główną ozdobę. Uwolnione z surowej fryzury w warkocze opadną niczym ciemny, połyskliwy wodospad, żeby ślizgać się między palcami mężczyzny jak...

Odkaszlnęła.

– Czy chciał pan... o coś mnie zapytać? To znaczy w związku z moimi kwalifikacjami?

– Tak – skłamał. – Jak widzę, ostatnio pracowała pani u lady Petershaw. Czy to ona panią zatrudniła? Przypuszczam, że lord Petershaw od dawna już wtedy nie żył.

– Niestety, tak.

Ten fakt przypuszczalnie tłumaczył, dlaczego niesławna dama zechciała najać taką piękność. Co jednak z watahą dyszących adoratorów lady Petershaw? Czyżby zamykała panią Aldridge w wieży, żeby jej nie zobaczyli? Czy też znalazła dla dziewczyny konkretne zajęcie?

Gdyby pamiętać o skłonnościach lady Petershaw, kolejna piękna kobieta na podórzedziu mogłaby się przydać.

Odchrząknął.

– Petershaw zostawił samych synów, o ile pamiętam.

– Podołam nauczaniu młodej damy, zapewniam pana. – Zauważalnie zeszywniała. – W rzeczy samej, bardziej by mi to odpowiadało.

A Hepplewood pomyślał, że jemu odpowiadałoby nauczanie pani Aldridge. Miał nawet na widoku konkretny przedmiot tego nauczania, choć nie przynosiło mu to chwały. Mało co ją przynosiło. Tak czy owak, wyobrażał sobie panią Aldridge oplecioną czarną skórą, z atramentowymi włosami rozsypanymi na nagich piersiach i pięknymi nadgarstkami przywiązanymi mocno do wezgłowia łóżka.

Jednakże była za chuda. Za krucha. I patrzyła o wiele za bystro.

Upuścił kartkę.

– Zatem młodzieńcy wyruszyli na podbój Eton.

– Tak – odparła. – To bystrzy chłopcy.

– A jak się pani podobała praca w otoczeniu lady Petershaw, pani Aldridge? – spytał, zniżając głos

o oktawę. – Czy dała pani pełną... satysfakcję?

Jej twarz minimalnie nabrała kolorów.

– Bardzo lubiłam dzieci, milordzie – odparła cierpko. – Tak, przebywanie z nimi sprawiało mi przyjemność.

– Rozumiem – stwierdził uprzejmie. – Było to pani pierwsze i jedyne stanowisko, jak wnoszę?

– Tak, ale spędziłam u lady Petershaw sześć lat. – W jej głosie dało się wychwycić nutę irytacji. – Czy podaje pan w wątpliwość moje kwalifikacje, milordzie? Pan Gossing dał do zrozumienia, że otrzymam tę posadę, jeśli tylko wyrażę chęć...

– Chęć na co? – przerwał jej odrobinę sugestywnie.

– Chęć, proszę pana, by odbyć podróż tak daleko na północ w środku paskudnej zimy – odwarknęła.

I oto się doczekał. Jej oczy zapłonęły mrocznym, ametystowym ogniem. Wyczuwał to wcześniej, ową głębię tłamszonych w niej emocji, i teraz ogarnęło go dziwne zadowolenie.

Niestety, nastąpiła pora położyć kres farsie. Mężczyzna powinien starannie wybierać swoje bitwy, a hrabiemu towarzyszyło nad wyraz niekomfortowe przeświadczenie, że piękna pani Aldridge to bitwa, do której lepiej nie stawać. Bitwa, po której mężczyźni mogą pozostać blizny, i to odrobinę bardziej bolesne niż te po paznokciach, które nieraz przeorały mu plecy.

Tak, niekiedy mężczyzna po prostu wie.

Hepplewood z westchnieniem podniósł jej papiery i przeciągnął dwoma palcami wzdłuż krawędzi ich zgięcia.

– Dziękuję za przybycie, pani Aldridge – rzekł – obawiam się jednak, że się pani nie nada.

Zesztywniała, wbijając w niego wzrok.

Wziął z biurka mosiężny dzwonek i dał nim krótki, głośny sygnał.

Pani Aldridge zwięzła oczy.

– Słucham? – spytała, wstając z krzesła. – Co znaczy, że się nie nadam?

– Znaczy to, że nie takiej guwernantki szukam – wyjaśnił, odrzucając jej papiery na bok – aczkolwiek miło było panią poznać. Ach, Jervis. Jest pan. Proszę łaskawie odwieźć panią Aldridge do wsi i opłacić podróż powrotną do Londynu. Pierwszą klasą, oczywiście, w ramach podziękowań za fatygę.

– Nie. – Dama miała czelność odwrócić się i powstrzymać Jervisa uniesioną dłonią. – Nie, zajmę hrabiemu jeszcze chwilę. Panie Jervis, wybacz pan.

Ku zaskoczeniu Hepplewooda jego sekretarz zbladł, pokłonił się i wycofał z gabinetu, na powrót zamknąwszy drzwi.

Kobieta popatrzyła na Hepplewooda. Odwzajemnił spojrzenie z krzywym uśmiechem.

– Szanowna pani?

Zbliżyła się o krok.

– Co znaczy, że się nie nadam? – powtórzyła pytanie. – Przejechałam szmat drogi z Londynu, szanowny panie, na prośbę pańskiego pośrednika, w lutym.

Hepplewood zorientował się, że jego oczy także zapłonęły.

– Chyba się pani zapomina, skarbie – przestrzegł.

Na jej policzki wspiął się rumieniec.

– Nie jestem pańskim skarbem – odparowała. – A pan... pan nawet nie przeprowadził ze mną rozmowy! Skąd może pan wiedzieć, co potrafię? Jak może pan ocenić, czy się nadam, czy nie?

Jego emocjonalne pęta puściły. Nachylił się blisko i ujął ją pod brodę.

– Powiem to pani otwarcie, skarbie – rzekł, zacieśniając uścisk, kiedy spróbowała się cofnąć. – Mnie by pani bardzo odpowiadała. Ale mądry mężczyzna unika w swoim domu tego rodzaju ślicznych pokus, a gdyby Petershaw od dawna nie leżał w grobie, jego żona również nigdy by pani nie zatrudniła.

Z pewnością pani to wie.

W jej oczach zamigotało potwierdzenie. Ach! Nie po raz pierwszy coś takiego słyszała – lub przynajmniej podejrzewała.

Uwolnił jej brodę i zmusił się, by opuścić rękę, lecz, na Boga, okazało się to trudniejsze, niż powinno.

Pani Aldridge z drżeniem zaczerpnęła tchu, zwieszono wzdłuż jej boków dłonie zacisnęły się w pięści, po czym wolno rozluźniły.

– Proszę, wasza lordowska mość – rzekła ochryple.

Nachylił się ku niej minimalnie.

– Prosi pani o co?

– Proszę tylko... tylko dać mi szansę. – Wbiła znów wzrok w turecki dywan. – Pokonałam taki przerażający szmat drogi. I... i potrzebuję tej posady, proszę pana. Potrzebuję rozpaczliwie.

– Naturalnie, pokryję wszelkie wydatki związane z pani powrotem do Londynu – rzekł.

– Ale ja chcę pracować – powiedziała z naciskiem. – Jestem dobrą guwernantką, milordzie. Wyuczono mnie na damę. Umiejętnie maluję, szyję i rachuję. Mówię trzema językami i mam nawet smykałkę do matematyki, gdyby życzył pan sobie jej nauczania.

– Ach, piękna i bystra – mruknął.

– Z pewnością pan akurat wie, że piękno może być przekleństwem – zauważyła ostro. – Niemniej wspaniale zatroszczę się o lady Felicity i będą ją kochać jak własną córkę. Będę też schodzić panu z drogi. Przysięgam. W rzeczy samej, w ogóle nie musi mnie pan widywać. Możemy... cóż, możemy komunikować się pisemnie.

Parsknął zduszonym śmiechem.

– Zdaje pani sobie naturalnie sprawę, jak niedorzecznie to brzmi? – podsunął.

– Nie. – Jej długa, piękna szyja poruszyła się, kiedy kobieta przełykała ślinę. – Nie. Prawdę mówiąc, sądzę, że takie rozwiązanie doskonale by się sprawdziło w praktyce. Nie bywa pan tutaj zresztą aż tak często. To znaczy, myślę się? Proszę, błagam pana.

Wtedy się roześmiał.

– Jakkolwiek nigdy nie nuży mnie słuchanie błagań pięknej kobiety – rzekł, zniżywszy głos – szczerze pani radzę zabierać się z powrotem do Londynu, pani Aldridge. Niech pani trochę przybierze na wadze, a później znajdzie sobie męża lub, bardziej praktycznie, bogatego opiekuna. – Z rozmysłem wbił wzrok w obiecujący biust, spłaszczony teraz pod warstwami szarego samodziału. – Przy pani atutach nie nastreczy to pani trudności.

– Ale ja tu przyjechałam do pracy – powtórzyła, zaciskając pięści. – Przywiozłam kufry i wszystkie moje książki. Pan Gossing polecił mi, żebym przyjechała gotowa zacząć od razu. Powiedział, że ta posada już jest moja.

Hepplewood nie nawykł do toczenia sporów... ani do powstrzymywania swych żądz.

– Obawiam się, że pan Gossing również zapomniał, gdzie jest jego miejsce – odparował.

Jej oczy się zaokrągliły, upodabniając się do ametystowych sadzawek, kiedy zmusił ją, żeby cofnęła się niemal pod regał.

– Co... co pan robi?

Wiedziony irracjonalną pokusą przeciągnął kciukiem po rozkosznej, drżącej wypukłości jej dolnej wargi.

Ach, Boże. Jakże jej pragnął. Całe jej ciało zdawało się podatne na jego dotyk.

– Niestety, pani Aldridge – mruknął, na pół przyzymkając oczy – kobiecie o pani wyglądzie mógłbym zaproponować w tym domu tylko jedno stanowisko i znajdowałoby się ono, skarbie, pode mną, w moim łóżku.

Zatchnęła się, spróbowała go odepchnąć.

– Jak pan śmie!

– Śmiem, ponieważ ku mej niegasnącej frustracji pożądam pani – odparł, chwyciwszy ją za ramiona. –

Preferuję ogniste kochanki. W istocie, nowe stanowisko może pani objąć natychmiast. – Zbliżył usta do jej warg. – W tym gabinecie, skoro tak władczo odprawiała pani mojego sekretarza, zapewniając nam prywatność. Jak więc będzie? Proszę się zgodzić, gdyż zaczynam odczuwać niejaki dyskomfort w pa...

Nie dokończył zdania.

Pani Aldridge nie wyraziła zgody.

Zamiast tego wzięła zamach i wyrznęła go pięścią w twarz.

Zaskoczony Hepplewood cofnął się o krok, ostrożnie dotykając kącika ust. Na Boga, ta dzika kotka biła się jak mężczyzna.

– Jak pan śmie! – Oczy pani Aldridge płonęły oburzeniem, kiedy umykała jak najdalej od niego. – Jak pan śmie przypierać mnie do ściany i mówić takie niegodziwości! Zaiste, jest pan tak zepsuty, jak twierdzą!

Żądzą dudniła w nim, kiedy Hepplewood zerknął na krew na wierzchniej stronie dłoni.

– W zwykłych okolicznościach, pani Aldridge, za taki postępek przełożyłbym kobietę przez kolano i sprzął jej goły tyłek – rzekł. – Ale te pani półprzymknięte powieki? Delikatnie rozchylone wargi? Och, niech się pani cieszy, skarbie, bardzo cieszy, że pani nie zatrudniam, ponieważ ten rozbudzony właśnie ogień sparzyłby nas oboje.

– Łajdak – syknęła.

– Nie przeczę – przyznał – ale potrafię także rozpoznać zaproszenie ze strony kobiety, skarbie, a pani prawie zawędrowała mi do łóżka. Nawiasem mówiąc, jedna pani dłoń wślizgnęła się pod mój surdut i dotarła do połowy pleców, choć niestety nie była to ta, którą mnie pani uderzyła.

– Jest pan dogłębnie zdeprawowany. – Wyminęła go, żeby porwać z biurka swoje papiery. – Proszę łaskawie zapomnieć, milordzie, że w ogóle mnie pan oglądał.

– To chyba oznacza odmowę? – mruknął. – Cóż za koszmarnie niezręczna sytuacja. Pocieszam się wszakże wiedzą, że wchodząc tutaj, była pani świadoma mojej nie w pełni nienagannej reputacji.

Pani Aldridge dygotała na całym ciele.

– Jakże musi pan sobą gardzić, hrabio, by zachowywać się tak rozpustnie – oznajmiła, chwytając za gałkę u drzwi.

– Zdanie godne prawdziwej guwernantki, pani Aldridge – skomentował zjadliwie. – Może chciałaby pani zaprowadzić mnie na górę i ukarać? Odpłacić pięknym za nadobne, hę?

Na jej pięknej twarzy zarysował się szyderczy uśmiezek.

– Niech pan idzie do diabła, hrabio, po stosowną karę – odparła, szarpnięciem otwierając drzwi. – Prędzej piekło zamarznie, niż jakakolwiek szanująca się kobieta ulegnie komuś takiemu jak pan.

Przy tych słowach drzwi otworzyły się szeroko; tak szeroko, że zawiasy zaskrzypiały, a mosiężna gałka huknęła o dębową boazerię.

Co do samej damy, zanurzyła się w cień i zniknęła.

Lord Hepplewood usiadł i zastanowił się w roztargnieniu, czy przypadkiem nie oszalał.

Jak bardzo musi sobą gardzić!

Och, ta kobieta doprawdy nie miała pojęcia...

A teraz powinien zapomnieć, że w ogóle oglądał panią Aldridge i jej nieznacznie rozchylone wargi? Niechże piekło pochłonie tę sukę o fiołkowych oczach!

Hepplewood tak właśnie robi.

Znów wstał i kopnął krzesło, aż przeleciało przez pół pokoju.

ROZDZIAŁ 2

Łzy Isabelli wyschły, nim dwa dni później dotarła na dworzec King Cross. Prawdę mówiąc, wyschły, zanim jeszcze opuściła Northumbrię, była bowiem zmuszona spędzić kolejną noc w zawilgoconym zajeździe niedaleko posiadłości hrabiego, skąd rano niezbyt dystyngowanie powlokła się furmanką do Morpeth na dworzec.

To tyle, jeśli chodzi o: „Szlachectwo zobowiązuje” w przypadku lorda Hepplewooda, pomyślała gorzko. Ten człowiek był łajdakiem i brutalem.

Ale nie aż takim kłamcą, zgadza się?

Jego głęboki śmiech nadal dźwięczał Isabelli w uszach. Dobry Boże, czy rzeczywiście byłaby go pocałowała?

Prawda przedstawiała się tak, że Isabella nie pamiętała zbyt dokładnie chwili, kiedy ją chwycił, a jego usta znalazły się tak blisko. Przypominała sobie jedynie przytłaczającą siłę jego uścisku i zalewający ją ciepły zapach męskiego ciała. Kolana uginające się pod nią pod wpływem fali nagłej tęsknoty. Drżenie jego mięśni, kiedy sunęła mu dłonią po plecach.

Głupia, głupia, głupia!

Aż do tamtego momentu mogła jeszcze uratować sytuację. Na pewno by się jej udało, gdyż rozpaczliwie potrzebowała tej pracy.

Wtedy jednak hrabia próbował ją pocałować, a jej przekłęty umysł, zamiast trzymać się w ryzach, zamienił się w papkę! Tym samym dowiodła jego racji – że nie powinna przebywać blisko niego – i straciła swoją szansę. A wszystko z powodu czego? Tęsknoty za żarem męskiego dotyku?

Isabella z trudem przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Dobry Boże, czy nie miała dumy?

Niemniej duch pyszny zawsze poprzedza upadek, czyż nie? Jej stary pastor lubił to powtarzać. W trakcie długiej, bezsennej nocy w zbutwiałej pościeli zajazdu Pod Różą i Koroną Isabella miała sporo czasu, żeby rozważać, do czego przywiodła ją duma. I rozpaczać nad tym.

Czy była pyszna? Czy zasłużyła na ten upadek? Upadła tak nisko, że mogła nigdy już się nie podnieść – tym razem ciągnąc za sobą na dno tych, których kochała?

Dobry Boże! Jak do tego doszło?

Kiedy pokazały się przedmieścia Londynu, Isabella wyjrzała przez okno, dumając nad tym pytaniem. W młodości bez wątpienia była głupia. Zawarła małżeństwo pod wpływem impulsu, w chwili desperacji, i jak to zwykle bywa w takich przypadkach, później żałowała decyzji.

Ale pyszna? Miała nadzieję, że nie. Starła się postępować ostrożnie, a po śmierci Richarda dokonywać mądrych wyborów i ciężko pracować. Myśleć raczej o osobach teraz od niej zależnych niż tych, na których niegdyś sama polegała. Ojcu. Macosze. Richardzie, jakże krótko.

I jakimś sposobem dawała radę.

Jednakże kiedy zatłoczony, cuchnący wagon trzeciej klasy ze stukotem wtoczył się na dworzec King Cross, Isabellę dopadła przerażająca pewność, że teraz już sobie nie radzi, że właśnie wyczerpały jej się możliwości. Bliska mdłości ze strachu, wyjęła z torebki wiadomość od właściciela domu i – jakby nie dość się już dręczyła – przeczytała ją po raz dwudziesty. Nie, tym razem nie zdoła go przekonać. Wyuzdany lord Hepplewood był jej ostatnią nadzieją.

Tak, doskonale wiedziała, z kim ma do czynienia. Utracysz i kobieciarz. O hrabim w pewnych kręgach mówiono bardzo źle.

Mimo to pojechała wziąć tę pracę, tak daleko sięgała jej desperacja.

Wolno, w kłębach pary pociąg ze zgrzytem zatrzymał się pod sklepionym dachem, a bagażowi popędzili peronami, żeby otworzyć drzwi przedziałów pierwszej klasy. Mężczyzna na długiej ławie obok Isabelli – szewc z Newcastle – wstał pierwszy i łokciem otworzył drzwi. Ktoś z ławki z tyłu trzymał nad jej głową skrzeczącą kurę w klatce z wikliny. Chłopiec z wypełnionym jutowym workiem wydzielającym woń wilgotnej ziemi i pasternaku przepchnął się obok niej.

Od tego odoru Isabelli nagle zebrало się na wymioty. Z dłonią na brzuchu poczekała, aż wszyscy inni wysiądą. Później wstała i dźwignęła swoją walizę, zastanawiając się, czy z resztki pieniędzy otrzymanych od hrabiego na podróż mogłaby wynająć jakiś wehikuł, by zawiózł jej bagaże z powrotem na Munster Lane.

Stała nadal na peronie, szperając w torebce, żeby policzyć monety, kiedy raptem poczuła mrowienie na karku. Obok – niewygodnie blisko – przesunął się jakiś cień, gdy zaś podniosła wzrok, ujrzała swoją ciotkę, lady Meredith, która przyglądała się jej spod runda kapelusza nasadzonego pod zawadiackim kątem na upięte wysoko nienaturalnie jasne loki.

Isabella przełknęła ciche przekleństwo i spróbowała się uśmiechnąć.

– Isabello, skarbie. – Lady Meredith z udawaną troską dotknęła zacerowanego miejsca na rękawie Isabelli. – Dobrze nieba, dziecko... Wyglądasz jak strach na wróble.

Isabella opuściła rękę, a torebka zakołysała się na sznurku na jej łokciu.

– Milady – wymamrotała, dygając sztywno. – Jak się ciocia miewa?

– Lepiej niż ty, obawiam się – oznajmiła ciotka. – Martwią mnie u ciebie te cienie pod oczami. Isabello, czy ty znowu chudniesz?

– Nie wydaje mi się – skłamała Isabella, z niejaką goryczą odnotowując, że lady Meredith bynajmniej nie wygląda na zmartwioną. – Proszę, ciociu, nie spóźnij się na pociąg z mojego powodu.

Ciotka lekceważąco machnęła ręką.

– Mamy mnóstwo czasu – oznajmiła. – A co z tobą? Wyjeżdżasz? Czy przyjechałaś?

– Przyjechałam – odparła Isabella, modląc się, żeby ciotka nie zapytała o szczegóły.

Jednak lady Meredith przeczesywała już wzrokiem peron.

– Zechcesz, oczywiście, złożyć wyrazy uszanowania kuzynowi – rzekła oficjalnie.

Isabellę ogarnął chłód.

– Nigdzie go nie widzę.

– Poszedł po mój sakwojaz. – Ciotka uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. – Wybieramy się właśnie do Thornhill. Jak z pewnością pamiętasz, dwór jest taki przytulny o tej porze roku.

– Jest cudowny, to prawda – odparła Isabella.

Niemniej o tej porze roku nie znalazłby się w Anglii zakątek, który można by wyrozumiale opisać jako przytulny, i obie o tym wiedziały. Po prostu kuzyn Everett był teraz lordem Taffordem z Thornhill – niegdyś siedziby ojca Isabelli – i lady Meredith uwielbiała o tym przypominać.

Co do kuzyna Isabelli, on zwyczajnie uwielbiał sprawować kontrolę – nad każdym, kto był od niego mniejszy i słabszy.

Isabella nie była słabsza.

Dowiodła tego dawno, dawno temu – lecz potwornym kosztem.

Lady Meredith nigdy jej nie wybaczyła.

– Szkoda, że nie znalazłaś czasu, by odpowiedzieć na moje listy, Isabello – rzekła dama, w roztargnieniu poprawiając rękawiczki na dłoniach. – Myślałam, jak rozpaczliwie musisz tęsknić za starym rodzinnym majątkiem.

– Rzeczywiście tęsknię – przyznała Isabella. Jaki był bowiem sens zaprzeczać?

Jednakże twarz ciotki nie wyrażała współczucia.

– Mogłabym skłamać, Isabello, i powiedzieć, że mi cię żal, ale chyba wiesz, że tak nie jest – oświadczyła cokolwiek szorstko. – Takie są skutki, kiedy ktoś ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. Żywię wszakże nadzieję, że nikt nigdy nie zarzucił mi, że jestem nieprzejednana albo postępuję nie po chrześcijańsku. Może spytałabym Everetta, czy przywiózłby ciebie i dzieci do Thornhill na dzień lub dwa, gdyby miało ci to dodać otuchy?

– Do Thornhill? – powtórzyła Isabella. – Z Everettem?

– Tak, nadal o tobie mówi, a ostatnio również o Jemimie. Widzieliśmy ją w parku w zeszłym tygodniu. Na jaką piękność wyrasta to dziecko! Być może zgodziłabym się zająć jej debiutem towarzyskim, kiedy nadejdzie pora.

– Debiutem... Jemimy? – Chłód w sercu Isabelli bolał jak wbity nóż.

– Och, nie dziękuj mi jeszcze! – przestrzegła ciotka, wyrzucając w górę zwiotczałą dłoń. – Muszę to rozważyć. Ale namówię Everetta, żeby przywiózł waszą trójkę z wizytą.

– Dziękuję – wydukała Isabella – lecz dziewczęta mają szkołę.

Ciotka zmarszczyła nos.

– Tak to nazywasz? – spytała, zniżając głos do strofującego szeptu. – Doprawdy, Isabello, żadną miarą nie uważam za stosowne, że córka zmarłego lorda Tafforda, albo nawet jego pasierbica, upadły tak nisko, iż przestają ze skazanymi na dobroczynność przybłędami. Everett, wyznam ci bez ogródek, jest zde gustowany. A nim zaczniesz się dąsać, przypomnij sobie łaskawie, że twój ojciec powierzył mu kuratelę nad ich majątkiem.

– Kwestia sporna, jak sądzę – odparła z przekąsem Isabella – skoro mojemu ojcu nie zostało nic, co mógłby przekazać w kuratelę. A Bolton School nie jest instytucją dobroczynną. Za naukę płaci się stosownie do posiadanych środków, przyjmowane są tylko najbystrzejsze dzieci w Kensington.

– Wraz z przychówkiem każdego podrzędnego aktorzyzny i przymierającego głodem artysty w okolicy – zripostowała ciotka. – Och, Isabello! Jakże mnie boli świadomość, że to wszystko jest zupełnie niepotrzebne!

– Dziękuję za troskę, ciociu, ale...

– Och, mniejsza z tym, oto i Everett. – Ciotka się rozpromieniła. – Odnalazł też wicehrabiego Aberthwooda. Bardzo się zaprzyjaźnili, wicehrabia jedzie więc z nami do Thornhill.

Dzientelmeni zbliżyli się, obaj ubrani zgodnie z najnowszą modą. Wicehrabia wyglądał na młodszego od dwudziestosiedmioletniego Everetta, poza tym jednak byli do siebie podobni jak dwie arystokratyczne krople wody. Najwyraźniej kuzynowi Isabelli udało się wepchnąć do najwytworniejszych kręgów towarzyskich.

– Bello, skarbie – wycedził Everett, schylając się nad jej dłoń. – Aberthwood, znasz panią Aldridge?

– Twoja kuzynka, zgadza się? – Wicehrabia zmierzył Isabellę wzrokiem z góry na dół, rejestrując jej prosty szary płaszcz i znoszone buty, nim wreszcie raczył minimalnie unieść cylinder. – Jak się pani miewa?

– Dobrze, dziękuję.

Właśnie wtedy bagażowy wypchnął kufry Isabelli i spojrział na nią pytająco.

– Na ulicę, proszę pani? – spytał.

– Tak, dziękuję – odparła Isabella. – I może pan nająć dla mnie jakiś pojazd?

Lady Meredith zbyła jej słowa machnięciem ręki.

– Och, po prostu biegnij z powrotem, Everecie, i złap naszego stangreta – poleciła. – Brooks nie ma nic lepszego do roboty. Może zawieźć Isabellę i jej kufry do Fulham.

Isabella miała na końcu języka odmowę wraz z sugestią, żeby ciotka poszła do diabła, wlokąc za sobą

kuchnia Everetta, rozsądnie jednak powstrzymała te słowa. Posłała już do diabła lorda Hepplewooda, a choć nie życzyła sobie zaciągać długu u ciotki, tym, co zostało z pieniędzy od hrabiego na przejazd pierwszą klasą, zapłaci za kilka dni ciepła. Przy założeniu, że nie zostaną eksmitowane, nim pojawi się handlarz węglem.

Skorzystała zatem ze wspaniałomyślności lady Meredith i przyzwoliła, żeby Everett eskortował ją z dworca na ulicę, nie przyjęła jednak jego ramienia.

Kiedy znaleźli się przy krawężniku, poza tłumem, Everett zatrzymał się i odwrócił do niej z uśmiechem, który nie sięgnął oczu.

– Isabello. – Musnął palcami jej policzek. – Och, dziewczyno kochana, na jaką próbę wystawiasz moją cierpliwość.

– Niczego nie wystawiam na próbę, Everecie – odparła ze znużeniem. – Nie zaczynaj ze mną.

Jego twarz o niemal kobiecej urodzie wykrzywił brzydki grymas.

– Daj spokój, Bello, oboje wiemy, jak to się skończy – rzekł. – Spójrz na siebie. Spójrz, na co ci przyszło. Pomyśl, co powiedziałby twój ojciec. Pomyśl o dziewczynkach. Wracaj do domu, do Thornhill. Wystarczy, że powiesz „Tak”.

Tyle że Isabella myślała o dziewczynkach.

– Everecie, już powiedziałam „Nie”, i to kilkakrotnie – przypomniała mu. – A gdyby dzieci naprawdę cokolwiek cię obchodziły, nie czekałbyś, aż cię poślubię. Zrobiłbyś coś, żeby im pomóc.

– Poświęcając asa, którego przez tyle lat trzymam w rękawie? – Zaśmiał się. – Posłuchaj, Bello, nie stajesz się coraz młodsza. Ani ja cierpliwszy.

– Czyli chyba znaleźliśmy się w impasie – stwierdziła spokojnie. – Spójrz, jest Brooks.

– Rzeczywiście.

Jego oczy pociemniały z furii, ale nie zniżyłby się do tego, by zwymyślać Isabellę w obecności dawnego sługi jej ojca. Skłoniwszy się jej po raz ostatni, Everett podniesionym głosem wydał polecenia stangretowi, po czym uchylił cylindra i spokojnie odszedł.

Tak, duch pyszny zaiste poprzedza upadek, pomyślała Isabella, kiedy ładowano jej kufry. W rzeczy samej, zastanawiała się, czy w ogóle została jej jakakolwiek duma, jako że rada lorda Hepplewooda pobrzmiwała jej w uszach przez całą drogę z Morpeth.

„Niech pani wraca do Londynu – zasugerował – i znajdzie sobie męża albo opiekuna”.

Cóż, jednego męża już sobie znalazła, biorąc zaś pod uwagę, jak to się skończyło, raczej nie zdobędzie kolejnego. Chyba że zniżyłaby się do przyjęcia często ponawianych oświadczeń Everetta – w zestawieniu z czym śmierć głodowa wydawała się całkiem akceptowalnym rozwiązaniem.

A to drugie wyjście – opiekun; dobry Boże, żołądek skręcał jej się na samą myśl! Prawda była jednak taka, że kobiety każdego dnia stawały przed tego rodzaju trudnym wyborem. Owa wiedza szarpała ją za serce w trakcie niekończącej się podróży powrotnej do Londynu.

Isabella na moment zamknęła oczy, z trudem przełykając ślinę. Była wdową ubogiego, acz szlachetnego pochodzenia, nie zaś pewnym siebie rajskim ptakiem. Miała jednak pewien wdzięk – oraz urodę, jak często jej mówiono. I chociaż dokonała kilku głupich wyborów, głupia nie była. Takie atuty, przyznawała, mogły dostarczyć sposobu na opłacenie przysłowiowego czynszu. Niektóre kobiety doskonale prosperowały dzięki tego rodzaju układom; kilka nawet bardzo się wzbogaciło.

Znów zbierało jej się na płacz. Odnosiła wrażenie, że lord Hepplewood był jej ostatnią uczciwą szansą – dziewiąta rozmowa o pracę, jaką odbyła, odkąd odeszła z posady u lady Petershaw. Naprawdę nie spodziewała się, że tak trudno przyjdzie jej znaleźć zatrudnienie.

Zdaje się, że wierzyła, iż fakt jej pracy dla skandalizującej La Séductrice zostanie przyćmiony przez okoliczność, że była guwernantką młodego markiza Petershawa. Wierzyła także, że dobre imię jej ojca

zachowało pewną wagę. Co gorsza, w swej naiwności wyobrażała sobie, że o jej lekkomyślnie zawartym małżeństwie i nagłym owdowieniu dawno zapomniano.

Jednakże pamięć o jej ojcu nie przetrwała próby czasu, natomiast zła sława lady Petershaw niosła się wszędzie. A co do śmierci Richarda... Jego duch przylgnął do Isabelli niczym całun, którego nigdy nie zdoła zrzucić. Jeśli nie mściwy ojciec Richarda, to jej knująca ciotka z pewnością o to zadbają.

Bagażowy ładował do powozu Everetta ostatni kufer Isabelli. Brooks, dawny stangret jej ojca, ze smutkiem w oczach przytrzymał dla niej drzwi.

– Fulham, panienko Bello? – nacisnął łagodnie.

– Tak, Munster Lane – odparła. – I dziękuję, panie Brooks. Cudownie zobaczyć drogą mi, znajomą twarz.

– Thornhill bez pani to już nie to samo – rzekł, kiedy wspinała się do powozu.

Jej domek w Fulham stał daleko poza eleganckimi rejonami Belgravii, gdzie mieszkali jej ciotka i kuzyn, i był tak mały, że zmieściłby się w holu głównym Thornhill. Ale teraz uważała go za swój dom – dopóki zdoła opłacać czynsz, z którym spóźniała się już trzy miesiące.

Podobnie jak z uregulowaniem rachunku u rzeźnika, w sklepie warzywnym i każdego innego. Buty Jemimy przetały się tak, że podeszwy przypominały papier. Georgina donaszała rzeczy po siostrze. Pani Barbour od miesiący nie otrzymała pensji, chociaż nigdy nie szepnęła słowa skargi. Ale czynsz... Dobre nieba, stracić dach nad głową? Jakże wówczas przeżyją?

Kiedy ostatnim razem Isabella poszła błagać właściciela domu o łaskę, pan Greeley na chwilę przestał dłubać kozikiem w zębach i zaproponował jej prosty sposób zapłaty – miała znaleźć się na kolanach i „wypolerować mu drąga jak się patrzy”. Dla uzupełnienia tej powodowanej chrześcijańskim miłosierdziem oferty mężczyzna pogmerał pod swym brzuszyskiem w sposób na tyle czytelny, żeby przekaz stał się zrozumiały nawet dla takiego tumana jak Isabella.

Dreszcz przeszył ją na samo wspomnienie, ale właśnie wtedy bagażowy okrążył powóz od tyłu.

– Koniec, szefie! – zawołał do Brooksa. – Pan zwolni miejsce.

Pod wpływem impulsu Isabella chwyciła drzwi.

– Chwileczkę, panie Brooks. – Zawahała się i pod kątem wysunęła głowę na zewnątrz. – Nie ma pan teraz nic pilnego do roboty? Naprawdę?

Na serdecznej twarzy stangreta pojawił się uśmiech.

– Wie pani, jak mówią – odparł, mrugając do niej. – Kota nie ma, myszy harcują. Czy mogę wyświadczyć pani jakąś przysługę?

Znajomy ton przekomarzania w jego głosie niemal ją dobił. Isabella zamrugała, aby odegnać cisnące się do oczu gorące łzy.

– Zabierze mnie pan najpierw do lady Petershaw? Mogę tam spędzić dłuższą chwilę.

– Mam do dyspozycji cały czas świata, panno Bello – odparł stangret.

ROZDZIAŁ 3

Markiza Petershaw rezydowała w pałacu barwy kości słoniowej przy zachodnim skraju Park Square, ponieważ lubiła – jak zwykła to ujmować – sąsiedztwo najlepszych sklepów.

A zakupy owa dama robiła z całą pewnością. Isabella rozejrzała się po różowym salonie, przesuając wzrokiem po nowej, połyskliwej obudowie kominka z połączanego brązu i purpurowego marmuru oraz stojącym na niej wysokim zegarze. W pobliżu usadowiła się nowa otomana obita pikowanym różowym aksamitem, która na East Endzie posłużyłaby czteroosobowej rodzinie za wygodne łoże.

Nowe były także porcelana, lampy i dywan axminster utkany z wełny w odcieniach różu, kremowym i burgunda, jak również sześć par powłóczystych zasłon barwy nasyconego różu, które zajęły miejsce swych bladoliliowych poprzedniczek, które Isabella widziała tu zaledwie przed miesiącem.

Zwracając znów spojrzenie ku drzwiom, Isabella wygładziła szarą spódnicę i starała się nie myśleć, ile to wszystko musiało kosztować.

Markiza jak zwykle kazała jej czekać.

La Séductrice z zasady kazała czekać wszystkim – zwłaszcza zaś odwiedzającym ją dżentelmenom. „Ostatecznie, droga pani Aldridge – mawiała często – jeśli komuś dłużej ślinka cieknie, dusza mu szlachetnieje, *oui?*”.

Markiza podziwiała wszystko co francuskie – słowa, wino, wykwintne krawiectwo i wystrój wnętrz – mimo że jej ojciec był bednarzem z Margate, a związki matki z Paryżem ograniczały się do tego, że sprzedawała *pastilles de Vichy*, cukierki z minerałami rasowym pijakom zataczającym się po St. James po zamknięciu klubów.

Niemniej markizie jakoś wybaczano te pretensje. Była bogata, czarująca i piękna. Nawet najdostojniejsze damy z towarzystwa, głośno obwieszczające odrazę wobec jej osoby, przypuszczalnie oddałyby najpiękniejszy sznur pereł, byleby na jeden dzień stać się lady Petershaw.

Lub może jedną noc?

Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Isabelli.

Po półgodzinie otworzyły się podwójne drzwi, pchnięte z werwą do środka przez dwóch bliźniaczych lokajów w biało-złoty liberiach.

W takich momentach Isabella zawsze oczekiwała dźwięku trąbek i rozwinięcia czerwonego dywanu. Jednak zamiast fanfar wejściu lady Petershaw towarzyszyło tylko ujadanie miotu miniaturowych pudli, skubiących pięty swej pani, kiedy płynęła przez pokój, rozpościerając ramiona na powitanie.

– Droga pani Aldridge! – zawołała, jakby właśnie spełniło się jej największe życzenie. – Czemuż zawdzięczam tę nieocenioną przyjemność?

Isabella tymczasem wstała i dygnęła z wdziękiem, zbrojąc się wewnętrznie.

– Milady, mam nadzieję, że nie przeszkodziłam – powiedziała.

– Nie, gdyż zabawiałam akurat dżentelmena, który stał się zbyt pewny swego – odparła markiza, a jej oczy połyskiwały rozbawieniem. – Być może afront przypomni mu o wartości moich afektów. Ale te cienie pod pani oczami, one mi przeszkadzają. – Markiza przyłożyła palec do ust. – Ach, przypominam sobie, że dopiero co wybrała się pani na północ. Wnoszę, że wyprawa nie spełniła pani oczekiwań?

– Nie – odparła Isabella, znów podupadając na duchu. – To było... przerażające. Przyjechałam tutaj prosto z dworca.

Zmarszczka na czole markizy się pogłębiła, kiedy dama zaprosiła Isabellę, żeby usiadła, a następnie

posłała jednego z bliźniaczych lokajów biegiem po herbatę. Później, posadziwszy sobie na podółku pudła, zaczęła wydobywać od Isabelli szczegóły jej podróży do Northumbrii.

Isabella podzieliła się nimi z oporami – nie wymieniając nazwiska lorda Heppelwooda.

Choć był on mężczyzną dokładnie w typie markizy, ta czarująca dama gustowała bowiem w kochankach szalonych, zepsutych i niebezpiecznych – i potrafiła prowadzić ich na pasku.

Krążyły pogłoski, że w wieku lat trzynastu lady Petershaw została sprzedana z ulicy przez handlującą cukierkami matkę księciu o reputacji miłośnika sztuk zmysłowych. Cena wyniosła dwieście gwinei, nie padły żadne pytania. Matka lady Petershaw odwiesiła na hak drewnianą tacę ulicznej sprzedawczyni i więcej jej nie widziano.

Grzeszny arystokrata ponoć pracowicie edukował swą młodą kochankę zarówno w sypialni, jak i poza nią. Postępy uczennicy tak zadowalały księcia, że zaczął utrzymywać ją w sposób wystawny i coraz bardziej publiczny, zasypując klejnotami i pławiąc się w zazdrości przyjaciół, aż pewnego dnia spadł z łoża, uprzejmię wyzionąwszy ducha z wyczerpania – można by rzec, stał się ofiarą własnych tutorskich talentów.

La Séductrice kolejno zmieniała bogatych patronów, wyrzucając ich, kiedy ją znudzili, a legenda o jej zmysłowej biegłości błyskawicznie narastała, aż wreszcie, w wieku dwudziestu pięciu lat, uwodzicielka zaszała w ciążę z podstarzałym markizem Petershawem. Tak w każdym razie głosiła plotka.

Cokolwiek nim kierowało, owdowiały markiz poślubił młodą kochankę i razem wyruszyli w dwuletnią podróż po Europie, w trakcie której narodziły się dozągonna miłość lady Petershaw do zakupów oraz długo oczekiwany dziedzic lorda Petershawa. Co więcej, jakby chcąc ubiec ewentualne protesty skwaszonych krewniaków Petershawa, nowa markiza wróciła do domu w drugim miesiącu ciąży. Mając już dziedzica oraz jego zastępstwo w drodze, Petershaw oddalił się do lepszego świata, a bogata wdowa mogła na powrót poświęcić się swym zmysłowym i zakupowym pasjom.

Markiza westchnęła teatralnie.

– Ten nasz niegodziwy dżentelmen – rzekła, w zamyśleniu poklepując się po policzku – jakież to podał powód tak fatalnego zachowania?

W tym punkcie opowieści Isabella spłonęła rumieńcem.

– Powiedział jedynie, że nie odpowiadam jego wymaganiom.

Markiza uniosła brwi.

– Doprawdy? A te wyrafinowane wymagania co takiego obejmowały, *précisément*?

Isabella zawahała się przelotnie.

– Domyślam się, że chciał, abym była trochę... trochę...

– No niechże to pani wykrztusi – poleciała markiza.

Isabella westchnęła.

– Brzydsza? – podsunęła. – Starsza? Obsypana brodawkami?

Jednakże markiza już się śmiała.

– Ach, wreszcie dotykamy istoty problemu! – oświadczyła. – Dzieło jego żony, może pani być pewna.

– Jest wdowcem – wyznała Isabella.

– Ach tak? – Eleganckie brwi znów się uniosły. – Ciekawi mnie, jak też się zwie ten wzór powściągliwości?

– Chyba nie powinnam mówić, proszę pani.

– Należy się pani pochwała za dyskrecję – stwierdziła markiza, ze znawstwem kiwając głową. – To najcenniejszy przymiot kobiety. Czy jednak nie powtarzałam, droga pani Aldridge, że w końcu do tego dojdzie? Jest pani zbyt egzotyczna i o wiele za piękna na guwernantkę.

Istotnie powtarzała, choć w bardzo delikatny i zawoalowany sposób. Niemniej Isabella nie była

głupia. Od razu pojęła, przed czym markiza ją ostrzega – a potem wyrzuciła to z myśli.

La Séductrice wzbudzała w innych kobietach zazdrość, a może nawet strach, owszem. Czyż jednak zubożała, nadmiernie wykształcona i boleśnie naiwna córka wiejskiego barona to nie był zupełnie inny przypadek?

Najwyraźniej nie.

Z twarzą pełną współczucia lady Petershaw nadal przyglądała się jej bacznie ponad tacą z herbatą, której wniesienia Isabella nawet nie zauważyła.

– Droga dziewczyno – odezwała się z powagą markiza – w tym zawodzie nie ma pani przyszłości. Proszę mi wierzyć, że mężczyźni zawsze będą chcieli od pani czegoś zupełnie innego. Jest to, widzi pani, zarazem dar i przekleństwo.

– Ale pani mnie zatrudniła – sprzeciwiła się Isabella. – Czy nie byłam doskonałą guwernantką?

– Wzorcową – zgodziła się z uśmiechem markiza. – Tyle że La Séductrice nie boi się konkurencji.

Widocznie Isabella zrobiła wielkie oczy, gdyż markiza znów się roześmiała.

– Och, droga pani Aldridge! – rzekła. – Sądzi pani, że nie wiem, jak na mnie mówią? Zatrudniłam panią, gdyż pragnęłam dla moich synów tego co najlepsze. I z czasem, tak, niewykluczone, że trafi pani na drugiego takiego pracodawcę. Ale coś mi się zdaje, że czas pani nie sprzyja.

Isabella przygryzła wargę.

– Nigdy bym się nie spodziewała, że tak trudno mi przyjdzie zdobyć kolejną posadę – wymamrotała, zwieszając głowę.

– I obawiam się, że już wkrótce znajdzie się pani w poważnych tarapatach – dodała rzeczowo markiza.

– Ma pani siostry na utrzymaniu, czy tak? A dzieci dużo kosztują. Węgiel, chleb i czynsz też dużo kosztują. Nie oddaliłam się aż tak bardzo od moich skromnych korzeni, pani Aldridge, żebym tego nie rozumiała. Jak mogę pomóc?

Isabella podniosła na nią wzrok.

– Tak trudno mi o to prosić – powiedziała cicho.

– Czy mogę udzielić pani pożyczki? – zasugerowała markiza. – Będzie to dla mnie zaszczyt.

Isabella nerwowo oblizwała wargi. W zasadzie spodziewała się takiej sugestii – i ogromnie ją kusilo. Ze względu na dzieci.

– Dziękuję pani za tak życzliwą propozycję – rzekła wreszcie. – Jednak na dłuższą metę to nie rozwiąże moich problemów. Georgina ma dopiero sześć lat, Jemima dwanaście. Jeśli nie znajdę dobrze płatnej pracy, będzie mi pani udzielać pożyczek w nieskończoność.

Markiza zmarszczyła brwi.

– Tak, rozumiem – burknęła – ale co myślał sobie lord Tafford, pozostawiając waszą trójkę w biedzie?

Isabella ze znużeniem wzruszyła ramionami.

– Ojciec nigdy nie ogarniał rachunków – mruknęła. – Chyba wierzył, że kuzyn Everett postąpi właściwie. Lub że robi to brat matki dziewczynek... ale sir Charlton zawsze był nieczułym kutwą. Jeśli zaś chodzi o mnie, większość ludzi powiedziała by, że o zabezpieczenie mnie miał obowiązek zadbać mój mąż, nie ojciec.

– Ba, poeta bez pensa przy duszy? – rzuciła lady Petershaw. – Młodszy syn odcięty przez ojca, przez co zapił się na śmierć z rozpacz? Richard Aldridge, proszę mi wybaczyć te słowa, był romantycznym lekkoduchem całkowicie wyzutym z charakteru.

Ale za to z gęstwina brązowych loków, przypomniała sobie Isabella, z cudnymi brązowymi oczami i twarzą anioła. Na początku wręcz błyszczał, pełen życia, radości, entuzjazmu, którymi ją zaraził. Potrafił tryskać strumieniami czystej poezji – słowami nie cudzymi, lecz własnego autorstwa.

Krótko mówiąc, Richard Aldridge kochał życie. Natomiast jedynie wyobrażał sobie, że kocha Isabellę, kiedy oświadczał, że oczarowała go na wieczność, i wyrzucał z siebie sonety tudzież ody wychwalające jej urodę. Właśnie uroda przywiodła ją do zguby.

Po zawartym pochopnie ślubie teść Isabelli, skąpy hrabia Fenster, nie złagodniał, o czym wcześniej gładko zapewniał ją Richard. Przeciwnie, zupełnie odciął ich od pieniędzy. Jego syn otrzymał polecenie znalezienia sobie bogatej żony, związek z piękną panią z zaścianka okazał się nie do zaakceptowania.

Richard, obwieścił lord Fenster, zawsze był marzycielem i lekkoduchem, życie musi więc nauczyć tego głupca rzeczy, których najwyraźniej nie zdołał wpoić mu ojciec.

Życie udzieliło Richardowi szybkiej lekcji. Rozsypał się na kawałki na oczach Isabelli, popadając w apatię tak głęboką, że ruszał się wyłącznie po to, by się napić.

Isabella miała trochę pieniędzy – według kryteriów Richarda bardzo niewiele – które jej dziadek ze strony matki przekazał dla niej na posag, ani chybi z poczucia winy, ponieważ matka dawno temu została wykluczona z rodziny. Ta skromna suma ledwie wystarczyła na pokrycie dotychczasowych długów Richarda.

Niemalże niewypłacalni wrócili do Thornhill błagać jej ojca o zmiłowanie. Kiedy zaś Richard umarł tam przed upływem roku, wiedziony rozpaczą i poczuciem winy lord Fenster oskarżył Isabellę; każdemu, kto chciał słuchać, opowiadał, że wlewała Richardowi alkohol do gardła. Albo nawet gorzej, poślubiła go dla pieniędzy, a później po prostu otruła, żeby uciec przed życiem w biedzie.

Prawnik lorda Tafforda zagroził pozwem o zniesławienie i rodzina Fensterów wreszcie uciszyła hrabiego. Była to ogromna ulga. Koszt pozwu przekraczał możliwości finansowe lorda Tafforda, jako że ów honorowo spłacił resztę rachunków Richarda, co stanowiło jeszcze jeden zamach na świecący pustkami skarbiec majątku.

Kiedy skandal ucichł, nazwisko Isabelli było poważnie zszargane. I to się nie zmieniło.

Spojrzała posepnie na lady Petershaw.

– Popełniłam ogromny błąd, wychodząc młodo za mąż – wyznała cicho. – Byłam wtedy niespełna siedemnastoletnią, zahukaną wiejską myszą.

Markiza wzruszyła ramionami.

– Młodej czy starej, na co kobiecie mężczyzna bez pieniędzy czy charakteru... albo, prawdę mówiąc, wigoru – stwierdziła, posyłając Isabelli przebiegły uśmiech. – Obawiam się, że inaczej nie da się temu zaradzić, droga pani Aldridge. Musi pani znaleźć sobie silnego mężczyznę z grubym portfelem i wyjść ponownie za mąż.

Isabella gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Wyjść za mąż? – powtórzyła. – Dobry Boże! Za kogo?

– No cóż, nie za tego pani podłego kuzyna – oznajmiła markiza. – Nie dopuściłaby pani, żeby desperacja pchnęła panią do takiego kroku, prawda? Proszę mnie uspokoić.

– Ależ ledwie go pani zna – zaprotestowała Isabella.

Przez chwilę markiza osobliwie milczała.

– Moja droga, mogę tylko powiedzieć, że kręgi, w których się obracam, częstokroć dają mi wgląd w... hm, moralne skrzywienie części mężczyzn – rzekła. – Obawiam się, że o pani kuzynie krążą plotki, iż przejawia upodobania, które czynią go nieodpowiednim do roli...

Isabella uniosła dłoń.

– Milady, nie musi pani mówić nic więcej – oświadczyła cicho. – Jestem boleśnie świadoma predylekcji Everetta, jako że mieszkałam z nim pod jednym dachem w czasie mojego debiutu.

– Ach, rozumiem. – Markiza ostrożnie splotła dłonie na miniaturowym pudlu. – Obawiałam się, że nie pojmuje pani głębi jego zdeprawowania.

– Nie jestem aż tak naiwna – odparła ponuro Isabella. – Nie powierzyłabym mojemu kuzynowi najbrzydszej pomywaczki, a cóż dopiero tak ślicznych dzieci, jak Jemima i Georgina. Jednakże, milady, nie zamierzam powtórnie wychodzić za mąż.

Markiza rozpostarła ręce.

– Nie wydaje mi się, żeby miała pani inny wybór.

– Mam bardzo niewielki, to prawda. – Isabella wbiła wzrok w podłogę. – Niemniej z pewnością wiadomo pani, że krążyły plotki, iż przyczyniłam się do śmierci Richarda.

– Ba! – Markiza opuściła ręce. – Całkowicie bezpodstawne. Nie, ordynarne kłamstwa. Wyrwałam je z korzeniami, zanim panią zatrudniłam.

– A jeśli lord Fenster znów je przywoła? – spytała cicho Isabella. – Tych kilku dżentelmenów, którzy mnie pamiętają, spogląda na mnie trochę dziwnie, ilekroć mijam ich na ulicy.

– Upłynęło sporo czasu – zaproponowała markiza.

– Czy jednak dostatecznie dużo? – Isabella poderwała na nią spojrzenie. – Proszę odpowiedzieć mi szczerze, milady. Jaki bogaty mężczyzna pojmie za żonę zubożałą wdowę splamioną przez plotki, choćby tylko odrobinę? Zwłaszcza wdowę z dwójką dzieci na utrzymaniu? Nie jestem w stanie zdobyć nawet posady guwernantki. Jak zdołam zawrzeć przyzwoite małżeństwo?

– No cóż, jakiś dżentelmen mógłby...

– Ale czy będzie to dżentelmen zdrowy na umyśle? – przerwała jej natarczywie Isabella. – Czy będzie stateczny i przyzwoity i taki pozostanie? Czy okaże się dobry dla moich sióstr? I czy zostawi mi środki na życie, czy też za pięć lat znajdę się znów w tej samej sytuacji? Nie, milady, nigdy więcej nie zaufam mężczyźnie, że się mną zaopiekuje. Wykluczone. Mąż, och, mąż miałby mnie na własność. Wie pani równie dobrze jak ja, jak stanowi prawo.

Lady Petershaw milczała przez chwilę.

– Nigdy nie uważałam pani za głupią, pani Aldridge – rzekła wreszcie. – Tak, o wiele lepiej jest wykorzystywać mężczyzn i brać od nich garściami, niż oddać się im na stałe, by wykorzystywali panią.

– Zawsze mnie zdumiewało, że w ogóle poślubiła pani Petershawa – wyznała Isabella.

– Dwie bezpłodne żony każdego arystokratę zamienią w gorliwca – stwierdziła z przekąsem markiza. – Przy czym nie byłam tak głupia, moja droga, żeby wejść w ten związek bez dobrego prawnika i pancernego porozumienia. Pani jednakowoż... niestety, pani po prostu brakuje karty przetargowej. Ma pani tylko urodę, która, choć o kolosalnym znaczeniu, zawiedzie przyzwoitą kobietę jedynie do pewnego punktu.

– A gdybym nie była tak przyzwoita? – wypaliła Isabella, wbijając wzrok w drzemiące u ich stóp psy. – Gdybym nie wyszła za mąż, lecz zamiast tego zawarła... pewien układ?

– Układ? – W głosie markizy zagościła ciekawość.

Isabella zmusiła się, by podnieść na nią oczy i wypowiedzieć kolejne słowa.

– A gdybym została kurtyzaną, milady? – spytała zaskakująco silnym głosem. – Nie, raczej utrzymanką: jedną z tych pięknych kobiet, które bogaci mężczyźni przechowują dyskretnie na uboczu dla własnej przyjemności? Pani... cóż, zna pani ludzi prowadzących takie życie... oraz ludzi, którzy pośredniczą przy tego rodzaju ustaleniach. Nieprawdaż?

– No cóż... tak. – Choć raz lady Petershaw wyglądała na zdumioną. – Czym jednak różni się takie życie od tego, które proponował pani ów dżentelmen z Northumbrii?

– On groził, że uwiedzie swoją guwernantkę. – ...*I prawie mu się to udało*, uzupełniła w duchu. – Nie, mówię o... o prywatnym porozumieniu, takim, gdzie miałabym coś do powiedzenia, z dyskretnym dżentelmenem, z dala od wścibskich oczu. Wielu mężczyzn nabywa dla swoich kochanek domki na wsi, czyż nie?

– Tak, zazwyczaj. – Oczy lady Petershaw nadal były okrągłe z niedowierzania. – Ale to nie są rajskie ptaki, o które mężczyźni się biją, kto da więcej... lub, niekiedy, kto okaże się bardziej utalentowanym kochankiem. Większość dżentelmenów chce po prostu piękna, towarzystwa i seksualnej przyjemności, dyskretnie dostarczonych. A do tego celu wolą wdowy lub upadłe damy, zepchnięte na obrzeża socjety.

– Milady, obawiam się, że właśnie opisała pani mnie – zauważyła Isabella. – Przyszło mi pracować na chleb i mieszkać z siostrami w wiejskim domku w Fulham, gdzie za najbliższe sąsiedztwo mamy chlewnię. Ubieram je w używane rzeczy, chodzą pieszo dwie mile do... tak, szkoły dla biedoty. Chyba nawet trudno powiedzieć, że nadal znajdujemy się na tych obrzeżach.

Ostatnie stwierdzenie, ku zawstydzeniu Isabelli, wypadło nieco płaczliwie. Jednak lady Petershaw łaskawie nie skomentowała i spytała jedynie:

– Rozważyła pani, jak to się może odbić na dzieciach?

Isabella pociągnęła nosem.

– Śmiem twierdzić, że wyrządzi im mniejszą krzywdę niż przymieranie głodem – odparła gorzko. – Ale tak, dyskrecja jest dla mnie sprawą nadrzędną. Na ile tylko się da, sprawa nie może wyjść na jaw.

– Zwykle kiedy dama znajdzie się w tego rodzaju położeniu, zaprzyjaźniona osoba o nieco gorszej reputacji, czyli ktoś taki jak ja, dyskretnie rozpuszcza wieść, że wpadła ona w tarapaty i pragnie zawrzeć znajomość z hojnym opiekunem. Jeśli dama jest piękna i zalotna, nieodmiennie zdaje to egzamin. Ale też nieodmiennie szarga jej reputację.

– Dlatego właśnie muszę się znaleźć z dala od Londynu – powiedziała Isabella, która przemyślała zagadnienie w trakcie długiej podróży pociągiem. – Interesuje mnie porozumienie zawarte przez pośrednika. Z mężczyzną nieżonatym lub takim, którego żona nie będzie rozpaczać, jeśli nabierze podejrzeń. Niemniej tak, bogaty, zrównoważony wdowiec byłby idealny.

– Och, nie będzie pani dane wybierać wedle woli – przestrzegła mrocznym tonem markiza. – Są osoby, które organizują takie porozumienia dla dżentelmenów, zapoznają strony, jak to się uprzejmie określa... Tak, na dłuższą metę może się to okazać lukratywne. Jednakże kurtyzana musi dowieść swej determinacji, moja droga. Nie jest to zajęcie dla pań delikatnej natury.

Przynajmniej w tej kwestii Isabella czuła się pewna swego.

– Nie jestem delikatna – oświadczyła. – Przetrwalam wiele w ciągu minionych ośmiu lat. Teraz chcę zawrzeć sojusz z zamożnym... nie, bogatym mężczyzną. Odrażająco bogatym.

– Ach tak? – Markiza się uśmiechnęła.

– Tak – potwierdziła z nieco większym zdecydowaniem Isabella. – W zasadzie nie musi to być nawet dżentelmen. Bankier albo kupiec, albo kapitan statku świetnie się nadadzą. I chcę znaleźć się z dala od Londynu. I zacząć natychmiast. Moje kufry czekają na dole w powozie lady Meredith.

– No, no, ma pani skromne wymagania, czyż nie? – Markiza spoglądała jednak na Isabellę z nowego rodzaju szacunkiem.

– Nie mogę wrócić do domu z niczym – oświadczyła Isabella. – Nie mogę. Dzieci sądzą, że objęłam posadę w Northumbrii. Sądzą... sądzą, że wszystko się ułoży. Ponieważ obiecałam im, że tak się stanie. Rozumie pani? Obiecałam. Jemima jest już dostatecznie duża, żeby pojmować naszą sytuację... i chorować ze zgrzyoty.

– Dobrze! – Lady Petershaw uniosła ręce w geście poddania. – Jeśli wszakże mam pani pomóc w tej sprawie, pani Aldridge, od razu uprzedzam, że zawartość pani kufrów się nie nada. Musi się pani ubierać i zachowywać stosownie do nowej roli. I błagam, niech pani nie wyobraża sobie uroczej, obrośniętej różami chatki i szybkiego pompowanka w ciemnościach. Tyle wymaga się od żony. Czy mam pani powiedzieć, jak to dokładnie będzie?

Isabella otworzyła usta, po czym znów je zamknęła.

– Tak – odparła wreszcie. – Tak, chyba pani powinna.

– Musi pani zacząć rozpuszczać włosy i obniżyć stanik – rzekła stanowczo markiza. – Musi pani nauczyć się trzepotać rękami, flirtować niebezpiecznie i przekonać mężczyznę, któremu zostanie pani przedstawiona, że płonie pani dla niego, nawet jeśli w głębi serca oboje będziecie wiedzieli, że to tylko gra pozorów. Po zawarciu umowy nagnie się pani do jego woli w łóżku i poza nim, i będzie się modlić, żeby nie okazał się okrutny bądź zdeprawowany. Takie są oczekiwania. Tego wymaga się od kochanki, od żony zaś nie. Czy mam być bardziej bezceremonialna?

Isabella umknęła wzrokiem, z trudem przełykając ślinę.

– Tak – szepnęła.

– Doskonale – powiedziała markiza. – Jeśli trafi pani na wyjątkowo okrutnego mężczyznę, jeśli zacznie się pani bać o swoje życie, musi pani zwrócić mu podarki i odejść. Jeśli okaże się tylko odrobinę zdeprawowany, musi się pani nauczyć to tolerować, jak również dopasować się do jego pragnień, czy to stając się stroną dominującą, czy też całkowicie rozbitą i uległą. Niektórzy mężczyźni będą sobie życzyli, żeby pani się opierała, a później pozwoliła wziąć. Ci dziwniejsi zechcą zapleść pani włosy, ubrać panią w białe koronki, po czym przełożyć sobie przez kolano. I zażyczą sobie, żeby pani o to błagała, a pani tak robi, droga pani Aldridge. Krótko mówiąc, musi pani stać się ladacnicą. No i proszę, powiedziałam to.

Isabelli krew odpłynęła z twarzy.

– To istotnie mocne słowo.

– I używam go nie bez kozery. – Markiza przekrzywiła na bok głowę, mierząc Isabellę spojrzeniem zwężonych oczu. – Tak, moja droga, będzie pani dziwką, nawet jeśli wysokiej klasy i żyjącą w luksusie. A jeżeli panią przyłapią, tak właśnie zostanie pani nazwana, niewykluczone, że prosto w twarz. Być może będzie pani zmuszona zerwać relacje z siostrami, żeby nie wciągnąć ich w społeczną otchłań.

– Myślałam o tym – przyznała Isabella. – Ale ich pozycja już jest niepewna.

– Żyjemy w czasach o sztywnej moralności – przestrzegła markiza. – Nikt, kto dziś panią przyjmuje, nie będzie skłonny tego robić, jeśli zostanie pani przyłapana. Chyba że poszczęści się pani jak rzadko i dozna pani odkupienia przez nadzwyczajne małżeństwo... a nawet wtedy odkupienie będzie miało swoje granice. Proszę mi wierzyć. Wiem.

– Tak – przyznała cicho Isabella. – Rozumiem.

– No dobrze, czy więc wystarczy pani odwagi? – ciągnęła markiza.

– Czy zyskam w ten sposób zabezpieczenie? – Isabella uniosła brodę.

Markiza zmierzyła ją wzrokiem.

– Z pani urodą? – spytała. – Tak, mnóstwo, choć przypuszczalnie w formie, jak się to taktownie nazywa, podarków: na początek biżuteria i comiesięczna renta, później para koni do zaprzęgu lub, być może, edukacja dla dziewcząt. Aczkolwiek jest pani w tej chwili, jeśli wolno mi zauważyć, odrobinę za chuda.

Była chuda, chuda z boleśnie dobrego powodu. Chleb kosztował, a dzieci musiały jeść. Ostatnio zaś, prawdę mówiąc, apetyt, tak czy owak, jej nie dopisywał.

Markiza przez chwilę nic nie mówiła, a jedynie patrzyła Isabelli w oczy.

– Moja droga, czy nie ma pani w rodzinie absolutnie nikogo, do kogo mogłaby się pani zwrócić?

Isabella pokręciła głową.

– Mój kuzyn pragnie ukarać mnie za to, że nim wzgardziłam – szepnęła. – Dzieci mają wyłącznie brata matki, sir Charltona, który mieszka niedaleko Thornhill. Ale to niegodziwy dusigrosz, od śmierci ojca odmawiał każdej mojej prośbie. Co gorsza, ostatnio zaprzyjaźnił się z kuzynem Everettem.

Na twarzy markizy odmalowała się frustracja. Potem lady Petershaw jakby utwierdziła się w swej decyzji, skinęła głową, wstała i pociągnęła za sznur dzwonka.

– Wezwij pokojówkę – poleciła lokajowi. – A potem wyładujcie kufry pani Aldridge. Zanieście je do mojego apartamentu i podstawcie dla mnie kalessę².

Ukłoniwszy się, lokaj szybko wyszedł.

– Ale co pani zamierza? – spytała na bezdechu Isabella.

Lady Petershaw okręciła się na pięcie.

– Wraca pani na łono rodziny – oznajmiła. – Powie im pani... cokolwiek. Że zdobyła pani jeszcze lepszą posadę. Ja udam się do Covent Garden, żeby wypytać o to i owo starą znajomą, przez uprzejmość nazwijmy ją swatką. Moja pokojówka zdejmie z pani miarę, a następnie przejrzy, bez wątpienia nędną, zawartość pani bagaży.

– Dz-dziękuję – wydukała Isabella, wstając. – Ale po co?

– Jesteśmy tego samego wzrostu. – Lady Petershaw podeszła do stojącego przy oknie sekretarzyka z palisandru i kluczykiem otworzyła szufladę. – Mam kilka zbędnych sukien. Jutro weźmie pani to – odwróciła się i podała Isabelli rulon banknotów – i pójdzie do madame Foucher na Oxford Street. Zakupi tam pani dla siebie trochę bielizny daytimej i nocnej. Ufam, że nie muszę wyjaśniać, jakiego rodzaju?

Isabella w odrętwieniu wzięła zwitek.

– Nie, proszę pani – odparła. – Ale nie mogę przyjąć od pani pieniędzy.

– Nonsens – ucięła cierpko markiza. – Spłaci mnie pani, jeśli pani nalega. Powinno tam być dość, żeby opłacić pani czynsz do końca kwartału i zapełnić spiżarnię, zanim wyruszy pani w nową podróż w nieznane.

Isabella spojrzała na banknoty.

– Tak, proszę pani, na pewno.

– Doskonale, odwiedzę zatem panią pod koniec tygodnia – oznajmiła markiza. – Niech pani będzie gotowa wyjechać natychmiast, gdyby nadarzyła się sposobność.

Isabella złożyła pieniądze na pół i zacisnęła między dłońmi.

– Dziękuję – szepnęła. – Bardzo dziękuję, milady. Pozostanę pani dozgonnie wdzięczna.

Markiza z westchnieniem zamknęła sekretarzyk.

– Dlaczego zatem, droga pani Aldridge – odezwała się ponuro – czuję się tak, jakbym posyłała jagnię na rzeź?

*

Zaledwie kilka krótkich dni później przy Clarges Street nie tak znów niewinne jagnię wędrowało na rzeź, prowadzone przez o wiele mniej delikatną pasterkę. Anne, lady Keaton, zarzuciła pętlę na szyję kuzyna, nim do zainteresowanego dotarło, że świętość jego domu została naruszona.

Hepplewood obserwował kuzynkę nieufnie, kiedy wtargnęła do jego gabinetu w jedwabiach morskiej barwy, postukując filigranowymi obcasami o marmurową posadzkę.

Fording, kamerdyner, posłał mu zrezygnowane spojrzenie, nim pokłonił się nisko i zamknął drzwi.

Dama wykazała się nie lada przebiegłością; Hepplewood przekradł się z powrotem do Londynu nieco ponad dwa dni temu i z wyjątkiem wypadu w drobnej prywatnej sprawie – bardzo prywatnej – przyczał się w domu, nikogo nie odwiedzając.

Wierzył jednak, że mężczyzna powinien godnie przyjmować porażki.

– Dzień dobry, kochana – rzekł, wstając. – Jakże promiennie wyglądasz.

– Odpuść sobie, Tony – zgasiła go lady Keaton, zdejmując szal. – Masz pod okiem paskudnego siniaka. Czy wolno mi żywić nadzieję, że ostatnia kochanka pokazała ci, gdzie twoje miejsce?

– Tak się składa, że upadłem – odparł Hepplewood – na jej pięść. I, niestety, nie jest moją kochanką,

aczkolwiek wyznam ci, moja droga, że bardzo się starałem.

– Ha! Odmówiła ci! – Lady Keaton rzuciła szal na obitą skórą sofę, w ślad za nim posyłając torebkę. – Rzadkie wydarzenie, jak mniemam. Jednakże któregoś dnia, chłopcze, jakaś dama po królewsku zdepcze ci serce, względnie wzgardzona kochanka dźgnie cię nożem w plecy. Szczerze, zdumiewa mnie, jak udaje ci się spać w nocy.

– Och, tchórz zanim umrze, kona wiele razy, walecznych jedna tylko śmierć spotyka³ – rzekł Hepplewood, z uwagą oglądając paznokcie, kiedy kuzynka wciskała się w jego ulubiony fotel. – Ufam jednak, Anne, że nie przyszłaś wypytywać mnie o sprawy sercowe?

Lady Keaton bezwstydnie wskazała jego intymne rejony.

– Czy to tam upychasz aktualnie swoje serce, Tony? – spytała ze śmiechem. – Nie? Tak sądziłam. I nie, nie przyszłam omawiać twoich podbojów, a tobie daleko do Cezara, tak przy okazji.

Hepplewood uśmiechnął się i usiadł na sofie. Zerknął znów na leżącą na biurku otwartą wiadomość od Louisy Litner, a wtedy przeszył go nader dziwny dreszcz pożądania.

Anne miała rację, oczywiście. Przy kobietach tracił rozsądek.

– Herbaty? – spytał. – Czy kawy?

– Nie, i nie. Dziękuję.

– Ginu? Szkockiej whisky?

– Nie ma jeszcze wół do drugiej – rzekła z westchnieniem lady Keaton. – A teraz skup się, Tony. Przyszłam w sprawie Lissie.

– Boże, Anne, nie znowu! – Hepplewood wstał i nalał sobie whisky. Będzie mu potrzebna.

– Za dużo pijesz – skomentowała lady Keaton, obserwując go. – Zapewne z powodu śmierci matki.

– Dlaczego? Zabrała ją nagle i bezboleśnie. – Hepplewood zamknął karafkę kryształową zatyczką i wrócił na swoje miejsce. – Aczkolwiek przypuszczam, że wymówka nada się jak każda inna. No, wyrzuć to z siebie, dziewczyno. Jakiej diatryby dziś wysłucham?

– Lissie nie powinna zostawać sama w Loughford, teraz, kiedy odeszła ciocia Hepplewood – oznajmiła jego kuzynka. – Ma zaledwie sześć lat.

– Pięć – sprostował Hepplewood.

– Prawie sześć – upierała się lady Keaton. – Powinna przebywać z rodziną. Z tobą. Lub z panią Willet. Lub ze mną... albo nawet z Gwen i panią Jansen w domu wdowy. Ale na pewno nie zamarzać samotnie gdzieś w dzikiej Northumbrii.

– Tak się składa, że dzięki pieniądzom jej obrzydliwie bogatego dziadka przebudowałem wszystkie kominy w Loughford – zaripostował z przekąsem Hepplewood. – A ty, oczywiście, pojmujesz, że twoja siostra i pani Jansen są... jak by to ująć?... Wielbicielkami Safony?

– Och, dobry Boże! – Lady Keaton przewróciła oczami. – Jakże mnie irytuje, że akurat ty kwestionujesz pełen oddania monogamiczny związek... przyjaźń... układ.... jakkolwiek to zwać! Uwielbiają Lissie.

– Wiem – rzekł łagodniej – ale Lissie jest ciepło, w Loughford roi się od służby, a ja w tej właśnie chwili szukam nowej guwernantki.

– Nie, pijesz whisky w bonzurce o pierwszej po południu – odparowała z ogniem kuzynka. – Poślesz po nią, Tony, albo przysięgam, że sama to zrobię! Harry’emu i Bertiemu przyda się towarzystwo. Może brać lekcje z nimi.

Hepplewood gwałtownie odstawił whisky, zarzucając wszelkie pozory.

– Na Boga, Anne, nie waż się sugerować, że porzucę własne dziecko – rzekł, celując w nią palcem. – Nigdy jej nie oddam, nie ma mowy, nawet tobie. Zaczynam myśleć, że ty i pani Willet jesteście do siebie podobne. Przeklęta stara hiena!

– Pani Willet ma słuszość – zaprotestowała gorąco lady Keaton. – To babka Lissie, na litość boską. Pozwól jednej z nas ją wychować, Tony, skoro sam nie chcesz.

– Pilnuj własnego nosa, Anne – odparował. – Czy sir Philip nie musi wygrać jakichś wyborów albo przepchnąć reformy? Nie możesz zająć się byciem jego żoną, zamiast przybiegać tutaj mnie gnębić? Na Boga, gdybym chciał znosić nieustanne tyrady, ożeniłbym się z tobą zamiast z Felicity.

– Och, w przeciwieństwie do niej za dobrze cię znałam, Tony, żeby cię zechcieć – stwierdziła ponuro Anne.

– Dziękuję, że mnie oświeciłaś! – rzekł gorzko. – Niemniej, koniec końców, Felicity także się dowiedziała, czyż nie? Po prostu było za późno.

– Ale tu zawinił pan Willet – oświadczyła z żarem Anne. – Mógł pozwolić Felicity zerwać wasze zaręczyny. Mógł to zrobić! W rzeczy samej, błagała go o to. Wiem. Byłam tam, ty nie.

Gniew Hepplewooda wypalił się równie szybko, jak zapłonął.

– Nie było mnie tam, ponieważ mnie tam nie chciała – powiedział, wruszając ramionami. – I ostatecznie bardzo dobrze się stało, że stary Willet zmusił nas do ślubu. Felicity zapłaciła wysoką cenę za jedną krótką chwilę szaleństwa, czyż nie?

Anne milczała, patrząc w ogień. Po dłuższym czasie westchnęła ciężko.

– Powiedzieć ci, na czym polega twój problem?

– A mam wybór? – Uśmiechnął się krzywo. – Doświadczenie podpowiada mi, że nie.

– Twój problem polega na tym, że nie potrafisz znieść widoku tego dziecka. Lissie marnieje z dala od rodziny, a ty kurwisz się tutaj, aż w końcu oślepniesz.

– Kurwię? – Zmusił się do szelmowskiego uśmiechu, bo tego po nim oczekiwano. – Rety, Anne, jak nisko upadła dawna panna nieskazitelna! A rozwiązłość seksualna, nawiasem mówiąc, nie powoduje ślepoty. To tylko stare porzekadło wuja Duncastera.

– Tony, jesteś diabłem wcielonym. – Poderwawszy się, Anne złapała szal i torebkę. – Kochałam Felicity. Była moją przyjaciółką. I jestem to winna jej córce, dlatego powiem ci, jak będzie. Philip i ja pojedziemy po nią do Loughford i przywieziemy do Burlingame, a jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, pójdę prosto do dziadka, słyszysz? Pójdę, przysięgam.

– Wuj Duncaster dobiega setki i nie rusza się z domu – odparł z przekąsem Hepplewood. – Co niby zrobi? Przyjedzie tu i zło mi skórę pasem?

– Nie byłby to pierwszy raz! – Anne dygotała, przyciskając do piersi torebkę, podczas gdy szal zwisał jej z łokcia do samej ziemi. – Na twoim miejscu bym go nie denerwowała, Tony! Nie radzę! Dziadek mógłby... mógłby...

Hepplewood uzmysłowił sobie, że przeholował; Anne nie była poirytowana, lecz bliska płaczu. Zmienacka upuściła swoje rzeczy na podłogę i przyłożyła dłonie do oczu.

– Nie, masz rację – chlipnęła. – Nic nie robi, prawda?

– Ach, do diabła z tym – wymamrotał, podchodząc do niej, żeby ją objąć.

– Nienawidzę cię, Tony! Nienawidzę! – Anne wsparła czoło na jego ramieniu i żałośnie pociągnęła nosem. – Dlaczego zawsze jesteś takim dupkiem? Dawniej byłeś taki miły! I kochałam cię bezgranicznie!

Rozpłakała się, chlipiąc w jego luźno zawiązany halsztuk niczym małe dziecko i kurczowo zaciskając w dłoniach wyłogi jego bonzurki. Niezdarnie położył rękę między jej łopatkami i zaczął wykonywać kojące, okrężne ruchy, zarazem odgrzebując w pamięci i zestawiając po cichu różne wskazówki: kłótność, irracjonalne łyzy, powiewne suknie – oraz brzuch, który dociskała podejrzenie wysoko do jego kamizelki.

– Anne, kochanie – wymamrotał wreszcie, dotykając wargami czubka jej głowy – czy ty aby nie jesteś znów przy nadziei?

– Tak! – załkała. – Cudownie, prawda? Ale dziadek umrze... Nie dożyje narodzin kolejnego dziecka w rodzinie. Umrze, mając tylko Harry’ego i Bertiego, i Roba, i Barbarę, i Lissie, i bliźniaczki...!

Raczej by nie pomogło, gdyby przypomniał Anne, że lord Duncaster to jeden z najbogatszych, najzamożniejszych, najbardziej zadowolonych z siebie mężczyzn w chrześcijańskim świecie, jak również, że dożycie pięknego wieku przeszło dziewięćdziesięciu lat w otoczeniu mniej więcej szczęśliwej i całkiem licznej wielopokoleniowej rodziny trudno uznać za tragedię.

Sprawa była stracona, do Anne nie przemówią żadne argumenty. Przez większość czasu kuzynka była najśladszą znaną mu osobą, lecz w trakcie pierwszych miesięcy ciąży potrafiła zachowywać się jak obłąkana.

Co jeszcze bardziej niepokojące, być może się nie myliła.

W żadnej kwestii.

Toteż raz jeszcze zatoczył dłonią krąg, delikatnie poklepał Anne po plecach, a kiedy uniosła głowę, żeby nań spojrzeć, powiedział:

– Wiesz, Anne, myślę, że możesz mieć rację.

– Zawsze mam rację – oświadczyła przez zatkany nos. – Philip tak twierdzi!

– Z pewnością – zgodził się Hepplewood, zachowując powagę. – Pojedźcie po Lissie. Zabierz ją prosto do dziadka, jeśli chcesz. Wuj Duncaster nie miewa się szczególnie dobrze i obojgu im się to przyda.

– Cóż, w takim razie w porządku – powiedziała pojednawczym tonem. – A ty nie przyjedziesz?

Zawahał się.

– Nie mogę, Anne – odparł. – Nie w najbliższych tygodniach. Mam na wsi sprawę do załatwienia.

Odepchnęła się od jego piersi.

– Daruję sobie pytanie, jakiego rodzaju – stwierdziła mrocznie.

– Muszę zajrzeć do jednej z moich posiadłości. – Zerknął znów na list Louisy i poczuł, jak krew burzy się w nim niebezpiecznie. – Ale obiecuję, że się z tobą spotkam po powrocie do Londynu, hm? Za miesiąc lub coś koło tego. Dzięki temu Lissie zabawi trochę u ciebie i Duncastera.

– A wtedy porozmawiamy o jej przyszłości? – spytała Anne.

Hepplewood zgrzytnął zębami. Nie wiedział dokładnie, jak się wychowuje dziewczynkę, ale zamierzał sobie poradzić. Owszem, na razie nie wychodziło mu najlepiej – pojmował to i bez przytyków Anne.

Każdego roku powtarzał sobie, że w kolejnym weźmie się w garść i zerwie z okropnymi nawykami. Jednakże Anne, niestety, miała rację. Lissie liczyła sobie już prawie sześć lat, jemu zaś kończył się czas. Jego matka nie żyła, a dziecko wymagało teraz czegoś więcej niż przewijanie i pieszczoty; potrzebowało rodziny.

W dodatku Anne nadal patrzyła na niego wyczekująco.

– A wtedy porozmawiamy o jej przyszłości – wydusił z siebie – jeśli twoim zdaniem tak będzie najlepiej, skarbie.

– Dziękuję, Tony! – Lady Keaton odstąpiła o krok, a jej twarz pojaśniała. – Jesteś cudowny! – dodała, ocierając policzki. – Ciągłe to powtarzam, prawda? I, och, ale się ze mnie zrobiła konewka. Słuchaj, może się ubierzesz i przejdiesz ze mną do pasażu? Kupisz mi nową parę rękawiczek.

Hepplewood zerknął na stojący zegar i westchnął.

Później, pogodzony z losem, szarpnął za sznur dzwonka i posłał Fordinga na poszukiwanie swego lokaja.

ROZDZIAŁ 4

Światło poranka przemknęło ponad zimowymi polami Fulham, nadając lekki połysk włosom Georginy, które Isabella prędko zaplatała w warkocze. Ponad blaskiem w oknie widziała, jak topnieje szron między szybami, wytrwale skapując w splekane uszczelnienie i gnijące drewno.

Odwróciła wzrok. Nie było jej stać na wezwanie szklarza, a skoro dopiero co z ledwością uregulowała zaległy czynsz, właściciel raczej nie podejdzie do skarg ze zrozumieniem.

Na końcu łóżka dziewczynek z lekkim niepokojem na twarzy przycupnęła Jemima, otulona starym wełnianym kocem. Isabella знаła tę minę aż nazbyt dobrze, martwiło ją to.

– Jemma, kochanie, co się dzieje?

– Musisz wyjeżdżać tak szybko? – spytała dziewczynka. – Przyjacielowi lady Petershaw chyba strasznie się spieszy.

Siląc się na uśmiech, Isabella sięgnęła po wstążkę, żeby związać koniec blond warkocza Georginy.

– Zamożnym dzentelmenom zawsze się spieszy – odparła, zwinnie operując palcami. – Podobno biblioteka pana Mowbreya jest ogromna i katalogowanie zbiorów zajmie tygodnie.

Georgina wykręciła się do tyłu na stołku.

– I w tym domu nie będzie małych chłopców? – spytała, marszcząc maleńkie brwi. – Ani dziewczynek? Żadnych wcale?

– Nie, moja jedyna mała dziewczynka siedzi tutaj. – Isabella przekrzywiła głowę, by ucałować Georginę w skroń. – I będę za nią szaleńczo tęskniła... podobnie jak za moją dużą dziewczynką. Choć to prawda, że z przyjemnością opowiadałam wam anegdotki z lordem Petershawem i jego bratem w rolach głównych.

– Byli z nich tacy figlarze – zachichotała Georgina. – Pamiętasz, Bello, jak włożyli mysz do puszeki z kredą? – Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko, prezentując szparę w miejscu, gdzie z przodu brakowało jej dolnych zębów.

Te niemożliwie maleńkie ząbki pojawiły się pierwsze, przypomniawszy sobie melancholijnie Isabella, a teraz pierwsze zniknęły. Gdzie będzie, kiedy wypadną pozostałe mleczne zęby Georginy?

Najprawdopodobniej w łóżu tajemniczego pana Mowbreya, pomyślała gorzko, przynajmniej przez dwa kolejne siekacze. Dłużej pewnie nie utrzyma jego uwagi.

Przypuszczała, że w ten sposób człowiek pamięta swoje życie, kiedy dziecko wyznacza centrum jego wszechświata. Takie wspomnienia stają się kamieniami milowymi, za pomocą których odmierza się szczęście. Drobne triumfy i tragedie – jak pierwszy upadek Jemimy z kuca na padoku w Thornhill. Albo czas, kiedy Jemima obciąła Georginie włosy sekatorem. Albo ten dzień w parku, kiedy Isabella nauczyła dziewczynki skakać ze skakanką.

Łaskawe nieba, jakże będzie za nimi tęsknić! Na moment zamknęła oczy, zawczasu mierząc się z bólem rozstania.

Dopóki żyli jej ojciec i macocha, Isabella spędzała w Thornhill wakacje i co drugą niedzielę. A rezydencję lady Petershaw od tego domku, gdzie zamieszkała z dziewczynkami, dzieliło kilka mil – w sam raz na dłuższy spacer. Buckinghamshire w zestawieniu z tym zdawało się leżeć na Księżycu. Zarazem wiedziała, że los się do niej uśmiechnął, gdyż mogła pojechać jeszcze dalej; zaiste dopisało jej szczęście, że nie utknęła w połowie drogi na szkockie wyżyny, gdzie niegodziwy hrabia Hepplewood uganiałby się za nią po sali lekcyjnej, próbując jej zadrzeć spódnice.

Isabella przeciągnęła grzebieniem z drugiej strony głowy Georginy.

– Nie, tym razem nie będę miała pod opieką żadnych urwisów – powiedziała w zadumie. – Tylko książki, przeważnie.

– I kości – dodała markotnie Jemima. – Martwe robale, wypchane ptaki i pewnie nawet zasuszone szczątki jaszczurek.

Isabella zerknęła na zegar. Czowała wstręt do łgarstwa, jakim nakarmiła dziewczynki.

– U filozofa przyrody przypuszczalnie można się natknąć na każdą z tych rzeczy – odparła, szybko zaplatając warkocz. – Będę musiała je tylko skatalogować, Jemmo, nie obnosić upchnięte po kieszeniach.

– Nie wyglądasz jak guwernantka – orzekła Jemima – ani bibliotekarka czy jak tam będziesz się nazywać.

Brzydkie słowo użyte przez lady Petershaw przemknęło Isabelli przez głowę.

Ale nie wolno jej teraz o tym myśleć. Musi myśleć wyłącznie o zapłaconym właśnie zaległym czynszu oraz gigantycznej gęsi, którą pani Barbour dopiero co powiesiła w spiżarni.

– Obiecuj mi, Georgie, że będziesz słuchać pani Barbour i Jemmy – powiedziała Isabella, sięgając po grzebień. – Liczę na was obie. Proszę, pomagajcie zmywać i sprzątać po obiedzie, a zęby myjcie bez poganiania.

– Tak, proszę pani – odparły chórem dziewczynki.

– Mam nadzieję, że polubisz pana Mowbreya – dodała nieco pogodniej Jemima – i że zostawi ci mnóstwo czasu na pisanie listów do nas.

– Oczywiście, że zostawi – zapewniła Isabella – jeśli tylko nie będę się guzdrać z katalogowaniem.

Niemniej Isabelli ogromnie nie podobało się okłamywanie dziewczynek, a pomysł, który wydawał się tak znośny kilka dni temu w salonie lady Petershaw, coraz bardziej kojarzył jej się z wycieczką na szubienicę.

– Jestem gotowa? – Georgina wyciągnęła szyję, oglądając się do tyłu.

Isabella zawiązała ostatnią wstążkę.

– Tak, biegnij do szkoły – powiedziała, delikatnie popychając dziecko. – Szybko, daj buziaka. Och, masz czytanki i zeszyt?

– Zostawiłam w kuchni. – Dziewczynka pospiesznie cmoknęła Isabellę po raz ostatni w policzek. – Kocham cię, kocham, kocham, Bello! – wołała, wypadając z pokoju i z cichym tupotem mknąc po schodach w dół.

Natomiast Jemima nadal siedziała na skraju łóżka, dyndając swawolnie nogą.

– Podoba mi się twój kapelusz – powiedziała niepokojąco dojrzałym głosem. – Do twarzy ci w tym odcieniu oberżyny.

– Dziękuję, Jemmo. – Isabella wstała i przeciągnęła dłońmi po spódnicy. – Mnie także się podoba.

Suknia podróżna z aksamitu w kolorze oberżyny przybyła wraz z listem od lady Petershaw, a towarzyszył jej odrobinę frywolny aksamitny kapelusik z zadziornie podkreślonym czarnym piórkiem. Isabella rozpoznała w tych rzeczach dawną własność markizy. A choć zestaw żadną miarą nie był ekstrawagancki, tego typu strojów Isabella nie nosiła od bardzo długiego czasu.

– Wyglądasz olśniewająco, Bello, jak dawniej w Thornhill – odezwała się cicho Jemima. – Kiedy byłam jeszcze mała, przed całą tą szarością.

Isabella chciała pogładzić dziewczynkę po włosach i powiedzieć jej, że nadal jest mała. Że jest dobrym, uroczym dzieckiem, które zasługuje na to, by je chronić przed brutalną rzeczywistością. Ale rzeczywistość ujawniała się już w postrzępionych mankietach Jemimy i niepokoju zasnuwającym cieniem jej oczy.

– Wszystko będzie w porządku, Jemimo – zapewniła Isabella i nachyliła się, żeby założyć dziewczynce

za ucho luźny kosmyk. – Obiecuję. Sprawy zmierzają ku dobremu.

W tejże chwili ostro rozległo się pukanie.

– Przyjechała, proszę pani – poinformowała przez drzwi pani Barbour. – Lepiej niech pani zejdzie.

Isabella uniosła brodę Jemimy.

– Pora mi ruszać w drogę, kochanie – oznajmiła. – Chciałabym nie musieć cię prosić o opiekę nad siostrą, ale proszę.

Odgrywały tę scenę już wiele razy wcześniej. Jemima ześlizgnęła się z łóżka i przytuliła do niej w milczeniu.

– Poradzę sobie, Bello – odezwała się wreszcie.

– Wiem – wyszeptała Isabella we włosy dziewczynki. – Liczę na ciebie. I dziękuję.

Nie zostało wiele do powiedzenia. Po chwili Isabella wypuściła z objęć przybraną siostrę, mrugając, żeby odegnąć niespodziewane łzy.

– No dobrze – wykrztusiła. – Nie spóźnij się do szkoły.

Później, zanim jednak się rozplakała, Isabella odwróciła się i wyszła na korytarz, gdzie zastała czekającą tam nadal panią Barbour.

– Powtórzę się, panienko – gderała stara kucharka, wręczając Isabelli elegancki bilet wizytowy markizy – ale nie podoba mi się cała ta sprawa.

– Och, proszę, niech mnie pani nie strofuje, Barby – powiedziała Isabella, kiedy schodziły po schodach. – Wszystko będzie w porządku.

– A pani ciotka i kuzyn? – marudziła kucharka. – Napisała pani do nich?

– O tak! Napisałam do lady Meredith wczoraj i odrzuciłam zaproszenie do Thornhill – odparła przez ramię Isabella. – W rzeczy samej, powiedziałam jej to już od razu na dworcu. Czyżby Everetta ogarnęła desperacja? Gdybym była potrzebna, proszę dać znać lady Petershaw, a ona natychmiast po mnie pośle.

Starsza kobieta sapnęła, gwałtownym ruchem głowy wskazując drzwi saloniku.

– No cóż, tam ją wprowadziłam, panienko. A teraz proszę uściskać staruszkę, nim znów panią stąd poniesie. Filozofia przyrody, dobre sobie!

Isabella spełniła prośbę, a później ucałowała kucharkę w policzek.

– Jest pani kochana – powiedziała. – Drzę na samą myśl, co by się stało z tymi biednymi dziećmi bez pani.

– A ja nigdy nie sądziłam, że dożyję dnia, kiedy przyjdzie pani dźwigać takie brzemie – odparła starsza kobieta, ruszając w dół kuchennymi schodami. – Ten cały sir Charlton to szatan we własnej osobie, a pani kuzyn Everett i jego matka są jeszcze gorsi. Mogli pani tego oszczędzić.

Jednakże Isabella dawno się nauczyła, że nie ma sensu ubolewać nad niesprawiedliwością innych. Sir Charlton odmówił wsparcia dzieciom swojej siostry, nie chciał ich też wychować – nie żeby Isabella zgodziła się na rozstanie.

Skoncentrowawszy się na powrót na planie lady Petershaw, zebrała w sobie odwagę i pchnęła drzwi saloniku, starając się wyglądać na pełną entuzjazmu i stosownie wdzięczną.

Ale samej markizie do entuzjazmu było daleko. Z rozgoryczeniem na twarzy odwróciła się od okna, przez które patrzyła na drogę.

– Cóż, moja droga, przybywam zgodnie z obietnicą. – Przecięła niewielki pokój, żeby podać Isabelli złożone kartki. – Tutaj są wskazówki i list polecający pani Litner. Powiem pani wszakże wprost, że ta sprawa trochę mnie niepokoi.

– Naprawdę? Dlaczego? – Isabella zerknęła na adres, zaledwie trzy godziny jazdy stąd.

Markiza zmarszczyła brwi.

– Nie kojarzę żadnego pana Williama Mowbreya, a znam niemal wszystkich. Nie podobał mi się też

wczoraj wyraz oczu pani Litner. – Lekko, niepewnie machnęła ręką, tak że zakołysała się koronka u jej mankietu. – Och, nie nazwałabym tego strachem... nie, to nie było to... ale trochę za bardzo wyglądała mi na zdesperowaną, żebym spała spokojnie.

– Co mówiła o panu Mowbreyu?

Lady Petershaw prychnęła.

– Że to trzydziestokilkuletni, przystojny, wściekle bogaty wdowiec, jeśli czerpie pani z tego jakąś pociechę – odparła.

Przez umysł Isabelli przemknęła wizja ust lorda Hepplewooda nad jej wargami. Zastanowiła się, jak by to było znaleźć się w jego łóżku. Czy tajemniczy pan Mowbrey okaże się równie przystojny?

Niemożliwe, żeby był równie arogancki – lub równie niebezpieczny.

– Przypuszczam, że przystojny wdowiec jest lepszy od obleśnego żonkosia – stwierdziła, wzruszając ramionami.

– To prawda. – Markiza się uśmiechnęła. – Niemniej pani Litner przyznaje też, że wedle jej dotychczasowych doświadczeń pana Mowbreya nie sposób zadowolić. Jest pani czwartą albo piątą młodą damą o niemałym wdzięku i urodzie, którą „zapoznaje” z owym dżentelmenem... i jeśli pani również okaże się nieodpowiednia, zamierza się poddać.

– Czyli uważa mnie za damę ostatniej szansy? – Isabella podniosła wzrok znad kartki. – Czy to dlatego nie zwracała sobie głowy spotkaniem ze mną?

– Proszę się uważać za szczęściarę – odparła z sapnięciem lady Petershaw. – Louisa Litner to osoba zdecydowanie wulgarna.

– Dziwi mnie w takim razie, że jakikolwiek dżentelmen korzysta z jej usług.

Lady Petershaw podeszła tymczasem znów do okna, żeby spojrzeć na czekające powozy.

– Też mnie to trochę zastanawia – odparła w zadumie – i dlatego przygotowałam plan awaryjny.

– Plan awaryjny? – powtórzyła Isabella.

– Wysyłam panią moim nieoznakowanym powozem. – Lady Petershaw wskazała bardziej pospolity z dwóch pojazdów zaparkowanych na trawiastym poboczu. – Zawiezie panią mój drugi stangret. Dillon to bystry chłopak. Poinstruowałam go, żeby przez dwa tygodnie pozostał w pobliżu.

– Tak? W jakim celu?

– Moim zdaniem Mowbrey to przybrane nazwisko – oznajmiła markiza. – Mam nadzieję, że wymyślone jedynie dla potrzeb dyskrecji.

– Przybrane nazwisko?

Markiza wzruszyła ramionami.

– Kiedy dobrze znany dżentelmen poszukuje nowej kochanki, często stosuje taki fortel, tyle że w rezultacie trudno mi kogoś takiego sprawdzić – wyjaśniła. – Dlatego jeśli ów dżentelmen wyda się pani do przyjęcia, proszę łaskawie wywieszać co wieczór chusteczkę z okna. Wystarczy kawałek. Mówimy o małym domu na wsi, na pewno nie ma tam za wielu okien.

– Raczej nie – zgodziła się Isabella. – Ale po co?

– Jeśli którejś nocy chusteczka się nie pojawi, Dillon przyjedzie po panią nazajutrz – odparła spokojnie markiza. – Powie, że umarł ktoś z pani rodziny... świat byłby lepszy bez lady Meredith, zgodzi się pani?... i jest pani pilnie oczekiwana.

– Nadzwyczajne – mruknęła Isabella.

– W takich sprawach ostrożność popłaca – oświadczyła ze znawstwem markiza. – Jeśli Dillon usłyszy jakąś nonsensowną wymówkę, następną osobą, z którą porozmawia sobie pan Mowbrey, będę ja.

W podniszczonym saloniku zapadła cisza, zakłócana jedynie stukaniem nagich gałęzi za oknem.

– Milady – odezwała się wreszcie Isabella – dlaczego robi pani dla mnie to wszystko?

Markiza posłała jej krzywy uśmiech.

– Jeśli ja nie pomogę się pani urządzić, zrobi to pani sama, z marnym rezultatem – powiedziała. – Zarazem skoro panią w to pakuję, uważam za swój obowiązek w razie potrzeby panią wyciągnąć. Ponadto ogromnie mnie irytuje, kiedy inteligentna kobieta cierpi biedę wskutek męskiej mściwości.

– Milady, moje problemy z kuzynem Everettem, to znaczy aktualnym baronem Taffordem, nijak pani nie dotyczą.

Dama wzruszyła ramionami, a później poklepała dłoń Isabelli.

– Napisze pani do mnie, kiedy tylko oceni pani, że ten mężczyzna nie jest dewiantem – przypomniała. – Jeśli w trakcie pierwszych dwóch tygodni nie dostanę listu, założę najgorsze, bez względu na obecność chusteczki.

Isabella skinęła głową.

– W którym to przypadku mogę oczekiwać zgonu ciotki?

– Oraz mojej wizyty, jeżeli nie pojawi się pani u mnie kolejnego dnia – uzupełniła lady Petershaw.

– Dziękuję – powiedziała Isabella, skłaniając głowę.

Markiza zerknęła na zegar na kominku.

– Pomyślałam, że powinna pani wyjechać natychmiast, zanim dopadnie panią strach – oznajmiła. – Pani kufry są już w powozie... ten brązowy zawierał same książki... i zakładam, że ma pani sakwojaż?

Isabella miała, aktualnie pełen koronkowej bielizny, z dodatkiem flakonika perfum, którego w innych okolicznościach nie śmiałyby nabyć. Jednakże w swym nowym fachu nie będzie się już posługiwać książkami i kredą, lecz przyborami zupełnie innej natury.

– Nie widzę sensu obciążać pani koni brązowym kufrem – powiedziała cicho. – Tam, dokąd się wybieram, szkolne podręczniki nie będą mi potrzebne.

– Nie – przyznała posępnie markiza. – Nie, nie będą.

Podeszła do głównych drzwi, otworzyła je i zawołała Dillona.

– Wyładuj brązowy kufer i zanieś na piętro – poleciła.

Isabella przeciągle westchnęła w duchu.

Jej podróż w mrok właśnie się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ 5

Wiejski domek pana Mowbreya stał w długim, niskim lesie kilka mil na północny zachód od Chesham, a prowadziła do niego aleja dojazdowa obramowana murkami z polnych kamieni. Isabella rozejrzała się, zaniepokojona tym, na jak głuchej wsi się znaleźli.

Rosnące wzdłuż murków drzewa jakby kłaniały się sobie nawzajem, tak że ich gałęzie tworzyły szarobury szkielet baldachimu, który latem prezentowałby się pięknie, ale teraz wywierał ponure wrażenie. Pobrużdżona koleinami dróżka z kępami zmrożonej trawy pośrodku wyglądała na rzadko używaną. Isabella przytrzymała się wiszącego uchwytu, wykręcając głowę na wszystkie strony w nadziei na to, że dostrzeże jakieś oznaki cywilizacji.

Nie wypatrzyła jednak niczego aż do chwili, kiedy znaleźli się nagle na otwartej przestrzeni i droga po prostu się skończyła. Wyjrzawszy z powozu, Isabella zobaczyła ładny georgiański dworek z czerwonej cegły z łukową pergolą nad wejściem.

Fasadę niemal całkowicie porastały pnącza, zimą uśpione, okna i drzwi niedawno pomalowano na białą, lecz mimo to dom tchnął aurą opuszczenia. Całość okalał szeroki kamienny mur, odgradzając dom od drogi, jakby odcinał wstęp gościom.

Albo odcinał ludzi w środku od reszty świata...

Isabella wysiadła na drżących nogach, poinstruowała Dillona, żeby pozostał na miejscu, a następnie pchnęła furtkę z kutego żelaza i przeszła ścieżką do drzwi. Z tyłu domu dobiegały odgłosy uderzeń młotem, jakby metal spotykał się z kamieniem, rytmicznie rozszczepiając ciszę. Zastukała ozdobną mosiężną kołatką, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Po drugiej próbie po prostu uniosła spódnice i ruszyła do ogrodu, miażdżąc stopami krótką, zmarzniętą trawę. Desperacko pragnęła przebrnąć przez pierwsze niezręczne minuty i upewnić się, że pan Mowbrey nie jest morderczym ogrem, zanim Dillon porzuci ją tu na pastwę losu.

Na tyłach domu kolejna ładna furtka prowadziła na wysypyany żwirem dziedziniec z powozownią i stajnią. Tutaj wszakże część muru się zawaliła, a to spowodowało, że furtka przekrzywiła się w zawiasach. Jakiś mężczyzna, wymachując ramieniem z rytmiczną biegłością, obrabiał polny kamień, umieszczony na starej podstawie do wsiadania na konia, a na boki śmigały szare odpryski.

Był nagi do pasa, skórzane szelki ześlizgnęły mu się z ramion i zwisały luźno na szczupłych biodrach. Osłepiająco białą koszulę cisnął na pobliską gałąź i wydawał się pochłonięty pracą, jego mięśnie napinały się pokaźnie, kiedy miarowo, z mocą uderzał młotem.

Pomimo chłodu i zdążającego ku zachodowi zimowego słońca szerokie plecy mężczyzny pokrywała warstewka potu, a zmieszana Isabella obserwowała go w milczeniu przez kilka chwil – najwyraźniej na tyle długo, by zakończył pracę. Ze stęknieniem odłożył młot na bok, dźwignął kamień i się odwrócił.

Rozpoznanie uderzyło w Isabellę, pozbawiając ją tchu.

To był hrabia Hepplewood!

Zamarła, gapiąc się na jego wysoką, smukłą sylwetkę, która nie prezentowała się już tak elegancko.

W rzeczy samej, bez cywilizującego efektu surduta i halsztuka – nie mówiąc o koszuli – szokująco przypominał barbarzyńcę.

Wtedy, ku jej bolesnemu skrępowaniu, hrabia uśmiechnął się i odłożył kamień.

– Pani Aldridge – powiedział, zrywając z gałęzi koszulę. – Witam w Greenwood Farm. Przyjechała pani odrobinę za wcześnie. Przyjmę to za oznakę gorliwości.

Isabella cofnęła się o krok.

– Gorliwości? – powtórzyła ze wzrokiem utkwionym w obnażony tors.

Hepplewood ruszył ku niej z leniwą gracją, po drodze strzepując koszulę.

– Z zadowoleniem przyjąłem wiadomość, że skorzystała pani z mojej dobrej rady – rzekł, wsuwając ramię w rękaw – jakkolwiek ten zbieg okoliczności solidnie mnie zaskoczył... podobnie jak panią, na ile widzę.

Isabella wszakże nadal nie w pełni ogarniała sytuację; zamiast mózgu miała watę, jej płuca odmówiły pracy. Hepplewood naciągnął koszulę, gładkie mięśnie jego gibkiego torsu marszczyły się w trakcie tej czynności.

Jakimś cudem Isabelli udało się przenieść wzrok na jego twarz i zarazem oprzeć pragnieniu, by popędzić z powrotem do powozu.

– Przepraszam, ale o czym pan mówi? – spytała, mrugając wolno.

Wsparł dłoń na słupku furtki, który nadal utrzymywał pion, i omiół Isabellę spojrzeniem z góry na dół.

– Mojej rady – wyjaśnił z nikłym uśmiechem – żeby porzucić nudne zajęcia guwernantki na rzecz rozwiązania, które lepiej współgra... powiedzmy, z danymi pani przez Boga atrybutami.

W Isabelli narosło oburzenie.

– Jak pan śmie – odezwała się cicho. – Nie wiem, hrabio, do jakiego rodzaju kłamstwa się pan uciekł, żeby mnie tu oszukańczo zwabić, ale nie zamierzam...

– Pani Aldridge – wszedł jej słowo, a jego oczy błysnęły niebezpiecznie, kiedy omijał słupek furtki. – Bardzo bym chciał, żeby nasze stosunki się ułożyły, ale „kłamstwo” i „oszustwo” to nie są zniewagi, które będę tolerował. – Wielką, silną dłońią chwycił ją za przedramię. – Czy się rozumiemy?

Jednakże wyrażenie „zbieg okoliczności” właśnie z wolna przenikało do świadomości Isabelli.

– Z pewnością nie twierdzi pan... – Urwała i spróbowała na nowo. – Z pewnością nie sugeruje pan, że to czysty...

– Przypadek? – Na jego ustach zagościł dziwny półuśmiech. – Mało co w życiu jest przypadkiem. Zobaczyłem kobietę, z którą chciałem pójść do łóżka, lecz niestety odmówiła. Jednakowoż w moim odczuciu jedną kobietę względnie łatwo da się zastąpić inną. Nie sprawiło mi wielkiego kłopotu poproszenie obrotnej pani Litner, żeby znalazła dla mnie inną kruczowłosą piękność o fiołkowych oczach, skłoną zaspokoić moją żądzę. Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy odpisała, że mam oczekiwać pani.

– Dobry Boże. – Isabella usiłowała się cofnąć, ale zaciśnięta na jej przedramieniu dłoń pozostała niewzruszona. – Nie wierzę.

– Pani Aldridge – mruknął, wędrując wzrokiem po jej twarzy – zwróciła się pani do Louisy Litner z zamiarem wystawienia się na sprzedaż dokładnie w taki sposób, jaki zasugerowałem. Ona zaś wysłała panią, powiedzmy to bez ogródek, żeby pani czarowała, kokietowała i niemal na pewno ogrzała w łóżu niejakiego pana Williama Mowbreya, dżentelmena o nader specyficznych upodobaniach. Jakie w ogóle może mieć dla pani znaczenie, że panem Mowbreyem okazałem się ja?

– Ja... nie wiem. – Isabella próbowała zebrać myśli. – Po prostu je ma.

– Ach tak? – Zniżył głos, a jego spojrzenie raptem nabrało ciężaru. – Skarbie, intryguje mnie pani.

– Nie jest moim życzeniem pana intrygować – wydusiła z siebie, wspierając dłoń o jego klatkę piersiową. – Nie chcę mieć z panem nic do czynienia.

Wiedziała jednak, że nie jest to prawda; nie do końca. Więcej niż raz w trakcie długiej jazdy z Londynu przypominała sobie ich prawie pocałunek i zastanawiała się, jak by to wyglądało dalej. Czy w oczach tego mężczyzny zapłonąłby ogień? Czy jego dotyk parzyłby ją przez ubranie?

O, tak. Parzyłby.

A ona była idiotką.

Hepplewood chwycił ją pod brodę, bynajmniej nie delikatnie.

– Nie, pani Aldridge, nie pomyliłem się co do pani – mruknął cicho. – Jest pani oszalamiającym stworzeniem... które, według mnie, zdecydowanie wymaga ujarznienia.

Isabella miała wrażenie, że ześlizguje się z porośniętego mchem urwiska; żołądek podchodził jej do gardła, jakby spadała. Hrabia z czytelnym zamiarem zawiesił usta tuż nad jej wargami, ona zaś nie umknie mu po raz drugi.

– Tylko posmakuję, skarbie – mruknął, opuszczając powieki. – Tak, zaledwie tyle... na razie.

Isabella wiedziała, że powinna uciekać; że jeśli go pocałuje, odda część siebie. Lecz stopy wrosły jej w ziemię, a hrabia trzymał nieustępliwie.

Przyciągnął ją mocno do siebie, otaczając zapachem męskiego potu i czegoś jeszcze bardziej prymitywnego. Przywarł wargami do jej warg, z początku delikatnie, a Isabelli wymknęło się ciche kwilenie.

Na ten dźwięk Hepplewood jęknął nisko i wdarł się językiem w jej usta. Krew wezbrała, ryczała Isabelli w uszach, zdawało jej się, że ogród i cały świat wokół nich zawirowały.

Żar i przytłaczający ciężar jego ciała otoczyły Isabellę. Wślizgując się językiem głęboko, hrabia przygarnął ją do siebie, wsparł śmiało dłoń na jej biodrze i przytrzymał.

Isabellę już całowano, lecz nigdy nie doświadczyła czegoś takiego. Surowego, wulgarnego, przyprawiającego o cudowną miękkość kolan przyływu gorącego pożądania. Jego palce, z czego mgliście zdała sobie sprawę, puściły jej ramię i zanurzyły się we włosach na karku, unieruchamiając ją. Lewą ręką przytrzymał od dołu jej biodro, unosząc ją nieznacznie ku swoim lędzwiom, a wola Isabelli osłabła pod wpływem tęsknoty, która ją przeraziła.

Koniuszkiem języka przeciągnął po jej podniebieniu w najłżejszej, najbardziej erotycznej pieszczocie. W niewytłumaczalny sposób zrodzony przez to surowy głód wyrwał Isabellę z konfuzji. Zaparła się oburącz o jego pierś i pchnęła.

Ku jej zaskoczeniu przerwał, minimalnie cofając wargi, ze wzrokiem nadal ciężkim od pożądania. Jego usta, które wcześniej opisałaby jako wąskie i odrobinę okrutne, teraz wyglądały miękko, z nieco nabrzmiąłą dolną wargą.

Przeszył ją dreszcz, być może żądzą.

– Isabello – rzekł ochryple hrabia. – Ma pani na imię Isabella?

Skinęła głową.

– Isabello, chcę mieć panią pod sobą. W moim łóżku.

– W pańskim łóżku? – powtórzyła bezmyślnie Isabella.

– Lub gdziekolwiek pani woli – skorygował, ścisząc głos.

Isabella otworzyła szeroko oczy.

– Nie mogę – powiedziała, tym razem mu się wrywając. – Nie w Northumbrii. I nie tutaj.

Nie podążył za nią, lecz tylko obserwował uważnie. Jego nieczne oczy lśniły jak okruchy niebieskiego lodu.

– Przepraszam. – Z trudem przełknęła ślinę i pokręciła głową. – Popełniłam głupi, głupi błąd.

Wiedziała jednak, że jej głupi błąd miał więcej wspólnego z tym, czego pragnęła, niż czego nie chciała.

Pragnęła jego. Mężczyzny niebezpiecznego, wymagającego i – jeśli nie pomyliła się w ocenie – trochę okrutnego. Zastanowiła się przelotnie, czy postradała rozum. Czy coś w niej nie było po prostu... nienormalne.

– Popełniła pani błąd? – mruknął. – Ja z pewnością nie. Pożadam pani teraz bardziej niż kiedykolwiek,

skarbie. A choć pani niespecjalnie mnie lubi, to pragnie mnie pani.

– Jest pan bardzo pewny swego – szepnęła.

– Niemniej w mojej ocenie nieprzesadnie – odparł, taksując ją wzrokiem. – Ma pani szeroko otwarte oczy i wilgotne, nieznacznie rozchylone wargi. Pani spojrzenie... a moment wcześniej także ręce... zbaczały w kierunkach, których, mówiąc ściśle, damy unikają.

Isabella tylko się na niego gapiła. Chętnie znów dałaby mu w twarz, ale z przerażeniem uświadomiła sobie, że mówił prawdę; jej ręce ześlizgnęły się w dół jego pleców i tym razem nawet popieściła...

Lord Hepplewood oszczędził jej wstydu, zniecała podrywając wzrok na zimowe niebo.

– Tak czy owak, o piątej robi się już ciemno i przypuszczalnie się rozpada – oznajmił z irytującym spokojem. – Przyjechała pani powozem?

Przytaknęła bez słowa.

Ruchem głowy wskazał tylne drzwi.

– Niech pani wejdzie do środka i naleje sobie brandy – powiedział całkiem uprzejmie. – Salonik mieści się od frontu. Zajmę się bagażami i powozem. Nie może pani stąd dzisiaj wyjechać.

Widocznie na jej twarzy odmalował się strach, gdyż lord Hepplewood mocno chwycił ją za ramiona.

– Nigdy nie przymuszałem kobiety, pani Aldridge... no dobrze, nie licząc żony... i pani także nie będę się narzucał.

Wpatrywała się w niego.

– Jak niby mam zaufać...?

Urwała, płonąc rumieńcem, ponieważ nie była pewna, czy bardziej niż jemu może ufać sobie.

Hepplewood także to pojmował. Naparł na nią znowu, zbliżając usta jak do pocałunku. Ale tym razem jej nie pocałował. Zamiast tego złapał jej dolną wargę między swoje i posadził delikatnie, aż zaczęły pulsować jej najbardziej intymne miejsca.

Kiedy wreszcie się cofnął, w jego oczach czytała żar i wiedzę.

– Tak, skarbie, jeśli przyjdzie pani do mojego łóżka, zrobi to pani na moich warunkach – mruknął, omiatając wzrokiem jej twarz. – I, na Boga, będzie mi pani w nim posłuszna. Ale decyzja, czy przyjąć? – Wzruszył ramionami. – Ta będzie należała wyłącznie do pani.

Potem ją puścił, okręcił się na pięcie i poszedł naokoło domu.

Dotykając opuszkami palców zmaltretowanych warg, Isabella odprowadzała go wzrokiem, nadal drżąc.

Wielkie nieba, czy znalazłby się inny równie zuchwały mężczyzna?

Z drugiej strony, arystokrata może sobie pozwolić na zuchwałość – zwłaszcza wobec kogoś takiego jak ona.

Usiłując zebrać myśli, wygładziła ciemnofioletową suknię, jakby mogła strzepnąć dowody jego pocałunku. Nadal stała w ogrodzie na tyłach domu, choć teraz wydawało się to nierealne.

Za ogrodzeniem powozownia i stajnia nic się nie zmieniły, mimo że jej świat przewrócił się właśnie do góry nogami. Z jednej strony podstawki do wsiadania na konia leżał stos wielkich, nieporęcznych polnych kamieni, z drugiej piętrzyły się mniejsze, bardziej zgrabne kawałki.

Hepplewood oddawał się ich obróbce przez dłuższą chwilę, być może starając się zmęczyć swoje demony za pomocą młota i dłuta. Jakże dziwne się to wydawało.

I jak bardzo Isabella potrzebowała tej brandy.

Ponieważ nie widziała lepszego wyjścia, a do tego zmarzła na kość, posłuchała polecenia hrabiego i weszła do domu. Bez trudu odnalazła zarówno salonik, jak i brandy. Drżącymi dłońmi naląła sobie za dużo, wypić z tego połowę, a potem, kiedy nieznaną jej dotąd cierpki trunek palił ją w piersi, zastanowiła się, jakie ma perspektywy.

Załawionymi oczami przyglądała się, jak hrabia pomaga Dillonowi wyładować jej kufer. Chciała podejść do drzwi i polecić, żeby zapakowali go z powrotem. Oznajmić, że wyjeżdża – i zostawia za sobą lorda Hepplewooda z jego grzesznym, lodowo błękitnym spojrzeniem.

Tyle że Hepplewood się nie mylił, czyż nie?

Co to dla niej za różnica, w czym łożu się znajdzie?

Skoro zdecydowała się na takie rozwiązanie – żeby zabezpieczyć siebie i dziewczynki – dlaczego nie miałyby sypiać z mężczyzną, który przynajmniej pod względem fizycznym był doskonałością? O tym akurat już się przekonała na dziedzińcu przed stajnią.

Co więcej, jaki pozostał jej wybór? Wrócić do Londynu i lady Petershaw? Tak, mogła w tej chwili uciec i spędzić noc w podłej gospodzie w Chesham. Ale jaki byłby kolejny dżentelmen? Lepszy? Gorszy? Okrutny?

Na tym polega zasadniczy problem, kiedy sprzedaje się samą siebie, pomyślała z grymasem na ustach. Już w wstępie traci się większość przewagi.

Lord Hepplewood chciał ją mieć w swoim łóżku – posłuszną jego życzeniom, jak powiedział. Na samą myśl znów zadrżała. Ale czy lady Petershaw nie ostrzegała jej, że tego właśnie będzie się po niej oczekiwać? Że będzie musiała odczytać najintymniejsze pragnienia mężczyzny i je zaspokoić?

Hepplewood nosił w sobie mrok i siłę, które przepełniały ją strachem, ale przecież zatrudniał kochankę właśnie po to, by ulżyła jego żądom. Może wszyscy tacy mężczyźni mają swoją mroczną stronę?

Isabella tego nie wiedziała. Richard był człowiekiem wielkiej łagodności, jej ojciec podobnie.

Everett był gwałcicielem, który niewolił dzieci.

Do tego sprowadzały się jej doświadczenia z mężczyznami. Z pewnością występowały też przypadki pośrednie.

Płócienny sakwojąż Isabelli znalazł się na alejce dojazdowej, a Hepplewood, ku jej zaskoczeniu, wsunął sobie na ramię kufer. Dillon pociągnął za rondo kapelusza i wspiał się z powrotem na kozioł.

Isabella tkwiła w miejscu jak sparaliżowana. Nie wyszła na zewnątrz, żeby wspiać się do powozu i kazać Dillonowi jechać. Wiedziała, nawet wtedy, że pożałuje swojej decyzji. Jednakże nie zrobiła nic, ponieważ skończyły jej się możliwości – obawiała się, że każdy inny zły wybór będzie jeszcze gorszy niż ten aktualny.

Rzeczony zły wybór chwycił właśnie za rączkę jej sakwojażu i wraz z kufrem poniósł go do wejścia, jakby był służącym, a nie panem domu. Z trudem przecisnął się przez drzwi. Wydawało się, że nie zauważył stojącej w głębi saloniku Isabelli, gdyż minął ją i pognął schodami na górę.

Znienacka uderzyło ją, że to dziwne. Czyżby w domu nie było służby?

Nie, nie było.

Raptem nabrała co do tego pewności, pojmując jednocześnie, skąd wzięła się otaczająca dworek aura opuszczenia. Znalazła się w tym miejscu całkiem sama.

Sama z hrabią Hepplewoodem.

A Dillon właśnie odjeżdżał.

Isabella przełknęła resztę brandy.

Wyglądało na to, że w domu są też tylne schody. Przez kolejne pół godziny do uszu Isabelli docierał odgłos ciężkich kroków hrabiego, który kursował z góry na dół i z powrotem gdzieś w głębi budynku. Lekko drżącą ręką wyjęła szpilkę z aksamitnego kapelusza z zalotnym czarnym piórkiem i odłożyła oba przedmioty na bok.

Do czasu gdy hrabia zszedł do saloniku, zdążyła prawie skończyć kolejną szczodłą miarkę brandy – drugą w życiu, szczerze mówiąc – i było jej aż nazbyt ciepło.

– Odprawił pan mojego woźnicę? – spytała, nadal patrząc przez okno.

Jego twarz pociemniała, kiedy się do niej zbliżał.

– Nie, uczyniłem mu tę zniewagę, że zaproponowałem nocleg, lecz osobliwie postanowił przenocować we wsi – odparł.

– Och. – Isabella nagle przypomniała sobie instrukcje lady Petershaw. – Jak to daleko?

Roześmiał się, bynajmniej nie wesoło.

– Z powrotem aleją, potem w prawo i jeszcze dwie mile prosto – rzekł – radzę więc zabrać lampę, skarbie, jeśli zdecyduje się pani umknąć z mojej małej jaskini bezcelestwa.

– Proszę sobie ze mnie nie żartować. – Odwróciła się zbyt szybko i odniosła wrażenie, że podłoga się zakołysała.

Otaksował ją spojrzeniem.

– Usiądzie pani, Isabelle – rozkazał, odbierając jej szklanekę – w tym niebieskim fotelu przy kominku.

– Lubi pan dominować – zauważyła, odprowadzając wzrokiem resztki swojej brandy.

Z głośnym stuknięciem odstawił na kredens jej szklaneczkę.

– Bardzo – przyznał, odwracając się, żeby posłać jej mroczne spojrzenie. – To dla pani problem? Jeśli tak, od razu przyniosę lampę i może pani ruszać z powrotem do Cnoty nad Nudą czy z jakiej tam wioski pani przybyła.

Na widok grzesznego błysku w jego oczach zaparło jej dech.

– Nie, to... to pański dom – wykrztusiła – i, jak pan jasno podkreślił, pańskie zasady.

– Tak, przekonałem się, że sprawy przebiegają bardziej gładko, kiedy mężczyzna nie zmienia swoich oczekiwań.

– Bardziej gładko dla kogo?

– Dla mężczyzny wydającego rozkazy – odparł bez złośliwości.

– Ach, czyli dla pana Williama Mowbrea?

Hrabia nalewał sobie brandy ręką pewną jak skała. Postawił szkło przy jednym z foteli, po czym przykucnął, żeby szturchnąć płonące na kominku drwa.

– Ochrzczono mnie Anthony Tarleton William Mowbrey Chalfont – powiedział, wpatrując się w ogień – jeśli ma to dla pani jakieś znaczenie.

Dziwne, ale miało. Przyglądała się, kiedy się podniósł z leniwą gracją i ulokował szczupłe ciało w fotelu naprzeciw. Odnotowała, że jego potargane złotobrazowe loki są wilgotne, założył też świeżą koszulę, rozpiętą pod szyją pod kamizelką z wysmienitego brokatu. Z orlim nosem i ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi był szokująco przystojnym mężczyzną – najwyraźniej też aż zanadto świadomym tego faktu.

Długą nogą w bucie do konnej jazdy Hepplewood przyciągnął sobie podnózek i wsparł na nim stopę, a później złożył palce w piramidkę i zaczął z uwagą przypatrywać się Isabelli. Choć rozluźniony, pozostał władczy, aż Isabella zastanowiła się, czy każdy, kto znalazł się w pobliżu tego mężczyzny, był zobligowany słuchać jego rozkazów.

– Nie ma pan ani krzty czaru, nieprawdaż? – zauważyła.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Dawniej miałem – odparł – ale odkryłem, że to obosieczna broń. Aktualnie dogodniej mi rozkazywać, czego sobie życzę... i płacić za to, kiedy trzeba.

Isabella z trudem przełknęła ślinę.

– A czego konkretnie pan sobie życzy, milordzie?

– Konkretnie? Przełożyć panią przez tamten fotel, pani Aldridge, i rznąć, aż zacznie pani błagać o litość. – Podniósł szklaneczkę brandy długimi, eleganckimi palcami. – Niemniej skłonny jestem

zaczekać, aż trochę się pani oswoi z tą koncepcją.

Najwidoczniej alkohol znieczulił Isabellę, ponieważ się nie zarumieniła.

– Cóż – mruknęła. – Przynajmniej jest pan szczery. Zauważyłam, że nie ma pan nie tylko czaru, ale i służby.

– Nie mam służących w samym domu – skorygował.

– Ale jest... ktoś? – spytała z odrobiną nadziei.

Wzruszył ramionami.

– W chacie za stajnię mieszka dozorca. Yardley dogląda moich koni i pali w kominkach. Jego żona i córka przychodzą zwykle po południu, żeby posprzątać i zabrać pranie. A do większych porządków najmuję dziewczyny ze wsi.

– Nie jada pan?

Uśmiech wykrzywił jego wąskie usta.

– Och, jestem mężczyzną o licznych apetytach – odparł. – Tak, jadam... i również gotuję, gdy to konieczne. Podoba mi się pewna samowystarczalność. Ale owszem, pomocna pani Yardley niekiedy wstawi do piekarnika pieczeń.

– Dlaczego pan tu mieszka? – spytała bardziej miękko Isabella, zafrapowana.

– To mój dom – odparł po prostu. – Mam inne, oczywiście. Ale Greenwood to prywatne miejsce, swego rodzaju samotnia, gdzie mogę oddawać się mniej cywilizowanym nawykom z dala od wścibskich spojrzeń.

– Na przykład ociosywać kamienie na pół nago?

Znów wykrzywił usta.

– Między innymi.

– Wydaje się to dziwnym zajęciem dla dżentelmena – stwierdziła.

Popatrzył prosto na nią bez uśmiechu.

– Może jutro obejrzy mnie pani przy rąbaniu drewna? – zasugerował. – Zapewniam, skarbie, że wigoru mi nie brakuje.

W podbrzuszu Isabelli znów rozlało się dziwne doznanie. Umknęła wzrokiem przed spojrzeniem hrabiego.

Niemniej izolacja tego domu w gruncie rzeczy idealnie odpowiadała potrzebom Isabelli. Wędrowała wzrokiem po pokoju, eleganckim i wygodnie umeblowanym, podobnie jak dwa inne, które minęła po drodze tutaj.

Czy nie właśnie tego sobie życzyła? Ładnego, ustronnego domu z dala od Londynu? Dlaczego więc dręczył ją niepokój?

Ponieważ, jak się obawiała, w całej Anglii nie wystarczyłoby brandy, żeby poczuła się całkowicie swobodnie z hrabią Hepplewoodem. Zarazem odnosiła osobliwe wrażenie, że on nie ma nic przeciw jej niepewności; że czerpie z niej nieomal perwersyjną satysfakcję.

– Idealne miejsce, gdzie mężczyzna może ukryć swą kochankę – powiedziała prawie że do siebie.

– Zdarzało się, owszem.

W końcu na niego spojrzała.

– Pani Litner twierdzi, że bardzo trudno pana zadowolić.

– Bez wątpienia. – W głosie Hepplewooda znów zagościł mroczny ton. – Jestem wszakże przekonany, że da się panią tego nauczyć.

– Nauczyć? – Isabella zamrugwała. – Nie jestem tępa, hrabio. Wiem, na czym polega seks.

– Och, bardzo w to wątpię, skarbie. – Spokojnie sięgnął po brandy i pociągnął łyk. – Proszę mi powiedzieć, Isabello, ilu miała pani kochanków?

Poczuła gorąco na twarzy.

– Byłam... byłam mężatką – odparła obronnym tonem.

Roześmiał się.

– Dobry Boże! – powiedział. – Jeden mąż? A potem wstąpiła pani do klasztoru?

– Zostałam guwernantką, tak, jeśli o to panu chodzi.

– I planowała pani na zawsze wyrzec się zmysłowych przyjemności? – Przyglądał się jej przez szkło. –

Wobec tego trudno to nawet nazwać małżeństwem, skarbie.

Isabella poczuła się niezręcznie.

– Nie wiem, co pan sugeruje.

Ponownie uśmiechnął się bez wesołości.

– Oczywiście, że pani nie wie – stwierdził. – Proszę mi powiedzieć, Isabello: zostanie pani tu ze mną i dotrzyma swojej części diabelskiego paktu? Czy też ucieknie pani z podwiniętym ogonem z powrotem do Londynu jak seksualny tchórz, którym do tej pory pani była?

– Nie słyszałam jeszcze, żeby cnotę nazywano tchórzostwem – odparowała.

Wzruszył ramionami, pociągnął kolejny łyk brandy, po czym odstawił szklaneczkę.

– Poprosiłem panią Litner, żeby zapoznała mnie z kobietą ściśle określonego typu – rzekł – którą to przysługę wyświadcza mi od kilku lat, niestety z coraz gorszymi rezultatami. Ale podsuwając mi panią, Isabello, och, panią pocziwina być może odkupiła właśnie dawne błędy. Lub po raz ostatni cierpieć będzie ból porażki.

– Pan za to cierpi z powodu nadmiaru arogancji – powiedziała Isabella.

– Niewątpliwie – zgodził się – ale proszę mi powiedzieć, skarbie: gdybym polecił pani teraz uklęknąć mi między nogami, rozpiąć mi spodnie i zrobić fellatio, posłuchałaby pani?

Żar gwałtownie wystąpił jej na policzki.

Hepplewood przekrzywił na bok głowę, oczy połyskiwały mu łajdacko w blasku ognia na kominku.

– Czy to oznacza „Nie”, Isabello? – nalegał delikatnie. – Czy też po prostu nie wie pani, o co proszę?

Zacisnęła splecione na podołku dłonie.

– Nie wiem – wyznała.

Hepplewood potarł dłonią ciemny zarost na brodzie.

– Nie jestem zaskoczony, może jednak naiwność okaże się zabawna – stwierdził. – Tak, skarbie, moim zdaniem nada się pani. Ale do pani należy decyzja, czy chce pani zostać... a zanim pani odmówi, proszę mi wytłumaczyć, jeśli łaska, dlaczego w ogóle nawiązała pani kontakt z panią Litner?

Zesztywniała.

– Ponieważ uznałam, że miał pan rację – wyjaśniła z goryczą. – Proszę bardzo, jest pan zadowolony? Miał pan rację. Nikt nie chce mnie zatrudnić dla tego jednego talentu, który istotnie posiadam: umiejętności kształcenia dzieci. Równie dobrze więc mogę udoskonalić inny.

– Mogłaby pani spróbować powtórnie wyjść za mąż – zasugerował cicho.

– Już wolę się puszczać – odcięła się – czego chyba dowodzi moja obecność tutaj.

– Dobry Boże, a myślałem, że to moje małżeństwo było nieudane – skomentował hrabia. – I proszę łaskawie nie używać więcej takich słów. Nie w odniesieniu do siebie.

– Nie rozumiem, dlaczego miałabym tego nie robić.

– Ponieważ nie odpowiada to prawdzie, Isabello, i nie kimś takim stanie się pani dla mnie – odparł nieco łagodniej. – Szukam jedynie towarzystwa bez emocjonalnych komplikacji. Kobiety pięknej, pełnej wdzięku i chętnej mnie zadowolić, jak również przyjmować rozkosz w zamian.

– Ja zaś szukam sposobu na opłacenie czynszu – odparła uczciwie. – Mogę udawać, milordzie, że mam inne motywacje, a pan z kolei być może zdoła oczarować mnie na tyle...

– Nie, pani Aldridge. – Uniósł dłoń. – Nie będę pani czarował ani z panią flirtował, nigdy. Jeśli więc tego domaga się pani drobnomieszczańska delikatność uczuć, lepiej niech się pani wybierze na ten długi spacer do wsi.

– Że jak, proszę? – Isabella wyprostowała się, jak na potomkinię arystokratycznego rodu przystało. – Nic pan nie wie o mnie, moich uczuciach ani też kolorze krwi, skoro już przy tym jesteśmy.

Zawahał się.

– Istotnie – rzekł sztywno. – Cóż. Zgódźmy się więc po prostu, że zależy pani na układzie z dżentelmenem. Jednakże łatwo by to pani zaaranżowała bez pomocy sępa w rodzaju Louisy Litner. Z pewnością zdaje pani sobie sprawę, że mężczyźni się za panią oglądają.

Isabella przygryzła wargę, rozważając, ile mu wyjawić.

– Mam rodzinę, milordzie.

– Dobry Boże, co pani ma?!

– Siostry, przybraną i przyrodną, które są ode mnie zależne – doprecyzowała. – To jeszcze dzieci. Może upadłam nisko, hrabio, ale nie chcę pociągnąć ich za sobą.

– Gdzie są te dzieci? – spytał. – Kim są?

Stanowczo spojrzała mu w oczy.

– Są moją prywatną sprawą – odparła. – Moim życiem. I nie mają nic wspólnego z tym wszystkim, z tym, kim się stanę bądź nie.

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego.

– Czy jest pan dżentelmenem, hrabio? – spytała.

– Dżentelmenem z więcej niż paroma przywarami – przyznał – ale nikt nigdy nie zarzucił mi kłamstwa, oszustwa czy łamania danego słowa.

– Zatem proszę pana o słowo dżentelmena – powiedziała – że nie będzie się pan wtrącał do mojego prywatnego życia ani też rozmawiał o naszym układzie poza murami tego domu.

– Prosi pani? – mruknął. – Fascynujące.

– Chcę być kochanką bogatego człowieka – oświadczyła – przy zachowaniu pełnej dyskrecji. Jeśli może mi pan to zapewnić – z trudem zaczerpnęła tchu – wówczas tak, zostanę. Jak długo będzie pan sobie życzył. Nauczę się pana zadowalać. I robić panu to... to fellatio, cokolwiek to znaczy.

Przez chwilę przyglądał się jej niemalże bezstronnie.

– I przyjmować rozkosz, Bello? – mruknął wreszcie. – Obieca pani nauczyć się także i tego?

– Nie może się pan tak do mnie zwracać – oznajmiła.

Uniósł brew.

– Nie jestem pewien, czy to pani o tym decyduje.

Zacisnęła dłonie na podłokietnikach.

– Owszem, decyduję, milordzie – oświadczyła porywczo. – Będę pana zadowalać, tak, dotrzymam mojej części umowy, ale nie jestem niczym. Nie będzie pan mną pomiatał. I nie pozwalam panu zwracać się do mnie w ten sposób.

Zataczał szklaneczką niewielkie kręgi na blacie stolika.

– Mogę spytać dlaczego?

– Wolę, kiedy tego zdrobnienia używają wyłącznie dzieci.

– Aha. – Skłonił głowę niemalże po królewsku. – Doskonale, Isabello. Niech pani odpowie na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

– Czy nauczy się pani przyjmować rozkosz? – powtórzył, przyglądając jej się bacznie. – Czy nauczy się pani nie tylko dawać, ale i brać? Czy zawierzy pani mojemu przewodnictwu na tej wyrafinowanej

ścieżce? I, co najważniejsze, skarbie, czy będzie pani posłuszna?

Skinęła głową.

– Bardzo chciałbym usłyszeć, jak pani to mówi.

Isabella umknęła wzrokiem.

– Będę wypełniać pańskie polecenia.

– I...?

– I nauczę się robić wszystko, czego pan wymaga – wykrztusiła – zadowalać pana i przyjmować rozkosz. To chce pan usłyszeć?

Przez kilka chwil hrabia milczał, ciszę zakłócały jedynie trzaski ognia na kominku. Wreszcie Isabella oderwała wzrok od dywanu, który poddawała intensywnym oględzinom, i uzmysłowiła sobie, że do pokoju powoli zaczęła się wkradać ciemność.

Hepplewood siedział pod takim kątem do płomieni, że oświetlały tylko jedną stronę jego twarzy, uwydatniając szczupłą płaszczyznę policzka i nadając całości iście szatański wygląd.

– Świetnie się dogadamy, Isabello – rzekł wreszcie. – Tak, przystaję na pani warunki. A pani zgadza się być moją... niech będzie, że adeptką. Od czego zaczniemy?

– Od cz-czego pan sobie życzy – wydukała.

– I to, skarbie, jest prawidłowa odpowiedź – stwierdził bez cienia sarkazmu. – Czegokolwiek ja sobie życzę. A teraz podejdź do kredensu i nalej sobie kieliszek sherry... nie brandy, bo nie masz być znieczulona. Potem znów usiądź.

– Ja... nie mam na nic ochoty, dziękuję.

– To nie było pytanie – rzekł hrabia.

Na moment zamarła. Później, przypomniawszy sobie instrukcje lady Petershaw, wstała i wykonała polecenie.

– Doskonale. – Hrabia wyciągnął się w fotelu ze stopą nadal na podnóżku i brandy nisko między udami. – Wypij, Isabello, a potem wyjmij szpilki z włosów. Chcę je zobaczyć rozpuszczone.

– Teraz? – spytała z niedowierzaniem.

Nie odpowiedział. Mimo mroku czuła, jak wwierca się w nią spojrzeniem. Obawiała się, że przyjdzie jej zapłacić za opór. Raz jeszcze w jej myślach odżyło brzydkie słowo.

Ladacznicą.

Isabella zamknęła oczy i wyciągnęła pierwszą szpilkę.

– Dobry Boże – wymamrotał hrabia, kiedy jej włosy opadły. – Przeczesz je palcami, Isabello. Tak, w ten sposób. Raz za razem. Czy to przyjemne uczucie, odzyskać swobodę?

Wykonała polecenie.

– Tak – szepnęła. – Przyjemne.

Znów z namysłem złożył palce w piramidkę.

– Doskonale – oznajmił. – A teraz, Isabello, może poczujesz się niezręcznie, ale chcę zobaczyć, jak się dotykasz.

– Dotykam się? – powtórzyła.

– Tak, zacznij od piersi – polecił. – Poglądź je opuszkami palców. Gładź je, dopóki nie stwardnieją ci sutki.

Isabelli zrobiło się odrobinę niedobrze.

– Nie... nie wiem jak.

– Isabello – rzucił ostrzegawczo. – W takich sprawach nie uznaję sprzeciwu. Po prostu to zrób.

Nieporadnie spełniła polecenie. Ponieważ nie powiedział, że może przestać, kontynuowała. Po pewnym czasie hrabia zapał się o podłokietniki i wstał. Zamarła, obserwując go czujnie, kiedy szedł ku

niej przez pokój.

Zatrzymał się przed nią i uśmiechnął tym swoim dziwnym, mrocznym uśmiechem, spoglądając spod na pół opuszczonych powiek.

– Isabello – powiedział cicho, ujmując w dłoń jej lewą pierś – nazwać cię niekompetentną to za mało. Nie wiedzieć czemu, ta zniewaga ją ubodła.

– Raczy pan wybaczyć – odparowała – ale odniosłam wrażenie, że życzy pan sobie spędzić noc z kobietą piękną i pełną wdzięku, a nie podniecać się tym, jak jakaś tania dziwka pana kusi.

Ze śmiechem odrzucił w tył głowę.

– Imponujące słownictwo – stwierdził. – Nabieram przekonania, że brak kompetencji ma swój powab. Odepchnęła go i wstała.

– Mówi pan rzeczy zupełnie bez sensu – oznajmiła. – Nadal sędzę, że może pan być szalony.

– Ach, Isabello. – Kciukiem delikatnie potarł przez suknię jej sutek, który, ku przerażeniu Isabelli, zrobił się twardy jak kamień. – Niewykłuczone, że jestem. Szalony. Niemniej, tak czy inaczej, na tym kończymy lekcję, skarbie. Wieczorem mam sprawę do załatwienia we wsi.

– We wsi? – Na Isabellę spłynęła ulga pomieszana z rozczarowaniem. – Czy wobec tego zobaczę pana po...? – Ugryzła się w język i podniosła wzrok.

Uśmiechnął się cierpko.

– To znaczy, czy będę dziś w nocy potrzebował twoich usług? – spytał. – Nie. Spodziewam się wrócić późno. Rozgość się. Obiad jest w piecu. Twój pokój sąsiaduje z moim, łazienka i garderoba jest pomiędzy nimi. Hydraulika tu dość prymitywna, ale naniósłem ci z kuchni gorącej wody. Proś mnie o to, kiedy zechcesz.

Wreszcie wyglądał na minimalnie skruszonego.

– Zapewniam pana, że poradzę sobie z noszeniem gorącej wody – powiedziała. – W rzeczy samej, wolę to niż... niż...

– Brak dyskrecji? – podsunął, unosząc palcem jej brodę. – W tej kwestii, skarbie, się zgadzamy. Niesamowite, z czego mężczyzna zrezygnuje, byleby postawić na swoim i zrobić to dyskretnie.

Kiedy nie odpowiedziała, spojrzał jej twardo w oczy.

– Isabello?

– Tak, milordzie?

– Będziesz się bała zostać tu sama?

Wolno wypuściła powietrze z płuc.

– Nie – odparła szczerze.

Opuścił rękę i ukłonił się nieznacznie.

– Zatem dobrej nocy – rzekł cicho – i witaj w domu.

Następnie odszedł, obcasy jego butów zastukały w korytarzu wiodącym do tylnego wyjścia. Rozległ się szelest zakładanego płaszcza, świst, jakby szpicruty, a wreszcie trzasnęły zamykane drzwi.

Isabella opadła z powrotem na fotel.

Jakieś dziesięć minut później z boku domu zadudniły kopyta. Zerknąwszy przez okno, zobaczyła, jak hrabia znika w mroku, a poły obszernego czarnego płaszcza powiewają za nim.

Pojechał.

Wyczerpana i dziwnie zdeprimowana, Isabella wstała i wolno wspięła się po schodach. Bez trudu znalazła pokój, gdzie czekały jej bagaże, ale ledwie omiotła go wzrokiem. Podeszła prosto do jednego z okien z widokiem na boczny ogród i otworzyła je.

Przez chwilę, oparta o parapet na szeroko rozstawionych rękach, po prostu wychylała się w noc, w nagłą wilgoć i lodowaty wiatr, który nieznacznie unosił jej rozpuszczone włosy. Przyszło jej na myśl,

że niewinny przechodzień uznałby, iż chce rzucić się z okna.

Jednak Isabella już rzuciła się w otchłań – taką, z której, jak się obawiała, nie zdoła jej wydobyć nawet markiza Petershaw, przy całym jej zaangażowaniu.

W dodatku zaczęło padać. Isabella cofnęła się z westchnieniem, z kieszeni spódnicy wyjęła białą chusteczkę i ostrożnie opuściła na nią okienną ramę.

*

Nie mogąc spać, zimnym, cichym przedświtem Hepplewood zszedł do sutereny i w domowych pantoflach przeciął kamienną posadzkę, marznąc trochę w jedwabnym szlafroku. Na szczęście Yardley, niech go Bóg błogosławi, zaszedł tu przed nim, wymiółł i załadował kominki na górze oraz zostawił ogień pod kuchnią.

Ziewnął, po czym zwęszył coś smakowitego. Zajrzawszy do rozgrzewającego się pieca, znalazł półmisek ze stertą bekonu oraz duże, przykryte naczynie. Kaszanka i jajka, zgadywał.

Zadowolony z prostoty posiłku, Hepplewood zamknął piec i wziął się do parzenia kawy. W poranki takie jak ten, kiedy wstawał w ponurym nastroju, przesycony poczuciem bezcelowości życia, zastanawiał się często, co jego skromna służba o nim sądzi; zapewne mieli go za wyuzdanego ekscentryka, a może wręcz diabła wcielonego.

Jednakże bez względu na to, jak służący zapatrywali się na jego charakter i zdarzenia rozgrywające się pod tym dachem, przynajmniej byli rzetelni i dyskretni. Za co zresztą dobrze im płacił.

Zastanowił się, jak dobrze zapłaci Isabelli Aldridge.

Z całą pewnością miał nadzieję to zrobić – może aż nazbyt dużą. Nie uważał za mądre angażować się nadmiernie głęboko, kiedy chodziło o kobiety. Przez lata bardzo się podszkolił w odcinaniu wszelkich sztucznych elementów związku, aż oskrobał go do czystej, białej kości, czyli żądz, która kryła się pod westchnieniami.

Nie, nie zamierzał dopuścić, żeby Isabella Aldridge stąpiła ten dobrze naostrzony oręż.

Wstawił kawę i usiadł przy wiekowym kuchennym stole, czekając, aż będzie gotowa. Spodziewał się, że opróżni cały dzbanek, zanim jego gość wstanie.

Wczoraj spędził podły wieczór w gospodzie, sącząc koszmarny porter w mokrych butach i gawędząc z dwoma lokalnymi właścicielami ziemskimi na temat perspektyw wiosennych siewów oraz tego, kiedy owce na dobre zaczną się kocić.

Bóg świadkiem, że żaden był z niego rolnik, choć miał tuzin gospodarstw. Mimo to jakkolwiek obce wydawały mu się te kwestie, udawał zainteresowanie, gdyż tego oczekiwano po przyzwoitym posiadaczu ziemskim. I być może także ponieważ kiedyś, dawno temu, marzył jedynie o spokojnym życiu na wsi.

Został jednak w gospodzie, pijąc i rozmawiając, przede wszystkim dlatego, że był zbyt rozsądny, by wracać do domu.

Skłamał Isabelli na temat sprawy do załatwienia we wsi. Prawie nigdy tam nie jeździł, a ledwie dotarł na miejsce, zatęsknił za powrotem do domu, do swego łóżka.

Nie, tęsknił za domem i jej łóżkiem.

Jednakże dom i jej łóżko to były dwie różne rzeczy i lepiej dla niego, żeby nie mylił tych pojęć.

Tak, figle z Isabellą będą jak igranie z ogniem, jeśli dopuści do gry uczucia. Choć w sensie romantycznym nigdy dotąd nie kochał kobiety, Hepplewood zachował dość rozsądku, żeby rozpoznać emocjonalną pułapkę.

Zmartwił się, że zjawiała się wcześniej, niż oczekiwał, gdyż nie zdążył się przygotować. Nie psychicznie, lecz fizjologicznie. Gdyby wziął ją minionej nocy, w pięć minut wytrysnąłby w niej jak

pryszczaty uczniak.

Nie zamierzał pozwolić, by wywinęła mu się tak tanim kosztem.

Nie, planował delektować się tą kobietą i złamać ją łagodnie. Nie spoliczkuje go po raz kolejny. Ale tamten pierwszy, zdrowy cios? Bez wątpienia przykuł jego uwagę – i przypuszczalnie stanowił jedynie nikłą sugestię żaru i namiętności skrytych pod warstwami szarej wełny.

Ciche szuranie skóry o kamień wyrwało go z zadumy, a gdy podniósł wzrok, ujrzał obiekt swej fascynacji, który przycupnął na ostatnim stopniu schodów niczym płochy ptak, odgarniając z twarzy luźny kosmyk.

– Dzień dobry – powiedział.

Nadal mrugała, oślepiąona światłem lampy. Hepplewood z wielkim zadowoleniem przyjął fakt, że nie upięła włosów, lecz tylko związała je nad ramieniem.

– Czyli to jest kuchnia – skomentowała, wchodząc do pomieszczenia.

Miała na sobie suknię poranną z żółtego jedwabiu i szal z miękkiej, kolorowej wełny, ciepły, lecz mimo to elegancki.

– Nie schodziłaś tu wczoraj? – spytał.

Pokręciła głową.

– Chciałam wziąć kąpiel, dopóki woda była gorąca.

Odrobinę poirytowany, podszedł do przeszklonego kredensu, gdzie trzymano porcelaną śniadaniową.

– Musisz jeść – powiedział, wyjmując dwie filiżanki. – Jesteś za chuda.

– Rezygnuje pan z tak mizernej transakcji? – spytała z przekąsem.

Odwrócił się i wsparł biodrem o blat kredensu.

– W żadnym wypadku – odparł. – Chodzi mi tylko o twoje zdrowie. Idź na górę do jadalni, Isabello. Kawa zaraz będzie. Wkrótce cię obsłużę.

Spojrzała jakby z tęsknotą na zmalretowany kuchenny stół.

– Moglibyśmy zostać tutaj? – spytała. – Przy piecu jest ciepło.

– Wydaje się to niestosowne, skoro jesteś moim gościem.

Roześmiała się bez wesołości.

– Mówi pan jak moja matka – stwierdziła. – W dzieciństwie nigdy nie wolno mi było wchodzić do kuchni, mimo że kucharka błagała...

Umilkła, lecz prawie tego nie zauważył. W rzeczy samej, nawet jej nie słuchał. Znalazł się znów w pułapce jej oczu. W blasku lampy mieniły się ciemnym, świetlistym fioletem – pełne ledwie maskowanego smutku.

Co takiego właśnie powiedziała? Spróbował sobie przypomnieć, ale poległ.

Zaniósł filiżanki na stół.

– Kiedy jestem sam, spędzam tutaj większość poranków – rzekł. – Rozgość się.

Zabrał się do nalewania kawy i wykładania jedzenia. Ku jego zaskoczeniu jadła łapczywie. W rezultacie znów zastanowiła go jej waga. W jego odczuciu nie było sposobu, żeby kobieta jadła z takim apetytem i wyglądała tak jak ona.

Dlaczego wcześniej się głodziła? Martwiło go to.

Do diabła, nie chciał się martwić. Chciał ją przelecieć.

– Mam posprzątać? – spytała, kiedy skończyli.

– Pani Yardley zajmie się tym później – powiedział, wyjmując z kieszeni szlafroka aksamitne pudełko.

Podniósł się i stanął za nią. Odgarnąwszy jej włosy, nachylił się i przylgnął wargami do wrażliwego, jedwabistego miejsca, gdzie bił jej puls. Usłyszał, jak wstrzymała oddech. Potrzeba poruszyła się w jego łądźwiach z szokującą szybkością i natychmiast załomotała mu w żyłach.

Weź ją w karby, chłopie, przestrzegł sam siebie, albo to ona będzie cię kontrolować.

Wyprostował się i wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Chciałem dać ci to na powitanie – rzekł, kładąc przed nią pudełko.

Isabella nie odwróciła głowy, żeby na niego spojrzeć, lecz po prostu uniosła wieczko.

Dwudziestokaratowy ametyst w broszy załśnił purpurowym ogniem, otaczające go szerokim wachlarzem gęsto nasadzone diamenty rozjarzyły się w blasku lampy.

Z wahaniem dotknęła rogu pudełka.

– Ale dlaczego? – spytała.

– Skojarzyła mi się z twoimi oczami – odparł.

Wtedy się odwróciła, marszcząc brwi.

– Kiedy ja jeszcze... niczego nie zrobiłam.

Uśmiechnął się na taką niewinność.

– Będiesz moją kochanką – powiedział. – Dżentelmen zwyczajowo ofiarowuje swojej kochance prezenty, żeby dać wyraz... no cóż, w tym przypadku antycypacji.

Jej czoło się nie wygładziło.

– I takie cacka po prostu leżą u pana w szufladzie?

Nie, ale nie zamierzał tego przyznawać.

W rzeczywistości, kiedy poznał tożsamość najnowszego nabytku Louisy, posłał Jervisa, żeby zakupił najwspanialszą kolekcję ametystów i natychmiast przyniósł mu do przejrzenia.

Nawet teraz zapierało mu dech na wspomnienie przypływu czystej żądz, jakiego doświadczył, czytając list pani Litner. Wizja, że w jego zasięgu znajdzie się kobieta, której oczy prześladowały go po nocach, roznieciła w nim taką żarłoczność, że aż wzdragał się do tego przyznać.

Powinno go to martwić.

No i martwiło, odrobinę.

Uważał się jednak za zahartowany przypadek i był pewien, że kiedy dostanie tę ametystową zmoreń w swoje ręce, jego żądza, życie i sen wrócą na normalne tory.

– Dziękuję. – Isabella zamknęła pudełko, nie dotykając kamieni. – Jest pan niezwykle szczodry.

– Podobnie jak ty będziesz, skarbie – wymruczał w jej szyję.

Powędrował wargami w dół, koniuszką języka muskając jej skórę. Zadrzała, a wtedy zatopił zęby w miękkim ciele w okolicy obojczyka. Wyrwał jej się okrzyk zaskoczenia, ale posłusznie przekrzywiła głowę, dając mu lepszy dostęp.

– Isabella – mruknął – już czas.

Zawahała się przelotnie – akurat na tyle długo, żeby obudzić w nim wątpliwości. Potem szepnęła:

– Tak.

Zacisnął w dłoni jej lewą pierś, aż się z niej wylewała, a później lekko pocierał kciukiem sutek, dopóki nie stwardniał.

– Idź na górę – polecił – i połóż się na łóżku. Wkrótce do ciebie dołączę.

– Tak – powiedziała, wstając natychmiast. – A w którym po...?

– U ciebie – przerwał jej stanowczo. – Zawsze.

– Oczywiście – odparła.

Wyszła, nie obejrzawszy się za siebie. Co być może bardziej wymowne, broszę zostawiła na stole. Wsunąwszy ją z powrotem do kieszeni, Hepplewood przeszedł do wąskiej klatki schodowej, żeby obserwować ponętne kołysanie pośladków Isabelli, kiedy wchodziła po schodach. Niecierpliwość ukąsiła go w kark jak uprzykrzona mucha.

Uzmysłowił sobie, że zwłoka minionej nocy ani trochę nie utemperowała draństwa. Nie dało się temu

inaczej zaradzić. Hepplewood poszedł do gabinetu, zamknął drzwi na klucz i zrobił tę jedną rzecz, do której nie musiał się uciekać od czasu dawno minionych koszmarnych dni swego małżeństwa.

Rozpiął spodnie, zamknął oczy i sam sobie ulżył, przeciągając wściekle po własnym ciele i wspominając, jak zapiekło go tamto uderzenie Isabelli. Odtwarzał ów moment i wyobrażał sobie, jak każe jej za to zapłacić. Jak wplecie dłonie w gąszcz jej pięknych włosów i będzie ją ujeżdżał, aż usłyszy błaganie – o litość, o więcej albo o słodkie wyzwolenie; było mu niemalże wszystko jedno. Kiedy doszedł, spazm rozkoszy prawie zgiął go wpół.

Z gardłowym jękiem wytrysnął do wnętrza swej dłoni.

Gdy przestał drzeć, przywrócił się do porządku i wspiął drugimi schodami na piętro, a żądza już na nowo budziła się w jego lędźwiach.

Zgodnie z jego rozkazem Isabella leżała na wznak na łożku, przy czym wyglądała bardziej jak kandydatka na męczennicę niż stęskniona kochanka.

Wpatrzony w nią, strząsnął z siebie szlafrok i zdjął domowe pantofle, pomagając sobie palcami stóp.

– Wstań – polecił cicho, wyciągając rękę.

Niemal dziewczęco podwinęła kolana, po czym przeczołgała się na koniec łożka. Pociągnął ją na nogi i wierzchnią stroną palców pogładził jej zapadnięty policzek. Na pół przymknęła oczy, płatki jej nosa poruszały się nieznacznie.

Choć przypuszczalnie nie zdawała sobie z tego sprawy, trawiło ją pożądanie. A jemu bardzo zależało na tym, by jej ten fakt uświadomić.

Zaczął ją metodycznie rozbierać. Nie spodziewał się oporu. Wydawała się uległa i – o czym wkrótce się przekonał – ubrała się stosownie do okazji.

Zepchnął jej z ramion szal, który ześlizgnął się na podłogę. Rozpiął na plecach żółtą suknię i przesunął kciukami wzdłuż linii dekoltu, ściągając ją w dół.

Pod spód założyła delikatną jak pajęczyna halkę i dobrze usztywniony gorset bez ramiączek – wykonany, co odnotował z zadowoleniem, by cieszyć oko kochanka, wycięty ponętnie nisko, tak że podpierał i wypychał w górę piersi. Zaskoczyła go tym strojem i Hepplewood przelotnie zastanowił się, czy zmarły mąż wymagał od niej noszenia takich fatałaszków.

Tuż za tą myślą niespodzianie wybuchła w nim zazdrość. Stłumił ją ze złością, wziął głęboki oddech i zmusił się do koncentracji na prawie nagim ciele Isabelli. Jej spojrzenie było niespokojne, zawstydzenie dojmujące.

Zignorował je; nie znał innego lekarstwa na skromność, jak tylko przepchnąć ją bezlitośnie poza ten etap.

Pod halkę Hepplewood widział okrągłe sutki brzoskwiniowej barwy, nadal pobudzone. Na takie wyzwanie wsparł mocno dłoń między jej łopatkami i nachylił się, żeby ją possać. Kiedy zamknął na niej usta, gwałtownie wciągnęła powietrze, a przez jej ciało przemknął dreszcz.

– Czy... czy powinnam była założyć mniej? – spytała cicho.

– Noś, co tylko chcesz – szepnął w jej wilgotną skórę – chyba że dam ci inne instrukcje.

– Tak – odparła.

– Podoba mi się to słowo – stwierdził, zerkając na jej twarz. – Zauważyłem, że często go używasz.

– Chcę pana zadowolić – odparła cicho. – Zobowiązałam się. Musi mi pan powiedzieć, milordzie, jeśli nie będzie pan usatysfakcjonowany.

Zaśmiał się i mocno ugryzł koniuszek jej brodawki. Krzyknęła, a on przeniósł się na drugą pierś, dłonią wędrując w dół, by pieścić krągłości jej pośladków. Kiedy wilgotna halka lgnęła już do obu sutków, zręcznie rozpiął bryklę i uwolnił Isabellę z gorsetu.

Następna była halka, którą zdjął jej przez głowę, a wtedy jej jedwabiste włosy spłynęły kaskadą

z powrotem w dół, przy czym jeden długi kosmyk przywarł do wilgotnej piersi. Miała mały biust, a do tego niemal boleśnie widoczne żebra, jednak ogólnie biorąc, nadal uważał ją za najbardziej zmysłowe stworzenie, jakie zdarzyło mu się oglądać.

– Isabella, sam twój widok daje satysfakcję – powiedział, szarpiąc wiązanie jej pantalonów. – Ale mamy pewną niedokończoną sprawę, ty i ja.

– Niedokończoną sprawę? – Piękne brwi znów się zbiegły.

– Odwróć się plecami do mnie – polecił. – Nachyl się w stronę łóżka i zroluj pończochy.

Trzeba jej oddać, że choć zaróżowiona ze wstydu, wykonała polecenie.

W ustach momentalnie mu zaschło, nie potrafił przełknąć śliny. Nawet jeśli Isabella była za chuda, jej kremowe pośladki zdawały się wyjęte prosto z męskich fantazji. Pozwolił sobie na luksus objęcia ich, zważył w dłoniach pulchne półkule, po czym wsunął palce w rozkoszną szczelinę.

Zszokowana tą nagłą intymnością, Isabella wsparła się o materac, szeroko rozstawiając ręce.

– Co pan robi? – spytała przez ramię.

Zawahał się krótko, lecz pokusa okazała się zbyt wielka.

– Uderzyłaś mnie, Isabella – powiedział bardzo cicho. – Tamtego dnia w Loughford. Pamiętasz?

– Tak – przyznała cieniutkim głosem. – Przykro mi.

– Naprawdę?

– Bardzo. – Jakby przeczuwając, co zaraz nastąpi, Isabella przysunęła się bliżej łóżka.

Opasał ją ramieniem w talii, dość brutalnie pociągnął z powrotem i wymierzył jej solidnego klapsa. Krzyknęła i na pół się odwróciła, z lękiem w oczach.

– Nie ruszaj się – warknął. – Podobało ci się to, Isabella?

Posłusznie wróciła do poprzedniej pozycji.

– Nie – odparła chrapliwie – ale chyba... chyba zasłużyłam.

– A i owszem – potwierdził.

Spojrzał na bliźniacze szafki nocne na delikatnie toczonych nogach, o wnętrzach wykonanych ręką biegłego w swoim fachu francuskiego rzemieślnika. Lekko pchnął górną część. Z mechanicznym kliknięciem przekręciła się na osi o ćwierć obrotu, odsłaniając szufladę otwieraną od zamaskowanej strony.

Hepplewood nacisnął zapadkę ukrytą w listwie z tropikalnego drewna i szuflada się wysunęła. Isabella obserwowała go nieufnie, zerkając z ukosa do obitego aksamitem wnętrza. Pieczołowicie wyjął kilka przedmiotów, których planował użyć, po czym wybrał cienką skórzaną szpicrutę.

Isabella wzięła głęboki oddech i otworzyła usta, jakby do protestu, lecz natychmiast znowu je zamknęła. Odnotował, że jego dłoń pozostawiła czerwony ślad na jej pupie.

– Musimy przez to przejść, Isabella. – Hepplewood przeciągnął między palcami koniec szpicruty. – Nigdy więcej nie podnoś na mnie ręki. Chyba że cię o to poproszę.

– Nie będę – wykrztusiła. – I nie zrobiłabym tego, ale pan...

Smagnął ją szpicrutą, aż krzyknęła i wyprostowała się gwałtownie.

– Oprzyj dłonie z powrotem o materac – polecił ze spokojem – albo cię zwiążę. Chciałabyś, Isabella?

– Chyba nie. – Odrobinę rozdygotana rozstawiła dłonie szeroko na kapie, zginając się w pasie.

– Mogłabyś się zdziwić, kotku. – Przeciągnął palcem wzdłuż delikatnego łuku jej kręgosłupa i poczuł, jak po jej skórze przebiegają ciarki. – Chętnie cię nauczę. Niektórym kobietom sprawia to ogromną przyjemność.

– Mnie by nie sprawiało – szepnęła – ale jeśli tego pan sobie ży...

Smagnął ją znowu, aż się poderwała i zatrzęsły się rozkoszne półkule jej pośladków.

– Bolało! – powiedziała.

– Powinno – odparł, chłoszcząc ją znowu. – Potrzebujesz lekcji, Isabello. Ale nie będzie bolało długo, obiecuję.

Wepchnął sobie szpicrutę pod pachę, kojąco przeciągnął dłońmi w dół jej pośladków, zatoczył na nich niewielkie koła, a potem odrobinę je rozchylił.

– Co pan robi? – szepnęła.

– Decyduję – burknął opryskliwie. – I nie zadawaj mi tego pytania po raz trzeci, skarbie, bo rezultat może nie przypaść ci do gustu.

Prawda wyglądała tak, uzmysłowił sobie, że nagle zapragnął się w nią wedrzeć. Przepchnąć się daleko poza tę ciasną przegrodę, dokonując inwazji w najbardziej cielesny sposób. Nie praktykował tego często, niemniej dla mężczyzny był to najbezpieczniejszy sposób zaznania przyjemności. A z taką pupą...

Jednak Isabella nie była gotowa na tego rodzaju erotyczną przygodę. On zaś, miał nadzieję, nie był człowiekiem okrutnym.

Dumając nad tym, wyjął szpicrutę spod pachy i smagnął ją jeszcze dwa razy – akurat na tyle mocno, by zaróżowić skórę, nie zostawiając pręg. Isabella podskoczyła, a później żałośnie pociągnęła nosem.

– Chciałabyś coś na ukojenie? – zasugerował, przeciągając palcem między jej pośladkami. – Nie nauczyłaś się jeszcze tym rozkoszować, kochana. Mam nalać ci brandy?

– Chciałabym, żeby pan przestał – wydusiła przez zaciśnięte zęby Isabella. – Nie wiem, czego pan chce. Mam pana błagać? O to chodzi?

Położył szpicrutę obok jej dłoni i otulił dziewczynę swym ciałem. Nachylając się nad nią, przywarł klatką piersiową do jej łopatek i zbliżył wargi do ucha.

– Bardzo by mi się podobało, gdybyś błagała – powiedział, obrysowując palcem kępkę jej loczków i lekko ją rozchylając – ale tylko jeśli tego chcesz. Mam cię nauczyć chcieć tego, Isabello?

– Nie wiem! – odpowiedziała, a jej pierś się zapadła.

Rękami nadal wspierała się o materac, zwiesiła głowę. Hepplewood rozsunął kolanem jej nogi, otwierając dostęp palcom. Wsunął jeden w miękkie fałdy, sondując ostrożnie.

Isabella była wilgotna, ale tylko odrobinę. I być może odrobinę zbyt przestraszona. Wiedział, że wiele kobiet nie przejawia naturalnych skłonności do takich zabaw. Jedne dało się tego nauczyć. Innych nie.

Sięgnął w bok i zanurzył palce w słoiku, który wyjął z szuflady. Ale kiedy otarł się dłonią o wewnętrzną stronę jej uda, Isabella zakwiliła.

– Ciii... moja słodka – zamruczał, wsuwając połyskujące palce w jej miękkość. – Rozluźnij się, skarbie, i naprzyj na moją dłoń.

Zdobyła się na wąty wysiłek, żeby spełnić żądanie. Ułożywszy twardy członek w szczelinie między jej udami, Hepplewood docisnął ją do swej dłoni. Pogładził delikatnie, okrążając palcem nabrzmiewający pączek, aż doczekał się perły wilgoci.

– Grzeczna dziewczynka – szepnął.

Ciągle wykonywał koliste ruchy, a drugą dłonią powędrował w górę, żeby pieścić i skubać jej sutek. Isabella westchnęła cichutko i natychmiast poczuł, jak potrzeba zaczyna w niej narastać, budzona jego dotykiem. Przerwał, cofnął się i znów smagnął ją szpicrutą.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, wstrzymała oddech, a jej pośladki się trzęsły.

Teraz to on z trudem przełknął ślinę.

– Boże wszechmogący, Isabello – wychrypiał – ależ mnie przyparło.

– W jakim sensie? – Zaczęła się odwracać, lecz przemyślała sprawę i zamarła.

– Nie chcesz wiedzieć – wykrztusił. – Odwróć się z powrotem do łóżka. Poddaj mi się, Isabello.

– Tak – odparła, choć zabrzmiało to słabo.

Znów uwięził ją między swym członkiem a palcami, pocierając i okrążając, lecz tym razem wepchnął

w nią jeden, a potem dwa palce. Isabella okazała się ciasna jak dziewica i przez chwilę zastanawiał się...

Jednakże to nie miało znaczenia. Teraz należała do niego – i pożądał jej w sposób wręcz zbyt niebezpieczny. Lecz niech go diabli, jeśli w tej chwili się wycofa.

Gładził ją, aż zaczęła oddychać szybciej, i wyczuł budzącą się w niej dezorientację. Podprowadził ją jeszcze odrobinę bliżej krawędzi, a później odstąpił i znów ją smagnął. Zgrabne, energiczne uderzenie przez pośladki.

Jęknęła.

Powtarzał procedurę, doprowadzał Isabellę coraz bliżej otchłani rozkoszy, a potem hartował szybkim smagnięciem, aż drżała. Aż, przy dwunastym uderzeniu, nie zdołał dłużej opierać się niecierpliwemu pulsowaniu członka.

Odwrócił Isabellę i pchnął na łóżko. Nadal stojąc między jej nogami, szarpnął za guziki, żeby się uwolnić ze spodni. Potem jednak rozsądek pokonał żądzę i Hepplewood przeciągnął dłonią po sztywnym członku, rozpaczliwie zadowolony, że wcześniej się zaspokoił.

Isabella obserwowała go spod osłony czarnych rzęs zamglonymi, szklistymi oczami, jej usta były delikatnie rozchylone, jedno kolano zgięte i skierowane na zewnątrz. Poza wyrażała cielesną uległość, potrzebę bycia wziętą. Jej strach przybladł, żądza coraz poważniej brała ją we władanie.

Chwyciwszy się mocno w dłoń, wsunął w nią żołądz. Choć Isabella leżała przed nim tak rozkosznie, sprawa nie była prosta. Hepplewood mógł chłostać kobietę – by doprowadzić ją do seksualnego szaleństwa bądź tylko dla napomnienia – ale nigdy z rozmysłem żadnej nie skrzywdził. Tymczasem Isabella była tak ciasna, tak piekielnie ciasna, że narosły w nim obawy, iż ją rozerwie.

– Dobry Boże – wycharczał – czy ty jesteś dziewicą?

– Nie – szepnęła. – Tylko... nie jestem w tym dobra.

– Och, jesteś bardzo dobra.

Uspokojony, napał dalej i poczuł, jak gładkie przejście ustępuje, choć zaledwie odrobinę.

– Isabella – odezwał się znowu, wsuwając palec między jej śliskie fałdy – czy kiedykolwiek osiągnęłaś orgazm?

Popatrzyła na niego wzrokiem bez wyrazu. Na tle bieli kapy jej atramentowe włosy przywodziły na myśl ciemny, jedwabisty wodospad, twarde sutki sterczały.

Uzmysłowił sobie, że właśnie odpowiedziała na jego pytanie.

Nie powinien czuć się zaskoczony; mężowie powszechnie zawodzą na tym polu. Oczekiwałyby jednak, że Isabella w każdym przeciętnym mężczyźnie obudzi wręcz niewolnicze oddanie. W istocie sam czuł, jak ono dochodzi w nim do głosu – i wcale mu się to nie podobało.

Zaczerpnąwszy tchu, napał głębiej, ale nie nakrył jej swym ciałem. Zamiast tego gładził śliskie fałdy, a później znów zaczął delikatnie okręgać jej pączek, tym razem kciukiem, wchodząc w nią dalej jedynie wtedy, gdy rozluźniła się na tyle, by na to pozwolić.

Po jakimś czasie tempo jej oddechu uległo zmianie. Język wysunął się z ust, leciutko dotykając kącika warg. Hepplewood pieścił ją nieustannie, aż jej dłonie przywarły płasko do kapy, a głowa odchyliła się w tył. Zaczął się w niej wolno poruszać, kontynuując zarazem delikatne pieszczoty, by podsycać jej potrzebę.

Raptem zamknęła oczy, zacisnęła w pięściach kapę, jej brzuch się naprężył.

– Ach... ach... ach...

Było to bliższe dyszeniu niż jękom, on zaś wiedział, że zawisła na owej rozkosznej, niebezpiecznej krawędzi. Poruszał się w niej wytrwale i obserwował, gdy runęła w zmysłową rozkosz, po czym ześlizgnęła się w oślepiające wyzwolenie.

Kiedy się z niej wycofał, żeby zrzucić z siebie resztę ubrania, a później znalazł się nad nią, Isabella nadal drżała. On także, prawdę mówiąc.

Odwrócił ją na bok, otulił swym ciałem i sięgnął po słoik z maścią. Wyrwało jej się ciche łkanie, w zasadzie bliższe westchnieniu – wdzięczności, miał nadzieję.

Pocałował ją lekko w ramię.

– Proszę, Isabella – rzekł cicho, wcierając łagodzący balsam w jej pośladki. – Gotowe, kochana.

Wstrząsnęło nią kolejne westchnienie.

– Taka piękna – mruknął. – Taka grzeczna dziewczynka.

Podciągnęła nieco kolana, ale nie spojrzała na niego. Różowe ślady zniknęły już z jej pupy, oddech odzyskał normalny rytm. Mimo to Hepplewood czuł pewien niepokój – nie na tyle wszakże duży, by przywiędła jego rozszalała erekcja.

– Przetocz się na brzuch, kochana – szepnął. – Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Skinęła głową, szorując włosami po poduszce. Promienie porannego słońca wpadały skośnie przez okno i kiedy się odwracała, zauważył jakby diament połyskujący na jej rzęsach. Nie łzę, pomyślał – bo czy łza jest tak naprawdę łzą, jeśli nie została uroniona? – i w tej pełnej napięcia chwili nie zastanawiał się nad tym dłużej.

Delikatnie wepchnął jej poduszkę pod biodra, ponaglił, żeby rozchyliła nogi, a potem uklęknął za nią.

– Odrobinę na kolana, skarbie – szepnął.

Isabella uniosła się i podparła na rękach, instynktownie wyczuwając, czego od niej oczekuje.

Otworzyła się dla niego całkowicie, kiedy wpychał pulsujący członek z powrotem w jej przejście. Wszedł w nią mocno i szybko, zamierzając dokończyć sprawę z wyćwiczoną skutecznością.

Ale tak się nie stało.

Doświadczenie okazało się wyjątkowe i nie chciał, żeby dobiegło końca.

Wszedł w nią znowu długim, idealnym pchnięciem, omył go jej kobiecy zapach i raptem coś się zmieniło. Złamał tempo, a później zwolnił. Spojrzał na nią z góry – nie na kobietę, która go uderzyła i dręczyła w snach, lecz na Isabellę, swoją kochankę.

Wiedział, że to romantyczny i głupi koncept, nawet gdy czuł, jak Isabella go w siebie wciąga, jak wchłania go chwila, jak wtapia się w tę kobietę. I, co dziwne, pozwolił chwili trwać. Spoglądał na rozkosznie znajomy profil Isabelli i nie czuł potrzeby, by cokolwiek przyspieszać. Doznanie trwało i trwało, kiedy poruszał się w niej wolno, jakby dla niego istniała wyłącznie ta kobieta, jej głowa schylona w błaganiu, jej ciepłe, oczyszczające ciało.

Po jakimś czasie coś w nim przyspieszyło, nieomylnie wyczuł zbliżającą się ulgę. Później Isabella wydała z siebie ciche westchnienie w przesączonym przez deszcz słonecznym blasku i znienacka rzeczywistość uległa zawieszeniu. Obraz przed jego oczami stał się zamglony i ciepły, jakby ta wyjątkowa pieśzcota zawiadła go w innego rodzaju światło, w miejsce, gdzie jego przeszłość wirowała w promieniach słońca jak bombka, rozsyłając wokół odbłyски wskrzeszonej pamięci.

Wspomnienia o niej, kobiecie, którą ledwie znał.

A jednak znał ją. Znał ją całym swym ciałem.

Z udręką zaczerpnął tchu i pchnął mocniej, głębiej. Stała się dlań światłem, otaczała go mgiełką radości, kiedy w spazmach pompował w nią nasienie. Gdy wreszcie wezbrała w nim ekstaza, okazała się czymś więcej niż dotąd, przynosząc ze sobą poczucie pełni, przenikające jego mięśnie i ścięgna, prześlizgujące się po kościach, a intensywność rozkoszy zaparła mu dech.

Wskutek tej intensywności znany mu świat się zatrzymał.

Czas i światło przestały istnieć, chwila rozciągała się w nieskończoność. Słyszał odległe bicie serca, coraz wolniejsze, i wiedział, że to jego serce.

Nagle ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Zwalił się z chrapliwym krzykiem, wtulając twarz w kark Isabelli. Łapczywie zaczerpnął tchu, i jeszcze raz. Chwytał powietrze haustami, zarazem marząc o powrocie w tamto jasne, przepełnione radością miejsce.

Jednak tlen znów docierał do jego mózgu, przywracając Hepplewooda do życia.

La petite mort.

Tym razem doznanie rzeczywiście prawie go zabiło.

I po raz pierwszy pojął znaczenie tego określenia.

Poruszył się wiele chwil później i wsłuchał w deszcz bębniący w okna. Woda gulgotała w rynnach, krusząc lód, ale sypialnia przywodziła na myśl ciepły kokon. Hepplewood mgliście uzmysłowił sobie, że leży znów na boku, przytulony do kruchego ciała Isabelli, z dłonią na jej brzuchu, przepełniony błogością, która by go zaniepokoiła, gdyby w pełni się rozbudził.

Ale nie był jeszcze gotów się budzić; nie był gotów pożegnać się z efemeryczną przyjemnością. Zagłębił twarz między łopatkami Isabelli i pocałował ją, wdychając woń własnego potu zmieszana z zapachem jej skóry i mydła. Zapachem doskonałości i czystości. Później przez zmysłową ospałość poczuł, jak ona nieznacznie się porusza, jak jej płaski brzuch przemieszcza się pod jego dłonią.

Choć piękna, była chuda jak szczapa. Może potem zrobią coś głupiego – na przykład będą opiekać ser nad ogniem ubrani tylko w szlafroki. A jutro – tak, jutro grubo posmaruje jej chleb masłem albo będzie ją karmił truskawkami ze śmietaną. Tak, jutro każe Yardleyowi sprawdzić, czy owoce w szklarni nadają się do zerwania.

Z sennym chichotem pomyślał, że ma nadzieję, iż ona nie uzna za wymowny sposobu, w jaki opiekuńczo rozpostarł palce na jej płaskim brzuchu.

Na jej łonie.

Z kolejnym oddechem przypomniał sobie o tym, czego nie zrobił.

Mgiełka błogości momentalnie się rozviała, krew stężała mu w żyłach.

– Isabello – odezwał się ochryple. – Isabello, kiedy ostatnio krwawiłaś?

Przez chwilę leżała w milczeniu.

– Pięć dni temu? – bardziej spytała, niż stwierdziła.

Zaklął w duchu. Do diabła, co sobie myślał?

Czy stał się tak samolubny – tak zdeprawowany – że Isabella po prostu nic go nie obchodziła? Wziął głęboki oddech i znów na nią spojrzął, nieruchomą i cichą u jego boku. Dobry Boże, była niewinna – albo prawie niewinna.

Lekko drżącą ręką odgarnął jej za ucho kosmyk włosów.

Życie brutalnie nauczyło go zachowywać ostrożność. Wyszukiwać sposoby zaznawania przyjemności, które nie pociągają za sobą takiego ryzyka.

Jeśli wszakże się nie myliła, chyba – chyba – nic im nie groziło. Zarazem mimo całego jego doświadczenia w zadowalaniu kobiet ich ciała ciągle stanowiły dlań fizjologiczną tajemnicę. Nadal roztrzęsiony, pogładził palcem różową muszelkę jej ucha.

– Następnym razem nie wytrysnę w tobie – zapewnił głosem o wiele bardziej opanowanym, niż się czuł. – Proszę. Wybacz mi. Nie podejmę więcej takiego ryzyka. Przysięgam, Isabello.

– Dziękuję – wymamrotała jakby z oddali. – Czy już... skończyliśmy?

Zamarł w środku; dopadło go uczucie nawet bardziej nieprzyjemne niż lodowate przerażenie.

– Na tę chwilę tak – odparł, unosząc się na łokciu.

Nie poruszyła się, odnosił jednak przemożne wrażenie, że chciała, by sobie poszedł.

Kobiety nigdy nie życzyły sobie jego odejścia. Nieodmiennie błagały, żeby został, niekiedy dosłownie na kolanach. Oczywiście, przeważnie była to gra. Hepplewood się nie oszukiwał; znał dobrze kobiety

tego typu.

Ale czy znał również Isabellę?

Czy chodziło jedynie o to, że nie opanowała reguł tej zabawy?

Oczywiste, że nie miała żadnego prawdziwego doświadczenia seksualnego. Oczywiście, że wiele trzeba ją było nauczyć. I tego ranka zaczął ją uczyć; rozpoczął proces wykuwania nowej kochanki, zdolnej przyjąć wszystko, co mógł jej dać, która przynajmniej na jakiś czas skusi jego znudzone gusta.

Czy jednak w tym procesie nie będzie zamieniał jej w kogoś, kim nie była?

Osobliwa myśl – zwłaszcza u mężczyzny, który dawno temu przyrzekł sobie nie myśleć za wiele.

Niemniej nadal wkładał się w niego chłód, narastając w uczucie zbliżone do strachu. Twarz Isabelli pozostawała wyzuta z emocji, spojrzenie wbijała w odległą ścianę.

Towarzyszyło mu przerażające wrażenie, że źle ocenił sytuację. Że przeholował, działał za szybko. Że stał się niezdolny do prawdziwej czułości. Nigdy dotąd nie miał dziewczyny. Nigdy nie miał kobiety, która nie zgromadziłaby już sporo doświadczeń. Nigdy nie miał kobiety, której pragnął tak... gniewnie i desperacko.

Tak, po części o to chodziło. Pragnął Isabelli tak rozpaczliwie, że wprawiało go to w złość.

Na samego siebie.

Przyprawiający o mdłości chłód narastał. Odepchnął go bezlitośnie.

To na nic. Był, kim był.

Isabella leżała zwinięta wokół poduszki, którą wcześniej wsunął jej pod biodra. Nachylił się i pocałował ją w policzek.

– Isabella – spytał cicho – jak długo nie miałaś kochankę?

Z drżeniem zaczerpnęła tchu.

– Osiem... nie, dziewięć lat.

– Dobry Boże – powiedział. – Wyszłaś za mąż w kołysce?

– Jako siedemnastolatka.

– Ach, i mówiłaś, że małżeństwo trwało krótko.

– Tak – odparła. – Kilka miesięcy. Właściwie tygodni.

Hepplewood czekał, przyzwyczajony do bardziej gadatliwych kobiet – kobiet, które nie przestają paplać, nawet kiedy mężczyzna tęskni za ciszą. Wyczuwał jednak, że akurat ta cisza nie jest dobra.

Niech to diabli! Nie zwykł rozpieszczać kobiet. Nie przymilał się do nich, nie karmił ich czułymi słówkami. Przetoczył się na plecy i zakrył oczy ramieniem. Ostry seks zostawił go bez tchu, powinien więc być wdzięczny za sposobność, żeby wymknąć się chyłkiem i zażyć snu we własnym łóżku.

To była kolejna rzecz, której nie robił, napomniał się, znów zapadając w drzemkę. Nie sypiał u boku kobiet. Coś takiego mogło się przerodzić w intymność, i to piekielnie szybko.

Zdjął rękę z oczu i ponownie odwrócił się ku kochance.

– Isabella, co się stało z twoim mężem? – nacisnął.

– Umarł.

– Mogę spytać, na co?

Wreszcie przetoczyła się na drugi bok, żeby na niego spojrzeć.

– Może pan robić, na co tylko ma ochotę – odparła z wilgotnymi oczami. – Chyba już to ustaliliśmy.

Hepplewood przyjrzał się jej i westchnął.

– Och, Isabella – powiedział, przeczesując palcami jej włosy. – Zgadza się, zawarliśmy tego rodzaju układ. Ale chciałbym w tym wszystkim zadowolić ciebie. I wydawało mi się, że ostatecznie czerpałaś przyjemność z tego, co właśnie zrobiliśmy.

– Przyjemność? – powtórzyła i zacisnęła wargi. – Nie przypominało to żadnego z moich

wcześniejszych doświadczeń. Tak. Była to swego rodzaju przyjemność.

– Czy uważałaś to za... wstrętne? – spytał, przekrzywiając głowę. – Isabello, odpowiedz.

– Na początku mnie przeraziło. – Umknęła wzrokiem. – Co mam rzec, milordzie? Jestem pańską dzi... chciałam powiedzieć, kochanką... i znalazłam się tu, żeby dogadzać pańskim życzeniom. Proszę, czy możemy zakończyć tę rozmowę? Niebezpiecznie zbliżamy się do tematów, których obiecaliśmy sobie nie poruszać.

Hepplewood poczuł się tak, jakby odcięto go od czegoś zarazem cennego i dogłębnie nieprzyjemnego. Ani trochę mu się to nie podobało.

Co gorsza, irytowało go, że mu się to nie podoba. Wolał, kiedy nic go nie obchodziło. Tak, był, kim był, i lepiej, żeby o tym pamiętał. Piękno i dobroć Isabelli nigdy go nie zmienia.

I być może on nie powinien zmieniać jej.

– Odpowiada ci moje łóżko, Isabello? – spytał szorstko. – Życzysz sobie kontynuować nasz układ?

Wpatrywała się teraz w sufit.

– Odpowiada – odparła. – Zgadzam się kontynuować nasz układ. Będę pana zadowalać... i będę posłuszna.

W Hepplewoodzie odezwał się gniew.

– Świetnie – warknął – ponieważ właśnie tego po tobie oczekuję.

Z drzeniem wzięła głęboki oddech.

– Mój mąż zapił się na śmierć – powiedziała głosem wyczerpanym z emocji. – Ostre zatrucie alkoholem, jak określił to koroner. Był młodym romantykiem, który ożenił się, jak sam twierdził, z miłością swego życia. A mimo to jego życie okazało się nie takie, jakiego pragnął. Toteż pewnego dnia odkorkował butelkę taniego ginu, potem kolejną, a może nawet i trzecią, i tylko tyle wiem, milordzie. Pomijając te fakty, jego śmierć pozostaje dla mnie taką samą zagadką, jak dla dowolnej obcej osoby. Czy moja odpowiedź pana zadowala?

Hepplewood odniósł nieprzyjemne wrażenie, że uderzył w czułą strunę.

– Masz rację – powiedział, przemocą tłumiąc gniew. – Nie powinienem pytać. Jeśli wszakże cię to pocieszy, moje małżeństwo także trwało krótko i zakończyło się równie nieszczęśliwie, możesz mi wierzyć.

– Jak ktokolwiek może czerpać pociechę z cudzego nieszczęścia? – mruknęła Isabella. – Poza tym ma pan dziecko. Przynajmniej w zamian za swoją niedolę otrzymał pan dziecko.

Jej chrapliwy głos, z ledwie wyczuwalną nutą tęsknoty, przyprawił go o dreszcz. Czy tego właśnie pragnęła w głębi duszy? Dziecka, męża, rodziny? Owego najprostszego z marzeń? A jeśli tak, dlaczego trwoniła czas i urodę na niego?

Drażniło go to pytanie. Nie życzył sobie odczuwać czułości.

– Tak, otrzymałem dziecko, ponieważ ją uwiodłem – warknął, jako że wystarczyło dodać dwa do dwóch, żeby do tego dojść. – Była bogata, urocza i całkowicie zielona, a mojemu czarowi nie dało się oprzeć. Zatem ją uwiodłem, z łatwością, a kiedy w końcu wyszła z mojego łóżka i otrzeźwiała, nosiła pod sercem moje dziecko i było za późno. Czyli tak, mam dziecko. A ona umarła, wydając je na świat... poślubiona mężczyźnie, którym gardziła.

Isabella splótła ręce pod biustem i drobiazgowo studiowała ozdobne gzymsy przy suficie.

– No cóż – oznajmiła z kamienną twarzą – cieszę się, że te drobne formalności mamy już za sobą.

Hepplewood znów się położył, dziwnie wyczerpany. Wiedział, że jeszcze nie załatwił sprawy z Isabella; nie, nawet nie w połowie. Nie w sensie fizycznym. W zwykłych okolicznościach dałby jej się krótko zdrzemnąć, a potem znów by ją wziął.

Jednakże tym razem nagląca potrzeba najwyraźniej wypaliła się w nim do czysta i obecnie jego głód

Isabelli objawiał się raczej jako chłodny ciężar na sercu niż znajome ciepło, gromadzące się zwykle w lędźwiach.

Ach, Boże! Czuł, dokąd to wszystko zmierza.

– Isabello – odezwał się cicho – chcesz, żebym cię teraz zostawił?

– Jeśli pan ze mną skończył, to tak, milordzie, dziękuję – odparła z wyrafinowaną uprzejmością.

Jeśli z nią skończył?

A czy skończył?

Tak, dziękuję, skończył zdecydowanie.

Z całą pewnością lepiej dla niego, żeby tak było – ponieważ zmysłowe doświadczenie triumfalnie oczekiwane przezeń po lekturze listu pani Litner żadną miarą nie przypominało tego, które dopiero co stało się jego udziałem.

Spodziewał się czystego seksualnego wyzwolenia, jakie przynosi zaliczenie pięknej kobiety. Dlaczego więc nie znalazł w tym zbliżeniu nic wyzwalającego?

Westchnął przeciągle w namyśle, nadal rozkoszując się ciepłem ciała Isabelli u swego boku. Jednak to ciepło niczego nie zmieniało. Podobnie jak jego gniew. Mądry mężczyzna wie, kiedy się poddać i jak odciąć ból utraty, zanim... cóż, zanim cokolwiek utraci. Jeżeli bowiem tego nie zrobi, ból, którego doświadczy później, gotów pożreć go żywcem.

Jeśli pan ze mną skończył...

Niech ją piekło pochłonie!

– Zostawię cię więc, Isabello, żebyś odpoczęła – oznajmił z napięciem.

Stoczył się z materaca, okrążył łóżko, żeby porwać swoje ubrania, po czym udał się z powrotem do gabinetu, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Ubierał się gniewnie, szarpiąc za materiał i guziki, pełen zranionej dumy.

Gdy wszakże skończył i nieco ochłonał, zobaczył sprawy jaśniej.

Z góry wiedział, że Isabella stanowi dlań zagrożenie, wiedział, że nie jest mu pisana. Tak, wiedział to od chwili, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, a ta wiedza złościła go i zarazem mu urągała.

Uzmysłowił sobie, że ona naprawdę jest niewinna. Słodka i niewinna piękność, pragnąca dzieci i zwyczajnego życia. On zaś... cóż, stracił niewinność bardzo dawno temu.

Z przeciągłym westchnieniem usiadł przy biurku i naskrobał kilka zwięzłych zdań. Kiedy się z tym uporał, odepchnął od siebie list, zamknął oczy i rozważył, jakie inne rozwiązania mu pozostały.

Nadal odnosił wrażenie, że żadne.

Prawda była taka, że od tamtego dnia w Loughford nie miał alternatywy.

Jeśli tak cholernie mu zależało, żeby wepchnąć ptaka w maszynkę do mięsa, powinien był po prostu uwieść ją wtedy. Odkurzyłby swój dawny niezawodny czar i w mgnieniu oka Isabella leżałaby na jego biurku ze spódnicą zadartą do pasa.

Była do tego stopnia bezbronna.

A on o mały włos nie okazał się tak głupi.

Znów przepełniony goryczą Hepplewood otworzył kluczykiem dolną szufladę biurka. Wyjął wszystkie skrupulatnie zgromadzone przez Jervisa pudełka z biżuterią i usypał z nich stos na liście.

No dobrze, ze wszystkich poza jednym. Ten jeden drobiazg podobał mu się najbardziej; pierścionek z dziesięciokaratowym diamentem w otoczeniu ciemnych, nieskazitelnych ametystów.

Zachowa go jako wspomnienie o niej.

ROZDZIAŁ 6

W koszuli nocnej w kolorze fuksji i pasującym do niej peniuarze, który to strój uzupełniał turban z różowej satyny przyozdobiony barwionymi na fioletowo końcówkami strusich piór, markiza Petershaw zamknęła się w swej prywatnej bawialni, gdzie w pośpiechu wypisywała zaproszenia na szczególnie prywatny wieczorek, kiedy zapowiedziano Isabellę.

Od ich ostatniego spotkania minęły ponad trzy tygodnie i markiza nawet wydała stale obowiązujące polecenie, żeby przyprawiono do niej dawną guwernantkę o dowolnej porze dnia czy nocy, jeśli tylko się pojawi. Dlatego też na dźwięk nazwiska Isabelli dama natychmiast rzuciła pióro i pomknęła przez pokój, czyniąc tym szokujący wyłom w swych wysublimowanych manierach.

– Nieznośna dziewczyno! – wykrzyknęła, zarazem uspokajająco ściskając dłonie gościa. – Wyczekuję pani w napięciu. Liścik, który przekazał mi Dillon, był tak mglisty, że aż niepokojący. Proszę natychmiast siadać.

Isabella opadła na fotel obok biurka, wdzięczna za to, że została przyjęta.

– Dziękuję, że dała mi pani czas na zebranie myśli – powiedziała. – Pani... nie jest na mnie zła?

Dama cofnęła się minimalnie.

– Czemu miałabym być? – spytała ze spokojem. – Ale może pani jest zła na siebie? Dalej, dzieciно, musi mi pani opowiedzieć o tym panu Mowbreyu oraz co takiego zrobił, że okazał się nie do zniesienia.

Isabella przygryzła wargę.

– Prawdę mówiąc, milady, odesłał mnie – wyznała. – To miałam na myśli, kiedy napisałam, że sprawy się nie ułożyły. I nie było żadnego pana Mowbreya. Tak jak pani sugerowała, chodziło o fortel.

Lady Petershaw otworzyła szerzej oczy.

– I pani mu się nie spodobała? Nie wierzę. No cóż! Czy przynajmniej podał pani swoje prawdziwe nazwisko?

– Nie musiał – odparła cicho Isabella ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Znałam go.

– Ojej. – Markiza nachyliła się ku niej. – Brzmi złowieszczo.

– To był hrabia Hepplewood – wypaliła Isabella, podnosząc spojrzenie. – Dżentelmen, który przesłuchiwał mnie na posadę guwernantki. Ten sam, który próbował mnie uwieść i powiedział, że lepiej nadaję się na... – Raptem, bliska płaczu, bezsilnie uniosła rękę. – Na nic, najwyraźniej. Jego chyba naprawdę nie sposób zadowolić.

– Hepplewood?!

Markizę rzadko cokolwiek szokowało, lecz ta wiadomość pozbawiła ją głosu na pełne pół minuty.

– Co za impertynencja! – oznajmiła wreszcie dama, gdy nieco ochłonęła ze wzburzenia. – Zarazem trudno mi sobie wyobrazić, jak... To znaczy, Tony jest bystry, bez wątpienia. Ale żeby tak zmanipulować Louise, by dosłownie mu panią sprezentowała? Co za brak skrupułów!

Tony.

Czy tak go zwykle nazywano? Isabella leżała w jego łóżku, w jego ramionach – i pozwoliła mu na najbardziej nieprzyzwoite intymności, jakie potrafiła sobie wyobrazić – a mimo to nie spytała, jak się do niego zwracać. W rzeczy samej, dołożyła starań, by nie dowiedzieć się o tym mężczyźnie absolutnie niczego.

Czemu więc nie potrafiła wyrzucić go z myśli? Dlaczego nieustannie wspominała jego dotyk – tamte chwile namiętności, a nawet... tak, czułości? Poczwała, że żołądek zawiązuje jej się w kolejny supeł,

i delikatnie wsparła dłoń na brzuchu.

– Nie sędzę, żeby kogokolwiek oszukał, milady – wykrztusiła. – Chyba... chyba po prostu się zezłościł, kiedy odmówiłam mu w Loughford. Wywnioskowałam, że on jedynie... Boże, jakie to upokarzające... szukał kobiety, która wyglądałaby tak jak ja. Chodziło bodajże o moje oczy. Zdawał się mieć na ich punkcie obsesję.

Lady Petershaw zaśmiała się dźwięcznie.

– Wielkie nieba, a cóż w tym upokarzającego? – zdumiała się. – Zależć mężczyźnie za skórę, i to w taki sposób, że nie potrafi przestać o pani myśleć? Na tym właśnie wzbogacają się kurtyzany... niekiedy też bogato wychodzą za mąż... a przyzna pani, że mam w tej sferze pewne doświadczenie.

Isabella westchnęła.

– Cóż, ja ewidentnie nie miałam żadnego – powiedziała, otwierając torebkę. – Odesłał mnie po jednej nocy... ani chybi pękając ze śmiechu. A ja czmychnęłam stamtąd jak zajac. Lecz dość o tym, milady. Przyszłam zwrócić dług... choć nigdy w pełni mi się to nie uda.

Lady Petershaw z niechęcią przyjęła odliczone przez Isabellę pieniądze.

– Czy to znaczy, że potraktował panią hojnie? – spytała, po czym zacisnęła wargi. – Lepiej dla niego, żeby tak było. Mam pewne pojęcie o sztuczkach tego zuchwalca. Tony w ostatnich latach rozwinął w sobie dość pokręcone skłonności, jeżeli wierzyć docierającym do mnie pogłoskom.

Właśnie takiej rozmowy Isabella się obawiała.

– Nie mogłabym powiedzieć, milady.

– Oczywiście, że by pani nie mogła – stwierdziła markiza, z aprobatą kiwając głową. – Żadna szanująca się kochanka by tego nie zrobiła. Cieszę się jednak, moja droga, ogromnie się cieszę, że Hepplewood panią wypuścił, jeśli naprawdę stał się zdeprawowany. Chodzi mi o to, że... tego rodzaju życie z takim mężczyzną... och, moja droga, to ciężka sprawa. Tak rozpaczliwie się im współczuje.

– Współczuje im? – pisała Isabella.

– A jakże. – Markiza znów machnęła ręką. – Taki mężczyzna jest mocno zraniony, a przy tym zły bardziej na siebie niż na kobietę, której narzuca swoje perwersje.

– Zraniony? Zły na siebie? – powtórzyła z niedowierzaniem Isabella. – Obawiam się, milady, że rozmawiamy o dwóch różnych typach mężczyzn. Hrabia Hepplewood wydał mi się najbardziej aroganckim, najbardziej zadufanym w sobie dżentelmenem, jakiego spotkałam.

– Och, może i tak, ale tego rodzaju niegodziwe pragnienia, kiedy wykroczą poza zwykłą zabawę w łóżku, prowadzą do odrazy do samego siebie w najczystszej postaci. A taki mężczyzna, moja droga... No cóż, każda kobieta, która mogłaby go zechcieć, nie będzie wiele warta, czyż nie? Widzi pani, w ten pokrętny sposób rozumują mężczyźni tego typu. Dlatego należy ją ukarać. Za to, że jest dla niego dostępna. Że jest dla niego piękna. I przede wszystkim za to, że on jej pożąda.

Isabella pokręciła głową z rozdziawionymi ustami.

– Miała pani rację już na samym początku – powiedziała wreszcie. – Czuję się w tej sferze zupełnie zagubiona.

Na te słowa lady Petershaw ostrożnie zmierzyła ją wzrokiem.

– Czy wchodzi w rachubę, że źle go pani zrozumiała? – spytała. – Czy to było coś więcej niż gra sypialniana? Ponieważ Tony nie jest złym człowiekiem. W rzeczy samej, jako młodzieniec był przesłodki... taki czarujący i miły... i niezmordowanie oddany swoim kochankom, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Isabella poczuła, że się rumieni.

– Teraz nie wydaje się słodki. Tak, sprawia wrażenie, jakby był na kogoś zły. Czy małżeństwo go zmieniło?

Lady Petershaw przyłożyła palec do policzka.

– Niewykluczone, że pogorszyło sprawy, ale powiedziałabym, że zmienił się nieco wcześniej. I nie przypominam sobie, żebym go widziała za czasów małżeństwa. Widocznie zaszył się na wsi... zawsze przejawiał rustykalne ciągoty... ale po śmierci żony znów zaczął rezydować przy Clarges Street. Na długo przed tym miał jednak miejsce... jakiś drobny skandal.

– Naprawdę? Jakiego rodzaju?

Lady Petershaw uniosła rękę.

– Ciii... Niech mi pani da pomyśleć – zarządziła, na dłuższą chwilę zamykając oczy. – Tony miał kuzynkę, śliczną dziewczynę imieniem Anne. Wspomniał kiedyś, że zostali sobie przyrzeczeni, a on zamierza się bawić, dopóki może. Ale potem wyszła za innego.

– Złamała mu serce?

– Nie wydaje mi się – odparła lady Petershaw, ściągając brwi – ponieważ przerzucił się na jej siostrę... albo kolejną kuzynkę, w każdym razie jakąś swoją krewną... tyle że z tego również nic nie wynikło.

– Naprawdę?

– Tak, lecz w tym przypadku to dziewczyna miała złamane serce, słyszałam, że oszalała. A kilka lat później, kiedy zaręczył się z Felicity Willet, zaatakowała ją w napadzie zazdrości. Sprawę prędko zatuszowano, niemniej panna Willet wyjechała z Londynu i przez jakiś czas odmawiała ślubu z Tonym.

– Ale w końcu za niego wyszła – powiedziała Isabella.

– Na ile sobie przypominam, ojciec ją zmusił. – Usta lady Petershaw wykrzywił grymas. – Później umarła. Tragiczne, niewątpliwie. I tak, po tym wszystkim złe nawyki Tony’ego jeszcze się nasiliły.

Isabella wzruszyła ramionami.

– Jeśli mam być uczciwa, milady, nie mogę powiedzieć, żeby jego nawyki różniły się od tych, przed którymi mnie pani przestrzegala. To znaczy tych najgorszych.

– Zatem był... dominujący? – Markiza uniosła brew. – Trochę brutalny?

– Tak – szepnęła Isabella. – Sugerował, że to może sprawiać przyjemność. Ale... ale mnie tylko przeraziło. No dobrze, na początku.

Lady Petershaw sapnęła z irytacją.

– Ponieważ jest pani praktycznie dziewicą! – wykrzyknęła. – A Tony przeklętym głupcem. Od tak dawna uprawia ostrą jazdę, że zapomniał, co to słodycz. Ale powiem pani jedno: nie ma nic złego w nieco brutalnej zabawie kochanków, jeśli obojgu sprawia ona przyjemność i oboje tego chcą. Rozumie pani?

Czy rozumiała? Isabella pokręciła głową.

Rozumiała, że lord Hepplewood ją przestraszył i że wielką przyjemność sprawiło mu nagięcie jej do swej woli. A jednak coś w niej radowało się jego dotykiem. Nie potrafiła opisać doznań, które wywołał w jej ciele. Pozostawiły ją skonfundowaną i rozpaczliwie zawstydzoną.

Lady Petershaw poklepała Isabellę po ramieniu.

– Droga dziewczyno, jeżeli skądinąd umiejętny kochanek ma potrzebę przełożyć panią przez kolano albo przywiązać do łóżka, nie wyniknie z tego nic złego... a być może sporo przyjemności – powiedziała łagodnie. – Mężczyźni to dziwaczne stworzenia i lubią sądzić, że stawiają na swoim. Należy po prostu podjąć grę... do pewnego stopnia... jeśli nie ma się nic przeciw temu.

– Naprawdę?

– Jeśli nie ma się nic przeciw – powtórzyła markiza. – Nawet żony tak robią, w każdym razie te mądre. Ich mężowie, droga pani Aldridge, nie bywają u mnie na salonach ani nie odwiedzają Louisy Litner.

Isabella analizowała zagadnienie w myślach – czym zajmowała się zresztą od wielu dni. Lady

Petershaw mówiła doprawdy bez ogródek. Jaki dziwny jest ten świat!

Jakby wyczuwając jej skrepowanie, markiza porzuciła temat.

– No dobrze, czy ten człowiek przynajmniej zaopatrzył panią na tyle, żeby przeżyła pani jakiś czas? – spytała. – Porozmawiam ostro z Louisa, jeżeli tego nie zrobił. Nie ponosi pani odpowiedzialności za wygórowane wymagania Hepplewooda. Louisa musi znaleźć dla pani lepsze miejsce... na przykład jakiegoś starszego, delikatniejszego mężczyznę.

– Nie. – Isabella uniosła dłoń. – Nie, milady. Dziękuję. Miała pani rację. Brak mi do tego charakteru. Poza tym... w Fulham wydarzyło się coś o wiele bardziej niepokojącego nawet od seksualnych inklinacji lorda Hepplewooda. Ta sprawa wymaga mojej całkowitej uwagi.

– Moja droga, o co chodzi? – Marszcząc brwi, lady Petershaw z koncentracją nachyliła się w fotelu. – Zrobiła się pani biała jak kreda.

– Mój kuzyn... – Głos Isabelli się załamał, poderwała do ust opuszki palców. – To okropne... choć zarazem nic się nie stało. Mimo to czuję się niespokojna.

– Wielkie nieba, co ten obmierzły ochłap ludzkości znowu zrobił?

– Tak jak mówię, nic. – Isabella opuściła drżącą rękę. – Jednak przyszedł z wizytą pod moją nieobecność... sprawdzić, jak się miewają dziewczynki. Tak powiedział pani Barbour.

– I ta głupia służąca go wpuściła?

Isabella prędko pokręciła głową.

– Nie – rzekła ochryple. – Barby wie, że ma okłamywać Everetta, iż nikogo nie zastał. Tyle że akurat wieszala pranie i to Jemima otworzyła drzwi. Został na całą godzinę i... i słodyczami zwabił Georginę do siebie na kolana. A Jemimie podarował wstążki do włosów.

Mina lady Petershaw wyrażała niepokój.

– Ma pani powody do obaw – przyznała dama – lecz przynajmniej dziewczynkom nie stała się krzywda.

Ubiegając się o posadę u markizy przed niemal siedmioma laty, Isabella musiała wytłumaczyć, dlaczego szuka pracy, a konkretnie – że jej ojciec ożenił się powtórnie z próżną młodą wdową, tej zaś nie przypadła do gustu wizja dzielenia nowej siedziby z niewiele od niej młodszą pasierbicą, zwłaszcza taką, która wyszła za mąż i opuściła dom jedynie po to, by niedługo później wrócić tam, gdzie nikt jej nie zapraszał.

Nie musiała natomiast wyjaśniać, dlaczego nie chciała wyjść za dziedzica swego ojca. Wystarczyło, że napomknęła o niegodziwości, jakiej była świadkiem, kiedy mieszkała u ciotki – wieki temu, jak teraz się zdawało, lecz wspomnienia nadal paliły.

Nie, markiza aż nazbyt dobrze znała mroczną stronę ludzkiej natury. Co smutne, w Londynie znalazłoby się ponad tuzin burdeli obsługujących dżentelmenów, którzy preferowali młode dziewczęta – i chłopców także, choć taki wybór mógł zaprowadzić mężczyznę na szubienicę, gdyby go przyłapano.

Jednak kiedy ofiarą mężczyzny tego pokroju padała dziewczynka, bez względu na jej wiek, takie zboczenie wywoływało w społeczeństwie czy w sądzie zaledwie cichy chichot.

Znienacka lady Petershaw się wzdrygnęła.

– Co za okropny człowiek – oznajmiła. – Pamiętam, jak po śmierci pani ojca zachodził tu prawie co miesiąc, usiłując się z panią zobaczyć.

– To było niestosowne – mruknęła Isabella – i żenujące.

– Nie, to było wielce wymowne – skorygowała markiza. – Ten typ nie lubi, kiedy krzyżuje mu się szyki. Jeśli o mnie chodzi, nie dopuściłabym barona Tafforda w pobliże żadnej dziewczyny poniżej dwunastego roku życia. Ale, moja droga, co pani pocznie? Jeśli nie weźmie pani bogatego kochanka, musi pani jakoś zarobić na życie.

Isabella skręcała wiązanie torebki, którą trzymała na kolanach.

– To przedziwne, milady, właściwie jak mały cud, ale lord Hepplewood podarował mi czas.

– W jakim sensie?

Isabella minimalnie wzruszyła ramionami.

– Na liście, którym mnie odprawił, zostawił wielki stos biżuterii... ametystów... jako prezent pożegnalny, jak to określił.

– Ametystów? – Markiza sapnęła z pogardą. – Nie diamentów?

– Napisał, że ametysty kojarzą mu się z moimi oczami – odparła Isabella – poza tym w większość tych cacek wprawiono także diamenty. Jego list był... afektowany, ale nie nieuprzejmy. Oczywiście, nie chciałam brać tej biżuterii, lecz później przypomniałam sobie o siostrach i o tym, co pani mówiła.

– I słusznie! – oświadczyła markiza. – Hepplewood był pani sporo winien, jeśli panią skrzywdził. Och, biedactwo! Nie będzie pani chciała zatrzymać tej biżuterii. Musi ją pani natychmiast sprzedać.

– Już to zrobiłam – odrzekła Isabella. – Nazwisko jubilera znajdowało się na każdym pudełku: Garrard, milady.

Markiza nieznacznie uniosła brwi.

– Wielkie nieba! – powiedziała. – Ile on za to zapłacił?

– Dosyć, żebym uregulowała rachunki i nieco odłożyła – odparła ze wzruszeniem ramion Isabella – a teraz muszę bardzo starannie się zastanowić, jak wykorzystać te pieniądze. – Urwała i wzięła głęboki oddech. – Biorąc pod uwagę ostatnie poczynania mojego kuzyna, najlepiej gdybym znalazła sposób, żeby jednocześnie pracować i pilnować dziewczynek. Dlatego rozważam otwarcie sklepu, takiego, nad którym mogłybyśmy mieszkać, rozumie pani.

– Sklepu? – powtórzyła markiza. – W sensie towarzyskim to spory krok w dół, moja droga. Wystarczy pani środków? Jakiego rodzaju sklepu?

– Księgarni – odparła Isabella – specjalizującej się w materiałach do nauczania i literaturze dla dzieci. Może też trochę zabawek edukacyjnych. Myślę, że sobie poradzę... a przyzna pani, że w Londynie rozpaczliwie brakuje takich instytucji.

– Wielkie nieba, nie mam pojęcia – stwierdziła beztróska markiza. – Od tego są guwernantki, jeśli wybaczy mi pani sformułowanie.

Wreszcie Isabella zdobyła się na uśmiech – niewykluczone, że pierwszy od czasu swej koszmarnej podróży powrotnej.

– Tak czy owak, muszę podziękować lordowi Hepplewoodowi... to znaczy w duszy, nie osobiście, bo nie zniósłabym kolejnego spotkania z nim.

– Nie zniósłaby pani? – Markiza popatrzyła na nią z zaciekawieniem. – Przecież chyba się go pani nie boi, moja droga? Bez względu na swoje namiętności czy problemy Tony niewątpliwie jest dżentelmenem.

Isabella zastanowiła się nad tym. Kiedy już układ został zawarty, lord Hepplewood traktował ją z kurtuazją – nie licząc ostrych chwil w łóżku, oczywiście.

– Nie, był... na swój sposób miły – odparła. – Rzecz w tym, że nie potrafię przestać o nim myśleć... to znaczy o tym, co zaszło. Między nami. To znaczy... och, to takie krępujące!

Markiza wyrzuciła ręce w górę.

– Cóż, znam tego mężczyznę, odkąd w wieku siedemnastu lat rozpoczął swe londyńskie podboje, i zawsze grzesznie patrzyło mu z oczu.

– Zawsze? Ile ma teraz lat?

– Jesteśmy prawie rówieśnikami, czyli... około trzydziestu sześciu – odparła markiza. – Zrobił się z niego piękny mężczyzna. Ale o tym nie muszę pani mówić.

– Istotnie. – Isabella zaczęła się podnosić. – Nie będę pani dłużej odciągać od pisania. Jeszcze raz

dziękuję za...

Jej wypowiedź przerwało pukanie. Do bawialni wszedł, posyłając Isabelli przepraszające spojrzenie, kamerdyner lady Petershaw z biletem wizytowym barwy kości słoniowej na srebrnej tacy.

Markiza wzięła bilet i się roześmiała.

– Jak długo łaskawa pani życzy sobie, bym kazał temu panu czekać? – spytał kamerdyner.

Lady Petershaw wsunęła bilet za dekollet.

– Och, ten pan nie poczeka ani chwili, panie Smithers – oświadczyła. – W rzeczy samej, przyjmę go tutaj, w dezabilu. Szybko, szybko, pani Aldridge, proszę się schować w toalecie.

– Tak, milady. – Jak przystało na guwernantkę, Isabella wstała, żeby bez namysłu wypełnić polecenie, lecz zaraz zatrzymała się i odwróciła. – Ale... dlaczego?

– Niech pani idzie. – Markiza przepędziła ją ruchem dłoni. – Przekona się pani. Tylko proszę zostawić uchylone drzwi.

Zafrapowana Isabella weszła do ciemnego pomieszczenia bez okna i nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, przycupnęła na podłokietniku drewnianej, przypominającej fotel konstrukcji. Ledwie zdążyła poprawić fałdy spódnicy, kiedy usłyszała szokująco znajomy głos i prawie że głośno wciągnęła powietrze.

Wyjrawszy, zobaczyła, jak lord Hepplewood wkracza do pokoju i zamasyście kłania się nad dłonią lady Petershaw.

– *Enchanté*, Mario. – Docisnął wargi do jej palców. – Jak cudownie, że mnie przyjął.

– Tony, ty przystojny czorcie! – Lady Petershaw zarumieniła się jak dziewczica i gestem wskazała mu fotel, który dopiero co zwolniła Isabella. – Gdzie się podziewałeś?

– Och, tu i tam.

Hepplewood miał na sobie strój do konnej jazdy – wysokie buty i bryczesy oraz ciemnoniebieski rajtrok skrojony tak, że podkreślał jego smukłą sylwetkę i szerokie bary. Usiadł, zakładając nogę na nogę w pozę, która powinna wydawać się zniewieściała, lecz zamiast tego sprawiała wrażenie z lekka groźnej, Isabellę zaś naszała wizja – raptowna i niepożądana – tego mężczyzny nagiego do pasa, kiedy wymachiwał młotem, a mięśnie jego pleców i ramion napinały się potężnie pod warstewką potu.

Wzięła głęboki oddech i przemocą odepchnęła wspomnienie – niestety, nie po raz pierwszy, odkąd się rozstali.

– Co tam słyhać, Mario? – zapytał hrabia. – Na marginesie, w różowym jest ci najbardziej do twarzy.

– A tobie najlepiej jest w niczym, jeśli dobrze pamiętam – przekomarzała się markiza – choć przyznaję się tylko do paru zerknięć. Lecz co za zbieg okoliczności! Wypisywałam właśnie zaproszenia na bardzo prywatny wieczorek. Może zechciałbyś się przyłączyć?

– Jak zawsze jesteś, pani, aż nazbyt łaskawa – odparł swym głębokim, wibrującym głosem. – Obawiam się jednak, że nie dam rady.

Markiza się roześmiała.

– Kochany, nie poznałeś nawet daty! – oznajmiła. – Ale dobrze, drocę się tylko. Nie przyszedłeś, jak rozumiem, żeby pochlebstwami zaciągnąć mnie do łóżka?

– Byłbym niegodzien tego zaszczytu – rzekł jedwabście. – Nie, masz rację. Prawdę mówiąc, przyszedłem zapytać o zatrudnianą kiedyś przez ciebie osobę.

– Och, nie mów, że ten szubrawiec Oscar zawitał na Clarges Street! – zawołała. – Nie, Tony, nawet jeśli desperacko potrzebujesz lokaja, nie przyjmij tego spryciarza. Jedną rękę wpakuje pokojówkom pod spódnice, a drugą uszczknie co nieco z twoich sreber.

Lord Hepplewood się uśmiechnął, ale spoglądał przy tym groźnie.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że celowo mnie nie rozumiesz, Mario? – spytał cicho. – Sądzę, że wiesz, iż nie przyszedłem tu szukać lokaja.

– Czyli chodzi o panią Aldridge? – spytała już nie tak ciepłym tonem markiza. – Ta pleciuga Louisa cię tu przysłała? No cóż, nie patrz na mnie! Myślałam, że ukrywasz panią Aldridge gdzieś w Buckinghamshire.

Lord Hepplewood zapukał długim, smukłym palcem w podłokietnik fotela.

– Ukrywałem – stwierdził. – Ale po jakimś czasie się rozstaliśmy. Nie zajrzała tutaj?

Lady Petershaw niewinnie zrobiła wielkie oczy.

– Owszem, dostałam od niej list, ale był dość mglisty – oświadczyła. – Wielkie nieba, chłopcze, nie dopuściłeś chyba, żeby taka piękność wyslizgnęła ci się z rąk? Byłoby to zupełnie do ciebie niepodobne.

– Chcę, żebyś podała mi jej adres – rzekł Hepplewood, przy czym czar błyskawicznie zniknął z jego głosu, a hrabia wyglądał coraz mniej łagodnie. – Louisa przysięga, że go nie zna.

Lady Petershaw niemal niefrasobliwie wzruszyła ramionami.

– A ty wierzysz we wszystko, co mówi Louisa Litner? Ta kobieta sprzeda ci starą raszplę przebraną za dzierlatkę, Tony, jeśli nie zachowasz ostrożności.

– Nie szukam dzierlatki – odparł niemal z groźbą. – Szukam Isabelli Aldridge. Bądź łaskawa zapisać mi jej adres.

Markiza wzięła głęboki oddech.

– Nie – oznajmiła. – Nie sądzę.

– Do diabła, Mario, nie rzucaj mi kłód pod nogi – zażądał, opierając pięść na podłokietniku fotela. – Dasz mi jej adres, w tej chwili.

– W tej chwili? – powtórzyła lady Petershaw, wyniośle prostując się w fotelu. – Tony, nie jestem byle potulną dziewczyną, której płacisz, żeby przyjmowała twoje obelgi i perwersje. Zachowuj się albo stąd wyjdź. A co do pani Aldridge, postąpię, jak będę miała ochotę, ponieważ nie uważam, żebyś ją dobrze potraktował.

Wówczas w hrabim jakby coś pękło, gniew uleciał z niego wraz z westchnieniem.

– Niech to diabli, Mario – powiedział, przeczesując palcami złotobrzowe loki. – Co sobie myślała Louisa, przysyłając mi dziewczynę aż tak zieloną? Co ty sobie myślałaś, skoro o tym mowa?

– Myślałam, że pani Aldridge jest piękna, samotna i nieskora wychodzić znów za mąż – odparowała markiza – czemu zatem miałyby się wyrzec przyjemności? Co więcej, nie wiedziałam o twoim zaangażowaniu, Tony. Louisa nie była ze mną szczerą. A Isabella nie jest już dziewczyną. Ma dwadzieścia sześć lat i potrafi sama wybrać sobie kochanka. W istocie, nie da się wykluczyć, że jej myśli zaprzęta już ktoś większy i lepszy od ciebie, chłopcze.

Na te słowa jakby dech mu zapało.

– Co, proszę?

Lady Petershaw przesunęła spojrzenie niżej.

– No dobrze, zapewne nie większy, o ile pamięć mnie nie zawodzi – zgodziła się – i może nawet nie lepszy. Skoro jednak się jej pozbyłeś, co za różnica, dokąd ona się uda... albo z kim?

– Nie pozbyłem się jej – wycedził przez zęby. – W każdym razie... to nie było do końca tak.

– Czyli po prostu cię rzuciła? – Lady Petershaw przymrużyła jedno oko. – Zachowałeś się okrutnie, Tony? Maltretowałeś ją? Niektóre kobiety nie reagują na to dobrze, wiesz. Isabella została wychowana w wielkopańskim stylu, nawykła do wydawania rozkazów, a nie ich przyjmowania.

Hepplewood spiorunował ją wzrokiem.

– O czym ty znowu mówisz, Mario?

Markiza wzruszyła ramionami.

– Że być może dziewczęta o błękitnej krwi nie będą naginać się do twojej hrabiowskiej woli, tak jak do tego przywykłeś – powiedziała. – Nigdy o tym nie pomyślałeś?

– Jaka błękitna krew? – spytał. – Była u ciebie guwernantką, do cholery.

– A guwernantki to przeważnie damy, które odebrały staranne wychowanie – odparła markiza. –

Isabella jest córką zmarłego Tafforda z Thornhill.

– Barona Tafforda? – Jego twarz spochmurniała, choć wcześniej wydawało się to niemożliwe.

– Wielkie nieba, Tony! Czy nie stać cię chociaż na tyle wysiłku, żeby poznać dziewczynę, zanim podkaszysz jej spódnicę? Za moich czasów stwarzało się przynajmniej pozory uprzejmości. A jeśli nie, to... no cóż, płaciło się ulicznicy z Covent Garden i załatwiało sprawę w najbliższym zaułku.

– Mario, jesteś wulgarna – rzekł ze zmęczeniem w głosie.

– Ja jestem wulgarna? – oburzyła się. – Wyznasz mi wreszcie, co zrobiłeś biednej pani Aldridge?

Zacisnął usta ze złością.

– Świetnie, zabawiałem się z nią... albo zacząłem – powiedział. – Czy nie taki był plan? A teraz chcę się z nią zobaczyć, do diabła! Daj mi jej adres.

– Po co?

– Muszę tylko się z nią zobaczyć – powtórzył. – Chcę... upewnić się co do czegoś.

– Co do czego? Jakie miejsce zajmujesz w jej sercu? – szydziła markiza. – Chyba możemy się zgodzić, że żadne.

– Posłuchaj, do diaska. Nie obchodzi mnie, co twierdzicie ty i Louisa – rzekł z większą determinacją.

– Przysłałyście mi naiwną dziewczynę. Nieomal dziewicę. Zatem o to się martwię: czy nie zostawiłem jej przy nadziei? To wszystko, co chcę wiedzieć. Nie zamierzam jej skrzywdzić, po prostu muszę się upewnić. I muszę zobaczyć się z nią osobiście. Później radośnie ruszę w drogę ku dalszej rozpuście.

– Dobry Boże, Tony, nie miałeś na tyle rozsądku, żeby zachować ostrożność? – oburzyła się markiza, niemniej Isabella odnotowała, że ton jej głosu złagodniał. – A jeśli jest przy nadziei? Co wtedy?

– Wtedy wiesz co – odparł głucho – i niech Bóg nam dopomoże. Mario, proszę. Błagam. Po prostu powiedz mi, gdzie ją znaleźć. Jeśli tego nie zrobisz, każę Jervisowi ją wytropić. Albo pojedę do Thornhill. Może to tam ukrywa się Isabella? Aktualny baron bez wątpienia jest jej krewnym.

– Tony, nie. – Markiza złapała go za nadgarstek. – Nie zrobisz tego. Pod żadnym pozorem nie wolno ci jechać do Thornhill bądź wspominać o niej lordowi Taffordowi. Przy kłopotach, jakie mógłbyś na nią ściągnąć, zblakłoby wszystko, co jej zgotowałeś w Buckinghamshire.

Hepplewood zaklął pod nosem i wyrwał rękę, a potem znów przeciągnął ją po włosach.

– Właśnie o to mi chodzi – powiedział. – Jeśli Jervis zacznie myszkować... albo sam pojedę do Sussex... niechybnie zrodzi to plotki. Poza tym poszukiwania zajmują sporo czasu, którego ona może nie mieć.

– Ojej. Chwileczkę, Tony. – Z uśmiechem zakłopotania markiza poderwała się z fotela. – Jeśli mogę cię przeprosić.

Pomaszerowała prosto do toalety i otworzyła drzwi, ledwie dając Isabelli czas na uskoczenie w cień. Posławszy jej ponure spojrzenie, lady Petershaw zamknęła za sobą drzwi, pogrążając je obie w ciemności tak gęstej, że widać było jedynie szparę pod drzwiami.

– Ciii... – szepnęła.

Kiedy minęła dłuższa chwila, markiza najwidoczniej sięgnęła do zaworu. Woda zaczęła sływać gwałtownym strumieniem, bulgocąc głośno w syfonie.

– Moja droga, nie uniknie pani tego człowieka, nie na długo – powiedziała markiza pod osłoną robionego przez wodę hałasu, zbliżywszy usta do ucha Isabelli. – A jego obawy, mówiąc szczerze, nie są bezzasadne. Nadal odmawia pani spotkania z nim?

Isabella milczała. Bo też co mogła rzec? Lady Petershaw miała rację; mężczyzna o bogactwie i władzy Hepplewooda dopadnie ją jak królika.

– Zobaczą się z nim.

Markiza cofnęła rękę i woda przestała spływać; chwilę później otworzyła drzwi.

– Wielkie nieba! – powiedziała, maszerując z powrotem w światło. – Już nie te lata. No dobrze, Tony, o co to prosisz? Ach, tak! Adres pani Aldridge.

– Teraz, Mario, jeśli łaska – rozkazał.

– Och, niech ci będzie – rzuciła z lekką irytacją markiza. – A kiedy już załatwisz sprawy z Isabellą, może wrócisz i przyłączysz się do mojej wesołej kompanii?

– Nie – odrzekł z napięciem. – Dziękuję.

– Uważaj, staruszkule – przestrzegła dama. – Bez zabawy wyjdiesz z wprawy.

Przysunęła fotel do biurka i odegrała wspaniałe przedstawienie, poszukując notesu z adresami.

Lord Hepplewood poderwał się z miejsca i zaczął spacerować po pokoju.

Po chwili markiza podniosła kartkę, żeby podmuchać na atrament, a następnie pchnęła ją ku hrabiemu.

– Fulham – powiedziała. – Miłej jazdy.

– Mario – rzekł ochryple, chwytając jej dłoń, by złożyć na niej pocałunek. – Dziękuję.

– Jeszcze mi nie dziękuj – odparła zgryźliwie markiza. – Najpierw będziesz musiał pokonać tę gorgonę kucharkę, więc życzę ci powodzenia, chłopcze.

– Jej kucharkę?

– Długoletnia służąca, która nie opuściła Isabelli w trudnych chwilach. Kucharka. Niania. Zwał jak zwał. Pani Barbour strzeże cnoty Isabelli niczym mastiff. – Dama umilkła na moment i popukała się po nosie. – Ale co srode kobiecina pilnie chodzi na wieczorne nabożeństwo, bez dwuznaczników. Jeśli zależy ci na prywatności, na to bym stawiała.

– Na co? – spytał Hepplewood. – Żeby wybrać się do niej w srode?

– Najlepiej w tę najbliższą – odparła Lady Petershaw – zanim Isabella rozpocznie nową przygodę. Ostatecznie, jeśli jest przy nadziei, zechcesz mieć pewność, że to twoje dziecko, czyż nie? Kiedy już zwiąże się z nowym dżentelmenem, piekielnie trudno będzie dojść z tym do ładu.

Coś paskudnego zamigotało w oczach Hepplewooda.

– Och, dojdę ze wszystkim do ładu, Mario – warknął. – Możesz na to liczyć.

– Bardzo mądrze! – Lady Petershaw ścisnęła jego dłoń. – Zmykaj więc, Tony. I pamiętaj: wieczorne nabożeństwa zaczynają się zwykle o siódmej.

ROZDZIAŁ 7

W sezonie towarzyskim, kiedy debiutowała jako naiwna siedemnastolatka, Isabella dowiedziała się sporo o męskiej naturze i niewiele z tego wróżyło pomyślnie. Aż do tamtej pory nie pojmowała, że mężczyźni nie żenią się z miłości, lecz niemal wyłącznie dla władzy lub pieniędzy, jak również, że po ślubie kobieta z punktu widzenia prawa staje się podporządkowana mężowi, do tego stopnia, że wydaje się wręcz niewidzialna.

Być może jej ignorancję dało się zrozumieć; jej ojciec był uroczym, niezdecydowanym mężczyzną, podczas gdy matka dorastała w dziczy kanadyjskiej prowincji, pośród handlarzy drewnem. Zorganizowana i energiczna, lady Tafford sprawnie zarządzała domem i mężem, kiedy zaś na dwunaste urodziny Isabelli zachorowała i umarła, lord Tafford na trwałe pogрузzył się w dezorientacji.

Isabella z kolei pogрузzyła się w lekturze złych powieści, które – tak przynajmniej utrzymywała lady Meredith – nabijały jej głowę romantycznymi bzdurami, przez co stała się niewdzięczna.

Wspomniana dama, wdowa po młodszym bracie lorda Tafforda, przez pewien czas oddawała się wspinaczce po szczeblach władzy, poślubiając kolejnych zgrzybiałych arystokratów, akurat na tyle zamożnych, żeby mogła pławić się w jedwabiach.

Wdowy nie ceniono w towarzystwie, ten fakt nie odstraszył wszakże ufraczonych sępów, które obstały Isabellę, w rezultacie czego z oszołomieniem odkryła, iż uchodzi za piękność swego londyńskiego sezonu. Kiedy jednak niezawodna lady Meredith radośnie poinformowała otoczenie, że Isabella nie dysponuje skromną choćby fortuną, większość sępów z furkotem fraków odfrunęła szukać bogatszych panien na wydaniu.

Kiedy Isabella już uroniła kilka łez nad swym może nie złamanym, ale jednak trochę poturbowanym sercem, usłyszała beztrioskie zapewnienie, że ma się nie martwić, gdyż ostatecznie będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli po prostu poślubi kuzyna Everetta i dożyje końca swoich dni w Thornhill.

Everett wzruszył ramionami na znak zgody, oznajmiając, że Isabella nada się jak każda inna.

Jednakowoż Isabella miała już okazję ujrzeć mroczną twarz kuzyna i grona jego niegodziwych przyjaciół, toteż nie zamierzała za niego wychodzić. I właśnie wtedy, gdy lady Meredith puściła w ruch najgorsze jazgotliwe oskarżenia o niewdzięczność, Isabella zakochała się do szaleństwa w Richardzie Aldridge’u, poecie i lekkoduchu, który dopiero co powrócił z Włoch.

Richard był przystojny, jego ojciec bogaty, a Isabella wręcz ogłupiała z zachwytu. Kiedy Richard przysięgał, że nie zdoła pisać, nie mając jej piękna za żonę, Isabella poczuła się moralnie zobligowana uciec z nim do Thornhill, gdzie bez trudu wymogli na jej ojcu zgodę, a następnie ogłosili zapowiedzi w kościele parafialnym.

Kilka tygodni po tym, jak się poznali, Richard i Isabella zawarli małżeństwo, a lady Meredith szalała z wściekłości. Kuzyn Everett natomiast zbyt był zajęty hańbieniem młodszej pokojówki, żeby cokolwiek zauważyć. Nawet teraz Isabella zastanawiała się, jak znaczna część jej błędnego wyobrażenia na temat Richarda zrodziła się ze strachu przed Everettem.

Tak, mężczyźni przeważnie stawali się nieprzejednani, kiedy czegoś chcieli – i albo nieustępliwie parli do celu, albo uciekali się do manipulacji. Isabella zastanawiała się niekiedy, co jest gorsze. Niemniej ani przez moment nie zwątpiła, że lord Hepplewood pojawi się na jej progu w najbliższą środę.

Nawet z odległości kilku kroków rzucała się w oczy bezwzględność, z jaką zaciskał szczęki, gdy nękał lady Petershaw. I choć markiza w godnym podziwu stylu broniła pozycji, hrabia z całą pewnością był

jednym z tych mężczyzn, którzy dostają dokładnie to, czego chcą.

Tak, w środę przybędzie.

Gdy więc nastąpiła słoneczna środa, Isabella zapobiegliwie wyprawiła panią Barbour z dziećmi do Brighton, nic innego bowiem nie przyszło jej do głowy. Dzieci były wszystkim, co miała, cenną i bardzo prywatną częścią jej życia. Nie chciała, żeby zostały zbrukane, a nie wiedziała, jak wyjaśnić im obecność Hepplewooda. Co gorsza, niepokoił ją gniew, jaki dostrzegła w oczach hrabiego.

Mimo to podróż pociągiem – nawet krótka – stanowiła luksus. Zarazem w Brighton mieszkała ukochana siostrzenica pani Barbour, a dziewczynki nie miały żadnych tego typu rozrywek, odkąd przed kilkoma miesiącami wyczerpały się oszczędności Isabelli. Leniwa wizyta i popołudnie spędzone na świeżym powietrzu, czystym i nasyconym solą, dobrze im zrobią.

Jednak w miarę upływu dnia, kiedy dom wydawał się coraz bardziej pusty, Isabella zaczęła żałować, że jest sama. Aby zająć czymś myśli, wzięła się do prasowania, gdyż z usług praczki zrezygnowały przed miesiącami. Dopóki inwestycja w sklep nie zostanie sfinalizowana, Isabella obawiała się jakichkolwiek dodatkowych wydatków.

O piątej weszła na górę, żeby się wykapać i ubrać. W rezultacie stanęła przed problemem. Nie miała obowiązku stroić się w którąkolwiek z podarowanych jej przez lady Petershaw kusocielskich sukien – ani nie chciała tego robić. Zarazem jednak nie umiała się zmusić, by włożyć jeden z dawnych szarych ubiorów.

Przeszukawszy szafę, Isabella wyjęła starą różową suknię, którą uszyła sobie na chrzciny Georginy, ale przekonała się, że wisi na niej jak worek. Z westchnieniem wróciła do szafy i wyciągnęła najmniej ostentacyjną z przerobionych kreacji markizy, lawendową jedwabną suknię dzienną z trzema falbanami i umiarkowanie skromnym dekoltem.

Stanik pasował jak ulał, miękki i bardzo elegancki, a pełne, szerokie spódnice spływały po warstwach halek niczym chmura. Nietypowy kolor, jak zauważyła, przydawał głębi jej oczom – temu elementowi jej urody, który tak fascynował lorda Hepplewooda.

Dobrze, pomyślała z niejaką złośliwością. Niech patrzy i żałuje, co traci.

W następnej chwili jej dłoń pomknęła ku ustom. Isabella spojrzała znów na swe odbicie w lustrze i zdumiała się, skąd u niej taka myśl. Czy naprawdę była tak próżna? Nie życzyła sobie ani kusić, ani też karać hrabiego Hepplewooda.

Życzyła sobie nie oglądać go nigdy więcej.

Wyszarpnęła z szafy suknię z szarej serży, zdecydowana ją założyć.

Ale było za późno.

Na dróżce rozległ się brzęk uprzęży i stukot kopyt; takie dźwięki sugerowały powóz, nie zaś furmankę, wehikuł widywany przeważnie w tej części Fulham.

Ten arogant przyjechał za wcześnie. Mogła się domyślić, że hrabia nie zechce czekać, lecz zjawi się o dogodnej dla siebie porze. Przynajmniej zawczasu wszystkich odesłała.

Odrzuciwszy szarą suknię, Isabella pospieszyła wąskimi schodami na dół i przecięła hol, akurat kiedy głośno zapukano do drzwi.

Otworzyła je z walącym sercem.

Jednak to nie lord Hepplewood czekał na jej progu.

Everett stał na ostatnim stopniu schodów, z drogim cylindrem z bobrowego futra wetkniętym pod ramię. Drgnął na widok Isabelli, lecz natychmiast się pozbierał.

– Bello, moje dziewczę – powiedział, ześlizgując się wzrokiem po jej sylwetce. – Jak miło, że cię zastałem. W dodatku jak wspaniale wyglądasz.

– Everetcie – przywitała się lodowato. – Nie oczekiwaliśmy cię.

Jego spojrzenie się ochłodziło.

– Ani ja nie spodziewałem się ciebie – wytknął jej. – Myślałem, że wzięłaś posadę gdzieś na wsi.

– A jednak jestem tutaj – odparła cicho. – Stąd nasuwa się pytanie, co cię tu sprowadza?

Uśmiechnął się cieplej.

– No co, czy człowiek nie może wpaść sprawdzić, jak się miewają jego kuzyneczki? – spytał. –

Ostatecznie jestem choć trochę odpowiedzialny za ich dobrostan, a ty wiecznie gdzieś znikasz, zostawiając biedne kruszynki zdane wyłącznie na siebie.

– Jemima nie jest twoją kuzynką – powiedziała Isabella – ponieważ w waszych żyłach nie płynie choćby kropla wspólnej krwi...

– Ciebie to też dotyczy – wtrącił Everett – ale twój ojciec życzył sobie...

– Co więcej – ciągnęła Isabella, zagłuszając kuzyna – nie są zdane na siebie. Zostawiam je... jeśli je zostawiam... pod opieką pani Barbour. Nie ma minuty, żeby ktoś ich nie pilnował.

– Tak, tak, nie wątpię – rzekł Everett, wyciągając szyję. – A swoją drogą, gdzie ta kochana starowinka?

– Jest w... – Isabella w porę się spostrzegła. – W kościele. Lada moment powinna wrócić.

Znowu zmierzył ją spojrzeniem z góry na dół, z rosnącym żarem w oczach.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – zamruczał. – Tak sobie myślę, że skoro już tu jestem, może my dwoje powinniśmy odbyć małą pogawędkę.

– Doskonały pomysł. – Isabella wystąpiła na wąską werandę, z hukiem zatraskując za sobą drzwi i zmuszając Everetta, by zszedł o stopień niżej. – Pogawędzmy.

– W środku, Bello – rzucił szorstko. – Chryste, można tu zamarznąć... a ty nie masz szala.

– Ogrzewa mnie płomień sprawiedliwego oburzenia – oznajmiła. – Mów, co masz do powiedzenia, a później ja powiem swoje.

– Och, Bello okrutna! – zawołał. – Słuchaj, nie bądź zgorzkniała. Wiem, że życie nie obeszło się z tobą łaskawie, skarbie, ale ja mogę wyzwolić cię z tej niedoli i zrobię to. Ubóstwiam cię, a moja propozycja pozostaje aktualna. To wszystko, co chcę rzec.

– Twoja propozycja? – spytała z niedowierzaniem.

W odpowiedzi pochwycił jej dłoń i złożył na niej nieprzyjemnie wilgotny pocałunek.

– Co powiesz, Bello? – spytał miękko. – Dasz nam szansę? Zmęczyła mnie już samotność. Ciebie nie?

Isabella z trudem zaczerpnęła tchu.

– Everecie, czy ty oszalałeś?

– Tak, oszalałem dla ciebie – oznajmił. – Nie jeź się. Spójrz na siebie. Popatrz, jak żyjesz. Wyjdź za mnie i przywieź dziewczynki do Thornhill. Stworzymy pełną rodzinę.

– Everecie, przerażasz mnie – oświadczyła cicho. – Nie zamierzam za ciebie wyjść. Nie wyjdę za ciebie, nigdy, a ty wiesz dlaczego.

Ze zniecierpliwieniem wypuścił powietrze z płuc.

– Dobry Boże, znowu ta stara gadka! – Jego spojrzenie pociemniało. – Planujesz wyciągać to na mnie do końca świata?

– Twoja matka może nazywać ów czyn psotą, jeśli ją to pociesza – wyszeptała Isabella – ale to było jeszcze dziecko. Mała, przerażona dziewczynka zbyt wcześnie zabrana od matki i posłana na służbę dwadzieścia mil od domu.

– Ktoś musi je przyuczyć – stwierdził Everett, wzruszając ramionami – a ty nie miałaś prawa się wtrącać, a później donosić.

– Ona krzyczała.

– Kobiety czasem krzyczą, jeśli chłop zna się na rzeczy – powiedział Everett, puszczając do niej oko. –

Słowo daję, Bello, straszny z ciebie głuptas. Takie dziewczęta wiedzą, że to nastąpi. Jak ci się zdaje, co dla nich znaczy, że idą służyć? Przypuszczam, że była zadowolona, iż pan raczył na nią spojrzeć.

– I była zadowolona, że twój kamrat sir Henry także na nią spojrział? – warknęła Isabella. – A co z tym trzecim... dobry Boże, nie pamiętam nawet jego imienia, zresztą nie chcę pamiętać. Everecie, jesteś okrutnym człowiekiem. Miała dwanaście lat, a wy trzej...

– Co mogę powiedzieć, Bello? – przerwał jej. – Świetnie, nie powinniśmy byli tego robić! To chcesz usłyszeć? Ale dziewczyny dawno nie ma, więc jaką to gra rolę? Poza tym mama i ja jesteśmy zgodni, że gdybym się ożenił, porzuciłbym tego typu rozrywki.

– Założę się, że ciocia nie wie, iż te rozrywki nadal obejmują dzieci – powiedziała Isabella. – Everecie, po co znowu to zaczynać? Dlaczego teraz? Po prostu zostaw Georginę i Jemimę w spokoju.

– Dlaczego teraz? – powtórzył z sarkazmem. – Spójrz na siebie, Bello. Dobiegasz trzydziestki i jesteś tak wychudzona, że miałabyś szczęście, gdyby udało ci się donosić dziecko. Głodzisz się, żeby wykarmić te dwa bachory, podczas gdy mogłabyś mieć własne.

– Mieć... dziecko? – Myśl o Everecie jako ojcu była więcej niż przerażająca.

Everett niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

– Przecież potrzebuję dziedzica, nie? – wymamrotał. – Mama ciągle to powtarza, no i ma rację.

– Wynoś się! – powiedziała Isabella, wymierzając palec w zardzewiałą furtkę. – Trzymaj się z dala od tego domu! Jesteś łajdakiem i profanem niewinności. Nie mam pojęcia, skąd się bierze ta fascynacja twojej matki mną, ale nigdy nie chciałam i nigdy nie zechcę cię poślubić.

Przez jego twarz przemknął mroczny wyraz.

– Nigdy? Taka jesteś pewna?

– Nie istnieje na tym świecie niedola, która zmusiłaby mnie do małżeństwa z tobą. Dobry Boże, Everecie, myślisz, że nie mogę rozpowiedzieć o twoich skłonnościach?

– Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem – oświadczył.

– Gwałtu to też dotyczy? – rzuciła wyzywająco.

Roześmiał się.

– Znajdź kogoś, kto poświadczy, że ją zgwałciłem – odparował. – No dalej, Bello, spróbuj. A może ja również spróbuję szczęścia.

Krew raptownie stężała jej w żyłach.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że miejsce dziewczynek jest w ich rodzinnym domu – odparł, chwyciwszy ją za nadgarstek. – Nigdy nie miałaś zabierać ich z Thornhill.

– Co takiego? – Wytrzeszczyła na niego oczy. – Nie okazałeś cienia zainteresowania opieką nad nimi... podobnie jak twoja matka.

– I oboje się tego wstydzimy, kiedy widzimy, jak teraz żyjesz – powiedział. – Wydaje ci się, że jakikolwiek rozsądny sędzia zostawiłby dziewczynki w tej ruderze, kiedy mogłyby wrócić do Thornhill? Mieszkać w swym dawnym domu z mamą i ze mną?

– Mógłby, i owszem, gdybym mu opowiedziała, co widziałam – warknęła.

– A czy znalazłoby się lepsze miejsce na tę rozmowę niż Sąd Lorda Kanclerza? – odgryzł się, przypierając ją do drzwi. – Ciekawe, czy twój teść by się pojawił?

– Ty draniu! – syknęła.

Na jego twarzy zarysowało się coś w rodzaju popłochu i Everett spuścił z tonu.

– Daj spokój, Bello, głupotą jest grozić sobie nawzajem – powiedział. – Jesteśmy kuzynami i to nie ja pierwszy cię skrzywdziłem. Ubóstwiam cię i chcę tylko ożenić się z tobą. To z desperacji zachowuję się impulsywnie.

– Z desperacji zachowujesz się jak osioł – oświadczyła. – Przysięgam, że jeśli ty lub twoja matka jeszcze raz wspomnie o małżeństwie, zabiorę ją do tego ohydneho domku w Soho, gdzie wraz z kompanami spędzasz wieczory, i dopilnuję, żeby osobiście zajrzała przez okno.

Na te słowa Everett pobladł, a jego górna warga zaczęła drżeć.

– Ty niewdzięczna suko! – warknął, rzucając się do przodu.

Isabella szarpnęła się w tył tak mocno, że uderzyła głową o drzwi.

Znienacka na bark Everetta spadła czyjaś dłoń i bezlitośnie pociągnęła go po schodach w dół. Wściekle kręcąc młynka ramionami, Everett potknął się i runął tyłem na hrabiego Hepplewooda.

Hrabia płynnie odstąpił w bok, tak że Everett rozciągnął się na omszałych płytach ścieżki.

– Ten trzeci stopień wygląda na zdradliwy – zadudnił cicho Hepplewood. – Baron Tafford, jak mniemam?

ROZDZIAŁ 8

Everett poderwał się z ziemi i szarpnięciem obciągnął surdut.

– Kim pan jest, u diabła, żeby mieszać się w rodzinne sprawy?

Hepplewood wykrzywił usta w złowrogim półuśmiechu.

– Diabłem, który zaraz wywlecze pana na tamtą drogę – laską z mosiężną gałką wskazał za furtkę – i spierze do nieprzytomności za podnoszenie ręki na damę.

– Czy ja pana znam? – spytał Everett, mrużąc oko.

– Nie, ale za moment mnie pan pozna – odparł cicho Hepplewood. – Isabello, wejdz do środka.

Natychmiast!

Isabella знаła ten ton. Na oślep odnalazła klamkę i wycofała się do domu, zatraskując za sobą drzwi. Jeśli dojdzie do bójki, stawiała na Hepplewooda.

Z drugiej strony, Everett był akurat tego typu człowiekiem, by nosić ukryty nóż.

Z sercem w gardle pobiegła do saloniku, wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak hrabia, zgodnie z obietnicą, ciągnie Everetta przez furtkę – choć trafniej byłoby rzec, że go przed sobą popędza.

Na drodze z widoczną odrazą odepchnął go od siebie. Nastąpiła krótka wymiana zdań – gniewnych i szybkich – ale Isabella nic nie zrozumiała. Potem Everett zawrócił i głupio natarł na hrabiego. W rezultacie został mocno pchnięty pięcioma twardymi palcami i wylądował na drzwiach swojej kariolki, próbując się na nich podciągnąć.

Pechowo dla siebie, zamiast się pozbierać, potknął się o własne stopy i runął na bok w błoto.

Hepplewood wyjął srebrny wizytownik, rzucił gruby bilet wizytowy na podełek Everetta, a następnie odwrócił się i wszedł z powrotem przez furtkę, nadal w cylindrze na głowie i z laską schludnie wetkniętą pod ramię.

Isabella otworzyła mu, głęboko wdzięczna i zarazem skrępowana.

– O co właściwie chodziło? – zapytał Hepplewood, energicznie pokonując schody.

– Nieistotny drobiazg – odparła Isabella i zamknęła za nim drzwi. – Bardzo mi przykro, milordzie. Nic się panu nie stało?

– Absolutnie. – Popatrzył na nią z ukosa. – Za to tobie i owszem: jesteś biała jak płótno i cała dygoczesz, Isabello.

Wyciągnęła przed siebie ręce i przekonała się, że to prawda.

– Nerwy mnie zawodzą, nic ponadto.

– Nic ponadto? – Spochmurniał. – Co zatem miały znaczyć te krzyki o małżeństwie i twojej ciotce? Oraz domku w Soho?

– Po prostu stary rodzinny spór – odparła bardziej stanowczo. – Proszę, niech pan da temu spokój. Mój kuzyn to osioł.

Wahał się przez krótką chwilę.

– No cóż, teraz ten osioł wie, gdzie mnie znaleźć – rzekł wreszcie – gdyby chciał zażądać satysfakcji.

– Mój kuzyn dręczy wyłącznie słabszych od siebie – powiedziała, odbierając od niego laskę i cylinder – myślę więc, że nic panu nie grozi. Dziękuję, że go pan przepędził.

Mimo że hrabia nadal przyglądał się jej podejrzliwie, najwyraźniej postanowił darować sobie pytania. Eleganckimi, szybkimi szarpnięciami zdjął skórzane rękawiczki jeździeckie, prześlizgując się spojrzeniem po sylwetce Isabelli w taki sposób, że zaparło jej dech.

– Nie wydajesz się zaskoczona moim widokiem – mruknął, kładąc rękawiczki na rondzie cylindra.

Isabella się uśmiechnęła.

– Bo nie jestem – przyznała, odkładając cylinder na stolik w holu. – Lady Petershaw uprzedziła mnie, że może pan zająć z wizytą.

– Wspomniała dlaczego? – spytał uprzejmym, idealnie opanowanym głosem.

– Owszem. – Isabella poczuła na twarzy rumieniec. – Gwarantuję, że nie ma pan powodów do niepokoju.

– Rzeczywiście? – nalegał, nachylając głowę, żeby lepiej jej się przyjrzeć. – Zupełnie żadnych? Jesteś pewna?

– Na tyle, na ile może zapewnić mnie o tym natura – uspokoiła go. – Tak, całkiem pewna. Czy możemy na tym poprzestać?

Przytaknął sztywno.

– Mogę spocząć, Isabello?

Jej zakłopotanie się pogłębiło.

– Tak, oczywiście. – Wskazała otwarte drzwi saloniku. – Proszę wejść.

Zrobił to, omiatając spojrzeniem mały, rozpaczliwie skromny pokój. Niemniej było tu czysto, a wśród mebli znalazło się kilka uroczych przedmiotów, które Isabella zdołała zabrać, nim Thornhill na zawsze przeszło w ręce Everetta; rzeczy te należały do jej matki, nie wchodziły więc w skład ordynacji. Testament matki regulował tę kwestię bardzo precyzyjnie; cały jej majątek przypadł Isabelli.

Kłopot w tym, że owych przedmiotów było bardzo mało. I większość została już sprzedana, żeby kupić dziewczynkom buty i podręczniki, choć Isabella nie zdobyłaby się na takie wyznanie.

Nie wobec kogoś takiego jak lord Hepplewood, kto nie miał pojęcia o biedzie.

– Urocze portrety, tam przy oknie – rzekł cicho hrabia, zajmując wskazany fotel. – Małe, lecz znakomicie wykonane. Twoi rodzice?

– Tak, matki został zamówiony w Liverpoolu zaledwie na kilka dni przed tym, jak spotkała papę – odparła melancholijnie Isabella. – Mój dziadek ogromnie się wykosztował, ale mieszkał w Dolinie Ottawy, w Kanadzie, gdzie trudno było o takie usługi.

– I portret trafił z powrotem do ciebie?

Wzruszyła ramionami.

– Dwa albo trzy lata temu przesłano go do Thornhill – odparła. – Nikt inny go nie chciał, więc Everett przywiózł mi oba portrety na Boże Narodzenie. Chyba można to uznać za swego rodzaju miły gest.

Podarkowi towarzyszyła kolejna propozycja małżeństwa – wyjątkowo wiernopoddańcza – ale tego już Isabella nie dodała.

– Wybacz mi tę uwagę, ale twój ojciec wygląda na starszego od matki.

– O dwanaście lat. – Isabella się uśmiechnęła.

– Ach. Zaaranżowane małżeństwo?

– W żadnym wypadku – odparła. – Rodzina matki nigdy jej nie wybaczyła, że została w Anglii, i od tamtej pory praktycznie się od niej odsunęła. Ale w Kanadzie mama czuła się samotna, ponieważ przez większą część roku mieszkali w dziczy.

– W dziczy?

– No dobrze, może to lekka przesada – przyznała Isabella – niemniej jej ojciec i brat zajmowali się handlem drewnem, prości ludzie w gruncie rzeczy. Papa mówił, że zamierzał zostać kawalerem po kres swych dni... że zbyt absorbowały go książki i ogrody, by miał się żenić... dopóki nie zobaczył mamy, stojącej w westybulu hotelu Adelphi w znoszonych brązowych buciorach.

– Miłość od pierwszego wejrzenia?

– Tak określał to papa.

– Piękna kobieta – stwierdził hrabia, nadal spoglądając na portret – a podobieństwo między wami jest tak wielkie, że zapiera dech.

I raptem wróciło skrępowanie.

– Raczy pan wybaczyć – odezwała się sztywno Isabella. – Rzadko miewam gości. Czy mogę zaproponować panu kieliszek sherry?

Spojrzał na nią przenikliwie.

– Czy nie wolno mi wychwalać twojej urody, Isabello?

– Wolałabym, żeby pan tego nie robił – odrzekła szczerze.

Lustrował ją przez długą chwilę.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że piękno może być przekleństwem – przemówił w końcu – i że akurat ja z pewnością o tym wiem.

– Pamiętam – stwierdziła.

– Co miałaś na myśli?

Podniosła na niego wzrok.

– Zapewne źle to ujęłam – odparła. – Jest to prawdą w przypadku kobiet. Dla kobiety piękno często bywa przekleństwem. Lecz dla mężczyzn takich jak pan, bogatych i zarazem przystojnych... nie, przypuszczam, że nie gra takiej roli. Stanowi zaledwie dodatkowy dar.

Wzruszył ramionami i popatrzył w bok.

– Zastanawiałem się ostatnio, czy jednak nie miałaś racji – rzekł w zadumie. – Czy piękny mężczyzna nie nabiera łatwiej przekonania, że wszystko mu się należy, czy przez to nie zakłada natychmiast, że czegokolwiek sobie zażyczy, będzie jego. Że, tak czy inaczej, zawsze postawi na swoim. – Umilkł na jedno uderzenie serca. – Jednakże ciebie nie będę miał, prawda, Isabello? Zrozumiałem to w chwili, kiedy cię zobaczyłem. I wiedziałem także, że będzie lepiej dla nas obojga, jeśli zostawię cię w spokoju. Nie powinienem był dać się Louisie skusić tym przeklętym listem.

Isabella wzięła głęboki oddech.

– Nie odpowiadam za to, co pan sobie założył, milordzie. Każdy z nas zмага się z własnym sumieniem.

– Ciekawi mnie, czy kiedykolwiek musiałaś to robić. – Znowu na nią popatrzył, połyskliwe niebieskie spojrzenie wędrowało badawczo po jej twarzy. – No cóż, Isabello, zadałem swoje pytanie, a ty mi odpowiedziałaś. O nic więcej nie mogę cię prosić. – Wsparł dłonie na udach, jakby szykował się do wstania. – Czy zatem mam sobie iść? Czy będzie to dla nas koniec?

Czy chciała, żeby sobie poszedł?

Boże, nie wiedziała. Nic z tego nie pojmowała, zwłaszcza zaś nie rozumiała uczuć budzących się w jej zdradzieckim sercu, kiedy go słuchała. Jego głęboki, pięknie modulowany głos topił ją jak masło, rozgrzewał do szpiku kości i osłabiał jej stanowczość.

Opuściła głowę, wykręcając dłonie na podołku.

– Nie wiem, milordzie – przyznała ze ściśniętym gardłem. – Nie wiem już, czego chcę, co myślę ani nawet, co czuję. Od powrotu z Greenwood... nic nie rozumiem. Nie rozumiem siebie, a już na pewno pana.

– Daj spokój, Isabello – nacisnął łagodnie. – Czy nie możemy przynajmniej się zaprzyjaźnić? Czy potraktowałem cię tak źle, że wydaję ci się nie do przyjęcia?

W istocie właśnie to napisał w liście: że zawsze będzie myślał o niej z czułością i pozostanie jej przyjacielem, gdyby kiedykolwiek takowego potrzebowała. Isabella uznała te słowa za komunały zrodzone z poczucia winy i chęci, by się jej pozbyć. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że

niewytłumaczalnie dostrzegą w nim wiele cech zasługujących na szacunek i... tak, nawet sympatię.

Zarazem miała również na jego punkcie lekką obsesję; obsesję, która ją przerażała i spędzała sen z powiek. Nie bała się go – co dziwne, nie o to chodziło. Zmagą się z czymś znacznie gorszym – jakimś mrocznym, niepohamowanym pragnieniem, które przepełniało ją strachem przed samą sobą. I z tego właśnie powodu chciała, żeby jak najprędzej na zawsze zniknął jej z oczu.

– Tak. – Popatrzyła na niego. – Tak, możemy się rozstać w przyjaźni.

– Rozstać się w przyjaźni – powtórzył – ale nie pozostać przyjaciółmi?

Skonfundowana rozłożyła dłonie.

– Nie zobaczymy się więcej. Należymy do różnych światów. Teraz, jeśli w ogóle kiedykolwiek było inaczej. – Opuściła znów ręce na podolek. – Przykro mi. Miło z pana strony, że pan przyszedł. Większość mężczyzn nie zawracałaby sobie głowy.

– Nie jestem większością mężczyzn – rzekł cicho.

– Nie wątpię też, że dla nas obojga jest to kłopotliwe – kontynuowała. – Być może tak długo przebywałam sama, z dala od towarzystwa, że zapomniałam, co to przyjaźń. W dodatku ten dom... nie do tego pan przywykł.

Ponownie omiół spojrzeniem pokój.

– Mocno wątpię, czy ty przywykłaś – skomentował z przekąsem. – Urodziłaś się... w Thornhill, jak sądzę, siedzibie twego ojca?

– W Sussex, tak – potwierdziła cicho. – Ale od lat tam nie mieszkam.

– Od śmierci ojca?

– Nie, wyprowadziłam się wcześniej – odparła. – Kiedy ojciec ponownie się ożenił. Miałam wtedy... chyba dziewiętnaście lat.

– Ach – rzekł cicho. – I wówczas zostałam guwernantką?

– Ponieważ chciałam – doprecyzowała szybko. – Przepadam za dziećmi. Moja macocha wniosła do małżeństwa dziecko, siostrę, którą uwielbiam, przeszkadzałabym jednak nowożeńcom. Uznałam, że najlepiej zrobię, jeśli wyjadę. No i wyjechałam.

– No i wyjechałaś – powtórzył odrobinę cierpkim tonem. – A ojciec ci nie zabronił? Powinien był. Powinien był nad tobą czuwać.

– Ma pan czarująco staroświeckie poglądy – stwierdziła.

– Czy naprawdę uważasz za staroświeckie, Isabello, kiedy mężczyzna strzeże tego, co do niego należy? – zapytał bardzo cicho.

Wzruszyła ramionami.

– Jako że nigdy mnie nie strzeżono, wstrzymam się od osądu – odparła. – Tak czy owak, papa nie zdołałby nikomu czegokolwiek zabronić. Długo by szukać równie pobłażliwego i wyrozumiałego człowieka.

– Nie jestem pewien, czy pobłażliwość i wyrozumiałość są najbardziej pożądanymi cechami u mężczyzny, który musi zarządzać majątkiem i rodziną – skonstatował Hepplewood. – Stanowczość i zdolność utrzymania dyscypliny niekiedy bardziej się przydają.

Isabella uśmiechnęła się krzywo.

– Tak, nie są mi obce pańskie poglądy na stanowczość i dyscyplinę – mruknęła.

Parsknął sarkastycznym śmiechem i odwrócił wzrok.

– Przy całej swej skromności umiesz pokazać mężczyźnie, gdzie jego miejsce, Isabello – powiedział.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że całkiem niedawno w nader despotycznym stylu kazał mi pan wejść do mojego własnego domu? – zapytała. – I zwrócił się pan do mnie przy tym po imieniu?

– Nie. – Uśmiechnął się sardonicznie. – Nie zdawałem sobie sprawy. Przypuszczam, że Tafford będzie

miał o czym opowiadać dziś przy obiedzie.

Na jej twarzy najwidoczniej odmalował się niepokój.

– Wybacz mi – dodał hrabia. – Nie chciałem narobić ci kłopotów.

– To Everett jest kłopotem – stwierdziła. – I niewiele mnie obchodzi, co się o mnie mówi przy jego stole. Na pewno nie będzie to nic miłego.

Hrabia zdawał się dumać nad tym, postukując długim, szczupłym palcem wskazującym o podłokietnik fotela.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze? – spytał po dłuższej chwili. – Możemy rozmawiać swobodnie?

Wspominałaś, że masz młodsze siostry.

Poruszyło ją, że zapamiętał. Z drugiej strony, zapewne pamiętał każdą bez wyjątku sytuację, kiedy ktoś ośmielił się przeciwstawić jego woli.

– Tak, Jemimę i Georginę – odparła. – Pojechały do Brighton z panią Barbour, która pomaga mi się nimi opiekować.

– Jemima i Georgina – powtórzył miękko. – Czyli wolno mi znać ich imiona?

– A czy tak naprawdę byłabym w stanie je przed panem zataić? – zaatakowała. – Wie pan, gdzie mieszkam. Znalazł się pan w moim domu... i czuje się pan tu swobodnie, jeśli mogę zauważyć. Poznał mnie pan w najbardziej intymny sposób. Bądźmy więc realistami, milordzie. Nie ma niczego, co zdołałabym przed panem ukryć, niczego absolutnie, i dziwię się, że w ogóle próbowałam.

Zaskoczył ją, gdyż poderwał się z fotela i podszedł do okna, przeciągając dłonią po gąszczu niesfornych loków – jedynym szczególe, który nie podlegał u tego mężczyzny bezwzględnej kontroli.

Zmierzchało już, na drodze było pusto. Zastanowiła się przelotnie, jak udało mu się pojawić tak znieścacka. Jego ubiór – wąskie czarne spodnie i elegancki frak z wyśmienitej wełny merynosów – świadczył o tym, że przyjechał powozem. Ale samego pojazdu nigdzie nie zauważyła.

Po jakimś czasie wsparł płasko dłoń na niskim parapecie, drugą zaś na biodrze, odgarniając do tyłu połę fraka, tak że odsłonił łuk smukłej talii.

– Isabella – rzekł chrapliwie w szybę – czy inaczej by się to wszystko dla nas skończyło, gdybym... gdybym był czulszym kochankiem?

– To pytanie musi pan zadać samemu sobie, milordzie – szepnęła – ponieważ ja tego nie kończyłam.

Z zaskoczeniem zerknął na nią przez ramię, po czym opuścił rękę.

– Tak, ale nie o to mi chodziło i sędzę, że o tym wiesz – powiedział.

Pokręciła głową.

– Nie. Nie wiem. Bardzo często odkrywam, że pana nie rozumiem.

Odwrócił się od okna, dwoma długimi krokami przeciął pokój, po czym opadł przed nią na kolano i chwycił jej dłonie w swoje – ciepłe, smukłe i zaskakująco delikatne.

– Czy mogłabyś obdarzyć mnie choć niewielkim uczuciem, Isabella, gdybym był innym człowiekiem? – spytał ochryple. – Mogłabyś? Gdybym spróbował?

– Darzę uczuciem człowieka, jakim jest pan teraz – odrzekła. – Albo raczej czuję... coś. Coś, czego nie potrafię wyrazić słowami. Na własny użytek nazywam to obsesją.

– Wróć do Greenwood, Isabella – poprosił. – Wybacz mi. Odsyłając cię, popełniłem potworny błąd.

– Nie wydaje mi się pan mężczyzną, który popełnia błędy, milordzie – odparła – bądź lekkomyślnie podejmuje decyzje.

– Anthony – skorygował. – Lub Tony. Mogłabyś tak się do mnie zwracać, Isabella, kiedy jesteśmy sami? Nie podoba mi się ta ceremonialność w naszych relacjach. Wydaje się taka... zimna. Nie odzwierciedla tego, co razem tworzymy.

Ale po tym wieczorze nie będą więcej sami, pomyślała na własny użytek. Nie wróci do

Buckinghamshire. Ta myśl przepełniła ją bolesnym poczuciem straty, mimo świadomości, jakie to głupie.

– Wróc ze mną – powtórzył – a spróbuję się powściągnąć, jeśli tego potrzebujesz. Dawniej byłem... delikatniejszy, jak sądzę. Postaram się znów taki być. Poznajmy się lepiej, nim zdecydujemy, że nie pasujemy do siebie.

Pokręciła głową.

– Nie. Nie mogę.

Przez jego twarz przemknął cień.

– Czy jest ktoś inny? – zapytał władczo, mocniej ściskając jej dłonie. – Isabella, jest?

– Nie – odparła ostro, marszcząc brwi.

Jednakże Hepplewood zdążył już zwiesić głowę i wpatrywał się w ich złączone dłonie.

– Wybacz mi – powiedział. – Odkrywam u siebie niewytłumaczalną zazdrość. I proszę, nie mów, że nie mam do niej prawa. Wiem, że nie mam, lecz to niczego nie zmienia.

Lecz Isabella przypomniawszy sobie drwiny lady Petershaw. Hrabia istotnie miał podstawy, żeby się zastanawiać, czy Isabella nie grzeje już łoża innego mężczyzny. Ale zazdrość? Taka reakcja kompletnie do niego nie pasowała. Odkąd to mężczyzna pokroju hrabiego Hepplewooda choć przez moment przejmuje się kimś takim jak ona?

– Nie ma nikogo innego – oświadczyła. – I nie będzie. Nie nadaję się do takiego życia. Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Wtedy podniósł na nią wzrok.

– Isabella, o czym ty mówisz?

Pokręciła głową.

– Odesłał mnie pan nie bez powodu – stwierdziła. – Proszę o tym teraz nie zapominać. Jestem... zaledwie guwernantką, bez względu na to, za jak piękną mnie pan uważa. Muszę sobie znaleźć inny sposób na życie.

Wwiercał się w nią oczami błękitnymi jak lód.

– Sądzisz, że nie udało ci się mnie zadowolić.

Choć nie było to pytanie, tak czy owak, wzruszyła ramionami.

– Och, Isabella.

Delikatnie ujął jej twarz w dłonie. W jego oczach czytała kolejne słowa, ale nie rzekł nic więcej. Zamiast tego nachylił się ku niej i leciutko pocałował ją w usta. Wypowiedział cicho jej imię i złożył pocałunek na policzku, a później w kąciku ust; pocałunki czułe jak muśnięcia skrzydeł motyla.

– Och, kochana, zadowalas mnie ponad miarę – szepnęła.

– Dlaczego więc mnie pan odesłał? – zapytała natarczywie. – Praktycznie bez wyjaśnienia, jeśli nie liczyć listu pełnego mglistych nonsensów? Tak, wyjechałam, milordzie, i to szybko... zanim zdążył pan zmienić zdanie. Albo, co gorsza, zanim sama bym je zmieniła.

Ku zawstydzeniu Isabelli pod koniec głos jej zadrżał, a wtedy jego oczy zmiękczył wyraz podobny do smutku. Potem hrabia przytrzymał od tyłu jej głowę i pocałował ją na poważnie, wdzierając się głęboko w jej usta, smakując.

Isabella odniosła wrażenie, że skoczyła na główkę do ciepłej, wirującej wody. Wzbierała wokół niej, wciągała ją w głąb, aż przewracało jej się w żołądku. Jakby wiedzione własną wolą, jej dłonie prześlizgnęły się po torsie hrabiego i opłoty mu szyję, Isabella zaś cała oddała się doznaniu.

Kiedy się odsunął, ręce miała wplecione w jego włosy, podczas gdy on dyszał ciężko, a płatki jego nozdrzy pracowały.

– Chodź ze mną do łóżka jeszcze raz – wychrypiał. – Wyjedź ze mną. Dzisiaj. Do Greenwood. Gdziekolwiek. Pozwól, żebym ci pokazał, jak wyśmienicie mnie zadowalas.

Pokręciła głową, otwierając szeroko oczy.

– Nie mogę. Nie... nie w ten sposób.

W pokoju zrobiło się już ciemno, jego sylwetka tonęła w mroku. Raz jeszcze delikatnie ujął w dłonie jej twarz.

– Czy ty się mnie boisz, Isabello? – szepnął. – Czy jestem za brutalny? Zbyt wymagający? Nie powinienem był potraktować cię tak szorstko.

Znowu pokręciła głową.

– Ja... chyba boję się samej siebie – odparła. – Boję się tego, co czuję, kiedy jestem z panem. Pragnień, które pan we mnie budzi.

Pocałował ją po raz kolejny i emocje wezbrały na nowo. Smakował winem i grzechem, od jego skóry falami unosił się żar, doprawiony jego znajomym zapachem; mieszanka mydła, kasztanowca i jakiejś woni, którą zdążyła mgliście zidentyfikować – chyba sandałowca – tuż przed tym, jak wpił się w jej usta, drapiąc policzek ciemnym zarostem.

Isabella odwzajemniła pocałunek, splatając język z jego językiem, oddając jego pchnięcia, tak jak jeszcze kilka krótkich tygodni temu nigdy by się nie ośmieliła. Odpowiedział płynącym z trzewi, niemal prymitywnym jękiem i wdarł się głębiej, przesuwając dłoń ku włosom na jej skroni.

Krew łomotała jej w uszach, kiedy Isabella odsunęła się nieznacznie.

– Proszę mnie wziąć na górę – odezwała się cicho, na pół opuszczając powieki. – Tylko... ten jeden raz. Proszę? Zabierze mnie pan?

Pocałował ją znowu, szybko i mocno.

– Zabierzesz mnie, Anthony – skorygował.

– Zabierzesz mnie, Anthony – szepnęła – do łóżka, żebyśmy poczuła się...?

– Poczuela się jak? – Z trudem przełknął ślinę, grdyka przesuwała mu się pod jedwabnym węzłem halsztuka. – Powiedz mi. Jak?

– Tak jak w Greenwood – szepnęła, ciesząc się, że ciemność skrywa jej rumieniec. – Chcę poczuć... Dobry Boże, nie zmuszaj mnie do ubierania tego w słowa. Nie potrafię tego nawet wytłumaczyć.

Ale i tak nie miałyby szansy czegokolwiek tłumaczyć; Hepplewood wstał i zgarnął ją z fotela, jakby nic nie ważyła.

– Gdzie? – zapytał, ruszając schodami na piętro.

– Na tyłach – odparła. – Środkowe drzwi.

Wniósł ją do wąskiego pokoju, tak ciasnego, że musiał odwrócić się bokiem, żeby jej buty nie uderzały o ścianę. Wlewał się tu blask księżyca, mleczną poświatą znacząc łóżko Isabelli.

Rozbierali się nawzajem w gorączkowym pośpiechu, jego dłonie były szorstkie i niecierpliwe, zupełnie inaczej niż w Greenwood. Tam był mistrzem kontroli. Teraz zdawał się inny; ją może i kontrolował w takim samym stopniu, lecz nad sobą panował jakby mniej.

Kiedy stanęła przed nim naga, odwrócił się ku niej, a jego oczy połyskiwały w blasku księżyca.

– Isabello.

Obnażony do pasa, ze spodniami zwisającymi ze szczupłych bioder, ujął od tyłu jej głowę i pocałował ją głęboko, przywierając ciałem do jej ciała.

Czuła pulsowanie ciężkiej erekcji, napierającej na jej brzuch, miękkim zarostem torsu drażnił jej piersi. Ponownie wędrował ustami po jej twarzy, nieskończenie czulej, prześlizgując się dłońmi w jej włosach.

– Ile, kochana? – spytał chrapliwie. – Ile mamy czasu?

– Odesłałam wszystkich aż do jutrzejszego popołudnia – przyznała i w następnej chwili pojęła, że zrobiła to celowo, że pragnęła tego, pragnęła jego.

– Niecna dziewczyna – wymamrotał, ocierając się nosem o jej twarz i szyję. – Zaplanowałaś to, Isabello? Powiedz?

Wzruszyła ramionami.

– Pragnę tego teraz. – Przekrzywiła głowę, ułatwiając mu dostęp, kiedy skubał wargami jej szyję. – W ten sposób myślę, kiedy jestem z tobą: zatopiona w terażniejszości. Pragnę tego teraz, Anthony. W tej chwili pragnę doznań, które mi ofiarujesz, i to jedyne, co do czego mam pewność.

Pchnął ją na wąskie łóżko. Patrząc jej w oczy, odpiął ostatni guzik u spodni, szarpnięciem rozwiązał kalesony i natychmiast wszystko zdjął.

Tym razem mniej niespokojna, Isabella pozwoliła sobie na luksus obserwacji. Był doskonale, przepięknie zbudowany, wzrostu dobrze ponad metr osiemdziesiąt, szczupły i gibki. Barczysty, o muskularnych ramionach. Ciemny zarost oprószający mu klatkę piersiową gęstniał, zmierzając w dół ku kępie ciemnych loków, pomiędzy których sterczała jego męskość, sztywna i mocno ukrwiona.

– Boisz się, Isabello?

– Nie. – Przełknęła ślinę. – Tak. Trochę.

Zbliżył się do krawędzi łóżka i nieco brutalnie ujął ją pod brodę.

– Nie bój się. Powiedz mi, czego pragniesz. Chcę cię zadowolić, kochana.

Przez chwilę nie potrafiła wykrztusić słowa.

– Chcę... chcę, żebyś ty mi powiedział.

Na jego twarzy pojawiła się konfuzja.

– Powiedział ci co? – spytał cicho, nie puszczając jej brody. – Dzisiaj to ty decydujesz, Isabello. Ty.

Zamknęła oczy.

– Chcę być twoja – wyznała. – Przez chwilę poczuć się tak, jakby moje miejsce było pod tobą. Nie chcę... nie chcę dokonywać wyborów.

– Pragniesz mi się podporządkować? – zasugerował, a w jego głosie raptem pojawiła się niebezpieczna nuta.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Pragnę poczuć się bezpieczna – szepnęła.

– Aha – rzucił takim tonem, jakby objawiono mu właśnie tajemnice wszechświata. – Zaczynam pojmować. Chociaż coś mi się zdaje, że prosisz o zdżone rzeczy, kochana. A przyszedłem nieprzygotowany.

Opuściła wzrok na jego sztywny członek.

– Nie – powiedziała, czując suchość w ustach. – Nie, moim zdaniem wręcz przeciwnie.

Jakby puściła w nim tama.

– Pragnę cię, Isabello – szepnął. – Przywołujesz coś we mnie, te staroświeckie poglądy, jak się obawiam, a później porzucasz je, by paliły mi wnętrzności.

Spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

– Jakikolwiek jesteś – powiedziała – nie zaprzeczę, że cię pożądam. Teraz. Jeśli to się zmieni... powiem ci.

– Powiesz? – powtórzył. – Jeśli to zrobisz, Isabello, uhonoruję twoją decyzję. Przeszanę. Albo odejdę. Postąpię tak, jak tylko będziesz sobie życzyła. Wierzysz mi?

Wierzyła; nosił w sobie potężną siłę woli. Jednakże w tej chwili pragnęła, żeby przestał gadać. Jej język wystrzelił, niecierpliwie oblizując kącik ust.

– Chodź tu, Isabello – polecił szybko hrabia, dając jej znak. – Na kolana, skarbie.

Przeciółgała się z powrotem na koniec wąskiego łóżka, żeby przed nim uklęknąć. Wolno wyjął resztę szpilek z jej włosów, tak że spłynęły kaskadą w dół. Następnie przeciągnął po nich dłońmi, wygładzając

je na całej długości, aż połaskotały Isabellę w podeszwy stóp.

Wydał z siebie gardłowy pomruk uznania. Chwycił jej włosy w garść i kilkakrotnie owinął sobie wokół dłoni, aż trzymał ją mocno przy karku. Głośno wypuściła powietrze z płuc, a wtedy jeszcze wzmocnił chwyt.

– Nachyl się, kochana, i weź do ust mój członek.

Uniosła brew.

– Mam ci zrobić fellatio? – spytała domyślnie.

– Hm, ktoś tu znalazł słownik – mruknął – w dodatku pełen grzesznych słów. Tak, kochana. Ssij mnie. Na kolana i naucz się robić to, jak trzeba... a później, wierz mi, oddam ci przyjemność z nawiązką.

Jednakże Isabella nie potrzebowała słownika; po prostu zapytała markizę. Dama roześmiała się i z prywatnej biblioteczki wzięła album pełen skandalicznych rysunków, jak również pięknie wykonaną książkę o pozycjach seksualnych, której tytułu Isabella nie potrafiła wymówić.

Nie musiała go wszakże wymawiać, żeby wiele się z niej nauczyć. Nachyliła się, włosy spłynęły jej na ramiona. Dla zachęty popchnął lekko jej głowę.

Polizała go z wahaniem.

– Weź mnie w rękę – rozkazał, zacieśniając uchwyt. – Zamknij dłoń na moim członku, mocno, i powoli wsuń go między wargi.

Isabella wykonała polecenie, przy czym serce szybko biło jej w piersi. W dotyku jego ciało przypominało ciepłą satynę; nie, w zasadzie rozpaloną i opiętą na nabrzmiałej żołądzi.

Ostrożnie wzięła go do ust i przeciągnęła dłonią po jego długości, tak jak widziała, że sam się dotykał.

Przez jego ciało przebiegło westchnienie.

Giętkim językiem okrążyła żołądz.

Jęknął z głębi piersi. Zaciskając w garści jej włosy, wepchnął się w nią głębiej, aż do gardła, a wtedy wstrząsnął nim potężny dreszcz. Pociągnął ją w tył, Isabella zaś podporządkowała się jego woli.

– Jeszcze raz – wykrztusił, wsuwając się w jej usta. – I... aaach... Boże, Isabello... właśnie tak. Dokładnie... dokładnie tak.

Raz za razem brała go głęboko do ust, prowadzona ręką, w której brutalnie zaciskał jej włosy. Wdzierał się w nią miarowo, aż jego ciałem zaczęły wstrząsać potężne dreszcze.

Ryzykując, że wywoła jego niezadowolenie, cofnęła się minimalnie, żeby nań spojrzeć. Odrzucił w tył głowę, napinał mięśnie szyi.

– Isabello, Chryste! – wycharczał. – Za szybko, kochana... och, ty niegodziwa... aaach...!

Trzymany przez nią członek pulsował; moment później wyrwał go z jej ust i chwycił w dłoń, tryskając nasieniem.

Isabella przyglądała się zahipnotyzowana, dopóki pustoszące go spazmy nie straciły na sile.

Opuścił rękę. Nadal na nią patrzył, jego płaski brzuch przecinało ostrze księżycowego blasku.

– Boże Wszchemogący, Isabello – wykrztusił.

– Było dobrze? – spytała z nutką dumy. – Nauczyłam się robić ci fellatio?

– Doskonale, kochana, dokładnie tak, jak chciałem – mruknął.

Złapał kalesony, żeby wytrzeć dowód swej namiętności, po czym wczółgał się na łóżko, a gęste włosy opadły mu na czoło, ocieniając oczy.

Umknęła ku poduszkom.

– Czyli tak lubisz, Isabello? – spytał, nie spuszczając z niej oczu, gdy się zbliżał. – Kiedy mówię ci, co masz robić? Kiedy zmuszam cię, żebyś mnie zadowalała? I daję ci to, czego moim zdaniem potrzebujesz?

– Tak. – Oblizła wargi, trawiona pożądaniem. Cudem udało jej się nie odwrócić wzroku. – Tej nocy tak. Po prostu... rozkazuj mi, proszę.

– Wobec tego się połóż – polecił z napięciem.

– Tak – odparła, cofając się przed nim.

Pchnął ją na poduszki i wspiął się nad nią.

– Mógłbym cię teraz wziąć, Isabello – oznajmił, patrząc z góry w jej oczy – i, och, kochana, zrobię to... ale za jakąś chwilę. A na razie odrobinę się zabawimy, hm?

Z trudem przełknęła ślinę, zmagając się z gulą w gardle.

– Tak – szepnęła.

– Tak, Anthony – poprawił. – Tak, kochany, spełnię każdy twój rozkaz.

Udało jej się skinąć głową.

– Tak, Anthony – powtórzyła szeptem. – Spełnię każdy twój rozkaz.

Przeciagnął palcem po jej policzku.

– Wiesz, Isabello, prawie ci wierzę – zamruczał. – A teraz kładź się na plecach i zamknij oczy.

I pamiętaj, że masz słuchać moich rozkazów.

Trochę niespokojnie wykonała polecenie, obserwując go czujnie spod osłony rzęs.

– Powiedziałem: zamknij oczy – rzucił ostro. – Oszukujesz.

– Tylko troszeczkę – szepnęła. – Chciałam się przekonać, czy...

W okamgnieniu złapał ją w tali i przełożył sobie przez kolano. Wziął solidny zamach i otwartą dłonią wymierzył jej klapsa w prawy pośladek.

– Coś mi się zdaje, że celowo jesteś nieposłuszna, Isabello – warknął, zarazem rozcierając ciepłą dłonią jej pupę, by złagodzić ból. – Chyba próbujesz sprawdzić, jak daleko się posunę.

– N-ie w-iem – wydukała. – Być może. Ja... nie wiem.

– Moim zdaniem trzeba ci silnej ręki, kochana. – Wymierzył jej parę kolejnych klapsów, aż jej skóra płonęła. – Potrzebujesz tego, Isabello. Powiedz to.

– Potrzebuję – powtórzyła. – Och, potrzebuję... potrzebuję...

– Wiedzieć, kto tu rządzi? – Uderzył ją jeszcze dwa razy, aż podskoczyła. – O to chodzi, kochana?

O to.

Niech jej Bóg dopomoże, ale właśnie o to.

Wiedziała, że powinna się wstydzić. Pośladki drżały jej od uderzeń, zamknęła oczy i nabrała tchu, żeby uzbroić się przeciw bólowi. Choć leżała twarzą w dół, czuła na pupie jego wzrok. Przeszył ją dreszcz niecierpliwego wyczekiwania, kiedy przewidywała kolejne uderzenie.

Nadeszło, słodkie i piekące, a jej ciało rozbrzmiało w odpowiedzi. Złakniona, wiała mu się na udzie.

– Och, Isabello, naprawdę musisz pojechać ze mną do Greenwood – rzekł tak cicho, że ledwie go usłyszała. – Gdybyśmy tam byli, kochana, otworzyłbym moją szufladę z zabawkami i ujarzmił cię należycie.

– Jak... w jaki sposób? – szepnęła.

– Najpierw przywiązałbym cię do łóżka za nadgarstki. – Jego głos rozlegał się chrapliwie w mroku, palce zagłębił między jej pośladki, by ją tam gładzić. – Twarzą w dół, oczywiście. I, och, kochana, mam coś takiego, że wiałabyś się i błagała o więcej. Zabaweczki z kości słoniowej. – Mruczał kojące słowa, masując jej pośladki. – Tak, kochana, coś mi się zdaje, że jesteśmy oboje bardziej żądni przygód, niż nam się śniło. Przy okazji, kochana, czy ty czasem śnisz?

– Tak – szepnęła.

– Wolno mi mieć nadzieję, że o mnie?

Zawahała się.

– Tak, o tobie – przyznała. – Co noc. Nieustannie.

Wsunął dłoń niżej, między jej nogi a swoje udo, żeby popieścić ją intymnie. Była już mokra. Jej twarz

płonęła.

– O czym śniesz, Isabello? – Wsunął palec głębiej, pocierając rozkosznie. – Śniesz o tym, jak leżysz pode mną? Jak napełniam cię nasieniem? O bólu zadawanym moją dłonią? A wtedy, Isabello, czy się dotykasz? W ten sposób?

Przez chwilę odmawiała odpowiedzi. Wycofał palec i zorientowała się, że znów bierze zamach, a wtedy poczuła ból i rozkosz pulsujące w pośladkach, mimo że uderzenie jeszcze nie nadeszło. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– Isabello? – rzucił ostrzegawczo. – Kiedy zadaję ci pytanie, odpowiadasz. Albo karzę cię za nieposłuszeństwo. Albo mnie stąd wyrzucasz. Rozumiesz, jaki masz wybór?

– Tak – odparła. – Ale zapomniałam pytania.

– Nie, nie zapomniałaś – powiedział niskim głosem. Niemniej znów sięgnął dłonią do jej wilgoci i popieścił ją głęboko. – Och, jaka mokra i rozkoszna, kochana. Kiedy przychodzę do ciebie w snach, dotykasz się w ten sposób?

– Tak! – krzyknęła. – Tak, czasami. Ponieważ doprowadziłeś mnie do upadku. Budzę się w gorączce, na pół oszalała, boleśnie tęskniąc za... za czymś. I tak, wkładam tam rękę. Ale to nie to samo. To nigdy nie jest to samo.

– Nie – przyznał ze smutkiem. – Z całą pewnością nie.

– Pozwól mi wstać. – Zaczęła się wiercić. – Byłam grzeczna, Tony. Zrobiłam ci fellatio, zaspokoiliam cię i...

Zaśmiał się, tym razem czulej.

– ...i próbowałam jedynie podejrzeć, co mi robisz. Nie bij mnie więcej. Proszę.

– Och, błągasz tak słodko. – Nachylił się i pocałował jej biodro. – No dobrze, kochana, byłaś... przeważnie... bardzo grzeczną dziewczynką. Idź i nie grzesz więcej.

Zgramoliła się z jego uda – potężnego, twardego uda, od którego cała pulsowała – i wtuliła znów w poduszki.

– A teraz leż, Isabello – rozkazał – i nie otwieraj oczu, dopóki ci nie pozwolę. Jeśli nie posłuchasz... och, Isabello, będę musiał zdrowo zerznąć tę twoją piękną, różową pupę, a wierz mi, nie jesteś na to gotowa.

– Nie patrzę – odparła, pełna obaw, że nie żartował, oraz żalu, że obejrzała rysunki lady Petershaw, gdyż wiedziała teraz, iż to, czym jej groził, bynajmniej nie było niemożliwe.

Chodził po pokoju, przeszukując ubrania, na ile poznawała po odgłosach.

– Co robisz? – spytała cicho.

– Zaskoczę cię – odrzekł.

– Och, to wiem – zaprotestowała – ale w jaki sposób?

– Isabello – powiedział, strzepując coś, chyba swój halsztuk. – Czy chcesz, żebym się tobą zajął i dał ci to, czego potrzebujesz? Czy chcesz być posłuszna i zaufać mi, kiedy będę się z tobą kochał? Czy też wolisz przejąć stery? Ponieważ dałbym ci się przekonać, skarbie. Po prostu nie wydaje mi się, że tego właśnie chcesz.

Isabella nie odpowiedziała.

Nie tego chciała. Pragnęła oddać się cała komuś silnemu – jemu – czuć na sobie jego ręce i ciężar ciała, przytłaczający i stanowczy. Poczuć go głęboko w sobie, kiedy wgniecie ją w miękki materac, biorąc od niej rozkosz i oddając ją w dwójnasób. Miała dość poczucia winy, że czerpie radość z tego, co jej robił.

Dobry Boże, co jest ze mną nie tak?

Ta myśl uleciała jej z głowy, kiedy twarz musnął jej podmuch, przynosząc woń świeżego płótna

i krochmalu.

– Co to takiego? – wypaliła. – Czy to... czy to twoja chusteczka do nosa?

Trzasnął ją mocno w biodro.

– Żadnych więcej pytań, Isabello – rozkazał – albo cię odwrócę i po królewsku spiorę ci tyłek, bynajmniej nie ręką.

– Nie masz szpicruty – wytknęła mu.

– Jesteś pewna? – spytał. – Zostawiłem powóz w zajeździe niedaleko stąd. Mam tam pójść i sprawdzić, kochana? Albo, proszę, inny pomysł, może po prostu utnę witkę z brzozy po drugiej stronie drogi?

– Będę grzeczna – obiecała, prężąc ciało jak żołnierz. – Chociaż jesteś kompletnie nagi, Tony, a twoja... twoja rzecz znów sztywnieje. Moim zdaniem nigdzie się nie wybierasz.

– Moja „rzecz”? – powtórzył zranionym głosem. – Dla twojej wiadomości, bezczelna panno, ta szlachetna piękność zwie się penisem. Później każę ci to powtórzyć. Ale teraz już ani słowa. Ręka nie piecze mnie aż tak bardzo, żebym nie mógł zrobić z niej znów użytku.

Z tymi słowy naciągnął jej na twarz chusteczkę, a później zwinął ją jak opaskę na oczy.

– Odwróć głowę – polecił.

Posłuchała, czując lekki dreszcz. Mocno zawiązał chusteczkę na jej potylicy i przyciągnął znów Isabellę do siebie, by pocałować ją głęboko, raz za razem stanowczo wpychając język do jej ust.

Uzmysłowiła sobie zniecka, że za sprawą chwilowej niezdolności widzenia jej pozostałe zmysły osobiwie się wyostrzyły. Westchnęła przeciągle, kiedy przerwał pocałunek.

Raptem coś zacisnęło się na jej nadgarstku.

Szarpnęła się instynktownie, w gardle wezbrała jej panika.

– Co to jest?

– Sznurki od moich kalesonów – odparł mrocznym głosem. – Zamierzam przywiązać cię do łóżka i zażyć rozkoszy bardzo, bardzo powoli... ale najpierw, skarbie, bądź łaskawa przetoczyć się odrobinę w lewo.

Zrobiła to, niespokojna. Wymierzył jej kolejnego mocnego klapsa, całe jej ciało zaskwierczało z bólu.

– Au! – zaprotestowała, zszokowana, lecz zarazem osobiwie pobudzona. – Co ja zrobiłam?

– Zadałaś pytanie – wyjaśnił ochryple. – Zacziesz mnie wreszcie słuchać, Isabello? Ponieważ ręka naprawdę mnie już piecze. I to ty mnie tutaj zaprosiłaś.

Potaknęła, a on ostrożnie przetoczył ją z powrotem na obolały pośladek. Moment później jej nadgarstek został kilkakrotnie opleciony sznurkiem, wierzchnią stroną palców dotykała żelaznej ramy łóżka.

Boże, czy kiedykolwiek zdoła leżeć tutaj samotnie ciemną nocą i nie pamiętać o tym?

Ale co on właściwie robił? Bez wątpienia pętał właśnie jej prawy nadgarstek – mocniej nawet niż lewy, a w jej sercu przelotnie zatrzepotał strach. Mógłby nawet teraz wyjść. Porzucić ją w tym stanie.

Jednak tak nie postąpił. Przemieścił jej nadgarstek nad głowę, a zimne żelazo naparło między jej kciuk a palec wskazujący, kiedy mocno zawiązywał sznurek.

– Wytrzymaj, kochana – rzekł z mroczną satysfakcją. – Coś mi się zdaje, że znalazłaś się na mojej łasce.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Wejdiesz we mnie teraz? – szepnęła.

– Boże, Isabello, nie kolejne pytanie – rzucił jakby z rozdrażnieniem. – Ty najwyraźniej chcesz być karana.

Łóżko ugięło się pod jego ciężarem, a potem wyczuła, że podkrada się ku niej po materacu jak

drapieżnik.

– Będę już cicho – szepnęła.

Teraz wczułgiwał się na nią.

– A ponieważ ręka mnie piecze, kochana – rzekł – chyba będę musiał odwrócić czymś twoją uwagę.

– Tak?

– Isabello – warknął jej do ucha – czy to było pytanie?

– Nie, milordzie – szepnęła.

– Nie, tak też myślałem – rzekł, obwodząc językiem muszelkę jej ucha.

Sunął w dół po łuku jej szyi, całując i gryząc. Słyszała, jak wciąga nosem zapach jej skóry. Czowała drapanie jego zarostu i twardniejący ciężar erekcji, którą ocierał się o jej brzuch.

Wszystko – każde doznanie – raptem zintensywniało. Jej nerwy wyczuliły się wskutek klapsów oraz niecierpliwego wyczekiwania na to, co nastąpi.

Westchnęła cichutko.

Złapał zębami jej sutek i ugryzł – mocno. Pisnęła, on zaś natychmiast zaczął łagodzić ból pieszczotą języka, zanim znów wessał ją głęboko w usta.

Kiedy jej sutki były już mokre i twarde jak kamień, odsunął się i lekko okrążył jeden z nich palcem.

– Z chęcią przyozdobiłbym je długimi, łezkawatymi ametystami – zamruczał.

Wstrzymała oddech, a później przypomniała sobie ból klapsów.

– Nie wolno mi zadawać pytań – szepnęła słabo.

– Mhm – mruknął. – Ale jesteś ciekawa, nieprawdaż?

– Troszeczkę – odparła na bezdechu. – To nie było pytanie.

Musnął ją koniuszkiem języka w najdelikatniejszej, najbardziej dręczącej pieszczocie.

– Mały pierścień z kamieniem umieszczony tutaj dostarczyłby ci wiele przyjemności – rzekł, pocierając jej sutek między kciukiem a palcem wskazującym – a wiązałoby się to jedynie z krótkotrwałym, niewielkim bólem. Później przekonałabyś się, że dyndający kamień utrzymuje cię w stanie ciągłego pobudzenia... jak również tęsknoty za mną, jeśli dobrze rozegram sprawę.

– Nie wierzę, że robi się takie rzeczy – powiedziała. – Stwierdzenie, nie pytanie.

– Nieczęsto, nie. W niektórych krajach to plemienna praktyka, poznałem też pewną francuską damę, która bardzo ją sobie chwaliła. – Nadal okrążył palcem jej ściągnięty sutek. – Pomyśl o tym. Jeśli zechcesz, kupię ci ciężki platynowy łańcuch, żeby je połączyć. Prezentowałby się pięknie na twojej skórze.

Isabella usiłowała napomnieć samą siebie, że chodzi tylko o tę jedną noc – ten jeden raz więcej – ale czuła się tak, jakby wkroczyła do innego świata; świata naturalnej, nieskrępowanej seksualności. Każdy jego komentarz zdawał się sugerować wyjątkowego rodzaju kontrolę tam, gdzie tak jej przecież brakowało.

– Zakułbyś mnie w łańcuchy – wymamrotała.

– O tak – przyznał. – Gdyby leżało to w mojej mocy, Isabello, uczyniłbym z ciebie moją niewolnicę. W tej chwili zabrałbym cię z powrotem do Greenwood i przykuł łańcuchem do łóżka. I, szczerze, nie sądzę, żebym kiedykolwiek pozwolił ci odejść.

Jednakże nie wracała do Greenwood i oboje o tym wiedzieli.

Ta noc była dla niej; podporządkować mu się raz jeszcze i napawać mroczną, grzeszną przyjemnością. Zaspokoić nieczystą tęsknotę, jaką w niej wyzwolił. Łaskawe nieba, porównywanie tego, co jej robił, z nieporadnym gmeraniem Richarda pod jej koszulą nocną było jak zestawienie kałuży płonącej oliwy z łyżeczką letniej wody.

Całował ją między piersiami, wędrując wolno w dół. Kiedy otarł się ustami o jej brzuch, po jej skórze

przebiegł dreszcz. Zanurzył język w jej pępku, a gorąca rozkosz skrzyła jej żołądek i zaczęła ją szarpać między nogami, aż Isabella krzyknęła z tęsknoty za nim.

– Cierpliwości, kochana – zamruczał, miękko sunąc wargami po jej ciele.

Później przeciągnął koniuszkiem języka po wewnętrznej stronie uda, a jej ciałem wstrząsnął spazm i naprężyła więzy.

– Cicho – szepnął, rozczapierzając dłoń na jej brzuchu i dociskając ją do materaca. – Leż spokojnie, Isabello. Bądź teraz bardzo grzeczną dziewczynką, tak jak obiecałaś, hm?

Otworzyła usta, żeby zapytać go, co robi, ale prędko je zamknęła. Przetoczyłby ją tylko na bok i dał kolejnego klapsa – albo gorzej.

Przy czym w tym celu musiałby zarzucić to, do czego właśnie się przymierzał, o cokolwiek chodziło...

– O Boże! – wykrztusiła.

Wepchnął język w najbardziej niezwykle miejsce i wsparł dłonie o wnętrze jej ud, niespiesznie nakłaniając ją do ich rozwarcia. Na moment się napięła, szarpiąc za pęta w ślepym pomieszaniu.

– Ciii... kochana, ciii... – powiedział, znacząc znów szlak z pocałunków w górę jej brzucha. – Leż spokojnie i pozwól, że zrobię to po mojemu.

– Ale ja-ja-ja... nic nie widzę – wykrztusiła, mocując się z ramą łóżka. – Co robisz?

– Isabello – rzekł surowo – mogę dać ci klapsa i nie omieszkam tego zrobić. Mogę też przywiązać ci nogi, szeroko otwarte dla mnie, więc przestań walczyć i leż spokojnie.

– N-nie... dam rady! – wydyszała chrapliwie. – Proszę. Błagam.

On jednak znów rozwarł jej nogi i delikatnie testował językiem najbardziej intymne miejsce. Miejsce, z którego istnienia ledwie zdawała sobie sprawę, dopóki nie obudził w niej owej szokującej świadomości siebie samej. Tego, co mogła odczuwać.

Czy to było normalne? Czy też była ladacznicą? Takim słowem należało ją opisać? Czyżby po prostu odnalazła z nim prawdziwą siebie i wypełniła swoje przeznaczenie?

Powoli przeciągnął językiem między fałdami jej ciała, a Isabella pojęła, że właśnie w tym rzecz; żadna zdrowa na umyśle, wysoce moralna kobieta nie odczuwałaby tego co ona.

Znienacka rozpaczliwie się przeraziła, że będzie błagać – że na tej nocy się nie skończy. Że nigdy nie będzie zdolna mu odmówić.

Raz po raz wstrzymywała oddech, a potem dyszała ciężko, napinając pęta w rozpaczliwej potrzebie... czego? Nie wiedziała.

– Anthony – wydyszała chrapliwie, próbując go dosięgnąć.

Jego ręka wystrzeliła, chwyciła jej nadgarstek i docisnęła do łóżka. Zarostem drapał wnętrze jej uda. Popieścił ją znowu i raptem zaczęła rozpadać się pod wpływem niszczycielskiego światła, które zrodziło się w miejscu, gdzie jej dotykał, i przeszło całe ciało niczym wyzwolony impuls elektryczny, aż ogarnięta spazmami naprężyła więzy.

Mięśnie jej brzucha się napięły, kiedy czysta rozkosz wezbrała i runęła na nią falą, czuła jego ciepłe wargi na swym ciele, a potem utraciła zdolność myślenia.

Kiedy wróciła do rzeczywistości, nadal drżała. Przytłaczał ją, udem rozpychając szeroko jej nogi.

– Podciągnij kolana – rozkazał chrapliwie. – W tej chwili, Isabello, na litość boską.

Ulokował się nad nią ciężko, sztywny, gorący członek ocierał się o jej brzuch. Rozwarł ją jeszcze szerzej, tak że jej ciało stało przed nim otworem.

Nabrzmiała żołądźką sondował jej wejście, przeslizgnął się przez nie raz, potem kolejny. I nagle wszedł z nią z niskim, triumfalnym krzykiem.

– Och, Isabello – jęknął. – Dobra, grzeczną dziewczynką. Taka słodka. Taka otwarta.

Poruszał się w niej w ostrym rytmie, wnikając głęboko. W jego ruchach nie znać było nic delikatnego;

wisiał nad nią jak zwierzę, dysząc chrapliwie w ciemności. Potem wsunął rękę pod jej kolano i zarzucił sobie jej prawą nogę na ramię.

Postąpiwszy tak samo z lewą, wszedł w nią jeszcze głębiej, ona zaś otwierała się w pełni na jego pchnięcia.

– Rozwiąż mnie – szepnęła.

– Nie – warknął, wdzierając się w nią raz za razem, aż czuła, że lada moment znów się rozpadnie. – Oddaj mi się, Isabella. Dalej, kochana. O Boże, tak. Jeszcze raz, kochana. Jeszcze raz.

Jej ciało powstało, odpowiadając na jego wezwanie. Pragnęła tego. Och, pragnęła jego. W oślepiającym rozbłysku pojęła, dlaczego ją skrępował. Żeby nie rozprysła się na kawałki. Żeby pozostała przywiązana do niego i do łóżka; żeby potrzaskane fragmenty utrzymały się razem, dopóki nie minie sztorm.

A potem znów runęła na nią fala, tym razem mroczna, kiedy stopiła się z nim całym swym jestestwem; wykuwani w ogniu namiętności, wezbrali i doszli wspólnie.

Sztorm istotnie minął – w końcu. Isabella odkryła, że łka. Usłyszała ciche kliknięcie otwieranego noża, a potem jego usta znalazły się tuż przy jej uchu.

– Nie ruszaj się – polecił, sięgając do więzów. – Och, kochana. Nie płacz. Po prostu... nie płacz.

Kiedy miała już wolne nadgarstki, przesunęła chustkę z oczu na czoło i dalej. Potem, z kolejnym cichym pociągnięciem nosem, przywarła do ciepłej ściany jego klatki piersiowej, tonąc w jego objęciach.

Koił ją nuceniem i pocałunkami, gładził dłońmi jej nadgarstki – a później sięgnął niżej. Isabella czuła się wypatroszona. Wyczerpana. Zbyt zmęczona nawet na to, by kontemplować zboczoną naturę rzeczy, na które mu pozwoliła. Jakoś udało mu się okryć ich ciała kołdrą i Isabella zdrzemnęła się, przytulona do jego piersi.

Gdy po dłuższym czasie wróciła do przytomności, pocałował ją znowu i polecił spać dalej, opasując żelaznymi obręczami ramion, przez co przypomniawszy sobie pytanie, które zadał jej wcześniej.

Czy naprawdę uważasz za staroświeckie, Isabella, kiedy mężczyzna strzeże tego, co do niego należy?

Te słowa już wtedy przyprawiły ją o dreszcz. Obecnie Isabella nie była dłużej pewna, w co wierzy. Wiedziała jedynie, że w pętach, jakie niedawno na nią nałożył, czuła się bardziej wyzwolona niż skrępowana, jak również, że przypominające imadło objęcia dawały jej poczucie bezpieczeństwa oraz – przynajmniej w tej chwili – bycia kochaną.

Och, pojmowała, że to nie jest prawdziwe, że zniknie z nastaniem dnia. Na razie jednak wwierciła się głębiej w ciepło, rozkoszując się nim.

Znienacka uniósł dłoń i wymierzył jej delikatnego klapsa.

– Isabella – warknął jej do ucha – kazałem ci leżeć spokojnie i zasnąć.

Posłusznie złożyła znów głowę na jego ramieniu i powierzyła się Morfeuszowi.

ROZDZIAŁ 9

Kiedy hrabia Hepplewood się obudził, promień słońca ciął go przez oczy, a połowa tyłka zwisała mu z brzegu materaca. Przez chwilę hrabia łamał sobie głowę tym dyskomfortem.

To materac Isabelli, uzmysłowił sobie mgliście, a fala zadowolenia przywróciła go do teraźniejszości.

Łóżko zaprojektowano dla znacznie niższych osób, przez co ścierpła mu noga, którą musiał niewygodnie zgiąć. Jęknąwszy w duchu, poruszył się. Isabella wymamrotała coś niezrozumiale i rozkosznie wtuliła twarz w jego bok.

Przyciągnął ją bliżej, szarpnięciem poderwał okrycia i umościł się na powrót w jej ciepłe, z jednym ramieniem nad głową, drugim tuląc ją do siebie. Zrobiło się już na tyle jasno, że mógł się rozejrzeć po jej sypialni. Leniwie przewędrował spojrzeniem po wyblakłych różach na tapecie, czystych, ale sfatygowanych zasłonach i oknie, które rozpaczliwie domagało się nowych szyb.

Ogólne wrażenie było przygnębiające, choć w pokoju dostrzegało się też niewątpliwe muśnięcia elegancji – zegar kominkowy z połaczanego brązu czy delikatną figurkę usadowionej przy toaletce damy o wysoko upiętych, nakręconych i upudrowanych włosach.

Coś w tej dwoistości Hepplewooda frasowało, kiedy schylił głowę i pocałował Isabellę w czoło. W rzeczy samej, frasował się całą jej sytuacją życiową. Jednak coś, co powiedziała minionego wieczoru na temat portretów na dole...

Przeciągnął się, ziewnął i zapytał sam siebie, dlaczego martwi się takimi sprawami, kiedy ona leży obok niego, naga jak ją Pan Bóg stworzył, a mają tak niewiele czasu, żeby być razem. Później zastanowił się nad tym, co nie dawało mu spokoju przez ostatnie godziny. A także upora się z tym jej napuszczonym kuzynem.

Gdy zaś chodziło o to podniszczone lokum, jeśli nie zdoła przekonać Isabelli, żeby wróciła do Greenwood – a obawiał się, że nie zdoła – może kupi dla niej dom gdzie indziej i urządzi w standardzie, na jaki zasługiwała?

Wtedy znów się poruszyła i odwróciła ku niemu z sennym uśmiechem. Palcami odgarnął z jej twarzy włosy i pocałował ją przeciągle. A potem, nim w pełni się rozbudziła, przetoczył ją na plecy i wspiał się na nią bez słowa, wchodząc w nią w powolnym rytmie, aż oplotła go nogą w pasie i uniosła się ku niemu z rozkosznym, pozbawionym tchu westchnieniem.

Kochali się w najbardziej konwencjonalny sposób.

W myślach nazywał to seksem małżeńskim – mdławy, ukradkowy stosunek, jaki para może odbyć, zanim po domu zacznie się kręcić służba albo obudzą się dzieci. Okazał się ciepły, słodki i zaskakująco krzepiący. Kiedy zaś wygięła się pod nim w łuk z cichym kwileniem, ustami spił jej krzyki i pchnął raz jeszcze, wytryskując głęboko w niej, co wydało mu się cudowne w swej prostocie.

Później znowu zasnęli, a gdy obudził się po raz kolejny, w domu panował upiorny ziąb, choć zarazem słońce stało alarmująco wysoko. Spojrzał na zegar z brązu i odkrył, że jest kwadrans po dziewiątej. Cicho się ubrał, szedł na dół i dorzucił do pieca w kuchni na tyłach domu, gdzie nadal tlił się żar z nocy. Następnie wniósł na górę gorącą wodę i postawił bańkę przy łóżku.

Kiedy przysiadł na krawędzi materaca, który zaskrzypiał ciężko, Isabella się poruszyła, spojrzała nań sennie, po czym przeciągnęła się jak wytworny czarny kot.

– Długo spaliśmy – powiedział, unosząc palcem jej brodę. – Masz jakieś plany na resztę dnia?

Ospałość zniknęła z jej oczu i Isabella wyprostowała się momentalnie, przytrzymując na sobie

przykrycia.

– Och, tak. – Odgarnęła z twarzy pasmo atramentowych włosów, marszcząc brew w namyśle. – Tak, łaskawe nieba. Muszę gdzieś być... W Knightsbridge. W południe.

Przesączyło się przez niego rozczarowanie, ale nachylił się nad łóżkiem i pocałował ją, delikatnie wsuwając palce we włosy na jej skroni.

Kiedy skończył, odsunął się i spojrzał na nią.

– Isabello, czy muszę ci mówić, co znaczyła dla mnie miniona noc? – spytał zaskakująco ochrypłym głosem. – Nie jestem człowiekiem szczególnie elokwentnym... i, szczerze, nie wiem, czy znalazłbym słowa zdolne to opisać.

Wzięła nierówny oddech.

– Dziękuję ci za tę noc – powiedziała spieszenie, rumieniąc się. – Przekroczyło to wszystko... i nie wiem, jak... – Jej wypowiedź urwała się równie szybko, jak się zaczęła. – Wiesz, chyba masz rację. – Zdobyła się na słaby uśmiech. – O pewnych sprawach lepiej nie mówić. Dziękuję. Jesteś wspaniałą.

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy, przekonany, że doda coś jeszcze.

Nie dodała.

Po prostu na niego patrzyła, spokojnie i szczerze, niemniej znów odniósł to okropne wrażenie, że czeka, aż on sobie pójdzie. Och, tym razem nie zwinęła się w kłębek plecami do niego, w jej oczach nie znajdował konfuzji czy strachu.

Spoglądała na niego jedynie z łagodnym wyczekiwaniem i skrytą pod nim sugestią smutku.

Mimo to czuł się bardzo podobnie jak tamtego ranka w Greenwood – niemal osłupiały.

– Isabello, muszę cię znów zobaczyć – oświadczył.

– Jak? – spytała, rozpościerając dłonie na starej, zniszczonej kapie. – Mam dzieci pod opieką, Anthony, i własne życie.

– Jak? – powtórzył z niedowierzaniem. – Jakkolwiek. Czegokolwiek będzie to wymagać. Nic się dla mnie nie zmieniło, Isabello. Chcę, żebyś była moją kochanką. Nie wrócisz do Greenwood? Choćby na jakiś czas?

Pokręciła głową z rosnącym smutkiem.

– Nie mogę – szepnęła. – Mówiłam ci. Nie zostałam stworzona do takiego życia... a nasze światy leżą daleko od siebie.

– Nie akceptuję tego – oznajmił, chwytając ją za ramiona. – Tyle nie wystarczy, Isabello. Potrzebujesz mnie, łakniesz tego, co mogę ci dać, i Bóg świadkiem, że ja cię pragnę.

– Nie mogę – powtórzyła. – Anthony, mówiłam to wczoraj. Nie słuchałeś?

– Ale co się zmieniło? – spytał ostro, zacieśniając uchwyt. – Na Boga, Isabello! To nie jest wiadomość, jaką mężczyzna chciałby usłyszeć po przebudzeniu. Wcześniej byłaś chętna. Co się zmieniło?

– Dzieci – odparła po prostu. – Uznałam, że nie mogę ich zostawić.

– Dlaczego? – naciskał. – Dlaczego stanowi to problem teraz, a nie było nim miesiąc wcześniej?

W jej spojrzeniu na powrót zagościł niepokój.

– Zaszły pewne zmiany – odrzekła cicho. – Głupio postąpiłam, zostawiając dziewczynki same, ponieważ są wszystkim, co mam, a...

– Nie, do diabła, nie są – przerwał jej. – Masz mnie, Isabello. Możesz mieć mnie.

Odsunęła się od niego i po raz pierwszy zobaczył w jej oczach błysk niepewności.

– Mogę mieć jakąś część ciebie, tak – przyznała ostrożnie. – Ale za siostry ponoszę odpowiedzialność. Mają tylko mnie... tak jak twoja córka ma tylko ciebie. Musimy zawsze stawiać je na pierwszym miejscu.

– Nie waż się sugerować, że nie kocham córki – rzekł złowrogo.

– Oczywiście, że kochasz, a ponadto wierzysz, że powinno się strzec tego, co do nas należy – stwierdziła.

– Żebyś wiedziała, że tak – odparował. – A ty jesteś moja, Isabello.

– Nie, Felicity jest twoja – odrzekła cicho – tak jak Georgina i Jemima są moje. Nie rozumiesz? To ogromny obowiązek, kiedy w twoich rękach znajdują się życie i dobro dziecka.

Nie rozumiał – albo przynajmniej w tej chwili nie chciał rozumieć.

W dodatku Isabella wychowywała siostrę przyrodnią oraz siostrę przybraną, z którą nie była nawet spokrewniona. W dodatku matka tych dzieci, jeśli prawidłowo rozumiał podtekst opowieści, praktycznie wyrzuciła Isabellę z jej rodzinnego domu, kiedy poślubiła lorda Tafforda.

A teraz Isabella poświęcała się, żeby wychować dzieci tej kobiety? Jednak w następnej chwili przypomniał sobie Dianę i ta myśl go otrzeźwiła.

Jakże mógł nie rozumieć, o czym mówiła Isabella?

Czyżby nie wiedział – niewykluczone, że lepiej niż ktokolwiek – co może się dziać z umysłem dziecka, które dorasta niechciane i niekochane? Jak takie dzieciństwo potrafi skrzywić i udręczyć człowieka, czyniąc z niego kogoś, kim w innym przypadku nigdy by się nie stał?

Nie, prawo nie zobowiązywało Isabelli do wychowywania tych dzieci. Do ich kochania. Do stawiania ich na pierwszym miejscu. Ale było to moralnie słuszne. Gdyby wszyscy zrobili dla Diany to, co moralnie słuszne, całkiem możliwe, że zostałaby im oszczędzona potworna tragedia.

Pojmował także, że on w wychowaniu Lissie ma tę przewagę, iż dysponuje bogactwem – dla Isabelli przypuszczalnie niewyobrażalnym – nie wspominając o luksusie domu pełnego służby. Nianie, opiekunki i lokaje, jak również guwernantka, której w końcu nie zatrudnił.

Isabella słusznie wzbudzała w nim poczucie winy.

– Kupię ci dom – zadeklarował, choć nie zdążył tego dobrze przemyśleć. – Duży dom w Londynie. Albo na wsi. Poślę dziewczynki do najlepszych szkół i będę wypłacać hojną emeryturę twojej pani Barbour, mogę też...

– Nie – przerwała mu, chwytając go za nadgarstek. – To nie ma szans się udać.

– Zadbam, żeby się udało – wycedził przez zęby, chwytając jej dłonie. – Isabello. Uda się. Musi. Jesteśmy kochankami. Nie dopuszczę, żeby to się zmieniło.

Po raz pierwszy na jej pięknej twarzy ujrzął gniew.

– Nie rządysz światem – oznajmiła złowieszczo cicho. – Nieważne, jak często o tobie myślę, jak bardzo cię pożadam... nie będziesz mi organizował życia na nowo, żeby dopasować je do swoich potrzeb.

– Isabello. – Złagodził ton i ujął w dłonie jej twarz. – Proszę.

– Nie – oświadczyła, odsuwając się. – Nie jestem twoim pionkiem. Nie zostanę nim, ponieważ otrzymałam dobrą próbkę takiego życia i ono mnie degradowało. Co do dziewczynek, nie, nie zrobię tego. Postanowiłam nie spuszczać ich z oczu. Nie spuszczę. I na tym koniec.

– Niemożliwe, Isabello – wykrztusił – ponieważ ja...

Lecz właśnie wtedy z zewnątrz dobiegły wytłumione hałasy – podzwanianie upręży i stukot kopyt, a potem jakby otwieranie drzwi.

– Wielkie nieba! – Isabella wyprostowała się na łóżku, akurat kiedy drzwi wejściowe zamknęły się z hukiem, którego echo rozniosło się po całym domu. – Czyżby wróciły wcześniej?

Wróciły.

– Bello, Bello, na promenadzie widziałyśmy małpkę! – zawołał dziecięcy głosik. – I dostałyśmy ciągutki! Bello, jesteś w domu? Złapałyśmy pierwszy pociąg!

– Niech to diabli! – zaklął pod nosem Hepplewood. – Jeszcze tego było trzeba.

Z oczami jak spodki i pobladłą twarzą Isabella szykowała się, żeby wyskoczyć z łóżka i się ubrać.

Chwycił ją znów za ramiona.

– Isabello, jest tu tylne wyjście? Jakiegokolwiek?

Zaciskając wargi, pokręciła głową.

– Nie z piętra.

Wstał, zarzucił sobie na szyję halsztuk i złapał frak.

– Na dole zostały moje rękawiczki i cylinder – rzekł, poruszając się szybko. – W razie czego powiedz, że to Tafforda. Jak tu wysoko?

– Bardzo – powiedziała ostro, przytrzymując go za ramię. – Tony, nie możesz. Zrobisz sobie krzywdę. Zrobi sobie krzywdę?

Niech to szlag, już czuł się skrzywdzony. Z całą pewnością nie zostanie tutaj, żeby mierzyć się z poczuciem winy w jej oczach i własnym piekielnym gniewem.

Wyrwał się jej i spojrzał przez okno.

Bywało gorzej. Możliwie cicho przesunął w górę okienną ramę i wychylił się na zewnątrz. Poniżej znajdował się dach nad częścią parteru – przypuszczalnie kuchnią – który ciągnął się na całej długości tylnej ściany.

W pokojach na dole rozbrzmiewały głosy. Dzieci. Kobieta. Słysząc było jakieś stukoty – chyba wnoszonych parasolek i bagaży. Obejrząwszy się, zobaczył pobladłą Isabellę, która wpatrywała się w niego, kurczowo ściskając luźną sukienkę.

Tak, zdarzały mu się gorsze upadki po długiej nocy spędzonej w łóżku niewłaściwej kobiety. Ale nigdy nie oglądał gorszego widoku niż popielata twarz Isabelli.

Pojmował także, że w pewnym sensie to on wpakował ją w tę kabałę.

Ponieważ nie przyjmował odmowy.

Szybko założył frak, chwycił Isabellę i pocałował ją sążnięcie.

– To nie koniec – oświadczył. – Wykluczone. Nie pozwolę na to, rozumiesz?

– Jak? – szepnęła.

Zacisnął usta.

– Nie wiem – odparł. – Ale czas mi sprzyja, Isabello. Jesteś moja. Zawsze będziesz moja.

I przeczekał cię, klnę się na Boga.

Nadal blada, Isabella uniosła rękę.

Nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć.

Być może już powiedział za dużo. I stanowczo zbyt rozkazującym tonem. Ale wykluczone, żeby na tym się skończyło, teraz, gdy dopiero zaczynał poznawać Isabellę, rozumieć ją i jej potrzeby.

No i znał jej adres.

Jednakże do oczu cisnęło mu się coś gorącego, przerażający napływ emocji, które ledwie rozpoznawał i na pewno nie zamierzał pokazywać Isabelli.

Podszedł do okna, znów cicho zaklął, po czym płynnie zawisnął po drugiej stronie.

ROZDZIAŁ 10

Isabella nie spóźniła się na spotkanie w Knightsbridge; dzieci nie nakarmi złamanym sercem i łzami. Przejrzawszy ogłoszenia w gazetach z całego tygodnia, znalazła lokal potencjalnie nadający się na sklep, zaledwie rzut kamieniem od Hyde Parku.

Dom stał przy obiecującej, choć z pewnością niemodnej ulicy, w okolicy w znacznej części nadal bardziej wiejskiej niż miejskiej. Ale było ją na niego stać, choć z ledwością. Szybko dobiła targu z właścicielem, leniwym, nieogolonym typem, niejakim Poole'em, który zgodził się odroczyć czynsz do kwietnia i nawet dał Isabelli atrakcyjny upust, pod warunkiem że weźmie budynek w obecnym stanie.

Co oznaczało chlew – jeśli w chlewie spotyka się pajęczyny i sadzę.

I tak Isabella spędziła większą część wieczoru i kolejnego tygodnia, szorując na czworakach podłogę i próbując nie myśleć o żelaznym uścisku lorda Hepplewooda oraz jego władczych żądaniach. Praca była wyczerpująca i parszywa, dokładnie taka, jakiej potrzebowała, żeby nie nurzać się w rozpacz.

Przed końcem marca niewielki dwupoziomowy lokal nad sklepem nadawał się już do zamieszkania i Isabella odliczyła kilka ze swych cennych monet, żeby opłacić furmana, który przewiózł ich meble z wiejskiego domku i wtaszczył po schodach do nowej, choć nie większej siedziby. Pani Barbour radośnie rozłożyła w kuchni swoje przybory, a później wzięły się obie do mycia okien w sklepie na parterze.

W kolejnym tygodniu Isabella przemierzała uliczki od Paternoster Row do Old Fish Street, odwiedzając tamtejszych drukarzy i miejscowych hurtowników, z którymi negocjowała jak najkorzystniejsze warunki.

Nie było to łatwe zadanie i niekiedy pytała samą siebie, czy nie oszalała. Ale miała do wyboru to albo wpakować się w bagno, a przecież nie mogła utonąć. Nie, zbyt wiele osób pociągnęłaby za sobą na dno.

Powoli zaczęły nadciągać skrzynie z towarami. Podczas gdy pani Barbour pilnowała Georginy, Jemima pomagała Isabelli w ich rozpakowywaniu i segregowaniu, a następnie wspólnie decydowały, gdzie umieścić daną książkę, puzzle czy kartę. W połowie kwietnia księgarnia Glaston & Goodrich otworzyła podwoje, przyciągając zaskakująco liczną klientelę, Isabella zaś ponownie znalazła się na skraju bankructwa, wydawszy niemal wszystkie środki na czynsz, remont i zaopatrzenie.

Podjęła w istocie koszarne ryzyko. Ryzyko, na które dawna ona by się nie poważyła. Jednakże w Isabelli narastała pewność, że inwestycja ostatecznie się zwróci.

– Glaston to ja – oznajmiła Georgina, wskazując świeżo powieszony drewniany szyld – a Goodrich to Jemma.

Tak oto zostało obwieszczone prawo własności, w tym konkretnym przypadku na użytek koleżanki, która mieszkała w pobliżu i wracała z Georginą ze szkoły do domu.

W tejsze chwili odezwał się dzwonek nad drzwiami.

– Przyszła poczta – oznajmiła Jemima, szybko zawiązując na sobie sklepowy fartuch.

– Georgie, idź na górę do pani Barbour – powiedziała Isabella, wskazując przez drzwi na ciemną klatkę schodową, na którą wchodziło się z tej samej sieni co do księgarni. – Spróbuj samodzielnie uporać się z dodawaniem, dobrze?

Georgina, powłócząc nogami, ruszyła ku wąskim schodom.

– Georgie ucierpiała na tej sytuacji – stwierdziła ze smutkiem Isabella. – Zaniedbałam ją, przygotowując się do otwarcia interesu.

– Ale dzięki sklepowi możesz zostać z nami w domu, a to o wiele ważniejsze – zauważyła Jemima, przeglądając na ladzie listy.

– Dziękuję, Jemmo. – Isabella posłała siostrze pełne wdzięczności spojrzenie, a w jej sercu wezbrała miłość.

Jemima była bardzo dojrzała jak na swój wiek, okazała się też nieocenioną pomocą przy uruchamianiu sklepu. To właśnie w takich momentach – kiedy Isabella tak ogromnie się cieszyła, że ma dziewczynki – groźby Everetta zaczynały ją prześladować.

Z pewnością żaden sędzia nie pozwoliłby mu ich zabrać, pocieszała się. Jemima liczyła sobie zaledwie osiem lat, kiedy Isabella wzięła ją z Thornhill, a Georgina nawet nie pamiętała rodziców. Isabella i pani Barbour od zawsze zastępowały jej matkę.

Jednak okropna prawda była taka, że kobietom formalnie nie przysługiwały żadne prawa, kiedy szło o dzieci – nawet ich rodzone. Uważano, że jedynie mężczyzna nadaje się do roli kuratora majątku czy opiekuna prawnego tudzież do podejmowania trudnych decyzji w kwestii wychowania, edukacji, a nawet małżeństwa dziecka. W przypadku Georginy Everett pełnił zasadniczo obie wspomniane funkcje, chociaż nigdy wcześniej nie okazał cienia zainteresowania kuzynką.

Z kolei biedna Jemima utknęła ze swoim wujem kutwą, sir Charltonem, który przez wszystkie te lata nawet nie zapytał o dzieci. Ostatnim razem, kiedy Isabella napisała do niego z prośbą o pomoc, zasugerował beztrzesko, że dla wszystkich najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli ona po prostu przyjmie oświadczyzny Everetta, skoro ten wyrażał chęć przygarnięcia obu dziewczynek.

Niech to diabli! Ojciec był takim ufnym głupcem.

Isabella prędeż uciekłaby z dziewczynkami do dzikiej Kanady, niż oddała którąkolwiek z nich Everettowi. Modliła się jedynie, żeby nigdy do tego nie doszło.

Tymczasem Jemima otwierała listy i właśnie znieruchomiała, marszcząc brwi.

– Na co tak groźnie spoglądasz, słonko? – spytała Isabella.

Jemima westchnęła.

– Monit od Tallanta i Allena. Damy radę uregulować rachunek?

– Wkrótce, jak sądzę – odparła Isabella. – Sprzedaż idzie zaskakująco dobrze. Co jeszcze przyszło?

Jemima pomachała kremową papeterią i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Och, kolejna uniżona prośba od twojego pana Mowbreya z Chesham – poinformowała. – Która to już z kolei?

– Nie twój interes – powiedziała Isabella, wrywając jej przesyłkę.

– Człowiek aż się zaczyna zastanawiać – mruknęła Jemima – czy twojemu uczonemu dżentelmenowi nie chodzi o coś więcej niż przegląd próbek skał.

– Nie bądź impertynencka, moja panno – przestrzegła Isabella.

Ale uśmiech Jemimy właśnie przygasł.

– Jest też kolejny list od lady Meredith – oznajmiła, unosząc go w dwóch palcach jak brudną szmatę. – Wyrzucić do śmieci?

– Nie – odparła z westchnieniem Isabella. – Daj mi go.

Wziąwszy obie przesyłki, zostawiła Jemimę w sklepie i wyszła do tego, co udawało tutaj ogród. Był to trzeci list od lorda Hepplewooda, poprzedni Isabella przechwyciła, kiedy dziewczynki spacerowały w parku z panią Barbour.

Tamten wszakże dostarczył ubrany w liberię lokaj z Clarges Street.

Tak, bardzo się cieszyła, że dziewczynki przebywały wtedy poza domem.

Po powrocie z Greenwood wiele tygodni temu Isabella skłamała siostrze, że gdy uzmysłowiła sobie, ile czasu zajęłoby skatalogowanie zbiorów pana Mowbreya, uznała, iż za bardzo by za nimi tęskniła. I na

tym polega kłopot z opowiadaniem wierutnego kłamstwa. Dokłada się kolejne szczegóły, które są jak kamienie na wierzchołku niestabilnego stosu, a ten może w każdej chwili runąć kłamiącemu na głowę.

Kiedy nadszedł pierwszy list ze stemplem pocztowym z Chesham, dziewczynki zaczęły chichotać i żartować z prawdziwych zainteresowań pana Mowbrea. Isabella zmusiła się do śmiechu, a potem łagodnie je zbeształa.

Jednak przy lekturze listów do śmiechu jej nie było. W pierwszym Hepplewood, starannie dobierając słowa, dopytywał się o jej zdrowie – delikatny eufemizm, jeśli można tak to określić – i stanowczo ponawiał życzenie, by odwiedziła go w Greenwood.

W odpowiedzi poinformowała, że czuje się wyśmienicie, i przy okazji podała swój nowy adres. Ostatecznie, powiedziała sobie, ten mężczyzna i tak by ją odnalazł, gdyby tylko zechciał. Co gorsza, istniała niewielka możliwość, że stan jej „zdrowia” zacznie jednak odbiegać od oczekiwań.

Drugi list był mniej osobisty. Delikatne pytanie zostało powtórzone, lecz zaproszenie już nie. Pisał, by ją powiadomić, że lady Felicity od niedawna rezyduje z nim przy Clarges Street, oraz pogratulować jej nowego przedsięwzięcia biznesowego.

Do tego czasu Isabella nabrała już pewności, że nie jest w ciąży, i poinformowała o tym hrabiego w zawołany sposób. Spodziewała się, że na tym sprawa się zakończy.

Ale tak się nie stało, jak sobie uzmysłowiła, siadając w słońcu na ławce.

Trzymała list w dłoniach, ledwie zdolna oddychać. Potem otworzyła go spieszenie i znalazła... w zasadzie nic.

Hepplewood postanowił wrócić do Greenwood, żeby doglądać wiosennych prac. Towarzyszyła mu lady Felicity. Nie było zaproszenia. Prawdę mówiąc, nie było niczego poza banałami o pogodzie, po których nastąpił dziwny akapit końcowy.

Przypuszczam, że powinienem z zadowoleniem przyjąć wiadomość o Twoim doskonałym zdrowiu. I tak jest – a przynajmniej tak sobie wmawiam. Zachowałbym się samolubnie, życząc sobie czego innego. Nie ulegnę pokusie, by napisać do Ciebie ponownie, pozostanę jednak na zawsze Twym oddanym sługą.

Hepplewood

Dobry Boże, co to znowu znaczyło?

Naprawdę miał nadzieję, że zaszła w ciążę? I czy sugerował, że skoro tak się nie stało, a zatem Isabella nie będzie od niego nic potrzebować, zamierzał ruszyć dalej?

Tak po prostu zrezygnował?

Ale zrezygnował z czego? I jaką to grało rolę? Zanik jego zainteresowania powinna odbierać jako przyzwolenie, by znów oddychała pełną piersią. Czy nie tego właśnie pragnęła?

Isabella przyłożyła dłoń do serca, czując w nim nagły ucisk. Najwyraźniej nie tego.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak wiele zainwestowała w obietnicę lorda Hepplewooda ani jak bardzo wyczekiwała jego listów, nieważne, jak zawołana, drętwa czy władcza była ich treść, i to pomimo faktu, że nie pomagały jej osiągnąć spokoju ducha.

Zarazem bowiem dostarczały jej wymówki, by na nowo ożywiać fantazję; powodu, żeby wracać myślami do płonącej między nimi dwojgiem namiętności i tkąć marzenie o tym, co mogłoby się zdarzyć. Zachowała wszystkie – ukryła je między koszulami nocnymi i halkami – włącznie z pierwszym. Tym, który zostawił dla niej w Greenwood, kiedy ją odsyłał.

Nie, nie chciała zostać zapomniana, uzmysłowiła sobie, przykładając palce do ust. I nie chciała zapomnieć o nim. Ponieważ zakochała się w hrabim Hepplewoodzie. Ta prawda napierała na nią od

wielu dni.

Oczywiście, było to czyste szaleństwo. Przytłaczał ją swoją siłą. Przerazał mrocznymi rysami charakteru. A jednak kochała go, kiedy więc zagroził, że nie da jej spokoju, zyskała podstawy, by trzymać się nadziei – choć ledwie wiedziała, na co.

A teraz zrezygnował z gonitwy za nią. Porzucił roszczenie do jej osoby, które wcześniej tak śmiało wygłosił. Mogła się rozluźnić, znów skupić całą emocjonalną energię na dzieciach. Dlaczego więc raptem nurzała się w smutku? Co niby sobie wyobrażała?

Że będzie czekał wiecznie? Że mówił szczerze?

Tak, była na tyle głupia, że prawie w to uwierzyła.

Przy kilku okazjach – w niespokojne, niemalże bezsenne noce – wstawiała pośród gorączkowych marzeń o nim i podchodziła do okna, skąd rozciągał się widok na ulicę daleko w dole. Zza szyby, patrząc pod skosem, ledwie dostrzegała Brompton Road i lampę przy sklepie warzywnym.

Trzykrotnie widziała tam mężczyznę, który stał w kałuży mgławego, musztardowego światła i gapił się – takie przynajmniej odniosła wrażenie – w jej okna.

Za pierwszym razem, w wyjątkowo deszczową noc, mężczyzna miał na sobie obszerny płaszcz, a szyję okutaną wysoko szalem dla ochrony przed wilgocią. Ostatnio zaś nosił pelerynę, która wirowała mu wokół łydek, a jej bordowe podbicie połyskiwało na wietrze. Twarz zawsze przesłaniał mu kapelusz.

I zawsze był to ten sam mężczyzna. Wysoki i szczupły, o arystokratycznej postawie. W Isabelli nieodmiennie zamierało serce.

Wyobrażała sobie, że to lord Hepplewood.

„To nie koniec – powiedział wtedy. – Nie pozwolę na to. Jesteś moja. I przeczekam cię, klnę się na Boga”.

Zatem pozwoliła sobie uwierzyć, w trakcie owych ciemnych, cichych nocy, że dotrzymał obietnicy. Że była jego kobietą. On zaś, na swój szorstki, staroświecki sposób, po prostu strzegł tego, co do niego należało.

Tyle że Isabella nie należała do nikogo. Właściwie nigdy.

Mimo tej wiedzy już dwukrotnie z trudem powstrzymała się przed wybiegnięciem z domu.

To nic nie znaczyło, napomniała się teraz. Po prostu jakiś mężczyzna wałęsał się po ulicy późną porą. Zresztą mężczyznom łatwo przychodzi składanie obietnic, których rzadko dotrzymują. Nigdy żaden nad nią nie czuwał, nie strzegł jej ani nie układał planów, mając na względzie jej dobro – ani też żaden by temu nie podolał. Isabella była zdana na siebie i tak pozostanie.

Co do tajemniczego mężczyzny po drugiej stronie ulicy, był to zapewne jakiś śmiały typ, czekający, by zawlec do łóżka żonę właściciela warzywniaka, wesołą, dorodną blondynkę, której mąż często wyjeżdżał wiele godzin przed świtem, chcąc spotkać ciągnące na rynek wozy.

– Bello? – Ostry głos Jemimy przywołał ją z powrotem do rzeczywistości. – Wszystko w porządku?

Podniósłszy wzrok, Isabella zobaczyła w tylnych drzwiach przybraną siostrę; blond warkoczyki kołysały nad ramionami dziewczynki tak chudej, że ościeżnica zdawała się ją przytłaczać.

– Och, tak – odparła, zmuszając się do uśmiechu, inaczej bowiem zdradziłyby ją wyraz twarzy. – Bujałam w obłokach. Starłaś kurz z półki?

Jemima przytaknęła i zawróciła do środka. Isabella w pośpiechu przeczytała list od ciotki. Rzeczywiście nie zawierał nic godnego uwagi; doprawiona protekcyjnymi komentarzami opowieść o tym, co słychać w Thornhill, za którą szło natarczywe zaproszenie do złożenia wizyty. Ale te słowa już nie bolały, gdyż po prostu nie miały znaczenia. Nic z tego nie miało znaczenia.

Thornhill nie było już jej domem.

Lord Hepplewood nie był już jej kochankiem.

Jakby nic w jej życiu się nie zmieniło i nigdy nie miało zmienić.

Upchnąwszy oba listy głęboko w kieszeni fartucha, Isabella z drżeniem zaczerpnęła tchu, poderwała się na nogi i wróciła do pracy.

ROZDZIAŁ 11

Nazywał się George Flynt, milordzie.

– Flynt? – Hepplewood w wyjątkowo słoneczne majowe popołudnie zamknął się z Jervisem w bibliotece domu przy Clarges Street i sunął spojrzeniem po kolejnych akapitach prawniczego pisma. – Nie obilo mi się o uszy.

– Pradziadek także miał na imię George – powiedział sekretarz – i przypuszczalnie nie on jeden. To trochę niejasne. Na pewno byli wnukowie o imionach William i James. Ale, jak rozumiem, Flyntowie osiedli na kanadyjskiej prowincji przynajmniej sześć pokoleń wcześniej.

– Czyli trudno ich nawet uznać za Anglików? – mruknął Hepplewood.

– W rzeczy samej, w rodzinie znalazło się sporo krwi francuskiej i indiańskiej – odparł Jervis. – Stąd zapewne u pani Aldridge ciemne włosy i tak wyjątkowa uroda.

Rzeczywiście, pomyślał Hepplewood, choć nic na świecie nie wyjaśniało pochodzenia tych wbijających się w pamięć fiołkowych oczu.

– Jakie są korzenie rodziny Flyntów? – spytał.

– Drobną szlachta ze Shropshire, jak się uważa – powiedział Jervis. – Wie pan, jak to jest, sir. Drugi syn drugiego syna, wysłany do kolonii, żeby tam zbijał fortunę.

– I wygląda na to, że im się udało – skomentował z przekąsem Hepplewood. Popukał palcem w dokument. – Zatem twoim zdaniem to kwestie językowe przyprowadzają Flyntów o niestrawność?

– Niewykluczone, proszę pana, jeśli to tutaj jest cokolwiek warte – odparł sekretarz. – W sensie prawnym łacińskie *per stripes* oznacza podział zasobów w równych częściach między gałęzie rodziny.

Hepplewood odłożył dokumenty i mocno ścisnął grzbiet nosa. Podjął się tego szalonego zadania, rozpaczliwie próbując zrozumieć obawy Isabelli – i ustalić, jakie motywy kryją się za groźbami Tafforda, których strzępy podsłuchał. Nim wszakże jego sprytny sekretarz uporał się z wydobywaniem na światło dzienne plotek i starych, zbutwiałych dokumentów, Hepplewood zaczął się zastanawiać, dokąd to wszystko prowadzi.

– Dobra robota, panie Jervis – pochwalił – aczkolwiek w rezultacie uzyskaliśmy chyba więcej pytań niż odpowiedzi.

– Mam dalej się tym zajmować, proszę pana? Wrócić do Liverpoolu?

– Jak najbardziej – odparł Hepplewood. – Czyli przypuszcza pan, że człowiek, który sporządził te dokumenty, jest w drodze do Londynu?

– Och, nie, on raczej od dawna nie żyje.

– Ale ktoś z firmy? – naciskał Hepplewood.

– Prawnicy, których odszukałem w Liverpoolu, mówili, że firma tym zagroziła – raportował sekretarz – ponieważ jednak nie są z nią dłużej związani, trudno powiedzieć. Mogę udać się do Doliny Ottawy osobiście, lecz to będzie wymagało...

– ...czasu – dokończył za niego Hepplewood. – Nie. Problem, jak sądzę, znajduje się w Anglii... albo wkrótce tak będzie. I w Anglii będę pana potrzebował.

W tejże chwili drzwi biblioteki otworzyły się gwałtownie i do środka wtargnęła trąba powietrzna blond loków i żółtego muślinu.

– Papo!

– Ojej – powiedział hrabia, wstając zza biurka. – Co się stało? W domu wybuchł pożar?

– Papo! – Lissie przybrała błagalny wyraz twarzy. – Pójdziemy do parku z Harrym i Bertiem? Pójdziemy? Proooszę?

– No cóż, panienko – rzekł Hepplewood, zagarniając córkę ramieniem – pan Jervis i ja właśnie...

– Nie, proszę, proszę, proszę! – zawołała dziewczynka, zarzucając mu rączki na szyję.

– Proszę o wybaczenie, milordzie. – W drzwiach ukazała się pani Seawell, wieloletnia piastunka Lissie, czerwona na twarzy i zadyszana. – Milady mi uciekła. Nie wiem, co w nią ostatnio wstąpiło, proszę pana, raz jeszcze przepraszam, proszę pana.

Hepplewood powstrzymał ją machnięciem ręki.

– Nic nie szkodzi, pani Seawell, właśnie kończymy – powiedział, sadzając sobie Lissie na biodrze. – A o co chodzi z tym parkiem?

– Lady Keaton przysłała wiadomość – wyjaśniła pani Seawell, dygając poniewczasie. – O czwartej planuje zabrać pana Henry’ego i pana Bertrama na przejażdżkę kucykami.

Lissie aż drżała z ekscytacji.

– Kucyki, papo! – powiedziała Hepplewoodowi do ucha. – Pójdziemy? Żeby popatrzeć? Bertie będzie mógł mnie przewieźć? Proszę, papo, proszę.

Na moment się zawahał.

Później, co ostatnio często mu się zdarzało, ustąpił.

– Pójdziemy, ale najpierw muszę skończyć rozmowę z panem Jervisem. Jestem bardzo zajęty.

– Pójdziemy zaraz potem? – nalegała. – Posiedzę tutaj cichutko.

– Nie wiedzieć czemu, w to wątpię – odparł, z niejakim trudem wydobywając spod jej spódnicy zegarek z dewizką. – Poza tym, Lissie, jest dopiero trzecia. Będziemy długo czekać.

– Chcę iść – oświadczyła dziewczynka, wysuwając dolną wargę. – Teraz.

– Bardzo przepraszam, proszę pana. – Pani Seawell wyglądała, jakby spodziewała się połajanki.

– Proszę ją zabrać z powrotem do sali lekcyjnej – polecił Hepplewood, obchodząc biurko, żeby postawić Lissie na ziemi. – Niech pani spakuje koc i kilka zabawek, wyruszmy za dziesięć minut.

– I okruchy chleba dla kaczek – dodała Lissie.

– Tak, szkrabie. – Skinął głową piastunce. – Chleb także. Ile tylko kucharka będzie miała na zbyciu.

– Tak! – zawołała dziewczynka, biegnąc do piastunki, ledwie dotknęła stopami podłogi. – Nianiu, chciałabym zabrać też Pikła.

– Pomogę go panience znaleźć w skrzyni z zabawkami – obiecała pani Seawell, cicho zamykając za nimi drzwi.

Zgodnie z obietnicą dziesięć po trzeciej Hepplewood był gotów do wyjścia, z kocem przewieszonym w zagięciu łokcia, cylindrem w jednej ręce i perkalowym workiem pełnym czerstwego chleba w drugiej.

Zamieniwszy domowe pantofle na małe brązowe trzewiki, Lissie prowadziła na sznurku swojego czerwono-niebieskiego psa, który toczył się po lśniącej marmurowej posadzce, kiwając drewnianą głową oraz machając w górę i w dół ogonem.

Na schodach wejściowych Hepplewood włożył cylinder, po czym we dwoje wyruszyli w kierunku Stanhope Gate. Kiedy jego córka z entuzjazmem paplała o kucach, spojrzał na białą rączkę w swej dłoni i serce odrobinę ścisnęło mu się w piersi.

Przelotnie rozważył, czy nie ulec instynktowi, nakazującemu mu porwać ją i znów posadzić sobie na biodrze – co zrobiłby, gdyby nadal znajdowali się w domu. Jednakże zawitawszy do światowego Londynu, Lissie prędko nauczyła się kojarzyć ów czuły gest z byciem „dużym dzidziusiem” – którą to kalumnię, jak zrozumiał Hepplewood, rzucił na nią jej kuzyn Bertie.

Hepplewood poskarżył się Anne, oczywiście. Ona wszelako ucięła sprawę, radząc mu się nie wtrącać i pozwolić dzieciom wyjaśnić problemy między sobą. O dziwo, posłuchał.

Słumił zatem ojcowskie instynkty – no dobrze, odrobinę je przytłumił – i stał w milczeniu, kiedy zaledwie tydzień później Lissie dzieliła Bertiego w głowę raketką do wolanta. Anne zachowała spokój i po prostu schowała wszystkie raketki.

Hepplewood obserwował i być może wyciągnął z tego naukę. Taką, że w ten sposób dzieci dorastają – oraz że z tego właśnie powodu Anne chciała ściągnąć Lissie do Londynu.

Ostatecznie, tak dorastali oni sami, on i Diana z Gwen i Anne – bawiąc się, walcząc i rozstrzygając między sobą życiowe kwestie. Gwen – starsza, wyższa i o wiele bardziej złośliwa – stłukła go na kwaśne jabłko więcej razy, niż chciałoby mu się liczyć. I poniekąd nauczyła go, jak radzić sobie w życiu.

Nie, jeszcze sobie nie przyswoił, na czym polega cały ten interes z rodzicielstwem, ale czuł, że zadanie leży w zasięgu jego możliwości. Po sześciu tygodniach regularnej praktyki nie przytłaczało go już tak bezgranicznie jak dawniej.

Co ważniejsze, powoli docierało do niego, że Lissie jest kimś więcej niżli tylko kruchą miniaturą jego zmarłej żony; miała własną osobowość, jak również siłę i animusz zupełnie obce jej matce.

O tej porze dnia w parku panował względny spokój, jako że większość piastunek podążyła już z wózkami do domu na podwieczorek, a z kolei socjeta ze swoimi końmi i powozami nie stawiała się jeszcze gromadnie na popołudniową włóczęgę. Mimo to poszukał miejsca w stosownej odległości od brzegu jeziora Serpentine i z dala od głównych ścieżek.

– Jak się Piklowi podoba życie w Londynie? – zapytał Hepplewood, kiedy znaleźli idealny spłacheć trawy niedaleko padoku. – Nadal czuje się tu szczęśliwy? Nie tęskni za Loughford?

– Nie za bardzo – odparło dziecko, opadając na koc z szelestem muślinu i halek. – Tęskni za babcią Heppy. Ale powiedziałam mu, że ona jest teraz w niebie i już nie wróci.

– Nie. – Palcem przetaczał między nimi zabawkę, w tę i z powrotem. – Nie, babcia nie wróci. Bardzo mi przykro, Lissie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Lissie, głaszcząc pieska. – Pikiel musi trzymać uszy do góry. Tak mówi niania.

– Dobra rada – skomentował.

Spojrzała na niego, marszcząc czoło, tak że uszy podjechały jej minimalnie w górę, po czym się rozchichotała.

– Widzisz? – spytała, padając bokiem na koc. – Też tak potrafię.

– Głuptas z ciebie – oznajmił, pukając ją palcem w koniuszek nosa. – Usiądź jak dama, Lissie, i porozmawiajmy.

– Tak, prrrroszę pana – jęknęła, podrywając się na kocu, a jej loki zamigotały w słońcu.

Hepplewood ułożył się na boku obok niej, podparty na łokciu.

– Pikiel nie tęskni za szaleństwami we własnym ogrodzie? – spytał. – Albo za swoją ogromną skrzynią z zabawkami i salą lekcyjną? Poza tym w Londynie jest trochę brudno.

Wbiła spojrzenie w koc i krótko, szybko pokręciła głową.

– Nie, jemu się tutaj podoba – oświadczyła. – Loughford to nuuuuda...

Zaśmiał się.

– Doprawdy? – spytał z powątpiewaniem. – Kto tak twierdzi? Kolejny nonsens Bertiego?

Z szerokim uśmiechem podniosła na niego wzrok; policzki ładnie jej się zaróżowiły na powietrzu.

– Nie, to Harry – odparła rozchichotana. – Mówi, że tylko grzybom podoba się życie na wsi.

– A! – powiedział Hepplewood. – No cóż, radzę panience samej zdecydować, co jest, a co nie jest nudne. Taka bystra dziewczynka jak ty nie musi słuchać wszystkiego, co mówią Harry i Bertie.

Znowu wbiła spojrzenie w koc.

– Ja tylko chcę zostać z tobą – oznajmiła bardziej posępnie. – Chcę mieszkać tam, gdzie ty.

Hepplewood nieco się zawstydził.

– Również tego chcę – zapewnił. – Powiem ci coś, Lissie. Jeśli Pikiel zateśni za szaleństwami na wsi, zabierzemy go ponownie do Greenwood. Na kilka dni. A do Loughford możemy pojechać na dłużej na Boże Narodzenie. Co ty na to?

Na powrót się rozpromieniła.

– Lubię tę farmę – powiedziała. – Lubię krowę Yardleya.

Roześmiał się i wyciągnął na kocu, przesunąwszy cylinder do przodu, żeby osłonić oczy. Pierwszego dnia pobytu Lissie w Greenwood Yardley zabrał ją, żeby pomogła mu wydoić krowę – nad tym cudem natury ewidentnie nadal nie mogła wyjść z podziwu.

Jakim sposobem spędziła całe dotychczasowe życie w rozległym majątku ziemskim i nie wiedziała, skąd się bierze mleko? Po części wynikało to z faktu, że jego matka nadmiernie chuchała na wnuczkę, karmiąc ją niezmiennie przykazaniami na temat, jak powinna się zachowywać i myśleć dobrze wychowana młoda dama.

Jego matka, kobieta surowa, arogancka oraz przekonana o własnej doniosłości, bardziej przejmowała się tym, co ludzie pomyślą, niż szczęściem, i nie uznawała spontaniczności.

Nie sądził, by zawsze taka była. Życie – szczególnie ostatnie nieszczęśliwe lata małżeństwa z ojcem Hepplewooda – przyczyniło się do zgorzknienia hrabiny.

Niemniej on także ponosił tutaj winę. Na zbyt długo pozostawił córkę w tym lodowatym, przesiąkniętym krytycyzmem świecie, wmawiając sobie, że Lissie to jeszcze małe dziecko. Że potrzebuje matczynej troski, którą z braku matki podaruje jej babka. Co do pewnego stopnia odpowiadało prawdzie.

Jednakże być może Bertie dobrze to ujął; Lissie nie była już dzidziusiem.

I rację miała także Isabella. Córka go potrzebowała, ponieważ teraz, kiedy jej matka i babka nie żyły, istotnie miała wyłącznie jego. Chyba że przekazałby ją babce Willet, ale tego by nie zniósł. Złamałoby mu to serce – wykluczone, żeby Lissie wymknęła się spod jego skrzydeł.

Czyli obowiązek spoczywał na nim. I w tym względzie Anne miała rację.

Isabella. Pani Willet. Anne. Może nawet Bertie...

Czy wszyscy uważali, że nie nadaje się na ojca?

Lissie najwyraźniej tak nie sądziła. Wydawało się, że kocha go bezwarunkowo. Wystarczyło, by jej na to pozwolił – opuścił gardę, porzucił poczucie winy i zaakceptował fakt, że w oczach przynajmniej jednej osoby nie jest ani nieudolny, ani samolubny.

Znienacka Lissie szarpnęła go za rękaw surduta.

– Papo, spójrz na tę dziewczynkę! – powiedziała nagląco. – Ona ma kaczkę! Wszystkie do niej pędzą! Mogę tam iść?

Zerknąwszy spod runda cylindra, ujrzał sznur kaczek, maszerujących w górę zbocza z jeziora Serrentine, żeby otoczyć dziewczynkę, która, oglądana pod tym kątem, mogłaby uchodzić za bliźniaczkę Lissie, gdyby nie jaśniejsze loki i, co smutne, mocno znoszona sukienka.

Widział także sunącą obok po krótkiej trawie spódnice damy, kiedy obie brodziły w morzu kaczek. Stworzenia dreptały chwiejnie, a w górę wlatywały okruszki chleba.

– Możesz iść wyłącznie do tamtej ławki, gdzie stoi dziewczynka – powiedział. – Jeśli bez pytania pójdziesz dalej, będę musiał zabrać cię do domu. Żadnych ustępstw. Rozumiesz?

– Tak, papo – odparła, zrywając się na nogi.

– Nie zapomnij swojego worka – powiedział, popychając go ku niej.

Zachichotała, złapała chleb i pomknęła po trawie.

Z ich prawie codziennych wypadów do Hyde Parku Hepplewood wyniósł tę naukę, że małe

dziewczynki najbardziej w świecie uwielbiają inne małe dziewczynki – a wobec braku takowych mali chłopcy również się nadadzą.

W akcie desperacji Lissie usiłowała nawet zbałamucić Bertiego, żeby pobawił się z nią lalkami. Jednakże Bertie, zniewolony przez jedno z najokrutniejszych stworzeń na ziemi – starszego brata – mądrze odrzucał zaproszenia.

Raz czy dwa Lissie udało się zawrzeć tymczasową znajomość z inną dziewczynką w parku, ale żadnej nie spotkali ponownie, a Hepplewood, tak czy owak, nigdy nie był pewien, jak należy dokonać stosownego zapoznania, ponieważ dzieciom nieodmiennie towarzyszyły nianie lub matki.

Niemniej ta nowa dziewczynka wydawała się niezwykle przyjacielska i natychmiast otworzyła swój worek, żeby Lissie mogła nabrać pełną garść pokruszonego chleba. Lissie rzuciła okruszki, a dwie kaczki zderzyły się z przewidywalnie pociesznym rezultatem; trzepotały skrzydłami, kwakały przeraźliwie, szczypały się dziobami i na inne jeszcze sposoby dawały wyraz kaczemu oburzeniu.

Dziewczynki parsknęły śmiechem i wkrótce opróżniły worek. Lissie podsunęła swój i schyliły się nad nim obie, wspólnymi siłami próbując rozwiązać mocny supeł kucharki. Wyglądało na to, że momentalnie się zaprzyjaźniły.

Postanowił, że tym razem po prostu podejdzie i się przedstawi, a następnie spróbuje ustalić, o jakiej porze dnia najłatwiej spotkać tę dziewczynkę w parku. Och, być może mała nie zajmowała tej samej pozycji społecznej co Lissie, ale Hepplewood ostatnio znajdował się w dziwnie egalitarnym stanie umysłu. Jakiś czas temu zaczął się zastanawiać, czy szczęście nie jest ważniejsze od statusu. Jego matka bez wątpienia przewracała się w grobie.

Okazało się jednak, że prezentacja nie będzie konieczna.

Zdał sobie z tego sprawę w chwili, kiedy dama uklękła, żeby pomóc dzieciom rozwiązać worek, dzięki czemu spod runda cylindra zobaczył nieco więcej aniżeli sam rąbek jej sukni.

Serce osobliwie podskoczyło mu w piersi. Wstrzymał oddech. Mimo to jakimś sposobem udało mu się pozostać w idealnym bezruchu i spod osłony kapelusza śledzić rozwój sytuacji.

Isabella przygryzała wargę, zmagając się z supłem. Wkrótce zdołała go poluzować i wreszcie rozwiązała. Dziewczynki pobiegły z powrotem do przepychających się niecierpliwie kaczek, a Isabella wstała, znikając z pola jego widzenia.

Boże, ależ za nią tęsknił.

Uciekł się do całej swej determinacji, żeby nie podejść, by jej o tym powiedzieć. Wszystkie instynkty uparcie nakazywały mu iść i podkreślić swoje prawo do niej. Ale nie zrobił tego, rozumiał bowiem teraz, że Isabella stara się nie stracić ducha pod ciężarem brzemion, które już na niej spoczywały. Nie pomógłby jej, dodając do tej mieszanki poczucie winy i presję.

Nie, ona go pokocha albo nie.

On rozwikła jej sytuację albo nie.

I zdecydują, razem lub osobno, co będzie najlepsze dla ich rodzin.

Jeśli ostatnie, samotne tygodnie nie nauczyły go niczego ponad to, jak ważne jest uporządkowanie własnego umysłu – i własnego życia – wówczas i tak dowiedział się cennej rzeczy.

Zapewniła go, że nie jest przy nadziei.

Powtarzał sobie, że się z tego cieszy; cieszy się, że Isabella nie będzie musiała podejmować trudnej decyzji, kiedy jej życie już obfitowało w trudności, jak również, że nie będzie narażona na potworne ryzyko związane z porodem. Myśl o Isabelli wyniszczonej bólem i być może rozdarłej na strzępy napełniła go przerażeniem tak lodowatym i głębokim, że aż irracjonalnym.

Jednakże się nie cieszył. Na jakimś mrocznym, prymitywnym poziomie. W głębi serca. I nie wiedział, co to o nim mówi.

Zapewne, że nadal jest samolubny.

Tak samolubny, na jakiego wychował go ojciec.

Tak samolubny, jak zawsze oskarżała go o to matka.

Niemalże tak samolubny jak wtedy, gdy uwiódł Felicity, a następnie zabrał ją do Burlingame, żeby przeparadować z nią przed wszystkimi – nie przed wszystkimi, przed Dianą – przez co uruchomił potworny łańcuch zdarzeń, których nie dało się odwrócić.

Wziął głęboki oddech i uzmysłowił sobie, że chleb się skończył, a Isabella z niepokojem rozgląda się po parku, mocno ściskając rączkę Lissie.

Lissie wskazała koc i cała trójka ruszyła w górę niewielkiej pochyłości, zmierzając ku Hepplewoodowi. Odrzucił na bok cylinder i usiadł, dłonią osłaniając oczy przed słońcem.

Kiedy szła ku niemu po trawie, skonstatował, że wygląda dziś piękniej niż kiedykolwiek. Gdy zaś na jej twarzy pojawiło się rozpoznanie – i przelotnie radość – coś w jego sercu wezbrało i nieomal podążyło ku niej.

Wpadłeś po uszy, chłopie, pomyślał. Tak głęboko, że nie ma już odwrotu.

Nie, teraz pozostało mu tylko określić najlepszą drogę naprzód.

Uświadomił to sobie z całym przekonaniem – i była to prosta prawda. Jak powiedzenie, że nocne niebo jest czarne albo deszcz nieunikniony. Wiedział, że w jego życiu musi być o n a.

Kiedy dotarły do koca, wstał i wyciągnął ramię po Lissie.

– Papo, widziałeś kaczkę? – wykrzyknęła z ekscytacją dziewczynka. – Widziałeś, jak ten mały kaczor szczypie dużego? Próbował mu zabrać chleb.

– Widziałem, a jakże. – Przygarnął serdecznie Lissie do swego boku i ukłonił się nad dłonią Isabelli. – Pani Aldridge, ogromnie mi miło znów panią spotkać. Widzę, że poznała już pani moją córkę.

Jednakże niezręczność sytuacji ewidentnie dotarła do Isabelli i biedaczka wyglądała teraz na rozpaczliwie skrzępowaną. Uzmysłowił sobie, że nie nosiła w sobie ani krztyny obłudy – i kochał ją za to jeszcze bardziej.

Tak, kochał ją.

Ostatnie tygodnie nauczyły go także i tego.

– Dzień dobry, milordzie – wykrztusiła. – Tak, lady Felicity dołączyła do nas przy kaczkach... całkowicie z własnej inicjatywy.

To ostatnie zostało dodane w pośpiechu, jakby Isabella obawiała się innej interpretacji.

– Tak, obserwowałem ją. Dziękuję, że się pani nią zajęła. A zatem, czyżby panna Georgina Glaston? – Ujął dłoń dziewczynki i złożył nad nią ukłon. – Jesteś niemalże tak piękna jak twoja siostra, a to nie lada dokonanie.

Dziewczynka zachichotała, po czym ukryła twarz w spódnicy Isabelli.

– O, jesteście przyjaciółmi? – spytała niewinnie Lissie.

– Tak, w pewnym sensie – odparł, patrząc na Isabellę.

– To dobrze – oznajmiła Lissie. – Czy w takim razie Georgina może pobawić się z Piklem? Chcemy się z nim przespacerować ścieżką.

– Hm... – Hepplewood odwrócił się i spojrział. – Staruszkowi chyba przyda się trochę ruchu. Możecie iść do padoku... ale nie za ogrodzenie, zwracam uwagę... i z powrotem. Jeśli tylko pani Aldridge się zgadza.

Isabella wyglądała na odrobinę oszołomioną, lecz po chwili skinęła głową.

– Naturalnie.

– Pójdziemy za nimi? – zaproponował.

Znowu przytaknęła.

Hepplewood na powrót założył cylinder i statecznym krokiem ruszyli za dziewczynkami.

– Weź mnie pod rękę, Isabello – poinstruował łagodnie. – Jesteśmy przyjaciółmi, pamiętasz?

– Tak, w pewnym sensie – wymamrotała tym głębokim, prawie że gardłowym głosem, który przyprawiał go o dreszcze.

– A nie jesteśmy? – Przystanął na ścieżce i odwrócił się, by na nią spojrzeć. – Isabello, czy nie jesteśmy chociażby tylko przyjaciółmi, ludźmi, którzy troszczą się o siebie nawzajem?

– Nie wiem, czym jesteśmy – odparła, niewytłumaczalnie wstrząśnięta.

– Isabello, skarbie. – Rozpaczliwie pragnął ją przytulić, ale znajdowali się w parku, pod czujnym okiem przynajmniej setki ludzi, widoczni też z połowy okien przy Park Lane. – Co się dzieje?

Podniosła nań wzrok, a w jej szeroko otwartych oczach wyczytał jakąś nienazwaną emocję.

– Czy obserwował pan mój dom, milordzie?

– Anthony – poprawił miękko. – A odpowiedź brzmi nie, niezbyt często.

– Ale... czasami? – naciskała.

Skinął głową, choć wolałby, żeby nie przeprowadzali tej rozmowy. Nie teraz. Jeszcze nie.

– Czasami to robię, owszem – odparł. – Kiedy mój człowiek Jervis albo ktoś przez niego zatrudniony nie są dostępni. Zapewne wtapiają się w otoczenie nieco lepiej niż ja? I nie śmiem stać przy twoich drzwiach. Zbyt łatwo mnie rozpoznać. Masz dość kłopotów i bez tego.

Przybrała z lekka obronną postawę.

– Jakiego rodzaju kłopotów?

– Tak mi się powiedziało. – Pokręcił głową. – Masz po prostu mnóstwo zmartwień, to wszystko.

– Wobec tego dlaczego obserwujesz mój dom? – zaatakowała. – Nie pojmuję.

Zdał sobie sprawę, że zapędziła go w kozi róg – a nie była głupia.

– Ponieważ nie ufam twojemu kuzynowi – przyznał otwarcie. – Nie, ani trochę nie ufam tej kanalii.

Być może podsłuchiwałem nieco więcej z waszej rozmowy w Fulham, niż dałem do zrozumienia.

– Och. – Uleciała z niej część bólu i wzburzenia. – Dziękuję. Miło z twojej strony. Ale Everett to przeważnie tylko niedogodność. Przywykłam.

– Ospa to zaledwie niedogodność, kiedy zaczyna cię swędzieć – odparł ponuro. – I nim dostrzeżesz całe jej zło, znajdujesz się o krok od śmierci.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Zło?

– A jak byś to nazwała?

Ściągnęła brwi.

– Tak, masz rację – powiedziała w końcu. – Everett jest zły. Odnoszę jednak wrażenie, że mówisz o innego rodzaju podłości.

– W tym sęk, Isabello – odparł – że nie wiem jeszcze, o czym mówię, i dlatego wolałbym w ogóle nie rozmawiać na ten temat.

– Och. – Umilkła na chwilę, jakby nad tym dumiała. – Czy to z tego powodu przestałeś do mnie pisać?

Roześmiał się.

– Czy wolno mi żywić nadzieję, że czujesz się zawiedziona? – Nachylił się ku niej niebezpiecznie blisko; tak blisko, że mógł wciągnąć w nozdrza czysty zapach jej włosów i ciepłą mgiełkę potu. – Chcesz, żebym do ciebie pisał? Biorąc pod uwagę nasze ostatnie rozstanie, nie byłem pewien. Niczego nie pragnąłbym bardziej, niż natychmiast podjąć korespondencję z tobą.

– Nie, nie, chodziło mi tylko...

Przerwał jej, zbliżając wargi do jej ucha.

– I, jeśli chcesz, Isabello – szepnął – będę pisał znacznie konkretniej i z o wiele mniejszą dozą

powściągliwości niż do tej pory. Opowiem ci, jak rozpaczliwie pragnę usłyszeć twój głos oraz jak lubieżnie chciałbym sobie z tobą poczynać. Jak požądam tego, by cię dotykać i czuć, jak wijesz się i krzyczysz pode mną. Rozumiem, że sama otwierasz swoją pocztę?

Isabella zdawała się niezdolna zaczerpnąć tchu.

– Cóż... zazwyczaj.

– Ach, zazwyczaj. – Odsunął się ze zboląłą miną. – Niestety, sama widzisz, przed jak ciężkim problemem stoję. Rzeczy, które z chęcią bym ci napisał, u każdej innej osoby wywołałyby wstrząs... jeśli nie atak serca.

Popatrzyła na niego spokojnie.

– Nadal nie wiem, co o tobie myśleć – powiedziała. – Choć upłynęło tyle czasu... nadal nie wiem.

Impulsywnie uniósł jej dłoń do ust i z żarem docisnął wargi do rękawiczki.

– Znajdujesz się w tym szczęśliwym położeniu, że nie musisz decydować od razu – rzekł, patrząc na nią otwarcie. – Ja zaś uczę się cierpliwości.

Nadal wpatrywała się w niego bez wyrazu, gdy nagle z dołu dobiegło wołanie:

– Tony?! Och, Tony, to ty!

Odsunął się i spojrzał na ścieżkę do jazdy konnej.

– Ani chybi moja kuzynka Anne – mruknął, przekrzywioną dłonią osłaniając oczy przed słońcem. – Prowadzi kuce. I więcej dzieci. Oraz co najmniej dwóch stajennych. Niezła świta. Zostaniesz? Z wiarygodnego źródła wiem, że program przewiduje przejażdżki na kucach. Czy Georgina miałaby chęć się przejechać?

Wydawało się, że Isabella gwałtownie wróciła do rzeczywistości.

– Nie, dziękuję – powiedziała na bezdechu, rozglądając się w panice. – Musimy iść. Georgie? Georgie! Dobry Boże, gdzie ona się podziała?

– Jest kilka kroków za tobą – odparł i uspokajająco wsunął dłoń pod jej łokieć. – Miałem ją na oku przez cały czas, Isabello, słowo.

Poczuł, że napięcie częściowo z niej spływa, posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie i odwróciła się, by się przekonać, że Georgina i Lissie rzeczywiście się do nich zbliżają.

– Jestem – oznajmiła Georgina, zatrzymawszy się obok siostry. – Musimy już iść, Bello?

– Tak. – Isabella sztywno skinęła głową. – Dalej, Georgie, daj mi rękę. Dziękujemy, milordzie, za tak liczne wyrazy uprzejmości. I tobie, lady Felicity, za ładną zabawę z Georgie.

Isabella nie obejrzała się ani razu. Siostry oddaliły się spieszenie, a Lissie odprowadzała je wzrokiem z taką miną, jakby miała się zaraz rozpłakać. Hepplewood odnotował, że nawet nie spojrzała na zbliżające się kuce.

– Polubiłam Georgie – wykrztusiła cichutko. – Była miła.

Hepplewood ukląkł, żeby spojrzeć na córkę.

– Mnie też się tak wydało – powiedział, całując ją w kącik oka. – Nie płacz, słodziutka. Chciałabyś kiedyś znowu pobawić się z Georgie?

– Tak – odparła żarliwie Lissie. – Och tak, papo. Mogę? Wiesz, jak ją znaleźć?

– Wiem, szkrabie – odparł, po czym wstał, zerkając na uroczo rozkołysane biodra odchodzącej Isabelli. – Wiem z całą pewnością.

W tejże chwili zatrzymał się przy nich wierzchowiec jego kuzynki.

– Dobry Boże, czy to nie była wdowa po Richardzie? – spytała Anne, zdejmując nogę z kuli. – Tak schudła, że o mały włos bym jej nie rozpoznała.

Hepplewood pomógł jej zsiąść.

– Po Richardzie? – powtórzył głupkowato. – Jakim Richardzie?

Stanąwszy na ziemi, Anne spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

– Richardzie Aldridge’u – powiedziała. – Kuzynie Philipa. Czy to nie była Isabella Aldridge?

Jednakże Hepplewood odwrócił się już, wbijając wzrok w plecy Isabelli, proste jak wycior, kiedy zdążyła w kierunku Ogrodów Kensington z dzieckiem stąpającym lekko u jej boku.

– Aldridge – wymamrotał. – Dobry Boże! Syn Fenstera?

– Tak, ten zmarły poeta – odparła z przekąsem Anne. Następnie zniżyła głos do szeptu: – Wuj Fenster rozgłosił, że go otruła, lub podobny nonsens, jeśli pamiętasz.

Pokręcił głową.

– Nie, nie pamiętam.

– Ach, pewnie, że nie – mruknęła. – To była, zdaje się, zima twojej goryczy... jedna z wielu.

W zasadzie, na ile sobie przypominał, prawdę o Dianie poznał w poprzednim sezonie towarzyskim, choć wiele miesięcy później nadal nurzał się w rozpuście. Tak, prawda pchnęła go w gorzką, paskudną podróż – która, jak ten i ów skłaniałby się utrzymywać, trwała po dziś dzień.

Tymczasem Anne przekazała wodze stajennemu i wydawała precyzyjne instrukcje w kwestii tego, co wolno chłopcom.

– A Bertie może wziąć Lissie przed siebie – dodała – ale tylko na padoku, i bardzo na nią uważaj. – Następnie odwróciła się do Hepplewooda i wzięła go pod ramię. – Czy to twój koc, staruszkę? – spytała. Dociskała dłoń do dolnej części kręgosłupa, jakby bolały ją plecy. – Z wielką chęcią bym na nim usiadła, jeśli pozwolisz.

Jak automat ruszył z powrotem w dół zbocza, Anne zaś dreptała obok niego nieco kaczym chodem.

– To było szczęśliwe małżeństwo? – Usłyszał własny głos. – Aldridge’owie?

Anne zdawała się nad tym dumać, kiedy mościła się na kocu.

– Z całą pewnością pobrali się z miłości – powiedziała, skromnie poprawiając na brzuchu luźny strój. – Miała wyjść za swego kuzyna, dziedzica lorda Tafforda, ale głuptaska zaraz po debiucie zakochała się w bujającym w obłokach Richardzie... co chyba można jej wybaczyć.

– Wybaczyć co?

– Że się zakochała w Richardzie – odparła niecierpliwie Anne. – Wielkie nieba, rok wcześniej sama prawie się w nim zadurzyłam, a byłam już zakochana w Philipie. Na szczęście znałam tę rodzinę na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że biedaczek jest odrobinę rozchwiany.

– Rozchwiany? W jakim sensie?

Wzruszyła ramionami.

– Jak jego matka – odparła. – Wzlatywał wysoko na skrzydłach fantazji, pisząc zwały koszarnej poezji i miotając się szaleńczo po świecie, a potem wpadał w przerażający dołek. Z tym że u lady Fenster były to gorące romanse. I zakupy, niekiedy do momentu, gdy dosłownie mdlała.

– To akurat pamiętam – stwierdził. – Zmarła wskutek przedawkowania laudanum, zgadza się?

– Trochę jak Richard i jego picie – zadumała się Anne – choć jego prezencja na tym nie ucierpiała. Niewykluczone, że jedynie ty mógłbyś z nim rywalizować wyglądem. Ale podczas gdy ty jesteś zaledwie zepsuty, Richard był... Richard był słaby. Nie radził sobie z przeciwnościami losu.

Hepplewood parsknął.

– A jakież to przeciwności losu kiedykolwiek nękały potomków Fenstera? Do tego człowieka należy połowa Banku Anglii.

– Fenster odciął Richarda – wyjaśniła Anne. – Zostawił go bez środków do życia i oznajmił, że ma nadzieję, iż umrze z głodu... do czego by doszło, gdyby nie fakt, że ojciec tej nieszczęsnej dziewczyny przygarnął go i wspierał.

– Jej ojciec? – zdumiał się Hepplewood. – Czy on miał jakiegokolwiek pieniądze?

– Baron Tafford? Skądże. – Anne odpłynęła myślami. – Była jakaś niewielka, uroczą posiadłość w Sussex. A ona chyba odziedziczyła coś po matce, jako posag. Ale poza tym prawie nic. Wiesz, w dzisiejszych czasach to powszechne.

Isabella wreszcie zniknęła mu z oczu. Hepplewood westchnął.

– Co jest powszechne?

– Boże, Tony, skup się – skarciła go Anne. – Mówię o arystokratkach, którzy mają ziemię, ale nie pieniądze.

– Ach, to! – rzekł z przekąsem. – Jasne, na tym polu mam doświadczenie.

– No cóż, to nie twoja wina, że wuj Hepplewood pozwolił, by Loughford popadło w ruinę – przyznała. – Przynajmniej dokonałeś zmian na lepsze, i to z naddatkiem.

– Loughford podupadło za czasów ojca, ponieważ dopuścił, by zarządca przejął kontrolę i się rozleniwił – powiedział cicho. – A pieniądze pana Willeta odmieniły sytuację. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Zapłaciła za to Felicity... zapłaciła własnym życiem.

– Nieprawda – oznajmiła Anne. – Felicity dokonała własnych wyborów.

– Rzeczywiście? – Wreszcie się ku niej odwrócił. – Tak uważasz, Anne?

– A czy do czegokolwiek ją zmuszałeś? – spytała ze zniecierpliwieniem. – Tak? Przemocą zaciągnąłeś ją do łóżka? Miała dwadzieścia lat, przyjaźniłam się z nią. Nie była zielona i na pewno nie była głupia.

– Wiem o tym – odparł cicho.

– Co więcej – ciągnęła podniesionym głosem Anne – równie wiele osób sądziło, że to ona poluje na twój tytuł, kochany, ile wierzyło, że to ty polujesz na jej pieniądze. Nie zastanawiałeś się nigdy, czy jednak nie polowała?

Otworzył usta, po czym znów je zamknął.

– Nie – rzekł wreszcie. – Nie przyszło mi to do głowy.

Anne westchnęła ciężko.

– Wiem, że pan Willet ustanowił dla Felicity niedorzeczną sumę, ale to była jego decyzja – podjęła łagodniejszym tonem. – Pragnął dla swoich wnuków hrabiostwa i gotów był za nie zapłacić. Ale ty zainwestowałeś te pieniądze, Tony. Wprowadziłeś wiele zmian i ulepszeń we wszystkich swoich posiadłościach, przy czym robiłeś to na tyle rozważnie, że nie wyczerpałeś funduszy.

– Ach, czyli stałem się wielkim filantropem? – spytał zgryźliwie.

– Nie, ale próbowałeś być przyzwoitym mężem – odparła – i pomimo wszystkich swoich złych nawyków masz zadatki na dobrego ojca. Pieczołowicie wygasiałeś pożary w swoich włościach, nawet jeśli zajmowałeś się tym w przerwach między orgiami, a kiedy nastanie pora zamążpójścia Lissie, będziesz w stanie zabezpieczyć jej przyszłość. Czy nie tego chciałaby ostatecznie Felicity?

– Trudno mi powiedzieć – wymamrotał Hepplewood – jako że cały okres małżeństwa upłynął nam w przeciwległych krańcach Loughford. Tak naprawdę jej nie znałem, ponieważ po sprawie z Dianą Felicity... czuła do mnie niesmak.

– Felicity pozostał uraz... po Dianie, która była obłąkana – skorygowała Anne. – Co więcej, spodziewała się dziecka, a to także wiąże się ze swego rodzaju szaleństwem, wierz mi. Gdyby dano jej czas, doszłaby do siebie. Tony, pierwsza cię zwymyślam, kiedy partaczysz sprawę, wiesz o tym, ale mam nadzieję, że równie prędko przyznaję, iż nie ponosisz winy, gdy istotnie tak jest.

Hepplewood wyciągnął nogi na kocu, po czym szybko i mocno uściskał jej dłoń.

– Dziękuję ci, kochana, ale wolałbym nie zapuszczać się znowu na te wyboje – powiedział. – Po prostu dokończ opowieść o zmarłym lordzie Taffordzie... i Richardzie.

– No cóż, kiedy zabrakło nędznego posagu Isabelli, biedaczysko doprowadził się na skraj nędzy, spłacając resztę długów Richarda, i to by było na tyle – odparła. – Nie da się ukryć, że wuj Fenster

zachował się okropnie, odtrącając syna jedynie dlatego, że ożenił się z dziewczyną bez pieniędzy. A potem rozpowiadając... rozpowiadając takie podłe rzeczy. Philip od tamtej pory przestał z nim rozmawiać.

Hepplewood całą tę sprawę uważał za podłą. Tak, teraz, gdy Anne pobudziła jego pamięć, przypominał sobie mgliście tamtą tragedię, której następstwem była gorzka kłótnia w rodzinie męża kuzynki. Ponieważ jednak owe lata wypełniały mu głównie miłosne podboje, hazard i brandy, nie miał pewności co do detali.

– Co się stało z Isabellą po śmierci jej męża? – spytał możliwie obojętnym tonem.

Anne wzruszyła ramionami.

– Krążyły plotki, że miała wyjść za dziedzica swego ojca – odparła – ale to samo mówiono przy jej debiucie, a do ślubu nigdy nie doszło. Nie, kiedy patrzę wstecz, wydaje mi się, że biedaczka po prostu zniknęła. Nie widziałam jej aż do dzisiaj.

– Tak, zapewne wołała zniknąć – rzekł w zadumie. – Moim zdaniem jest osobą, która ceni sobie prywatność.

– A to jest najdłuższa rozmowa na temat przyzwoitej kobiety, jaką my dwoje odbyliśmy od... no cóż, kiedykolwiek – stwierdziła Anne, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

– Czy uważa się ją za przyzwoitą? – zagadnął.

– A czy to ma znaczenie? – odpowiedziała pytaniem Anne.

– Nie dla mnie – odparł cicho. – Ale dla niej? Tak, sądzę, że ogromne.

– Mam nadzieję, że problemy z lordem Fensterem odeszły w zapomnienie, choć przyznam, że trochę to trwało – zauważyła Anne. – Teraz jest przykuty do łóżka... Miał atak apopleksji... i nie powie już ani słowa.

Hepplewood przyjął tę wiadomość nie bez przyjemności. Och, nie życzył Fensterowi źle. Człowiek miał ciężkie życie, borykając się z niewierną żoną i nieobliczalnym synem, nic wszakże nie usprawiedliwia zrzucania winy za swoje nieszczęścia na bezbronną dziewczynę.

Nie dziw, że Isabella zdecydowała się zniknąć i podjąć pracę jako służąca.

Jakimikolwiek pieniędzmi dysponowała na początku – najwyraźniej nader skromnymi – teraz pod względem finansowym ani chybi stąpała po cienkim lodzie. Ujawniało się to na setki drobnych sposobów: koszmarne chatka w Fulham, pocerowana sukienka Georginy, chudość samej Isabelli, która, jak dopiero co zauważyła Anne, nie była dla niej typowa. Aczkolwiek chyba przybrała nieco na wadze, odkąd spotkał ją po raz pierwszy.

W każdym razie Isabella toczyła ciężki bój. Gdyby było inaczej, nigdy nie rozważyłaby sprzedania się mężczyźnie jego pokroju.

W rezultacie ogarnęła go jeszcze większa wściekłość na obecnego barona Tafforda, który – Hepplewood nabierał co do tego pewności – coś ukrywał. Każda kolejna wydobyta przez Jervisa na światło dzienne informacja pogłębiała te podejrzenia.

Zarazem Taffordowi nie stało sprytu – i przedsiębiorczości – by uknuć tego rodzaju podstęp. Owszem, był paskudnym, niegodnym zaufania człowiekiem. Wydawało się jednak bardziej prawdopodobne, że w sercu tej zgnilizny tkwi jego matka, Tafford zaś odgrywa rolę jej bezwolnego pacholka.

– Pani Aldridge pracowała jako guwernantka u lady Petershaw – rzekł cicho. – Wiedziałaś o tym?

– Nie miałam pojęcia – odparła Anne, wyraźnie zaintrygowana. – Zaczynam się jednak zastanawiać, jak ty się dowiedziałeś.

Zaśmiał się.

– Odmawiam odpowiedzi – rzekł. – Mam prawo unikać samooskarżenia, czyż nie?

Anne przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Niech zgadnę – oznajmiła. – Pani Aldridge to ta kobieta, która wreszcie dała ci w twarz, zgadza się? Dobry Boże, Tony, powiedz mi, że nie poszedłeś na jedną z orgii u La Séductrice, gdzie przez pomyłkę obłapiłeś guwernantkę?

– Nie bądź niedorzeczna, Anne – odparł. – Poznałem tę damę całkiem przypadkowo. Zresztą od dawna nie pracuje już u lady Petershaw. Prowadzi księgarnię w uliczce przy Brompton Road.

– Księgarnię? – powtórzyła radośnie Anne. – Nadzwyczajne! Podobnie jak fakt, że wiesz o niej to wszystko. Przyznaj, Tony. Zainteresowałeś się tą damą. Nie wydaje mi się jednak, żeby pani Aldridge zagrała w twoją grę.

– Nie – odparł z przekąsem. – Też tak sędzę.

Anne zaczęła się szczerze śmiać.

– Najwyższa pora, staruszkule, żebyś spotkał kobietę, która nie będzie tolerować twoich flirtów i łajdaczenia się.

– Bez komentarza – rzucił znowu.

– No cóż, przynajmniej jest wielką pięknoscią, elegancką i pełną wdzięku, na ile pamiętam – stwierdziła Anne, patrząc nań osobliwie. – Księgarnia to wprawdzie trochę nieszczęśliwe rozwiązanie, zastanawiam się jednak, czy życie dało jej wybór. Nie, pod wieloma względami nie znalazłbyś lepszej kandydatki.

– Kandydatki? – spytał ubawiony.

– Może na żonę – odparła Anne – ponieważ ta dama nie pójdzie z tobą tak po prostu do łóżka, chyba że ogromnie się zmieniła, odkąd ostatnio o niej słyszałam. Nie, jeśli pragniesz Isabelli Aldridge, niewykluczone, że będziesz musiał się z nią ożenić.

Hepplewood nic na to nie odrzekł – co, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, wyjawiało jego kuzynce o wiele więcej niż jakiegokolwiek słowa.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, przyglądając się, jak konie i powozy stopniowo zapychają położoną niżej aleję. Po kilku minutach Anne ostatecznie zrezygnowała z przekomarzań, oparła dłonie płasko na kocu i westchnęła.

– Wstawaj, Tony – rozkazała – i dźwignij biedną cielną krowę na nogi.

– Nie, kochana, zaledwie jałówkę – odparł, szczerząc zęby w uśmiechu.

Posłała mu mroczne spojrzenie i wyciągnęła ku niemu rękę.

– Tak czy owak, lepiej popędzę już chłopców racicą do domu.

Pociągnął Anne na nogi, odnotowując, że podniesienie się kosztowało ją nieco wysiłku.

– Nie mogę uwierzyć – skomentował złowrogim tonem – że sir Philip pozwala ci jeździć konno w tym stanie. Ja nie wypuszczałbym cię z domu.

Anne miała czelność go wyśmiać.

– Pozwala na to, Tony, gdyż rozumie, że nie zdoła mnie powstrzymać – odparła – a także jest na tyle mądry, że wie to, o czym ty najwyraźniej nie masz pojęcia.

– Ach tak? – spytał, ofiarując jej ramię. – A cóż to za perła mądrości?

– Że świat jest miejscem zarazem cudownym i niebezpiecznym – powiedziała, patrząc mu w oczy – a jeśli będziemy chować pod kloszem tych, których kochamy, ominie ich jedno i drugie: zarówno niebezpieczeństwa, jak i cuda.

– Mhm – mruknął z krzywym uśmiechem. – W ten zaś sposób usiłujesz mi przekazać... co konkretnie?

Opromieniła go uśmiechem.

– Że może pora już, byś przestał się karać i obwiniać za każde złe zdarzenie w życiu, jak również zarzucił próby kontrolowania wszystkich i wszystkiego wokół siebie – oznajmiła.

– I...? – spytał, unosząc brew, wiedział bowiem, że jest coś jeszcze. W przypadku Anne zawsze było.

– I że może powinienes wybrać się w poniedziałek do Tatersalla – dodała słodko – żeby kupić Lissie jej własnego kucyka?

W tejże chwili powietrze rozdarł ostry pisk. Podniósłszy wzrok, Hepplewood odkrył, że na padoku Lissie usiłuje przejąć kontrolę nad wierzchowcem Bertrama.

Pokręcił głową, spojrział z ukosa na Anne, obciągnął mankiety i pospieszył z interwencją.

ROZDZIAŁ 12

Au! – Isabella gwałtownie cofnęła rękę i zobaczyła, że na jej palcu wskazującym rośnie perła krwi.

– Ukłułaś się? – Jemima podniosła wzrok znad cerowania. – To trzeci raz. Zajmę się tą poszewką, Bello, jeśli chcesz wziąć się za obiad.

– Pani Barbour zostawiła w piecu kurę – powiedziała Isabella, spieszenie składając płótno, żeby upchnąć je z powrotem w koszu. – A pościel może poczekać. Ewidentnie błędę gdzieś myślami. Poza tym jest niedziela. Dlaczego nie zrobisz czegoś przyjemnego? Czy panna Hokham nie pożyczyła ci w szkole jakiejś książki?

– Tak, to było bardzo miłe z jej strony – odparła dziewczynka, przeciągając nić przez dziurę na palcu w pończosze Georginy. – Przeczytałam już trzy rozdziały... ale nie marnuję świec, Bello, przyrzekam.

– Wiem, że nie, słonko. – Isabella odstawiła już kosz z szyciem i zaczęła sprzątać w bawialni. – Jaki ma tytuł? Dobra?

Jemima zerknęła na Georginę, która siedziała na podłodze, układając klocki.

– To jedno z dzieł Anne Brontë – odparła cicho. – *Lokatorka Wildfell Hall*.

– Och. – Isabella porzuciła aktualną czynność i spojrzała na Jemimę surowo.

Dziewczynka się zarumieniła.

– Panna Hokham powiedziała, że nie wolno mi jej czytać bez twojej aprobaty – przyznała. – Nie zgadzasz się?

Isabella zasznurowała usta. Książka opowiadała o tajemniczej kobiecie, którą mieszkańcy wsi uważają za kochankę bogatego mężczyzny i unikają jej z tego powodu. Okoliczność, że podejrzenie w końcu okazuje się nie mieć nic wspólnego z prawdą, nie negowała faktu, iż powieść mierzyła się z przykrymi, szokującymi zagadnieniami; zagadnieniami, które były Isabelli niewygodnie bliskie.

– Trochę późno na takie pytanie – stwierdziła z westchnieniem – skoro dotarłaś już do czwartego rozdziału. Nie, przypuszczam, że jesteś dostatecznie dojrzała, by zrozumieć...

Drgnęła, kiedy na dole raptem głośno zapukano do drzwi. Wymieniły z Jemimą niespokojne spojrzenia. W minionym tygodniu pani Barbour dwukrotnie odsyłała Everetta, przy czym raz towarzyszyła mu lady Meredith.

– Lepiej sprawdzę, czy na ulicy stoi powóz – powiedziała niespokojnie Isabella. Prędko podeszła do okna i zbliżyła czoło do szyby.

– Czy to kuzyn Everett? – spytała ze ściągniętą twarzą Jemima.

– Kuzyn Everett jest wstrętny i przerażający – oznajmiła Georgina.

– Cicho, Georgie – skarciła ją Isabella.

– Tak mówi Jemma – odparła nadąsana dziewczynka.

Jednakże pojazd na ulicy był o wiele zbyt wytworny jak na własność Everetta; on i lady Meredith nadal przemieszczali się starym, rozklekotanym powozem ojca Isabelli, a lśniące lando na dole emanowało elegancją, podobnie jak niemłody już, dobrze ubrany stangret.

Natomiast pasażer, kimkolwiek był, stał już zbyt blisko drzwi, żeby dało się go zobaczyć.

– Cóż, nie są to Everett ani lady Meredith – mruknęła Isabella, odwróciwszy się od okna.

Niepokój zniknął z postawy Jemimy.

– Może ktoś zabłądził?

– Zejdę na dół i sprawdzę.

Isabella pospieszyła po schodach do wspólnej sieni. Ku jej zaskoczeniu przeszklone drzwi wypełniała sylwetka wysokiego mężczyzny, a u samego dołu szyby widać było strzechę blond włosów pod słomkowym kapelusikiem. Wstrzymała oddech, w piersi poczuła osobliwy ucisk.

Kolejne trzy kroki rozwiały wątpliwości; lord Hepplewood wpatrywał się w nią przez szkło, jak zawsze bez uśmiechu na twarzy. Pomyślała jednak, że w jego oczach czai się sugestia ciepła.

Z odrobiną wahania otworzyła drzwi.

– Dzień dobry – wykrztusiła. – Co za niespodzianka.

– Nieprawdaż? – mruknął, mierząc wzrokiem praktyczną brązową suknię, którą założyła tego ranka do kościoła. – Jak się pani miewa, pani Aldridge?

– Przynieśliśmy kwiaty – oznajmiła lady Felicity, wyciągając w kierunku Isabelli sfatygowany bukiet.

– Iskry.

– Astry – poprawił Hepplewood. – Lissie sama je zerwała.

– Dziękuję, lady Felicity. – Isabella z powagą przyjęła bukiet. – Są śliczne.

– Nic innego nie rośnie aktualnie w ogrodzie – powiedział cicho hrabia, nadal leniwie wędrując spojrzeniem po sylwetce Isabelli – lecz nawet róże nie byłyby pani godne.

– Dziękuję – powtórzyła Isabella, nieporadnie ściskając kwiaty.

Znów popatrzył jej w oczy.

– Trochę niezręcznie tak stać w wejściu do pani sklepu – oznajmił z groźnym błyskiem w oku. – Czy będzie szczytem arogancji, jeśli wprosimy się do środka?

Nie dało się mu uprzejmie odmówić, a jego córka nadal spoglądała na Isabellę z entuzjastycznym wyczekiwaniem. Isabella pocieszyła się, że ubogie pokoje na górze dla dziecka nie będą miały znaczenia, a lord Hepplewood widział już, jak biednie mieszkają. W rzeczy samej, ten człowiek szybko odzierał ją ze wszystkich sekretów.

Ponadto, wstyd przyznać, lecz nie miała ochoty odmawiać. Nie, okropna prawda była taka, że pragnęła spełnić każdy jego rozkaz – zwłaszcza z tych bardziej grzesznych.

– Proszę wybaczyć. – Isabella otworzyła szeroko drzwi. – Zapraszam na górę.

– Panie Marsh – rzekł hrabia, odwróciwszy się do podstarzałego woźnicy – proszę łaskawie poczekać na nas w alejce na tyłach.

Minął Isabellę, wkraczając do niewielkiej sieni, skąd można było ruszyć schodami do mieszkania lub wejść do sklepu. Wydawało się, że, wysoki i barczysty, całkowicie wypełnił sobą niewielką przestrzeń. Co ciekawe, zamiast podążyć schodami, odwrócił się i obejrzał drzwi, które otwierały się na sklep.

– Weź je, Lissie, dobrze? – mruknął.

Dopiero wtedy Isabella ze zdziwieniem spostrzegła, że za plecami trzymał komplet raketek. Dziewczynka przejęła je od niego i weszła na schody.

Nachylił się na chwilę, z uwagą oglądając gałkę u drzwi.

– Hm – mruknął. – W obojgu drzwiach założyła pani nowe zamki?

– Tak, oczywiście.

– A kolejne drzwi, z równie dobrym zamkiem, znajdują się u szczytu schodów?

– Tak. – Lustrowała go z przekrzywioną głową.

– Lite, jak te tutaj? – zapytał, pukając w drewno. – Czy z szybą, jak te na ulicę?

– Lite – odparła – jak to zwykle w takich domach. Dlaczego?

– Och, czysta ciekawość. – Zbył kwestię eleganckim machnięciem ręki. – Poza tym nigdy nie wiadomo, pani Aldridge, kiedy pojawi się tu jakiś zdeprawowany niegodziwiec żywiący złe... a może wręcz desperackie... zamiary.

– Papo – zaskomlała Lissie, dociskając do piersi raketki. – Powiedziałaś, że idziemy pobawić się

z Georgie! – Wspięła się już do połowy schodów i stała na podeście, piorunując wzrokiem dorosłych.

Lord Hepplewood uśmiechnął się do Isabelli.

– Lissie zastanawia się, czy Georgina miałyby ochotę zagrać w wolanta.

– Grała dotąd tylko raz, więc nie radzi sobie zbyt dobrze – odparła Isabella.

– Doskonale – szepnął. – To będzie wyrównany pojedynek.

– Proszę iść przodem, lady Felicity – zachęciła Isabella, coraz bardziej skrepowana faktem, że dzieli ciasną przestrzeń z barczystym lordem Hepplewoodem, upojona jego zapachem. – Drzwi są otwarte.

Otrzymawszy upoważnienie, dziewczynka pędem pokonała resztę schodów, ze swobodą nawołując głośno Georgie.

– Obawiam się, że pod moim niekompetentnym ojcowskim nadzorem zamienia się w dzikiego łobuza – stwierdził hrabia.

– W wieku zaledwie sześciu lat powinna być trochę dzika – odparła Isabella, ruszając za dzieckiem. – To zdrowe i naturalne. Zapraszam na górę, milordzie.

Jednak dotarła zaledwie do podestu, kiedy została złapana od tyłu i gwałtownie odwrócona. Z pociemniałymi oczami lord Hepplewood docisnął ją do ściany, miażdżąc jej wargi w pocałunku równie głębokim i zaborczym, jak niespodziewanym. Wepchnął język do jej ust, pracował nim wolno i rytmicznie, przyszpilając Isabellę swym ciałem.

Za plecami miała chłodną, twardą ścianę, do której przypierał ją nieprzejednanie swym ciepłym ciężarem. Na brzuchu czuła nacisk jego twardniejącego członka i uzmysłowiła sobie, że nie ma sił, by mu się przeciwstawić – że nie jest zdolna mu odmówić.

Kiedy wreszcie się cofnął, nie mogła złapać tchu.

W mroku klatki schodowej jego oczy były nieprzeniknione, on także oddychał szybko i zaskakująco chrapliwie. Oparł się czołem o jej czoło i mocno uwięził w dłoni jej nadgarstek.

– Rzekłbym, że to było zarazem zdeprawowane i desperackie – szepnął, dociskając jej rękę do ściany.

– Nie, proszę – powiedziała. Ale kolana jej drżały, stanowczość słabła.

– Wróć do mnie, Isabello – mruknął. – Wróć do Greenwood. Potrzebuję cię... a ty potrzebujesz tego, co jestem w stanie ci dać.

– Anthony... nie mogę.

Pocałował ją znowu, czulej, otulając jej twarz dłonią na ten wyjątkowy sposób, jakby uważał ją za swój najcenniejszy skarb. Pozwoliła mu na to. Nie, więcej, niż pozwoliła; z żarem odwzajemniła pocałunek. Lecz zarazem desperacko uczepiła się pętających jej serce łańcuchów i jednym uchem nasłuchiwała kroków z góry.

Otarł się wargami o skórę pod jej okiem.

– Powiedz, że mnie pożadasz – polecił ochryple. – Powiedz to, Isabello.

Wypuściła powietrze z płuc w chropawym, drżącym westchnieniu.

– Pożadam cię – szepnęła, a potrzeba skręcała jej trzewia. – Proszę. Zadowolony? Znowu postawiłeś na swoim.

– Do tego jeszcze daleko – mruknął chrapliwym głosem. – Och, Isabello, gdybym miał postawić na swoim... Nie, nawet myśl o tym jest nieznośna. Nie tutaj. Nie teraz. Ale dziś w nocy, w pustym łóżu? Och, kochana, wtedy naprawdę będę przez ciebie cierpiał.

– Nie przecierpiałeś ani jednego dnia w życiu – odparowała. – Na pewno nie z braku kobiety.

Roześmiał się zuchwale i cofnął, spoglądając spod oka, z kącikiem ust uniesionym w owym dziwnym półuśmiechu, jednocześnie gorzkim i nieodgadnionym.

– Najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy ze swej mocy, skarbie – stwierdził. – Powinienem być za to wdzięczny... i chyba powinienem cię przeprosić.

– Czy właśnie przepraszasz? – spytała złowrogo. – Ponieważ jakoś nie tak to odbieram.

Zaśmiał się gardłowo i znów mocno ją pocałował, po czym się odsunął.

– Nie przepraszam – przyznał. – Pragnę cię, Isabello, i zamierzam cię mieć. Tymczasem jednak możesz znowu dać mi w twarz, jeśli sobie życzysz.

Ale Isabella dobrze pamiętała, jak to się dla niej skończyło – klapsami wymierzanymi u niego na kolanie. Znienacka przeszył ją dreszcz surowej żądy, a rozsądek podpowiedział, że nie wolno jej pozostać sam na sam z tym aroganckim diabłem ani chwili dłużej.

Spojrzała na schody.

– Powinniśmy wejść na górę – stwierdziła, wspierając o jego ramię dłoń, w której nadal nieporadnie ścisnęła łodygi astrów, teraz już prawie zmiażdżone.

– Powinniśmy – powtórzył, sunąc wargami w dół jej szyi. – Och, Isabello. Powinienem mnóstwo rzeczy. Powinienem przywiązać cię do mego łóżka i serca, a potem kochać się z tobą przez wiele dni. Powinienem w tej chwili zabrać cię z tego życia.

– Anthony – szepnęła – to moje życie. Nie twoje.

– Wiem – odparł i po raz pierwszy usłyszała w jego głosie nutkę żalu. – Tak, wiem o tym. Nie chcę być okrutny, Isabello. Nie chcę też jeszcze bardziej cię obciążać, ale...

– Ale co?

Półśmiech znikł.

– Po prostu nie próbuj sobie wyobrazić, że przestałem cię pragnąć – rzekł. – Nie przestanę. Nigdy. Tyle tytułem ostrzeżenia.

Następnie, równie szybko jak przedtem przyparł ją do ściany, cofnął się, chwycił ją za rękę i powiódł na górę. Kolana nadal jej drżały, nadgarstek i usta płonęły. A zarazem każdy jej nerw raptem przebudził się do życia.

Jednakże w bawialni świat wydawał się normalny, panował spokój. Lady Felicity, cisnąwszy rakiетки na bok, klapnęła na wytarty dywan obok Georginy. Dziewczynki przyglądały się stosowi drewnianych klocków, odwracając je na wszystkie strony.

Nieco spłoszona Jemima stała przy drewnianej ławie, kulturalnie zaciskając przed sobą dłonie.

Hepplewood się uklonił.

– Jak się pani miewa, panno Goodrich? – zapytał, kiedy Isabella dokonała prezentacji.

Isabella poczuła dumę z głębokiego i pełnego wdzięku dygu dziewczynki.

– Bardzo dobrze, milordzie, dziękuję – odparła Jemima.

– Papo, spójrz – odezwała się z podłogi Lissie. – Klocki Georgie rachują!

Hepplewood ukląkł między dziewczynkami.

– Jak sprytnie – skomentował, przetaczając klocek.

– To klocki matematyczne – wyjaśniła Isabella, zaskoczona, że jej głos brzmi tak zwyczajnie. – Odwraca się je, żeby pokazać różne liczby, a później przesuwa, tak by podać przykłady dodawania i odejmowania.

– Kształczące – stwierdził, mierzwiąc włosy córki. – Musimy o nich pamiętać na Boże Narodzenie, Lissie.

– Myślmy nad tym, żeby sprzedawać je w sklepie – powiedziała Isabella. – Jemima uważa, że mogłyby się cieszyć powodzeniem. Do tej pory wykazała się niezłym wyczuciem.

Jemima zarumieniła się i przeprosiła, chcąc iść poczytać.

– Wolałbym, żebyś została – rzekł Hepplewood, wstając z uśmiechem. – Wiem, że jesteś trochę za dorosła na zabawę z sześciolatkami... no dobrze, Lissie będzie sześciolatką dopiero za kilka tygodni... ale przynieśliśmy trzy rakiетки. – Odwrócił się, żeby spojrzeć na Isabellę. – Przypuszczam, że macie tu na

tyłach niewielki ogród?

– Nazywanie tego ogrodem to uprzejmość – przyznała Isabella – ale mamy ławkę oraz drzewo, które podaje się za gruszę.

Kilka minut później, kiedy astry Lissie znalazły bezpieczne schronienie w wazonie z wodą, a klocki zostały schowane, lord Hepplewood pchnął tylne drzwi, trzymając córkę za rękę.

– Przespacerujemy się, kiedy dziewczynki będą grały – zaproponował cicho, gdy Lissie mu się wyrwała.

– Spacer? – Isabella zaśmiała się krótko. – Nie jesteśmy w jednym z ogrodów Mayfair, proszę pana. To podwórze, ze sznurem na pranie, z szopą i wygodką.

Spojrzał na nią chłodno.

– Zrób mi tę przyjemność.

Kiedy dziewczynki ze śmiechem pobiegły na słońce, Hepplewood odwrócił się i, podobnie jak wcześniej, z uwagą obejrzał drzwi.

– Wygląda na szczęśliwą – stwierdziła w zadumie Isabella, przyglądając się, jak Lissie wściekle wymachuje rakiетką.

– Sądzę, że jest – odparł jakby zadziwiony. – Taką mam nadzieję. Staram się, Isabello.

– Naprawdę? – spytała, nadal obserwując dzieci. – Cieszę się.

– Mądra kobieta przypomniała mi kiedyś, że Lissie ma teraz tylko mnie – przyznał, odwracając się z nikłym uśmiechem – toteż nawet jeśli nie nadaję się do opieki nad dziećmi, muszę próbować.

Wyraźnie usatysfakcjonowany inspekcją drzwi, podsunął Isabelli ramię i ruszyli po obwodzie podwórza, a żwir zgrzytał im cicho pod stopami.

– Nie dzielisz tego z nikim? – spytał hrabia, ogarniając gestem otoczenie.

– Nie, zajmujemy cały budynek, choć jest on bardzo wąski.

Raptem Jemima odbiła wolant na tyle nieporadnie, że trafiła Hepplewooda w głowę. Błyskawicznie złapał korkową piłeczkę, roześmiał się i odrzucił ją dziewczynce.

Isabella obserwowała go, dumając nad tą sceną. Pod wieloma względami wydawał się człowiekiem bardzo odmiennym od tego, którego poznała w Northumbrii. Zarazem jego dzisiejszy pocałunek – taki gorący, taki władczy...

Nie, uznała, że niewiele się zmienił. Nadal przepelniała go arogancja i zamierzał dopiąć swego. Zarazem było oczywiste, że darzy córkę głębokim uczuciem, a tego rodzaju miłość w oczach Isabelli odkupywała wiele grzechów.

– Macie tu wysokie ceglane mury – stwierdził, przesuwając spojrzeniem po ich szczycie – ale dałoby radę się na nie wspiąć.

– Doceniam twoją troskę, jednak doprawdy, co twoim zdaniem może się stać? – spytała. – Londyńskich złodziejasków raczej nie interesują sklepy z książkami dla dzieci.

– Zapewne nie – odparł neutralnym tonem – ale chciałbym zobaczyć wyjście na alejkę, jeśli pozwolisz.

Pokazała mu wysoką, wąską furtkę, porządnie wstawioną w ceglany mur.

– Cały czas jest zamknięta na klucz, zgadza się? – spytał, oglądając furtkę.

– Tak, kiedy trzeba kogoś wpuścić od tyłu, pani Barbour albo ja wychodzimy otworzyć.

– Niedogodność, bez wątpienia, ale podyktowana rozsądkiem. – Odwrócił się i nakrył dłonią jej dłoń na swoim rękawie. – Dziewczynki chyba dobrze się bawią. Poobserwujemy je z tamtej ławeczki?

Rzeczona ławka ledwie pomieściła dwie osoby, niemniej Isabella przystała na propozycję.

– Po raz kolejny doceniam twoją troskę – oznajmiła, kiedy usiedli – nalegam jednak, abyś wyjaśnił mi powód tej wizyty.

Posłał jej mroczne spojrzenie.

– Inny niż całowanie cię do utraty tchu? – mruknął. – Może znalazłem się tu, Isabello, ponieważ nie umiem trzymać się od ciebie z daleka.

– Bzdury – stwierdziła. – Bez problemu trzymałeś się z daleka przez ostatnie sześć tygodni z hakiem.

Popatrzył na nią spod półprzymkniętych powiek.

– Ach, czyżbym słyszał ton urazy, kochana? – zapytał, sugestywnie zniżając głos. – Pochlebia mi to.

– Nie wymigasz się od odpowiedzi, drocząc się ze mną – przestrzegła groźnie. – Dlaczego oglądasz moje zamki i mierzysz wysokość ogrodowych murów?

– Stanowcza z ciebie kobieta, Isabello – rzekł, już bez przekomarzanek.

Siedziała, wpatrując się w niego.

Głośno wypuścił powietrze z płuc.

– No dobrze – odezwał się. – Jak dałem już chyba jasno do zrozumienia, nie przepadam za twoim kuzynem, lordem Taffordem... a im głębiej kopię, tym mniej znajduję powodów, żeby go lubić. Powiedz mi, jakie ma prawa do twoich siostr?

– Do Jemimy praktycznie żadne – odparła. – Jej jedynym krewnym jest wuj kawaler, najbliższy sąsiad Thornhill. Jednak sir Charltona dziewczynki nic nie obchodzą i z chęcią scedowałby pieczę nad nimi na Everetta. Co do Georginy, papa zostawił sprawy tak, że Everett jest jej opiekunem prawnym.

Hepplewood pokręcił głową.

– Nieszczęśliwy wybór – skwitował ponuro. – Bez obrazy, Isabello, ale co twój ojciec sobie myślał?

Wyrzuciła w górę ręce.

– A czy mężczyźni w ogóle biorą pod uwagę, że umrą? – spytała. – Przypuszczam, że wydawało się to zwykłą formalnością, jak również najlepszym sposobem na zagwarantowanie, by Georgina i jej matka mogły pozostać w Thornhill, gdyby jemu coś się stało. Everett był jego dziedzicem i zarazem naszym jedynym męskim krewnym.

– Smutne – mruknął Hepplewood.

– W rzeczy samej – zgodziła się Isabella. – Papa z pewnością nie podejrzewał, że choroba zabierze zarówno jego, jak i moją macochę przed drugimi urodzinami Georginy. Niemniej na wypadek najgorszego zakładał pewnie, że Everett z radością przyjmie także Jemimę i mnie. W ten sposób postępują prawdziwi dżentelmeni, czyż nie? Opiekują się kobietami z rodziny? Papa po prostu przejawiał naiwną wiarę w ludzi.

Hepplewood prychnął.

– Drobnny wywiad wyprowadziłby go z błędu – skonstatował. – Z moich ustaleń wynika, że powszechnie wiadomo, iż Tafford dżentelmenem nie jest.

Isabella zastanowiła się nad tym.

– Wiesz, nie sądzę, żeby papa miał częsty kontakt z Everettem, odkąd ten wyjechał do szkoły – stwierdziła w zadumie. – A sam nie bywał w londyńskich kręgach towarzyskich. Ciocia Meredith i mama trochę się przyjaźniły, jak przypuszczam, skoro przez pewien czas były szwagierkami.

– Ale twoja matka umarła młodo – zauważył.

– Tak, kiedy Everett i ja byliśmy jeszcze dziećmi – odparła. – Wydaje mi się, że to właśnie ciocia Meredith dość wcześnie podsunęła wszystkim myśl, że się pobierzemy. Kiedy chce, potrafi być ogromnie czarująca. Miała czterech mężów, jeśli sobie przypominasz.

Lord Hepplewood milczał przez dłuższą chwilę, patrząc przez skąpane w słońcu podwórze na piszczące, wymachujące dziko raketami dziewczynki. Raz za razem Jemima delikatnie wybijała wolant w kierunku sześciolatek, lecz te przeważnie chybiały, co rusz wybuchając śmiechem i nie tracąc ani krztyny entuzjazmu.

Bardzo dyskretnie dłoń Hepplewooda nakryła rękę Isabelli.

– Nigdy dobrowolnie nie zostawiłabyś Tafforda samego z dziewczynkami, prawda? – spytał cicho. –

Ty... rozumiesz, jaki on jest, Isabello?

– Tak – szepnęła. – Rozumiem. Lecz aż do niedawna nie groził, że zabierze...

Głos jej się załamał, nie była w stanie kontynuować.

Hepplewood mocno ścisnął jej dłoń.

– Nie sądzę, że spróbuje ci je odebrać drogą prawną bez względu na rzucane groźby – stwierdził. –

Przeprowadzenie sprawy przez Sąd Lorda Kanclerza trwałoby miesiące, a jemu nie będzie się uśmiechało odpowiadać na trudne pytania. Niestety, w jego przypadku posiadanie to dziewięć dziesiątych prawa.

Znienacka Isabella zrozumiała powód jego troski.

– Dobry Boże, według ciebie mógłby je po prostu zabrać?

– Jeśli to zrobi, daleko nie zajedzie – oznajmił groźnie Hepplewood.

– Och, Anthony – szepnęła. – Po co mu te dzieci, skoro, co tragiczne, w Londynie można dostać dziewczynki za tyle co nic? Przemawia przez niego duma? Trudno mi to sobie wyobrazić. Nigdy nie sprawiał wrażenia aż tak we mnie zadurzonego.

– Potrafię zrozumieć, że mężczyzna może mieć na twoim punkcie obsesję graniczącą z szaleństwem – powiedział, ani trochę się z nią nie drocząc – ale jeśli twierdzisz, że Tafforda to nie dotyczy, wierzę ci. Widocznie zamierza użyć dziewczynek jako karty przetargowej w jakiejś sprawie. Powtarzam jednak, skarbie, że daleko nie zajedzie. Tyle ci obiecuję.

– Obiecujesz mi? – Odwróciła się na ławce, żeby nań spojrzeć. Przybrał srogi, zacięty wyraz twarzy. – Niby dlaczego mają cię obchodzić moje problemy?

– Ponieważ tak jest i koniec – odparł szorstko.

– Mój Boże. – Isabella uniosła rękę, żeby odgarnąć luźny kosmyk włosów. – Och, Anthony, nie jestem niewdzięczna, ale ludzie uznają mnie za twoją kochankę... bez względu na to, ile w tym prawdy.

– Istnieje niewielka możliwość, że staniesz przed koniecznością wyboru mniejszego zła – zgodził się. – A Tafford niestety wie, że się znamy. Niewykluczone, że zwiększa to jego desperację. Nie potrafię tego rozgryźć. Jeszcze nie.

– Łaskawe nieba – powiedziała cicho. – Może on wie, że jesteś tu w tej chwili? Może... może zaciągnie mnie do sądu i powie, że się nie nadaję, że jestem po prostu twoją dzi...

– Przestań – rozkazał Hepplewood. – Nie słuchaj swoich obaw, Isabello. I nigdy nie używaj przy mnie tego słowa. Nie w odniesieniu do siebie, słyszysz? Poza tym Tafford nie ma pojęcia, gdzie aktualnie przebywam.

– Nie możesz tego wiedzieć – powiedziała tak ostro, że Jemima zamarła w pół wymachu i spojrzała na nią zdziwiona.

– Mogę i wiem – odparł łagodząco. – Wczoraj rano Tafford pojechał z matką do Thornhill. W przeciwnym wypadku bym się tu nie zjawił.

– Ale skąd...?

– Wiem to, gdyż poczynania Tafforda stały się moją sprawą – odparł. – Czy możesz po prostu mi zaufać?

– Ja... tak, dobrze. – Na moment przyłożyła do czoła grzbiet dłoni. – Ufam ci, Anthony. Po prostu tak się boję.

Odwrócił się minimalnie i dyskretnie objął ją w talii, opierając rękę na dolnej części pleców.

– Posłuchaj, Isabello, dzięki pieniądzom i bezwzględności mężczyzna osiągnie niemal wszystko – powiedział. – Ja mam w bród jednego i drugiego, ale Tafford jest tylko bezwzględny. Albo, co bardziej

prawdopodobne, bezwzględna jest jego matka. Przy okazji, pojechali na wieś, żeby przygotować Thornhill na przyjęcie, które ma się odbyć za dwa tygodnie.

– Czyli do tego czasu pozostaną w Sussex? – spytała z nadzieją.

– Nie, mają wrócić do Londynu we wtorek, takie w każdym razie uzyskałem informacje – odrzekł.

Isabella nie odpowiedziała, gdyż chciała się nad tym zastanowić, potrafiła jednak myśleć wyłącznie o ciepłym, krzepiącym ciężarze dłoni Hepplewooda na swoich plecach oraz fali ulgi, jaka zalała ją na wiadomość, że na całe czterdzieści osiem godzin Everett znajdzie się daleko od Jemimy i Georginy.

– Na wszelki wypadek wyznaczę kogoś, żeby pilnował dziewczynkę w drodze do i ze szkoły – podjął hrabia. – Przynajmniej dopóki Jervis nie odkryje motywów Everetta. Ale chcę cię też prosić, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Naturalnie, jeśli tylko będę mogła – odparła machinalnie.

– Och, możesz, ale nie będziesz chciała – stwierdził.

– O co chodzi? – Odwróciła się na ławce, żeby na niego spojrzeć.

– Chciałbym, żebyś we wtorek rano przyjechała do Greenwood...

– Nie – przerwała mu.

– ...z dziewczynkami. I Lissie. I, do diabła, z moją kuzynką Anne oraz jej dzieciarnią, jeśli dzięki temu poczujesz się choć trochę bezpieczniej w mojej obecności.

Serce w niej zamarło.

– Anthony, nie boję się ciebie – zapewniła szczerze. – Naprawdę. Boję się siebie i... tego, co mi robisz. Co ze mnie robisz. I jak bardzo staję się słaba, kiedy jestem z tobą.

Ujął obie jej dłonie, teraz już nie delikatnie.

– Taka się czujesz ze mną w łóżku, Isabello? – spytał niskim, groźnym głosem. – Słaba?

– Tak – szepnęła. – I bezwolna.

– Cóż, zapewniam cię, że do jednego i drugiego ci daleko. – Lśniącymi oczami wwiercał się w nią, w samą jej duszę. – Ale jeśli czujesz się słaba, Isabello, czy to źle? Powiedz? Czy może, w rzeczy samej, jest to właśnie to, czego ci trzeba?

Pokręciła głową, bezwiednie marszcząc brwi.

– Jak ktokolwiek może potrzebować czegoś takiego? – wyszeptwała. – Co by to mówiło o takiej osobie?

– Na przykład, że od tak dawna musi być silna, iż czuje się tym wycieńczona – zasugerował nieustępliwym tonem. – Że od czasu do czasu kobieta ma potrzebę przekazać komuś kontrolę. Że stoi to w sprzeczności z jej naturą, kiedy życie doświadcza ją ciężko przez tak długi czas, iż nie może nigdy opuścić gardy. Przed nikim. Nie może zrobić ustępstwa nawet na rzecz własnych potrzeb. Myślałaś kiedyś o tym, Isabello? Mnie taka egzystencja wydaje się trudna i nieszczęśliwa.

– Ty... po prostu starasz się mnie przekonać – wymamrotała, zarazem czując, że się roztopia, spływa w ciepłą, rozkoszną otchłań, którą ofiarowały jego słowa. Ulega czemuś silniejszemu od niej.

– Próbuję cię przekonać, że jestem tym, czego ci trzeba – oświadczył głosem pełnym emocji. – Nigdy cię nie okłamałem, Isabello. Pragnę cię. Chcę cię mieć w moim łóżku, pod moją kontrolą i moją opieką. Ale jeśli ty nie tego chcesz, powiedz, a nie tknę cię, chyba że wyraźnie mnie o to poprosisz. Czyżbyś sądziła, że brak mi stanowczości, by dotrzymać słowa?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie, masz żelazną wolę.

– Jeśli rzeczywiście tak jest, zapracowałem na nią, skarbie – rzekł ponuro. – Ale przynajmniej się rozumiemy, i to o wiele lepiej, niż ci się zdaje, Isabello. Przywieź dziewczynki na farmę. Oboje nieco opuścimy gardę. Niech to będzie rodzinna wizyta. Anne pojedzie, jeżeli ją poproszę.

Isabella poczuła, że tonie w morzu niepewności, rozkołysanym przez jego determinację i siłę.

– Ale dziewczynki mają szkołę, a ja sklep – wymamrotała. – W poniedziałek przychodzą dostawy,

potem muszę nadgonić księgi rachunkowe, są klienci i... och, mnóstwo spraw. Muszę zarabiać, Anthony. To jest moje życie.

– Rozumiem, Isabello, ale poniedziałek jest jutro – zauważył racjonalnie. – Księgi rachunkowe i podręczniki dziewczynek możesz zabrać do Greenwood. We wsi działa poczta, wiesz? A pani Barbour podoła chyba obsłudze klientów pod twoją nieobecność?

– Tak – przyznała Isabella. – Często to robi.

– Zatem proszę cię, Isabello – naciskał. – Po prostu zgódź się, żebym na jakiś czas zabrał waszą trójkę z Londynu. Czuję... niepokój, którego nie potrafię wytłumaczyć. Nie tknę cię, jeśli takie jest twoje życzenie.

Isabella z trudem przełknęła ślinę i pojęła, że lord Hepplewood raz jeszcze postawi na swoim.

Co gorsza, chciała się na nim oprzeć. Jej niepokój z powodu Everetta narastał błyskawicznie, przy czym ani przez moment nie sądziła, że hrabia przyszedł tutaj, żeby ją nastraszyć bądź wyolbrzymić sprawy.

Nie, nie tam, gdzie chodziło o jej kuzyna. Hepplewood się nie mylił; coś mrocznego i paskudnego wkraczało w krytyczną fazę. Isabella już wcześniej wyczuwała to w desperacji Everetta – zaszła w nim jakaś nieokreślona zmiana. Jakby mu się spieszyło, coraz bardziej, od czasu... tak, od spotkania na dworcu.

Zdała sobie też raptem sprawę, że gdyby jej życie nie było do tego stopnia wypełnione pracą, troską o dziewczynki i proste przetrwanie z dnia na dzień, dawno poświęciłaby tej kwestii więcej uwagi. Zapewne dopisało jej szczęście, że lord Hepplewood zrobił to za nią.

– Tak? – Nachylił się, żeby pochwycić jej spojrzenie. – Tak, Isabello? Przyjedziecie?

– Tak. – Skinęła głową. – Tak. Skoro uważasz, że to rozsądne. Tak, przyjedziemy.

ROZDZIAŁ 13

W poniedziałkowe popołudnie Isabella zapukała do drzwi rezydencji przy Park Square, a kamerdyner lady Petershaw ukłonił się jej uprzejmie. Jak często jej zdarzało, Isabella poprosiła o widzenie nie z markizą, lecz z lordem Petershawem i jego bratem. Chłopcy dopiero co wrócili ze szkoły i z radością przyjęli Isabellę w swym prywatnym apartamencie usytuowanym z dala od salonów markizy.

Odkąd niemal trzy lata temu lord Petershaw wyjechał do Eton, Isabella nabrała zwyczaju gawędzenia z nim, kiedy zjawiał się w domu, gdyż chciała się upewnić, że jego edukacja postępuje należycie, i tak samo postępowała później z jego bratem.

Lady Petershaw jednoznacznie wyraziła brak zainteresowania wspomnianym obowiązkiem i machnięciem przyozdobionej koronkowym mankietem ręki radośnie scedowała go na Isabellę. Jednakże cicha prawda przedstawiała się tak, że pozbawiona formalnego wykształcenia markiza w skrytości ducha obawiała się, iż nie zdoła ocenić postępów synów, nie wierzyła zaś w szczerść protekcyjnych nauczycieli z Eton.

Isabella zdawała sobie z tego sprawę, wiedziała również, że pomimo beztróskich deklaracji lady Petershaw głęboko troszczy się o dzieci.

Chłopcy byli jak zawsze pełni życia i radośni, tak więc pół godziny później Isabella wstała znacząco podniesiona na duchu. Przed wyjściem podarowała lordowi Petershawowi książkę o historii wyścigów konnych, a lordowi Johnowi egzemplarz *Tajemnic Londynu*. Były to doprawdy skromne podarki, próbki, które otrzymała, gdy zaopatrywała sklep, niemniej chłopcy wydawali się autentycznie wzruszeni i na pożegnanie ucałowali ją w policzek.

Uzmysłowiła sobie, że nadal za nimi tęskni. Spędziła na posadzie u lady Petershaw ponad sześć lat, przez większość tego czasu starając się także zapewnić utrzymanie i opiekę Jemimie i Georginie. I kiedy spoglądała wstecz na swoje życie, zastanawiając się, czy je zmarnowała, tych czworo dzieci zawsze wysuwało się w jej myślach na pierwszy plan.

Pokonując schody, Isabella czuła cisnące się jej do oczu łzy. Zamrugnęła szybko i przyspieszyła kroku, gdyż czekały na nią kolejne obowiązki, a do tego jeszcze nawet nie zaczęła się pakować.

Jednakże w westybulu zatrzymał ją Smithers, prosząc, by odwiedziła hrabinę w jej prywatnej bawialni. Prośba nie zaskoczyła Isabelli – właściwie na nią liczyła mimo napiętego harmonogramu. Natychmiast weszła na górę, gdzie czekała już taca z herbatą, dwiema filizankami i talerzem miniaturowych kanapek.

Tego dnia markiza miała na sobie strojną suknię z turkusowego jedwabiu, pozbawioną wszakże typowej dla niej ostentacji. Włosy również uczesała dość prosto. Żadna z tych zmian nie pomniejszyła jej urody.

– Droga pani Aldridge – odezwała się, wskazując fotel. – Cóż za niegodziwość z pani strony, że próbowała pani uciec, nie widząc się ze mną, kiedy tak niecierpliwie wyczekuję wieści o pani nowym przedsięwzięciu. Na początek jednak, jak znajduje pani moich chłopców?

Był to ich mały rytuał, toteż Isabella od razu rozpoczęła relację.

– Wydaje mi się, że w tym semestrze lord Petershaw dogłębnie przyswoił pojęcia algebraiczne – doniosła. – Raport dyrektora szkoły jest pozytywny. Przeczytałam go wnikliwie.

– Ach tak? Jak miło z pani strony. – Lady Petershaw się uśmiechnęła. – Tego rodzaju sprawy nudzą mnie niepomierne.

– Ja natomiast czerpię z nich perwersyjną przyjemność – przyznała Isabella. – Co do lorda Johna, jak zwykle wyróżnia się z historii. Zrobił się też z niego nie lada wioślarz, o czym na pewno pani wie.

– Ale w stosownym czasie będą gotowi, żeby pójść na uniwersytet? – Nuta napięcia w głosie markizy zdradziła jej niepokój. – Mój zmarły mąż z całego serca pragnął, by obaj chłopcy podjęli naukę w Cambridge... i tam błyszczeli. Jestem mu winna choć tyle.

– Bez wątpienia będą gotowi – zapewniła Isabella. – Lordowi Johnowi wszystko przychodzi z łatwością, a lord Petershaw nauczył się ciężko pracować. Może pani być spokojna.

Markiza się uśmiechnęła, prawie że niedostrzegalnie rozluźniona, i zaczęła nalewać herbatę.

– Odwiedzi ich pani ponownie przed początkiem semestru? – spytała, wsypując do filiżanki Isabelli łyżeczkę cukru. – Wpoi im pani, jakie to ważne, żeby nadal przykładali się do nauki?

– Byłabym niepokieszona, milady, gdybym się z nimi nie zobaczyła. – Isabella przyjęła filiżankę.

– Doskonale – oznajmiła markiza, jakby właśnie uzgodniły plan. – A teraz musi mi pani opowiedzieć o swojej fascynującej księgarce.

Isabella zrobiła to, niczego nie upiększając. W jej księgach rachunkowych nadal przeważała czerwień, lecz już tylko nieznacznie, a czerwiec powinien zakończyć się zyskiem.

Lady Petershaw wyraziła ogromne zadowolenie z tych postępów i ponownie napełniła filiżanki.

– A co z pani drugim przedsięwzięciem? – spytała bardziej nieśmiało. – Ujarzmiła już pani lorda Hepplewooda?

Isabella poczuła, że twarz jej płonie.

– Nie sędzę, milady, by hrabia należał do mężczyzn, których kobieta ujarzmia – odparła cicho.

– Też bym tak nie pomyślała – wyznała dama, wykwitnie podnosząc filiżankę. – W każdym razie nie jest to łatwe. Ale widziałam jego twarz, kiedy tyle tygodni temu siedział tutaj zły i przybity... w tym samym fotelu, który pani teraz zajmuje, jak może sobie pani przypomina. I z pewnością był jak porażony.

– Porażony to on jest ogromną arogancją, co do tego ja z kolei mam pewność – odparła Isabella. – Ponadto nigdy nie sprawił na mnie wrażenia zmartwionego. A mimo to...

– Tak? – Markiza nachyliła się ku niej z przejęciem. – A mimo to...?

Isabella zaprzestała drobiazgowych oględzin spodka i podniosła wzrok.

– A mimo to nabieram przekonania, że jest człowiekiem wielkiej dobroci – dokończyła. – Tak, był dla mnie... dobry.

– Dobry! – powtórzyła z rozdrażnieniem lady Petershaw. – Jakież to nudne. Niechże mi pani powie, moja droga, że przynajmniej próbował zawrócić pani w głowie.

Isabella wahała się chwilę, bez wątpienia jeszcze bardziej się rumieniąc.

– Próbował, na swój sposób – przyznała. – I postanowił w moim imieniu zająć się Everettem.

– Bardzo śmiało z jego strony – oświadczyła markiza. – Wobec tego na pewno usiłował także zwabić panią z powrotem do łóżka. Proszę mi powiedzieć, udało mu się?

– Tak – wyznała Isabella, wbijając wzrok w elegancki dywan. – Raz.

– Tylko raz? – Lady Petershaw wytrzeszczyła na nią oczy. – Hepplewood obniża loty. W dawnych czasach żadna kobieta nie była w stanie oprzeć się tym połyskliwym niebieskim oczom i złotym lokom.

– Po prawdzie, w zasadzie go nie widywałam – wyjaśniła Isabella. – Wymieniliśmy kilka ostrych zdań na temat moich obowiązków względem sióstr i jego względem córki. Niedługo potem przywiózł ją z Loughford. Zajmowanie się nią pochłania mu mnóstwo czasu.

– Ależ od tego są guwernantki! – wykrzyknęła lady Petershaw.

– Być może pani sobie przypomina, milady, że takowej nie zatrudnił – powiedziała z przekąsem Isabella.

– Nadal? – Markiza roześmiała się dźwięcznie. – Co w takim razie zamierza począć z tym dzieckiem?

– Planuję zadać mu właśnie to pytanie, w dodatku już wkrótce – odparła Isabella. – Widzi pani, Hepplewood zaprosił mnie do Buckinghamshire, z dziewczynkami. Jadą też lady Felicity i jakaś jego kuzynka. Zgodziłam się. Czy popełniłam błąd, milady? Wydaje mi się to takie dziwne.

– Och, słowo daję! – Lady Petershaw z nieharmonijnym brzękiem opuściła filiżankę na spodek. – Nie mówi pani poważnie?

– Bardzo nalegał – wyjaśniła Isabella. – Powiedział, że skoro krępuję się jechać tam z nim, zaprosi również inne osoby. Wygląda na to, że chce trzymać dziewczynki z dala od Everetta. Chyba obawia się, że Everett szykuje jakąś podłość.

– Oczywiście, że szykuje, bo stale to robi – oznajmiła obcesowo markiza. – Na szczęście jest także głupi. A Tony... o, wielkie nieba... ale z pewnością mam rację?

– Rację? – Isabella ściągnęła brwi. – W jakiej kwestii?

– Tony’ego – odparła markiza, pukając palcem w idealnie upudrowany policzek. – Tak, tak, dokładnie tak, droga dziewczyno. Hrabia poprosi panią o rękę. Nie zapraszałby córki i dalszych krewnych, gdyby było inaczej.

Isabella cofnęła się zszokowana.

– Och, milady, z pewnością niczego takiego nie zamierza.

– Na pewno nie zamierza – zgodziła się markiza – lecz równie pewna jestem, że to zrobi.

Isabella zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem, co pani ma na myśli.

– Cóż, nieważne – oznajmiła lady Petershaw, odsuwając filiżankę. – Mężczyźni rzadko wiedzą, co im chodzi po głowie, dopóki nie palną tego na głos... albo żony ich nie oświecą. Jutro, mówiła pani? Lepiej niech się pani bierze do pakowania, moja droga... i, oczywiście, nie omieszka pani zabrać rzeczy, po które swego czasu wysłałam panią do madame Foucher?

Isabella otworzyła usta, po czym znów je zamknęła.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała. – Sądzę, że głównym celem hrabiego jest utrzymać dziewczynki z dala od łap Everetta.

– I dostać panią w swoje łapy, piękna głuptasko – uzupełniła lady Petershaw. – Och, wiem, że nie to powiedział. Możliwe nawet, że nie taki zamiar mu przyświecał. Ale tego właśnie chce i to też dostanie.

– Ojej – stropiła się Isabella. – Naprawdę?

Jednak znała już odpowiedź na to pytanie – i wiedziała, że w głębi serca na to właśnie liczyła.

Zresztą markiza już wstała.

– No dobrze, niech pani biegnie, droga pani Aldridge – powiedziała, gestem popędzając Isabellę ku drzwiom. – Tak, tak, prędko do domu! I proszę spakować seksowną bieliznę, dziewczyno, inaczej będę się za panią sromotnie wstydzić!

*

Isabella rychło zdała sobie sprawę, że sztuką będzie wytłumaczyć pani Barbour i Jemimie, jak właściwie nawiązała przyjaźń z hrabią Hepplewoodem – przyjaźń na tyle bliską, żeby pojechać z tym mężczyzną do jego domu na wsi.

Ostatecznie podała Barby wersję zbliżoną do prawdy: że poznała wspomnianego dżentelmena, ubiegając się u niego o posadę guwernantki. Oraz że zaprzyjaźniony z markizą Petershaw hrabia podzielił jej podejrzenia wobec Everetta i zaprzagnął na kilka dni wywieźć dziewczynki z Londynu.

Tyle nie wystarczyło, naturalnie; kucharka tylko sapnęła pogardliwie i oznajmiła, że jej pani postąpi, jak jej się spodoba, lecz na pewno nic dobrego z tego nie wyniknie. Słowa te padły, oczywiście, tuż

przed tym, jak kobiecina uściskała Isabellę i wepchnęła jej do rąk kosz z kanapkami.

Ta krótka wymiana zdań przebiegła bezboleśnie, gdy zestawić ją ze zdezorientowaną miną Jemimy ubiegłego wieczoru. Dziewczynka widziała, jeśli nie wręcz słyszała, sporo z pełnej udreki rozmowy Isabelli z lordem Hepplewoodem, i dało się wyczuć jej niepokój.

– Zaufaj mojemu osądowi, Jemmo – poprosiła Isabella, kiedy we wtorkowy rano pakowały ostatnie drobiazgi. – Lord Hepplewood jest dżentelmenem i chce jedynie podarować tobie i Georginie krótki wypoczynek na wsi.

– Nie próbuj mnie oszukiwać, Bello – odparła cicho Jemima. – Wiem, że chodzi o coś więcej. Poza tym podróżować samotnie z mężczyzną, którego dopiero co...

Ale nie miały podróżować samotnie, ponieważ w tejże chwili zapukano do drzwi.

Z chęcią umykając przed poważnym spojrzeniem Jemimy, Isabella pospieszyła po schodach na dół i na progu zastała ładną – jak również ewidentnie ciężarną – blondynkę. Dama nosiła błękitną suknię, a na jej niesfornych złotych lokach usadowił się kapelusz z szerokim rondem, z jednej strony podwiniętym zadziornie do góry i przyszpilonym przez zakręcone białe pióro.

– Isabella! – zawołała ciepło dama, wyciągając dłoń w rękawicze. – Jak miło znów panią widzieć.

– Przepraszam bardzo – powiedziała zaskoczona Isabella. – Czy my się...?

– Och, wielkie nieba, tak, ale byłam o wiele szczuplejsza! – Dama roześmiała się, ukazując dwa rzędy pięknych białych zębów. – Jestem Anne Tarleton... czy też byłam. Debiutowała pani rok po mnie. Tak się składa, że poniekąd jesteśmy kuzynkami.

Isabella obracała w myślach to nazwisko, kiedy uzmysłowiła sobie, że z zaparkowanej przed księgarnią ogromnej i bardzo luksusowej karety podróżnej gramolą się dzieci.

– Mamo, książka o pociągach! – zawołał starszy chłopiec, praktycznie rzucając się na okno wystawowe. – Popatrz! Popatrz! Na okładce jest parowóz Great Western!

– Wyprostuj się, Harry, i przestań brudzić szybę – poleciła jego matka, pstrykając palcami. – Podejdź tu i ukłoń się kuzynce Isabelli.

Harry miگیem wypełnił polecenie, kłaniając się ładnie, a jego jakże znajome blond loki i bystre niebieskie oczy przyprawiły Isabellę o niewielki skurcz żołądka.

– Miło mi panią poznać, proszę pani – powiedział.

Kuzynce Isabelli?

– Bertie? – Dama rozglądała się ze ściągniętymi brwiami. – Caroline, gdzie poszedł Bertie?

Wysoka dziewczynka, najwyraźniej Caroline, która dźwigała na biodrze inną, znacznie młodszą, także się rozejrzała.

– Jest tam dalej na ulicy – powiedziała, wskazując palcem. – Zobaczył psa.

– Bertie! – krzyknęła Anne Tarleton. – Wracaj tu natychmiast!

– Mogę teraz popatrzeć na książkę? – spytał Harry.

– Ma pani dużo dzieci – wybąkała Isabella, starając się nie gapić na okrągły brzuch damy.

– Och, w karecie śpi jeszcze jedno – powiedziała Anne. – Ale Caroline... Caroline, kochanie, daj mi tu Deannę i idź po Bertiego... Caroline jest kuzynką.

– Wydaje mi się, że to Debora – poinformowała Caroline, przekazując dziewczynkę matce. Dygnęła szybko przed Isabellą. – Miło mi poznać, proszę pani. Słyszałam o pani tyle cudownych rzeczy.

Następnie pobiegła ulicą w pogoni za chłopcem i psem, którzy chyba właśnie obwąchiwali sobie nawzajem intymne części ciała na rogu Brompton Road.

– Kareta Tony'ego powinna zaraz nadjechać – powiedziała dama, przenosząc na drugie biodro Deborę czy też Deannę. – Pomyślałam, że pojedziemy do Greenwood w konwoju, wie pani, żeby uniknąć rozbójników.

– Rozbójników? – Isabella czuła się coraz bardziej wytrącona z równowagi.

– Och, żartowałam! – odparła ze śmiechem dama. – Zapewne częściej widuję moje palce u nóg, niż w Buckinghamshire przytrafia się rabunek na trakcie... przy czym to pierwsze nie zdarza się wcale. O, halo? A któż to taki?

Isabella uzmysłowiła sobie, że Jemima tymczasem po cichu zeszła na dół i stanęła za nią w cieniu.

– Ach, to moja przybrana siostra, Jemima Goodrich – rzekła z trudem. – W skrócie Jemma. Jemmo, to jest... – Urwała, niepewna, jak przedstawić damę.

Deanna, czy też Debora, przeżuwała koniuszek pióra u kapelusza matki. Nieświadoma tego dama się odwróciła.

– Hej, Caroline, wracaj! – zawołała. – Oto i panna Goodrich, o której Tony wypowiada się w takich superlatywach!

– Jak miło z jego strony – mruknęła Isabella.

Tymczasem Anne opromieniła Jemimę uśmiechem.

– Witaj, Jemmo. Jestem lady Keaton, daleka kuzynka twojej siostry – powiedziała. – Znałyśmy się trochę w młodości.

– A jakie to konkretnie pokrewieństwo? – spytała Jemma, która była nie w ciemni bita.

Wzrok Anne się zamglił.

– No cóż, w zasadzie jestem bardziej kuzynką lorda Hepplewooda – odparła – ponieważ łączą nas więzy krwi. Niemniej wyszłam za sir Philipa Keatona, wnuka... niech policzę... tak, czwartego hrabiego Fenstera.

Isabella wciągnęła powietrze tak gwałtownie, że bez wątpienia było to słychać.

Anne popatrzyła jej w oczy.

– A piąty hrabia to pani teść, zgadza się? – spytała neutralnym tonem. – Jeśli nie dotarły do pani wieści, jest umierający.

– Ja... nie, nie wiedziałam – wykrztusiła Isabella.

Anne wzruszyła ramionami.

– Cóż, miał tragiczne życie, po części na własne życzenie – stwierdziła. – W każdym razie... Gdzie ta Caroline?

– Tam dalej, siłuje się z Bertiem i jego psem. – Harry znów dociskał nos do witryny, która zamgliła się od jego oddechu.

Jednakże Isabella pozostawała ledwie świadoma tego faktu, gdyż serce tłukło jej się w piersi, a krew odpływała z twarzy.

– To nie jest pies Bertiego – oznajmiła zapalczywie Anne.

– Mógłby być – wtrąciła Jemima. – To przybłąda. Pani Barbour dokarmia go resztkami, ale nie należy do nikogo.

– Naprawdę? – Rozpromieniony Harry odsunął się od wystawy. – Bertie! – ryknął, ruszając ulicą. – Przyprowadź psa! Jemma mówi, że możemy go wziąć!

– Caroline Aldridge, nie pozwól Bertiemu przywlec tu tego psa! – rozkazała Anne.

Do Isabelli wszystko docierało jakby z oddali. Potem zabręczała uprząż i od strony Brompton Road nadjechała kolejna wielka karetka, powożona przez podstarzałego stangreta Hepplewooda.

– O, jest March z powozem Tony’ego – powiedziała z ulgą Anne. – W samą porę. Jadą nim Lissie i niania Seawell, oczywiście, oraz moja pokojówka Nell, którą posłałam z wiadomością. – Umilkła i zaczęła liczyć głowy. – Ojej. Damy radę?

– Zapewne – odparła w odrętwieniu Isabella.

Anne marszczyła brwi.

– Nell pojedzie ze mną, a Caroline z panią – zarządziła. – Pomyślałam, że ona i Jemima się dogadają.

Tony jedzie wierzchem. Mógłby wziąć na siodło Bertiego. Ach, oto i on na Kolosie.

– Mam pójść po Georgie? – spytała Jemima, od razu ruszając po schodach w górę.

– Aaa... tak, Jemmo, dziękuję – wydukała Isabella.

Lord Hepplewood wyłonił się zza rogu na potężnym gniadoszu, którego widziała znikającego we mgle podczas swego pierwszego pobytu w Greenwood. Hrabia miał również na sobie ten sam obszerny płaszcz i sięgające kolan czarne buty. Na głowę zamiast noszonego zwykle cylindra nasadził bardziej miękki kapelusz o szerokim rondzie, który zapewniał oczom lepszą osłonę w trakcie długiej podróży na końskim grzbiecie.

Co do konia, Kolos nie otrzymał swego imienia na wyrost; wedle oceny Isabelli zwierzę było wysokie na dobre siedemnaście dłoni, a oczy błyszcząły mu równie groźnie jak jego właścicielowi. Isabella z trwogą przyglądała się, jak nadciągają. Pogubiła się już w imionach, kuzynkach oraz dzieciach – ponieważ nazwisko Fenster prawie ją ogłuszyło i jej myśli rozpierzchły się jak szklane kulki.

Hrabia ściągnął wodze, a nadal wypoczęty koń zatańczył na ulicy. Omiótłszy Isabellę raczej płomiennym spojrzeniem, Hepplewood zapanował nad zwierzęciem, po czym zeskoczył z siodła i zaczął wydawać rozkazy.

Na ulicy zawrzało jak w ulu; stangreci zeskoczyli z kozłów, służący nosili bagaże, a dzieci próbowały wgramolić się z powrotem do wnętrza pojazdów, instruowane przez starszą kobietę w nakrochmalonym białym czepcu.

Chłopcy, Isabella uświadomiła sobie jak przez mgłę, z zapalem wpychali psa do pierwszej karety, podczas gdy lady Felicity na pół zwisała z drugiej, władczo wołając, żeby natychmiast przyprawiono do niej Georginę.

Jemima nadeszła z siostrą i wspięła się za nią do powozu Hepplewooda, lecz na jej twarzy nadal malowała się niepewność. Isabella już miała polecić, żeby wysiadały, ale wtedy zbliżyła się Caroline, posyłając Jemimie nieśmiały uśmiech.

Za późno.

Ucieczka teraz byłaby równie żenująca jak stawienie czoła szpetnej sytuacji.

Służący Anne zniósł ostatnią torbę Isabelli i nagle u jej boku znalazł się Hepplewood, ujmując ją pod łokieć.

– Isabello? – Zdjął kapelusz, starając się pochwycić jej spojrzenie. – Jesteś blada jak śmierć.

– M-musimy porozmawiać – wydukała.

Wciągnął ją do maleńkiej sieni, zamykając za nimi drzwi.

– Chodzi o Anne? Posłuchaj, wiem, że bywa przytłaczająca – rzekł, delikatnie unosząc palcem brodę Isabelli. – Popatrz na mnie, kochana. Co się stało?

– To żona sir Philipa Keatona – rzuciła oskarżycielsko Isabella. – On jest... był kuzynem mojego męża. – Przyłożyła opuszki palców do skroni. – Mój Boże, to jakiś koszmar.

– Ciii... skarbie – powiedział hrabia, biorąc ją w objęcia. – To bez znaczenia.

– To ma znaczenie – odparła chrapliwie, zaciskając w pięści dłonie, które wspierała o jego klatkę piersiową. – To... to jeden z setki powodów, dla których trzymam się z dala od towarzystwa. Anthony, ta rodzina mnie nienawidzi. Powiedzieli... dobry Boże, powiedzieli, że zamordowałam Richarda!

Oparł brodę na czubku jej głowy i tulił ją do siebie.

– Oni nie powiedzieli niczego w tym rodzaju – sprostował. – Powiedział to Fenster, nieszczęsny, na pół szalony łajdak. Jednak nikt nie uwierzył mu wtedy i z całą pewnością nie wierzy teraz.

– Jak na plotkę tak powszechnie lekceważoną, rozprzestrzeniła się całkiem sprawnie – stwierdziła gorzko Isabella. – Poza tym... czekaj, wiedziałeś o tym pokrewieństwie?

Uzmysłowiła sobie wszakże, że nie powinna się dziwić. Hepplewood zdawał się znać jej najbardziej intymne sekrety.

– Anne o nim wspomniała, owszem – przyznał – i nadmieniła także, że sir Philip od tamtej pory nie rozmawiał z wujem. Myślę, że po części z tego powodu zgodziła się pojechać. Może uważa, że rodzina jest ci coś winna?

– Ci przekłęci ludzie nie są mi nic winni – warknęła – byleby zostawili mnie w spokoju.

Usiłowała wyzwolić się z jego objęć, ale trzymał ją mocno.

– Poczekaj – rozkazał.

– Puść mnie – poleciła gwałtownie, kiedy jej konfuzja przekształciła się w słuszne oburzenie. – Zobaczą nas tak.

Chyba go tym zirytowała.

– Ciii... – powtórzył, zamykając ją ciaśniej w ramionach. – Co z tego, jeśli nas zobaczą?

– Nie zniosłabym takiej sytuacji, to z tego – powiedziała w jego koszulę.

Pachniał krochmalem, mężczyzną i drzewem sandałowym – po prostu Anthonym – i nagle zachciało jej się płakać.

Co z tego?

Czy nie rozumiał? Kochała go – rozpaczliwie, do szaleństwa.

Mimo to nie mogła być jego kochanką. I nigdy nie zostanie jego żoną; w tej kwestii lady Petershaw myliła się bezgranicznie. Co gorsza, najwyraźniej wiedział o niej wszystko. Zwyczajnie wszystko. Odnosiła wrażenie, że nie istnieje nic – najmniejszy drobiazg – co kiedykolwiek będzie zdolna przed nim ukryć. I zastanawiała się, czy w ogóle pragnie coś ukrywać.

Wola walki uleciała z niej i Isabella wsparła się o niego ciężko.

– Puść mnie – powiedziała łagodniejszym tonem. – Po prostu mnie puść. Nie zrobiłam nic, czego mogłabym się wstydzić.

Odsunął ją od siebie minimalnie i ze spokojem popatrzył jej w oczy.

– Nie, nie zrobiłaś – oświadczył – i zaklinam cię, żebyś o tym pamiętała. Ale jeśli naprawdę nie życzysz sobie jechać z Anne, Isabello, nie będę cię zmuszał.

– Zmuszał? – powtórzyła, mierząc go złowrogim spojrzeniem. – Nie możesz mnie zmusić.

Znajomy, mroczny półuśmiech wykrzywił mu usta.

– Technicznie biorąc, mogę – przestrzegł. – W mgnieniu oka mogę zarzucić cię sobie na ramię i cisnąć do powozu, skarbie.

– Brutal – oznajmiła, tylko na poły poważnie. – I to byłoby porwanie. – Udała, że go odpycha.

Oczy mu pociemniały, porywczco przyciągnął ją do siebie i nakrył jej usta swoimi w głębokim, całkowicie absorbującym pocałunku, wdzierając się językiem daleko, aż drżała.

– Proszę bardzo – powiedział, kiedy z nią skończył. – Wsiadaj do mojej karety, Isabello. Chyba jednak nie zostawię ci wyboru, ponieważ ten pocałunek był zbyt kuszący. Nie wydaje mi się zresztą, żebyś chciała mieć wybór.

Bo nie chciała, co uzmysłowiła sobie, kiedy na drżących nogach odwróciła się i otworzyła drzwi. Pragnęła, żeby zabrał ją z powrotem do Greenwood. Żeby po prostu dał jej to, czego potrzebowała – i po raz kolejny ją zapewnił, że w tej potrzebie nie kryje się nic złego.

Co więcej, chciała, żeby załatwił sprawę z Anne i całą przekłętą rodziną Aldridge'ów – czego, jako Hepplewood, w istocie mógł dokonać.

Jej strach już stopniał, zastąpiony przez dziwaczną mieszankę dumy, furii i pożądania, która przepływała przez jej ciało jak ciepła rzeka, przyprawiając o ucisk w żołądku. Nie oglądając się na niego, Isabella z uniesioną głową wyszła na słońce, by wspiać się za dziećmi do powozu.

– Zapowiada się długa jazda – powiedziała nieco posepnie Jemima, kiedy pojazd ruszył z szarpnięciem.

Och, nawet nie masz pojęcia, pomyślała Isabella. Najmniejszego.

ROZDZIAŁ 14

Ojej, jaki cudowny domek! – Kiedy pies przemknął obok niej, żeby pognać schodami na górę, lady Keaton zawirowała w holu Greenwood. – I maleńki! Pochlebia mi, Tony, że wreszcie zgodziłeś się nas zaprosić, ale gdzie będziemy wszyscy spali?

– Mamy pokoje dla służby na poddaszu oraz cztery sypialnie – powiedział Hepplewood. Nadchodził, trzymając Lissie opartą na biodrze. – Nie damy rady?

– Cóż, to o trzydzieści mniej niż w Loughford – odparła z przekąsem – ale tak, przypuszczam, że jakoś się upchniemy.

Przed domem wyładowywano bagaże, a następnie wnoszono je po schodach do wtóru licznych łomotów i stęknięć. Tajemnicza pani Yardley otworzyła dom na ich powitanie, teraz zaś dyrygowała służącymi jak doświadczony starszy sierżant.

– Lady Keaton i bliźniaczki zajmą moją sypialnię – zwrócił się do gospodyni Hepplewood – a pani Aldridge i panna Georgina pokój obok.

– Nie! – zaprotestowała Lissie. – Georgie będzie w moim pokoju.

– Ty musisz się podzielić z Caroline i Jemimą – powiedział jej ojciec, leciutko całując dziewczynkę w nos, nim postawił ją na ziemi. – Biegnij, mały tyranie, i pokaż im, który to pokój.

– Nie. – Lissie zacisnęła pięści. – Chcę Georgie!

– Możemy dzielić pokój we cztery – zaproponowała Caroline Aldridge. – Ja nie mam nic przeciw temu. A ty, Jemmo?

Jemima pokręciła głową.

– Skądże. Będzie zabawnie – oświadczyła z entuzjazmem. – Georgie, wolisz zamieszkać z nami? Czy z Isabellą?

– Z dziewczynkami – zawyrokowała Georgina i wysunęła wargę podobnie jak Lissie.

– Dobrze – oznajmiła lady Keaton, jakby sprawa została rozstrzygnięta. – Jeden pokój dla dziewczynek, drugi dla chłopców, choć dopiero się przekonamy, jak wy cztery się pomieścicie w jednym łóżku. Tony, przemęczysz się jakoś z Bertiem i Harrym?

– Nie, ulokuję się gdzie indziej – odparł neutralnym tonem.

Lady Keaton błysnęła zębami w uśmiechu i uniosła brwi.

– Doprawdy? – spytała półgłosem. – Nie byłabym taka pewna, staruszk.

– Zamierzam spać w pokoju lokaja – odparł złowrogo – naprzeciw twojego. A jeśli będziesz chrapać, Anne, przysięgam, że przyjdę udusić cię poduszką.

– Chrapię tylko w ostatnim miesiącu – oświadczyła lekko dotknięta lady Keaton – a do niego jeszcze trochę mi brakuje. Poza tym, czy wszyscy muszą robić z tego problem?

– Chodź, Jemimo – powiedziała Caroline Aldridge. – Obejrzyjmy pokój Lissie.

– Papa i pan Yardley zbudowali mi domek dla lalek – obwieściła donośnie Lissie. – Wszystkim wolno się nim bawić.

– Domek dla lalek? – spytała z respektem Georgina. – I twoje lalki w nim mieszkają?

– Niektóre – odparła Lissie. – Chodźcie!

Dziewczynki całą grupą ruszyły po schodach w górę, a niania Seawell podążyła za nimi, akurat kiedy pies przemknął w dół, prawie że spychając starszą kobietę z drogi.

– Ty, szanowny panie! – Lady Keaton strzeliła palcami na Bertiego, który, na czworakach, z uwagą

oglądał martwego robala na schodach wejściowych. – Wstawaj, zabierz stąd tego psa i natychmiast go wykop.

– Tak, proszę pani.

– Harry, pomożesz mi, skoro to ty go podjudziłeś – ciągnęła – i żaden z was nie wraca do tego domu, dopóki pies nie wyschnie, rozumiano? Nie zniosę smrodu mokrej sierści.

– Będzie nam potrzebne mydło – oznajmił Harry, jakby mogło to udaremnić plan jego matki.

– Pan Yardley znajdzie wam trochę – powiedziała. – Na zapleczu pewno jest jakieś koryto?

– Przy chacie Yardleya płynie strumyk – odparł Hepplewood – ale nie na tyle głęboki, żeby się w nim utopić. Idźcie ścieżką wzdłuż lasu, chłopcy.

Bracia wyszli, z niebezpiecznymi błyskami w oczach na hasło „strumyk”.

– Zdjąć buty! – wrzasnęła za nimi matka. – I podwinąć nogawki!

Pani Yardley oznajmiła, że pójdzie zobaczyć, co da się zrobić, żeby pomieścić cztery dziewczynki.

– Może pościelić łóżko w poprzek?! – zawołała za nią lady Keaton. Następnie odwróciła się do Hepplewooda i wysunęła łokieć. – A teraz będzie pan łaskaw oprowadzić panią Aldridge i mnie – rozkazała. – Chcemy zajrzeć w każdy kąt tej skandalicznej kawalerskiej kryjówki.

Nieznacznie wykrzywiając usta, Hepplewood wyraził zgodę – choć w obliczu determinacji kuzynki zapewne i tak nie miał wyboru. Poprowadził obie damy głównymi schodami w górę. Poślawszy Isabelli sugestywny uśmiech, nachylił się ku niej.

– Witam w Greenwood Farm, pani Aldridge – mruknął. – Ufam, że niejedno się tu pani spodoba.

– Daruj sobie, Tony – zgasiła go Anne. – Pani Aldridge nie złapie się na twoje dwuznaczności.

– Rzeczywiście wydaje się to mało prawdopodobne – zgodził się uprzejmie Hepplewood.

Obeszli piętro, z którego Isabella co nieco już widziała, mamrotała wszakże uprzejmie uwagi, udając, że jest inaczej.

W pokoju Lissie młodsze dziewczynki nie zwróciły na nich uwagi, całkowicie pochłonięte domkiem dla lalek, podczas gdy niania Seawell i pani Yardley ścieliły ogromne łóżko w poprzek. Żadną miarą nie był to pokój dziecienny, dodano w nim jednak kilka przypadkowych dziecięcych akcentów.

– Będzie im tu wygodnie, milady – zapewniła gospodyni, strzepując prześcieradło – niech no tylko doniosę jeszcze jeden wałek.

Starsze dziewczynki zasiadły już przy niewielkim stoliku do gry z wymalowaną na blacie szachownicą, na której Jemima rozstawiała figury. Posłała Isabelli uśmiech i natychmiast wróciła do swego zajęcia. Istotnie znalazła w Caroline pokrewną duszę – były w podobnym wieku i cechowało je równie spokojne usposobienie.

– No cóż, szybko poszło – skomentowała lady Keaton, kiedy dziesięć minut później opuścili kuchnię. – Doprawdy, Tony, cały ten dom zmieściłby się w reprezentacyjnej jadalni Loughford.

– Anne, jeśli tak ci się podoba Loughford, możesz tam pojechać, serdecznie zapraszam – odparł spokojnie. – Ja lubię tę farmę.

– Ale Loughford ma takich osiem – droczyła się z nim, kiedy przez tylne drzwi wyszli na słońce. – Nie licząc głównej.

– Świetnie, rano Yardley odwiezie cię do Berkhamsted, skoro tak ci tęskno – rzekł kwaśno Hepplewood, wyprowadzając panie z otoczonego murem ogrodu przez ładną furtkę, teraz już naprawioną, jak odnotowała Isabella. – Pierwszy pociąg na północ odchodzi o wpół do siódmej... Tylko nawet nie próbuj zostawiać mi tutaj Bertiego i Harry’ego.

– Miałabym porzucić biedną panią Aldridge na pastwę twoich niecznych knowań? – Lady Keaton się roześmiała. – Nie sądzę. – Zamilkła na chwilę i wzięła głęboki oddech. – Ach, ciągle zapominam, jak pięknie pachnie na wsi.

– Tutaj jest cudownie – przyznała Isabella – i tak cicho. Nie zaznałam takiego spokoju od ostatniej wizyty w Sussex.

– Och, trochę cierpliwości, a jedno z moich dzieci zniszczy nastrój – oznajmiła lady Keaton. – Niemniej sądzę, pani Aldridge, że powinniśmy hasać na tej małej farmie Tony’ego jak Maria Antonina w swoim Petit Trianon. Ogłaszam przeto tydzień bez gorsetów i krynolin... zwłaszcza że ledwo wciskam się w moje.

– Dobry Boże, Anne – rzekł Hepplewood, prowadząc je ścieżką w kierunku drzew. – Pani Aldridge uzna nas za najbardziej wulgarną rodzinę na świecie.

– Wątpię, czy panią Aldridge zszokuje odkrycie, że wiesz wszystko o krynolinach i gorsetach, staruszkę – zarechotała jego kuzynka. – Gdybyś kiedykolwiek musiał coś takiego nosić...

Znienacka zakotłowało się w krzakach na skraju lasu.

– Mamo! Mamo! – wrzasnął Bertie, wystawiając głowę z zarośli. – Puszek wciągnął Harry’ego do strumienia! Są cali w błocie!

– Och, dobry Boże – wymamrotała lady Keaton.

– Ruszaj, Anne! – zachęcił ją radośnie Hepplewood. – To tylko krótki spacer przez las.

– Serdeczne dzięki, Tony! – odparła gniewnie, po czym odmaszerowała ścieżką, kierując znów uwagę na chłopca. – Wciągnął?! Czy na niego skoczył?! – pokrzykiwała, przykładając dłoń do dolnej części pleców. – I Bertie, błagam, nie mów mi, że to ty go wepchnąłeś, bo słowo daję, że spiorę ci tyłek!

Hepplewood odprowadzał kuzynkę wzrokiem.

– Te dzieci Anne zdołałyby już wycisnąć z każdego faceta wszystkie soki – wymamrotał – ale staruszek Philip okazał się bardziej jurny, niż pierwotnie sądziłem.

– Powinniśmy za nią pójść? – spytała Isabella.

– Nie za nią – odparł stanowczo. – Powinniśmy stąd pójść.

To rzekłszy, chwycił Isabellę za rękę i poprowadził w las w przeciwnym kierunku. Tutaj, głęboko w cieniu, powietrze było chłodne i ciężkie od woni wilgotnych paproci oraz butwiejących liści. Niedaleko szemrał strumień, nad wodą niósł się głos karcącej chłopców Anne.

Isabella miała na nogach eleganckie pantofle, niestosowne na pieszą wycieczkę do lasu. Na szczęście spacer był krótki, ich oczom rychło ukazała się polana. Hepplewood zatrzymał się i odwrócił ku Isabelli.

Wiedziała, co zaraz się wydarzy. Zamiast walczyć, poddała się całkowicie.

Na pół przymykając powieki, przyparł ją do najbliższego drzewa.

– Z wielką chęcią dokończyłbym to, co zacząłem dziś rano.

Opuścił głowę i otarł się wargami o jej policzek. Isabella z westchnieniem zwróciła się ku niemu.

Kiedy wszakże ją pocałował, uczynił to z zaskakującą delikatnością, najpierw skubiąc jej dolną wargę, a potem ssąc delikatnie, jak tamtego pierwszego popołudnia w Greenwood. Była to pieszczota zarazem czuła i zmysłowa, Isabella zaś objęła go w talii i powiodła dłońmi w górę jego pleców, przywierając doń z całych sił.

Jesteś moja, oznajmił jej kiedyś władczo.

I miał rację.

Należała do niego. Jej ciało do niego należało. Każdą cząstką ciała odpowiadała na jego dotyk, pragnęła go z sięgającym do szpiku kości głodem, który zawsze pulsował tuż pod powierzchnią.

Wtargnął głęboko w jej usta, dłonie rozcapierzył w dolnej części jej pleców, przyciągając Isabellę do siebie. Zacisnęła w pięściach jedwab jego kamizelki i pojęła, że nigdy nie przestanie go pożądać.

– Ehm – odezwał się po jakimś czasie, wolno sunąc pocałunkami w dół jej szyi. – Tak, z wielką chęcią doprowadziłbym rzecz do końca... ale Anne ma rację z tymi krynolinami. Są istnym przekleństwem, ogromną zawadą dla mężczyzny.

Isabella roześmiała się z dziwną lekkością w sercu.

– Może powinniśmy przystać na jej plan?

– Tak – mruknął, przeciągając palcem po wewnętrznej stronie dekoltu jej sukni – może powinniśmy.

Po jej skórze nadal przebiegały wywołane jego dotykiem dreszcze, kiedy patrząc spod półprzymkniętych powiek, wędrował wzrokiem po jej twarzy, aż w końcu znowu ją pocałował, długo i głęboko, nim odsunął się z lekkim uśmiechem.

– Nie, nie tutaj, jak sędzę – rzekł cicho – a szkoda.

Przygniotło ją rozczarowanie, mimo że wiedziała, iż tak jest najlepiej. Uśmiechnął się krzywo, mocno chwycił ją za rękę, odciągnął od drzewa i powiodł na polanę, a pod ich stopami szeleściły resztki ubiegłorocznych liści.

Isabella obejrzała się przez ramię i powiedziała sobie, że czuje ulgę. Żadna prawdziwa dama nie życzyłaby sobie, by wzięto ją przy drzewie, ze spódnicami podkasanymi do pasa.

A jednak pożądała go stale, z każdą chwilą coraz mocniej. Zarówno teraz, jak i przez całą podróż do Greenwood, w trakcie której, z wargami obolałymi po pocałunku, obserwowała go przez okno powozu, gdy tak władczo dosiadał Kolosa.

Z początku koń był szatańsko nieokiełznany, to nacierał bokiem na drogowskaz, to znów walczył z wędzidłem. Ale, jak najwyraźniej we wszystkich sprawach, władza Hepplewooda nad potężnym zwierzęciem ostatecznie okazała się absolutna – i taka też, czego Isabella czasem się obawiała, będzie jego władza nad nią.

Na tę myśl w jej brzuchu zawiązał się gorący supeł pożądania, aż zmyliła krok.

Hepplewood przystanął, oglądając się na nią.

– Co się dzieje, Isabello?

– Nic – odparła, przyspieszając.

Jednakże jego aż nazbyt przystojną twarz zasnuł mroczny, porozumiewawczy cień i Isabella zastanowiła się, czy Hepplewood przyjdzie do jej łóża dzisiejszej nocy.

Nie zastanawiała się wszakże, co powie, jeśli tak się stanie.

Powie: „Tak”.

Obawiała się, że już zawsze będzie mógł liczyć na jej przyzwolenie. Ta niebezpieczna świadomość uczyła pokory.

Wkrótce dotarli na drugi kraniec polany. Tutaj nad wodą przycupnęła niewielka konstrukcja – sześciokątna, kryta drewnianym gontem altana z grubo ciosanego drewna, z balustradą prawie na całym obwodzie; choć nie tak wyszukana, jak przeważnie w eleganckich posiadłościach, miała mnóstwo rustykalnego uroku.

Hrabia wprowadził Isabellę do środka i usiadł na ławce w głębi. Szczupły Hepplewood zsunął się nisko i oparł długie nogi w butach do konnej jazdy na poręczy naprzeciw, leniwie krzyżując je w kostkach. Później przekrzywił kapelusz, tak by osłaniał mu oczy, jak to już u niego widywała. W tej pozie wyglądał bardziej jak parobek niż pan na włościach.

Nadal trzymając jej dłoń w swojej, odchylił głowę i zamknął powieki.

– Moim zdaniem powinniśmy zostać tutaj, skarbie, do czasu aż pociechy Anne pójdą spać – wymamrotał.

Isabella się uśmiechnęła, choć nie mógł tego widzieć.

– Chłopcy istotnie wydają się niesforni – zgodziła się. – Dlaczego ich zaprosiłeś, skoro tak ci przeszkadzają?

Z krzywym uśmiechem odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Ponieważ obawiałem się, że inaczej byś nie przyjechała – odparł. – A zależało mi na tym.

– Ach, chciałeś postawić na swoim – podsumowała.

– Zawsze tego chcę – zgodził się.

– Na ile jednak pamiętam, groziłeś, że wrzucisz mnie do karety, bez względu na to, czy chcę jechać, czy nie – przypomniała mu.

Zaśmiała się cicho.

– Ale nie jesteś do końca pewna, czybym to zrobił, prawda?

Isabella nie była pewna, lecz ani myślała przyznawać.

– Jestem pewna – oznajmiła wreszcie – że nie dopiąłbyś swego, gdybym nie chciała jechać. Sugeruję, byśmy na tym poprzestali.

Roześmiał się znowu i ścisnął jej rękę, a później na jakiś czas zapadła cisza, zakłócana jedynie szemrzeniem sączącej się po kamieniach wody, jako że strumyk był naprawdę niewielki.

– Poza tym nie jest tak, że nie przepadam za chłopcami – dodał w końcu, odrzuciwszy kapelusz na bok.

– W rzeczywistości ogromnie mnie bawią. Po prostu lubię czasem dopiec Anne. Szczerze mówiąc, kiedy dorastaliśmy, byliśmy dwa razy gorsi od Harry’ego i Bertiego, istna mongolska horda.

– Naprawdę? – spytała. – Ilu liczyła członków?

Zawahał się.

– Była Gwen, starsza siostra Anne, następnie ja, ponieważ wiekowo wypadam między nimi, potem Diana i wreszcie Bea, ale ona jest dużo młodsza.

– Diana i Bea to także siostry Anne?

– Diana była kuzynką – odparł, a w jego głosie po raz kolejny zagościło wahanie. – A Bea przyrodnią siostrą z późnego małżeństwa.

– Brzmi cudownie – stwierdziła cicho Isabella. – Czyli miałaś szczęśliwe dzieciństwo?

– Idylliczne, moim zdaniem – odrzekł. – Przypuszczam, że Anne by się ze mną zgodziła.

– Zatem w zasadzie wychowywaliście się razem?

– Tak – potwierdził. – Mój ojciec piastował różne rządowe stanowiska. Podróżował. Do późna przesiadywał w Whitehall, toteż matka i ja spędzaliśmy wiele czasu w Burlingame Court, majątku jej starszego brata w Wiltshire.

– Kto nie słyszał o Burlingame? – skomentowała z niejakim respektem Isabella. – Ponoć to jedna z najwspanialszych posiadłości w Anglii.

– Tak, niemniej szaleliśmy tam jak stado dzikich koni – powiedział ze śmiechem. – Anne i jej siostry tam dorastały. Jej ojciec był dziedzicem, ale umarł kilka lat temu i nowym dziedzicem został nasz kuzyn.

– Obawiam się, że znam to uczucie – stwierdziła Isabella. – Czy Anne nie może już jeździć do domu?

– Och, Boże, nie! Przesiaduje tam bez ustanku – odparł Hepplewood. – Lord Duncaster, jej dziadek, a mój wuj, jest stary, lecz jak najbardziej żywy. A kuzyn Royden okazał się przyzwoitym człowiekiem. Nadal mam w starym majątku prywatne skrzydło, chyba że Royden wygnał mnie stamtąd w chwili mojej nieuwagi. W każdym razie matka i Lissie z niego korzystały.

– Pan Gossing, twój pośrednik, powiedział mi, że twoja matka niedawno umarła.

– Tak – przyznał – a później guwernantka Lissie uciekła z naszym wikarym.

– To musiało być bardzo trudne dla Lissie – zauważyła.

– Ogromnie i sędzę, że teraz na za wiele jej pozwalam... choć właściwie sam nie wiem. – Westchnął głęboko. – Ale to pewnie minie. W końcu.

– Skoncentruj się na tym, co ważne – poradziła Isabella. – Dziecku jest ciężko, gdy straci matkę... albo osobę, która ją zastępowała. Jemima miała zaledwie osiem lat, kiedy jej matka umarła. Ja dwanaście. Tak, to trudne.

– Ale mam nadzieję, że ojciec bardzo cię kochał?

Uniosła rękę w bezsilnym geście.

– Tak, bardzo – przyznała – niemniej zatracił się we własnym smutku, a przy tym nigdy nie był zanadto... zorganizowany.

– Zorganizowany? – Posłał jej zaciekawione spojrzenie.

– Zorganizowany, tak – potwierdziła w zadumie. – Brzmi dziwnie, prawda? Ale dziecko potrzebuje uporządkowania i dyscypliny, żeby czuło się bezpiecznie. Nie wystarczy wiedzieć, że jest się kochanym. Ktoś musi stać u steru.

– Ach – szepnął, ponownie opuszczając powieki. – To wiele wyjaśnia!

– Co masz na myśli? – Popatrzyła nań z zainteresowaniem.

Uśmiechnął się, lecz nie otworzył oczu.

– Innym razem, kochana – odparł cicho. – Zaczynam jednak rozumieć, dlaczego uważasz za tak ważne, żeby Lissie była ze mną.

– Oczywiście, że to ważne – stwierdziła ostro. – Jak w ogóle można sądzić inaczej?

– Ale zdajesz sobie sprawę, Isabello, że dzieci arystokracji rzadko są wychowywane przez rodziców? – spytał, otwierając oczy. – Dopóki nie dorosłem, widywałem mojego ojca przez nie więcej niż pół godziny dziennie, a bywało, że wyjeżdżał na całe miesiące. Matka miała zobowiązania towarzyskie i prowadziła dom. U ciebie wyglądało to odmiennie?

– Całkiem – odparła. – Nasza posiadłość była mała, wiedliśmy proste życie. Miewałam guwernantki, lecz częstokroć zajmowała się mną wyłącznie matka. A papa zawsze krążył gdzieś po domu.

– Może więc poniekąd dopisało ci szczęście – zauważył.

Isabella starannie ważyła kolejne słowa.

– Chciałam zapytać cię o co innego – rzekła w końcu. – O Anne. Mogę?

Posłał jej dziwne spojrzenie.

– Anne?

– Co ona myśli o mojej obecności tutaj? – Isabella puściła jego dłoń i ciasno splótła palce na podołku. – Czy sądzi... że jestem twoją kochanką? To znaczy, czy w ogóle można wysnuć inny wniosek?

– Sądzi, że chcę zrobić z ciebie moją kochankę – odparł spokojnie. – Tak, w jej mniemaniu zawzięcie się za tobą uganiam, ja zaś odmówiłem ustosunkowania się do tego zarzutu. Uważa ponadto, że poniosę klęskę. Ale tak się nie stanie, Isabello. Ufam, że o tym wiesz? Nie zrezygnuję, nigdy.

Jednakże Isabella nie widziała sensu w kolejnym sporze na ten temat, poza tym o wiele bardziej dręczyła ją inna kwestia.

– Anthony, czy Anne złamała ci serce? – spytała wreszcie.

Na dłuższą chwilę zapadła ciężka cisza. Potem Hepplewood z głuchym łomotem opuścił nogi i wyprostował się na ławce.

– Czy Anne złamała mi serce? – powtórzył cicho, spoglądając na Isabellę zwężonymi oczami. – Kto, u diabła, tak ci powiedział?

Isabella wyczuła, że uderzyła w czuły punkt.

– To... Po prostu wydajecie się sobie bliscy – wymamrotała – a lady Petershaw mówiła, że...

– Że co? – spytał opryskliwie.

– ...że byliście kiedyś zaręczeni.

– Co jeszcze mówiła? – dociekał. – Co jeszcze, Isabello?

– Nic – skłamała.

Jego oczy pociemniały niebezpiecznie.

– Porozumiano się, tak. Zapewne podobnie jak w przypadku twoim i Everetta. Ale nie każde porozumienie kończy się małżeństwem, nieprawdaż?

– Cóż, nie – przyznała.

– I na tym poprzestańmy – oznajmił, podrywając się na nogi.

– Anthony, poczekaj...

Lecz on wyszedł już z altany, wyprostowany sztywno.

Dogoniła go i przytrzymała za ramię.

– Anthony, nie musisz odpowiadać na moje pytania – powiedziała – ale nie wolno ci mnie obrażać, a robisz to, tak po prostu sobie odchodząc.

Jego twarz nie wyrażała jednak gniewu ani nawet bólu. Malowało się na niej coś gorszego. Coś nienazwanego i zimnego. Jego lśniące niebieskie oczy pociemniały i straciły wszelki wyraz, jedną dłoń zaciskał w pięść wzdłuż boku, w drugiej miażdżył rondo kapelusza.

– Pójdę w dół strumienia – oznajmił lakonicznie. – Muszę pomówić z Yardleyem. Przepraszam cię, Isabello. Dasz radę sama wrócić do domu?

– Tak, to dziesięć minut drogi – odparła z irytacją. – Przykro mi, że cię zdenerwowałam, wspominając o Anne, ale...

Gdy mówiła, zacisnął wargi w cienką, nieomal białą kreskę.

– Anne czuje się szczęśliwa jako żona Philipa, z moim błogosławieństwem – rzekł wreszcie. – Ja zaś... ja zaś, Isabello, jestem dokładnie tak szczęśliwy, jak na to zasługuję. Możemy darować sobie ciąg dalszy?

Opuściła rękę i cofnęła się o krok.

– Rzeczywiście, chyba musimy.

Nasadził kapelusz z powrotem na głowę i szorstko pociągnął za rondo.

– W takim razie przepraszam raz jeszcze – rzucił. – Do zobaczenia przy obiedzie.

– Doskonale. – Skinęła sztywno głową. – Do obiadu.

Odwróciła się i odeszła, nie obejrzawszy się za siebie. W rzeczy samej, jeszcze nigdy nie była na tego mężczyznę tak wściekła – co o czymś świadczyło. Jednakże ku jej zdziwieniu Hepplewood się nie poruszył.

Ani nie podążył za nią, ani nie skierował się w dół strumienia, nie słyszała bowiem szelestu deptanych liści, czuła za to na plecach jego palące spojrzenie, kiedy szła przez polanę.

Niech go diabli, pomyślała.

Przed wszystkim wcale nie chciała tu przyjeżdżać – a teraz była na pół zdecydowana udać się do wsi i wykupić trzy miejscówki w najbliższym dylizansie do Londynu.

Zastanawiała się, czy pozwoliliby jej wyjechać.

Nie – zastanawiała się, czy rzeczywiście chce wyjeżdżać.

Weszła między drzewa i przystanęła, biorąc głęboki oddech, żeby się uspokoić. Nie, tak naprawdę, w głębi serca, zastanawiała się nad tym, czy lord Hepplewood nie jest nadal troszkę zakochany w Anne.

Powinna posłać go do diabła. Ale tego nie robiła.

I nie wiedziała, jak to o niej świadczy.

Z westchnieniem wymaszerowała z cienia z powrotem na zalaną słońcem ścieżkę. Dzieci potrzebowały jej bliskości, napomniała się. Choć sielankowo piękne, Greenwood było dla nich nowym miejscem, a do tego otaczali je prawie obcy ludzie.

W następnej chwili uzmysłowiła sobie jednak, że Lissie i Georgina czują się tutaj aż nazbyt swobodnie. Obie dziewczynki znajdowały się na szczycie muru, który oddzielał ogród od podwórza przed stajnią, i szły po nim jak po linie, z ramionami rozpostartymi dla zachowania równowagi.

– Georgie!!!

Nie bacząc na to, że na nogach ma pantofelki, Isabella zbiegła ze ścieżki i popędziła przez wysypany

zwirem dziedziniec.

– Lissie! Georgina! Schodźcie w tej chwili!

Lissie obejrzała się przez ramię z psotnym – i jakże znajomym – uśmiechem. Raptem, kiedy już niemal dotarła do zreperowanej furtki, straciła równowagę i zachwiała się niebezpiecznie.

– Lissie! – krzyknęła Isabella. – Uważaj!

Znienacka dziewczynka runęła w dół z szelestem halek, znikając za murem w ocienionym ogrodzie. Przestraszona Georgina na pół zeskoczyła, na pół spadła w ślad za nią.

Kiedy Isabella wbiegła przez furtkę, Lissie leżała na trawie, tułowiem przygniatając niefortunnie wykręcone ramię, i płakała. Georgie klęczała obok z taką miną, jakby zaraz również miała zalać się łzami.

– Och, Lissie! – Isabella uklękła i ostrożnie podniosła dziewczynkę z trawy. – Georgie, coś ci się stało?

– Nie – wykrztusiła Georgina, wstając.

– Boli mnie ręka! – załkała Lissie.

– Już dobrze, kochanie – powiedziała Isabella, siadając na stopniu, żeby ją ukołysać. – Pokaż mi.

– Nie – zaprotestowała dziewczynka. – Boli.

– Przepraszam, Bello – chlipnęła Georgie, przyglądając się niespokojnie.

Chyba rzeczywiście nic jej nie dolegało. Isabella ostrożnie obejrzała ramię Lissie. Dziewczynka rozdarła rękaw sukienki, ale raczej niczego sobie nie złamała.

– Lissie nic nie będzie – uspokoiła je Isabella – ale nie wolno wam wchodzić na ten mur. Pokaż się, Lissie, chciałabym zbadać ci okolice szyi, kochanie.

Isabella delikatnie obmacała obojczyk dziewczynki, ale nic nie wyczuła. Lissie nawet się nie skrzywiła, zdążyła już też odzyskać spokój.

Od strony strumienia dało się słyszeć ciężkie kroki, moment później spomiędzy drzew wypadł Hepplewood i pędem przeciął podwórze.

– Co się stało? – spytał ostro, wbiegając przez furtkę.

Isabella podniosła się z Lissie uczeploną jej szyi.

– Szły po murze – wyjaśniła – ale zeskoczyły, kiedy krzyknęłam.

– Dobry Boże! – rzekł Hepplewood, spoglądając groźnie na córkę.

– Chcę na ziemię – chlipnęła Lissie, unikając wzroku ojca.

Wkrótce obie dziewczynki stały ubrudzone trawą, lecz nic ponadto. Przykucnąwszy, żeby spojrzeć im w oczy, Hepplewood łąjał je – łagodnie, lecz stanowczo – a winowajczynie kiwały głowami, bojaźliwie wysuwając dolne wargi.

Na tylnych schodach pokazała się niania Seawell. Dorzuciła kilka ostrych słów od siebie i zabrała dziewczynki.

– Nic się nie stało, jak przypuszczam – skomentował spokojnie Hepplewood, wstając z kucek.

– Pomówię ostro z Georginą – zapewniła go Isabella. – Taka sytuacja się nie powtórzy.

– Nie bądźmy zbyt surowi – rzekł, pocierając dłonią szczękę. – Ten mur ma niespełna metr wysokości. Nie wolno łamać w dziecku ducha przygody.

Isabella z chęcią by oznajmiła, że lepiej złamać ducha niż obojczyk. Niemniej do pewnego stopnia miał rację.

– Dziękuję, Isabello – powiedział, opuszczając ramię. – Lissie dobrze się przy tobie czuje. Cieszy mnie to.

Nie odpowiedziała; nie było nic więcej do dodania. Prawie że natychmiast ciszę między nimi znowu wypełniło skrępowanie.

– No dobrze – rzekł chłodno Hepplewood. – Idę do Yardleya.

– Tak – odparła z napięciem. – Cóż. Zatem do obiadu.

Odwrócił się i ponownie ruszył w kierunku ścieżki, pokonywał dystans długimi krokami.

*

Ostatecznie Isabella nie ujrzała lorda Hepplewooda przy obiedzie. Jak wyjaśniła pani Yardley, hrabiego i jej męża niespodziewanie wezwano na zebranie lokalnych właścicieli ziemskich w gospodzie we wsi.

– Och, będą tylko żłopać piwo, grać w kości i flirtować z posługaczkami – oznajmiła Anne, kiedy niosły półmiski do jadalni. – Gdyby chodziło o uczciwe interesy, załatwialiby je w blasku dnia.

– Zapewne ma pani rację – przyznała ze śmiechem Isabella.

– Taa... całkowiłą – utyskiwała pani Yardley, stawiając na stole ogromną michę purée z pasternaku. – Do późnej nocy będą pykać cygara, a potem potoczą się chwiejnie do domu, cuchnąc dymem, piwskim i wodą lawendową tej niecnej dziewczuchy, Millicent, jak sama się zwie, ale na chrzcie dali jej Milli i inaczej nie będzie.

Przy stole zachichotały Jemima i Caroline.

– Co gorsza, Tony’ego ominie iście wzniosła konwersacja, jaką będziemy tu prowadzić – skonstatowała Anne, siadając. – Harry pragnie nam opowiedzieć, ile pcheł utopił w strumieniu dzisiejszego popołudnia. To wyliniałe stworzenie było nimi usiane. Wdzięki Millicent na pewno się do tego nie umywają.

Tymczasem „wyliniałe stworzenie” zaszło się pod stołem, uderzając o stopę Anne tym, co mu pozostało z ogona, jako że ostatecznie Yardley wystrzygł psa do gołej skóry nożycami do strzyżenia owiec, potem zaś zwierzaka po raz kolejny wykapano w mydle ługowym.

– Chyba nie możemy go dalej wołać Puszek – stwierdził pośepnie Bertie, nabierając wielką porcję pasternaku – bo nie ma już kłaczków ani nic.

– Tym lepiej – orzekła jego matka, puszczając w ruch następną miskę. – Lissie, potrzebujesz pomocy?

Pani Yardley natychmiast podeszła, żeby pomóc młodszym dzieciom nałożyć jedzenie. Siedziały przy stole rodzinnie, w osiem osób, co niezmiernie Isabellę ucieszyło. Przywykła do tego, że jada z dziewczynkami oraz panią Barbour, i nie zniosłaby – zwłaszcza dziś wieczorem – rozdzielenia z nimi z powodu zimnej etykiety, przez co musiałyby samotnie przetrwać ciekawskie spojrzenia Anne.

Anne rzeczywiście zrezygnowała z krynolin i miała na sobie prostą suknię, bezkształtną, cechującą się jednak swego rodzaju powiewną elegancją, idealną dla jej drobnej figury oraz zaokrąglającego się brzuszka. Dzieci trajkotały radośnie przez cały posiłek, przy czym Georgie mówiła wyłącznie o domku dla lalek. Kiedy na zakończenie spożyli wyśmienity deser z rabarbaru, wstali, Anne zaś przeprosiła, gdyż chciała położyć Deborę i Deannę spać.

O dziewiątej zrobiło się już ciemno i padało, lecz Hepplewood nadal się nie pokazywał. Podczas gdy dwie starsze dziewczynki zajęły się układaniem puzzli w saloniku w przedniej części domu, Isabella snuła się, to stając przy oknach od frontu, gdzie bawiła się leżącą na kredensie zatyczką do brandy, to znów przechodząc do fotela przy kominku, żeby przeglądać stare numery „Poła”, niemal równie fascynujące jak spływający po szybach deszcz.

Zdążyła powrócić do obserwacji ściekającej wody, kiedy pół godziny później Anne znów zjawiała się na dole.

– Szkoda czasu, moja droga – powiedziała, lekkim krokiem mijając Isabellę. – Pogalopował stąd w jednym z tych swoich nastrojów.

Isabella poczuła rumieniec na twarzy.

– Nastrojów? – spytała, odwracając się od okna.

Anne zbierała zabawki dzieci, którym oddano do dyspozycji cały dom.

– Och, z Tonym tak już jest – wyjaśniła, schylając się po Pikla, drewnianego psa Lissie. – Proszę nie mieć mu za złe, Isabello. Przyjedzie około północy pijany jak bela, a jutro znów wszystko wróci do normy.

– Aha – rzekła cicho Isabella.

Zwróciła się znowu ku oknu, dumając nad tymi informacjami. Nadal nie miała pojęcia, co powiedziała, że do tego stopnia rozgniewała lorda Hepplewooda – jeżeli istotnie był na nią zły. Im dłużej bowiem nad tym rozmyślała, tym bardziej wydawało jej się, że kierował tę emocję raczej do wewnątrz. Mimo to bolało, że potraktował ją tak po jaśniepańsku, ucinając kwestię bez słowa wyjaśnienia.

Znienacka poczuła obok siebie ciepło Anne.

– Isabello – odezwała się miękko dama. – Jak dobrze zna pani mojego kuzyna, jeśli wolno mi spytać?

Isabella odwróciła się od okna.

– Zaczynam myśleć, że prawie wcale.

Anne uśmiechnęła się z autentycznym ciepłem, jak się zdawało.

– Dobry z niego człowiek, naprawdę – rzekła cicho, zerkając przez ramię na dziewczynki, które siedziały przy stole w głębi pokoju. – Ale jest po prostu... – Urwała i ściągnęła brwi.

– Jaki? – spytała chłodno Isabella. – Nieszczęśliwy, kiedy nie może postawić na swoim w dosłownie każdej sprawie?

– Och, nie, po prostu... nieszczęśliwy. – Z miną pełną autentycznego bólu Anne położyła dłoń na ramieniu Isabelli. – Naprawdę jest najmilszym, najmniej samolubnym mężczyzną, jakiego można sobie wyobrazić, bez względu na to, co twierdziła ciocia Hepplewood.

– Jego matka? – Isabella popatrzyła na nią skonfundowana.

– Tak. – Anne potrząsnęła głową, jakby opędzała się od jakiegoś wspomnienia. – Ale mniejsza z tym – ciągnęła. – Pokłóciliście się? Jeśli tak, proszę się nie przejmować. Jutro o tym zapomni. Jak mówię, Tony czasami czuje się po prostu... nieszczęśliwy.

– Dziękuję, to miło z pani strony – odparła nieco szorstko Isabella. – Niemniej nie pojmuję, z jakiego niby powodu jest nieszczęśliwy. Ma piękną córkę i rodzinę, która wyraźnie go uwielbia, wydaje się też, że na niczym mu nie zbywa. Dlatego proszę mi wybaczyć, milady, jeśli znajduję w sobie niewiele współczucia dla jego tak zwanych nastrojów.

Przez twarz Anne przemknął wyraz graniczący z podziwem.

– Trudno się dziwić, nieprawdaż? – rzekła cicho. – Była pani przecież żoną Richarda Aldridge'a. Przypuszczam, że takie doświadczenie każdemu usztywniłoby kręgosłup.

Na te słowa Isabella faktycznie zesztyniała, chyba w sposób widoczny, gdyż Anne znów dotknęła jej ramienia.

– Boże, zachowałam się bezmyślnie – powiedziała. – Proszę mi wybaczyć, Isabello. Może mi pani wierzyć, Tony w niczym nie przypomina Richarda. Nie mam na myśli tego rodzaju nastrojów.

– Dobrze to słyszeć – stwierdziła słabo Isabella.

– Niegdyś Tony sprawiał wrażenie zaledwie czarującego rozpustnika. – Spojrzenie Anne z lekka zasnuło się mgłą. – Jednak z biegiem lat życie go zahartowało, tak że szcyci się teraz nieomal bezwzględną samokontrolą. Ludzie myślą się w jego ocenie, na własną zgubę. Owszem, posiada liczne przywary, lecz nie jest szalony, a jego życie... cóż, może nie było tak łatwe, jak pani sądzi.

Isabella podniosła wzrok na Anne.

– Dziękuję – powiedziała bardziej szczerze. – Lord Hepplewood był ogromnie miły dla mnie i moich

siostr. Cieszę się, że ma pani o nim dobre zdanie. I cieszę się również, że przyjechała pani do Greenwood. Dziękuję, że się pani zgodziła.

– Zgodziła? – Anne uniosła brew. – Nie przychodzi mi do głowy, dlaczego ktoś miałby mi dziękować za udział w przyjemnym wypadzie na wieś.

– Milady, nie jesteśmy osobami o tym samym statusie społecznym i zdaję sobie z tego sprawę.

– Mów mi Anne – odparła stanowczo dama. – I nie wiem, o co ci chodzi. Obie jesteśmy córkami arystokratów... baronów, w rzeczy samej. Debiutowaliśmy rok po sobie i poślubiłyśmy mężczyzn z tej samej rodziny, jednej z najstarszych i najznamienitszych w Anglii.

Isabella pokręciła głową.

– Mi... Anne, prowadzę księgarnię w Knightsbridge – powiedziała. – Wiesz, jak poznałam twojego kuzyna? Ubiegałam się o posadę guwernantki Lissie. Miałam być jego służącą. A on nawet nie zechciał mnie zatrudnić. Zatem obecnie... param się handlem, jak zapewne można to określić, i mam szczęście, że nie czymś gorszym.

– Okoliczność, że w młodym wieku owdowiałaś i zostałaś wepchnięta w życie inne niż to, do jakiego cię wychowano, nijak nie zmienia koloru twojej krwi – odrzekła Anne. – A fakt, że wuj Fenster odwrócił się od ciebie w twoim wdowieństwie, jemu przynosi ujmę... Nam wszystkim, prawdę mówiąc. Ktoś powinien był coś zrobić.

– Lord Fenster nie odwrócił się ode mnie – stwierdziła cicho Isabella – ponieważ nigdy nawet mnie nie poznał.

– Naprawdę? – Anne przyłożyła dłoń do serca, a w jej oczach zamigotał ból. – Nie miałam pojęcia.

Isabella uśmiechnęła się z przymusem.

– Natychmiast wyrzucił Richarda ze swojego życia – wyjaśniła. – A po śmierci Richarda nie prosiłam lorda Fenstera o nic. Pogrzebałam męża obok mamy na przykościelnym cmentarzu w naszej wsi i żyłam dalej. Wiem, że chcesz być miła, Anne. Nie potrzebuję jednak współczucia, ani twojego, ani lorda Hepplewooda. Obecnie radzę sobie sama i choć nie powiem, że to proste, przynajmniej próbuję być panią własnego losu.

Uśmiech Anne nieco się wykrzywił, przez co bardzo przypominała w tej chwili swego kuzyna.

– Młodym damom wpaja się, że najmądrzej postąpią, jeśli znajdą sobie dobrego męża i powierzą mu swój los, czyż nie? – rzekła w zadumie. – Mnie na tym polu dopisało szczęście. Nie martwię się o nic poza zdrowiem moich dzieci. Philip się wszystkim zajmuje. Jest mądry i dobry, ja zaś ufam mu całkowicie, że się o nas zatroszczy. Co więcej, jestem, zawsze byłam, zakochana w nim do szaleństwa.

– W takim razie rzeczywiście ogromnie ci się poszczęściło – stwierdziła Isabella, wbijając wzrok w dywan.

– I nie jestem na tyle głupia, żeby sądzić inaczej – oznajmiła z żarem Anne. – Jakkolwiek uczy się nas, że mamy znaleźć sobie takiego męża i oddać mu się w opiekę, mężczyźni warci tego rodzaju zaufania trafiają się rzadko, a my w wielu przypadkach musimy wybierać na oślep. Łatwo zakochać się w mężczyźnie albo go pożądać, że pozwolę sobie na otwartość, trudno wszakże znaleźć mężczyznę godnego owego całkowitego oddania.

– Jesteś bardzo mądra, Anne – powiedziała Isabella – a twojemu mężowi także się poszczęściło.

– Tobie natomiast się nie poszczęściło, Isabello, zupełnie nie z twojej winy – skonstatowała Anne, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Gdybym ja tyle przecierpiała, zapewne również prowadziłabym księgarnię... a przynajmniej taką mam nadzieję. Mam nadzieję, że znalazłabym w sobie odwagę, żeby zrobić to co ty.

Niemniej temat stał się dla Isabelli zbyt osobisty – oraz zbyt bolesny – toteż pozostawiła te słowa bez komentarza. Anne również zamilkła, jakby się obawiała, że powiedziała za dużo.

Po jakimś czasie Isabella wzięła głęboki oddech.

– Tak czy owak, raz jeszcze dziękuję, że z nami przyjechałaś – odezwała się. – Dla moich sióstr pobyt tutaj to prawdziwy dar. Podobnie jak dzieci, z którymi mogą się bawić. Greenwood jest przepiękne i czujemy się tu tak bezpiecznie.

– Bezpiecznie? – Anne się uśmiechnęła. – Interesujący dobór słów.

Isabella podniosła na nią wzrok.

– Kuzyn nie mówił ci, dlaczego nas tu przywiózł?

– Nie wdawał się w szczegóły, nie, ale jesteś piękna, czarująca i inteligentna, Isabella, więc chyba się domyślam. – Anne ponownie uścisnęła jej ramię, nim cofnęła rękę. – No cóż. Zrobiło się późno. Połóżmy dzieci spać i wypijemy Tony’emu trochę sherry?

Isabella spróbowała się uśmiechnąć

– Dziękuję, ale chyba także się położę – odparła.

Pomimo szczerych zamiarów trzy godziny później Isabella nadal wierciła się bezsenne w pościeli, usiłując przetrwać wszystko, co usłyszała od Anne.

Może istotnie nie wiedziała, jak przebiegało życie lorda Hepplewooda. Może nigdy się tego nie wie. Któż by niegdyś odgadł, do czego sprowadzi się jej życie albo jak wiele Isabella wycierpi po drodze?

Nie usprawiedliwiało to jego zimnej furii – jeśli to jej była świadkiem – lecz trochę ją tłumaczyło.

Być może hrabia ochłonie i przyjdzie do jej łóżka.

Spulchniła poduszkę i po raz dwudziesty przetoczyła się na drugi bok.

Czy chciała go w swoim łóżku?

Tak, uznała. Bez względu na konsekwencje nadal go pożądała – tęskniła za nim boleśnie w sposób, o którym wcześniej nie sądziła, że jest możliwy. Nie tylko za jego dotykiem, nie tylko za władzą, jaką nad nią sprawował, lecz za czysto fizycznym wyzwoleniem, jakie przynosiło połączenie ich ciał.

Czuła się tak rozpaczliwie znużona samotnością.

Jednakże nie nadchodził, kolejna godzina ciągnęła się leniwie, aż w końcu zegar stojący na podeście schodów wybił pierwszą. Jakiś kwadrans później usłyszała dźwięk – rodzaj zgrzytu, jakby otworzono frontowe drzwi, a po nim głucho dudnienie ciężkich kroków na schodach i obok jej sypialni.

W głębi korytarza skrzypnęły drzwi – te do niewielkiego pokoju naprzeciw głównej sypialni, przydzielonego ewidentnie nieistniejącemu osobistemu lokajowi hrabiego – następnie zaś w domu na powrót zapadła cisza. Isabella czekała, wstrzymując oddech.

A potem czekała jeszcze trochę. Wyobrażała sobie, jak on się rozbiera. Zzuwa buty. Może bierze kąpiel.

Nie przyjdzie. Upłynęło zbyt wiele czasu. Przez chwilę Isabella po prostu leżała w łóżku, skubiąc zębami paznokcie kciuka, aż nagle poczuła nieokreślony przymus.

Później nie potrafiła wytłumaczyć, co zrobiła ani dlaczego. Obawiała się, że miało to coś wspólnego ze słowami Anne na temat odwagi. Na temat bycia panią własnego losu. Albo może powodowała nią tylko owa wszechogarniająca tęsknota – łaknienie jego dotyku – która dręczyła ją ostatnio. O cokolwiek chodziło, Isabella wstała z łóżka i podążyła korytarzem.

Z uwagi na dyskrecję nie pukała, lecz zwyczajnie weszła do środka.

Po czasie, kiedy rozjaśniło jej się w głowie, uzmysłowiła sobie, że postąpiła głupio – równie dobrze Hepplewood mógł upić się na tyle, by zaciągnąć do domu Millie, dziewczkę z gospody. A jednak weszła do jego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i ujrzała go siedzącego w przytłumionym, migotliwym świetle lampy, rozebranego do pasa, lecz nadal w wysokich butach i bryczesach.

Wsparty łokciami o rozstawione szeroko kolana, przysiadł na skraju wąskiego łóżka, dosuniętego do ściany w głębi. Wydawał się pochłonięty drobiazgowymi oględzinami podłogi, lecz teraz podniósł na nią

wzrok, zamglony i przybity.

– Isabella – odezwał się bezbarwnym głosem. – Obawiam się, że... odrobinę się wstawiłem.

Powiedział to tak, jakby starał się coś racjonalnie uzasadnić – co wszakże, tego nie wiedziała.

Z pewnością nie były to przeprosiny. Isabella wahała się zresztą, czy nadal chce je usłyszeć. W trakcie rozmowy z Anne doznała swego rodzaju olśnienia.

Niektórzy mężczyźni nadają się do jednych rzeczy, inni do zupełnie odmiennych. Ci, którzy sprawdzają się w obu rolach, chyba rzeczywiście stanowią rzadkie zjawisko. Kto wie, czy Anne nie dostał się ostatni egzemplarz?

Jednakże Hepplewood na jednym polu był dobry – co do tego Isabella miała absolutną pewność.

Odepchnęła się od drzwi i podeszła, stając przed nim.

– Czy to wszystko, co istnieje między nami, Anthony? – szepnęła, zdejmując przez głowę koszulę nocną. – Czy chcesz ode mnie jedynie... seksu? Seksu, lecz nie intymności?

*

Spoglądając w górę z wąskiego lokajskiego łóżka, Hepplewood zastanawiał się, czy wreszcie osiągnął w pijaństwie etap, kiedy zaczynają się halucynacje. Isabella – piękna, doskonała Isabella – stała przed nim całkiem naga, jej duże, ciemne sutki były już pobudzone, oczy nieomal przejrzyste w świetle lampy.

Z trudem przełknął ślinę, z całego serca żałując, że nie jest trzeźwy; że dopuścił, by konfuzja i odraza do samego siebie wzięły w nim górę, podczas gdy należało pozostać w domu, gdzie było jego miejsce.

W domu.

Isabella była domem.

Jego miejsce znajdowało się przy Isabelli. Wiedział to, spoglądając na nią teraz, i rozumiał, że nie umknie przed tą oczywistością. Wiedział także, że zasługiwała na więcej. Że potraktował ją niesprawiedliwie i był jej winien... coś. Zapewne prawdę.

Tej nocy nie potrafił się na nią zdobyć.

– Czy to wszystko? – spytała znowu.

Z wysiłkiem zaczerpnął tchu i spojrzał na nią nieskończenie znużonym wzrokiem.

– Nie wiem, Isabello – odparł i otworzył przed nią dłonie. – Jeśli tak, czy tyle wystarczy?

– Dziś w nocy, owszem – szepnęła – Wystarczy.

Zbliżyła się na tyle, że mógł jej dotknąć.

– Dobry Boże – wydusił, zamykając dłonie na jej smukłej talii.

Przyciągnął ją do siebie i przywarł wargami do jej piersi z głębokim westchnieniem kapitulacji.

Ona jednak palcami przecesała mu włosy i odepchnęła go, po czym uklękła między jego nogami. Wolnymi, precyzyjnymi, niemal rozmyślnie ospałymi ruchami rozpinała mu guziki u spodni.

Wkrótce guziki zostały pokonane. On został pokonany – albo był tego bardzo bliski – wystarczyło bowiem, że musnęła ręką jego brzuch, a gwałtownie wciągnął powietrze.

Chwyciła w ciepłą dłoń jego błyskawicznie twardniejący członek, otuliła go palcami, aż przeszyła go surowa żądza, a krew wezbrała mu w żyłach. Uzmysłował sobie jej zamiary.

– Isabello, nie – wykrztusił. – Nie musisz tego robić.

Popatrzyła na niego bez mrugnienia.

– Nie pytałam o zgodę – powiedziała, naśladując słowa, które niegdyś do niej wypowiedział. – Postanowiłam, że dziś w nocy sobie dogodzę.

Wolną ręką zsunęła w dół płótno jego kalesonów, nachyliła się i stanowczo wzięła go do ust, pełnymi wargami nieubłaganie prześlizgując się po jego żołądździ.

Kiedy czarne pasma jej włosów rozsypały mu się na udzie, wydał z siebie prawie nieludzki jęk i wsunął palce we włosy na jej karku, lecz Isabella ani myślała na to pozwolić. Przyłożyła dłoń do jego płaskiego brzucha i silnie pchnęła go w tył.

Być może zawiniło piwo, niemniej uległ, wsparł się plecami o ścianę, wbijając łokcie w miękki materac, i poddał torturze jej ust.

Uniosła się wyżej na kolanach i przeciągnęła językiem wokół delikatnej żołądki, następnie zaś po całej jego długości, biorąc go głęboko do ust. Pieściła go, aż nogi zaczęły mu drżeć, a dłonie zacisnęły się na szorstkim wełnianym kocu. Wszystkie siły wkładał w to, żeby nie pchnąć w górę i nie wdrzeć się głęboko w jej gardło.

Isabella znów się cofnęła, ślizgając się wargami po jego długości, a chłodne powietrze omyło jego rozpalone ciało. Delikatnie przeciągnęła wokół różowym koniuszkiem języka, jakby nakłaniając go do obserwacji, po czym znów wzięła go głęboko do ust, przesunęła między twardymi zębami, aż błagał ją o więcej... O wyzwolenie... Sam nie był pewien o co.

O nią. O jej duszę, być może.

Kiedy w końcu znalazł się blisko krawędzi i z całej mocy usiłował się powściągnąć, Isabella uwolniła go, zdyszanego, z wilgotnego ciepła swych ust.

– Chryste... – wycharczał. – Och, kochana.

Potrzeba przepelniała jego ciało bólem, ciążyła mu w lędźwiach. Lecz tej nocy to Isabella sprawowała kontrolę, on zaś silił się na cierpliwość, czekając na jej kolejny ruch.

Został nagrodzony, kiedy wspięła się na łóżko, nad niego, lokując kolana po obu stronach jego bioder i opierając dłoń płasko o ścianę ponad jego barkiem.

– Isabello – wydyszał chrapliwie, zamknawszy dłonie wokół jej wąskiej talii.

Uzmysłowił sobie, że przybrała na wadze, jej biodra stawały się puszyste, przyjemnie krągłe pod jego dotykem. Zamknęła oczy, odchyliła w tył głowę, pełna tęsknoty.

– Chcę mieć cię w sobie – szepnęła. – Teraz.

Ujęła w dłoń jego członek, uniosła się na kolanach i nadziała na niego.

Gwałtownie wciągnęła powietrze pod wpływem nagłej inwazji, lecz przyjęła go w siebie całego w jednym rozkosznym, czystym ślizgu, on zaś musiał wziąć w karby przymus, by błagać ją o więcej. Obiecać jej wszystko. Wierność na resztę życia. Cały majątek. Dozgonną miłość.

Wszystko, pomyślał mgliście. Wszystko, jeśli tylko mi wybaczy. Jeśli będzie mnie po prostu kochać.

Robiła to, przynajmniej fizycznie. Wznosiła się nad nim i opadała, biorąc go głęboko w siebie.

Jęknął, zaciskając palce na kocu.

– Dobry Boże, kobieto. Próbowałem... próbowałem...

Właśnie wtedy Isabella znów się uniosła, przeciągając po nim z tak wyśmienitą słodyczą, że prawie eksplodował.

– Co próbowałeś? – szepnęła.

– Upić się – wybełkotał. – Tak się upić... żeby nie myśleć... och, Isabello...

– Nie myśleć o czym? – spytała, nachyliwszy się do przodu, tak że włosy spłynęły jej kaskadą przez ramię i rozlały się jak jedwabisty wodospad. – O tym?

– O wszystkim – wykrztusił z zaciśniętymi powiekami. – O tobie. O nas. O wszystkim.

Uniosła się ponownie, on zaś wypuścił powietrze przez zęby. Dobry Boże, nie był młokosem, żeby tak szybko skończyć. Palące pragnienie, żeby ją zadowolić, otrzeźwiło go i na powrót zamknął dłonie na jej biodrach, przytrzymując ją na tyle długo, by wreszcie pocałować.

Nie była wszakże w nastroju do pocałunków – pomimo alkoholowego upojenia zdołał to wyczuć. Zabolalo. Lecz myśl uleciała mu z głowy, gdyż Isabella właśnie zacisnęła się na nim i opadła wolno,

odchyliwszy głowę w wyrazie kobiecej rozkoszy, kiedy wymknął jej się cichy jęk.

Zsunęła ręce z jego szyi, ponownie wsparła się o ścianę i ujeżdżała go z rozmysłem i pożądaniem. Wyczuł, czego jej trzeba, zacieśnił uchwyt na jej talii, unieruchomił ją dla swoich pchnięć, a potem wdzierał się w nią, ustami lgnąc do miękkiej skóry między jej piersiami.

Ochoczo zmieniała pozycję, napierając na niego, pogłębiając intymność. Wciągnął w nozdrza powietrze, a wraz z nim jej zapach, ciepły i uwodzicielski. Tak boleśnie znajomy.

Z każdym pchnięciem coraz mocniej walczył o kontrolę. Przesunął wargi wyżej, wzdłuż wdzięcznego łuku jej szyi. Przez mgłę pożądania i piwa poczuł, że spada. Kochał się z nią i spadał, głęboko, ciężko, w coś tak doskonałego, tak naturalnego, że przypominało oddychanie.

Wydała rozkoszny dźwięk, rodzaj jęku, który uwiązał jej w gardle, a potem jej oddech przyspieszył. Wchodząc w nią znowu, wyszeptał jej coś do ucha, sam nie wiedział, co takiego. Słowa miłości. Słowa tęsknoty i zniewolenia. Słowa, których później może i będzie żałował, obecnie jednak nie umiał powstrzymać.

Jej ciało odpowiedziało, nawet jeśli wargi tego nie zrobiły; zsunęła dłonie po ścianie i zamknęła mu na ramionach, wbijając paznokcie w jego mięśnie, kiedy znów się uniosła. Pot perlił mu się na czole, ścięgnięta szyi się napięły i Hepplewood czuł, że zaraz dojdzie. Bezwzględnie narzucił sobie kontrolę i ustalił miarowy rytm. Odsunęła się nieco i popatrzyli sobie w oczy.

Te oczy. Ciemne, mądre oczy, które zdawały się wwiercać w jego duszę. Teraz płonęły z pożądania. Dla niego. Napierała nań raz za razem, tempo narastało, aż wreszcie rozpadła się na kawałki, wstrząsana dreszczami.

Przyciągnął ją do siebie, pchnął głęboko, i jeszcze głębiej, aż utracił resztki rozsądku, a spływającej na niego uldze towarzyszyła potężna pewność. Że wpadł. Tak, w sposób, o którym nie sądził wcześniej, że jest możliwy.

Wpadł w ciemne, fiołkowie niebieskie oczy Isabelli i nie wynurzy się z nich cały. Został do niej przykuty – stała się jego częścią – na dobre i na złe. Potrzebował jej tak dogłębnie i rozpaczliwie, że go to przeraziło. Kiedy ucichły ostatnie spazmy rozkoszy, otworzył usta, żeby jej o tym powiedzieć, lecz tym razem nie znalazł w sobie słów.

Może to i lepiej.

Isabella mocno wsparła dłonie na jego barkach, by się odepchnąć. Zmieszane zapachy ich ciał wzniosły się między nimi zmysłową chmurą. Wciągnął je w nozdrza i zmienił pozycję, żeby mogli położyć się razem na wąskim łóżku.

Jednakże Isabella podniosła się, choć nieco chwiejnie.

– Och, to było dobre. – Grzbietem dłoni odgarnęła drażniący ją kosmyk włosów. – Anthony, fizyczna rozkosz, którą potrafisz dać... Nigdy nie sądziłam, że takie doznania są możliwe.

– Isabella. – Przeciągnął dłonią po atramentowych włosach na jej skroni. – Chcę, byś wiedziała, że...

– Nie – przerwała mu, kręcąc głową. – Nie potrzebuję twoich słów. Potrzebowałam tylko tego, co mi dałeś. Dziękuję.

Wygramoliła się z łóżka, zgarnęła z podłogi koszulę nocną i w mgnieniu oka wciągnęła na siebie, wyćwiczonym ruchem bioder zachęcając biały batyst, żeby spłynął po jej doskonałych, jasnych pośladkach.

Później się odwróciła, uśmiechnęła z lekka trwożliwie i nachyliła, żeby miękko go pocałować. Kiedy się cofnęła, wyciągnął rękę, gdyż pragnął szarpnąć ją znów w swe objęcia, lecz chyba nie dostrzegła tego gestu.

Albo po prostu nie chciała go dostrzec.

– Dziękuję – powtórzyła. – Naprawdę umiesz zadowolić kobietę.

A potem wyszła, cicho zamknęła za sobą drzwi.

Wyciągając rękę w pustkę, siedział na łóżku w spodniach zsuniętych poniżej bioder i butach nadal na nogach. Wpatrywał się w drzwi i wdychał jej woń, nadal intensywnie obecną w powietrzu. Odnosił obrzydliwe wrażenie, że został... wykorzystany.

Tak, to było właściwe słowo. Nie szeptała mu o miłości i tęsknocie. Nie zatraciła się. Nie tak jak on. W rzeczy samej, do jego przyćmionego piwem umysłu powoli docierało, że Isabella weszła tutaj w ściśle określonym celu.

Celu, do realizacji którego potrzebowała Hepplewooda oraz jego sztywnego członka – i praktycznie niczego więcej.

Czy nie o tym fantazują mężczyźni? Piękna kobieta, która pragnie wyłącznie dobrej, ostrej jazdy. Przekreślił się na bok na ciasnym pościeliu, opadł na poduszkę i zastanowił, dlaczego się tym nie rozkoszuje.

Prawda przedstawiała się tak, że sytuacja denerwująco przypominała ów pierwszy raz, kiedy się kochali, a później chciała, żeby sobie poszedł. Oraz ten drugi raz w jej małym domu – tamten okropny poranek, kiedy obudził się z nią w ramionach, dziwnie przeświadczony, że jego życie znalazło się u progu nieuchronnej zmiany. A ona znów po prostu życzyła sobie się z nim pożegnać.

Czy w relacjach z Isabellą zawsze będzie odczuwał... taką przekłętą niepewność? Boleśnie łaknął więcej? Ale więcej czego, tego do końca nie wiedział.

Zawsze piekielnie się starał unikać intymności. Przez długi czas wpatrywał się w sufit, studiując niesamowite wzory malowane światłem lampy. Nie przejawiał tendencji do samooszukiwania się. Tak, narastała w nim obawa, że pragnął od Isabelli czegoś w rodzaju intymności.

Jednak intymność oznacza całkowite dawanie i dzielenie się – sobą, swymi najskrytszymi uczuciami. I porażkami.

Czyż od razu na początku nie uzmysłowił sobie, że jeśli dotknie Isabelli, grozi to powaleniem go na kolana? Już tamtego dnia w Loughford – tak, już wtedy to wiedział. Obraził ją, rozgniewał i odesłał – liczył, że bardzo, bardzo daleko – ponieważ jakimś sposobem po prostu wiedział.

Teraz potrafił myśleć tylko o tym, by przejść przez hol, przywiązać ją do przekłętego łóżka i posuwać tak długo, aż będzie przysięgała, że go kocha. Był już na nogach i zapinał spodnie, nim uzmysłowił sobie, co robi. Usiadł z powrotem, dłonie mu się trzęsły.

Chryste, chłopie, weź się w garść, nakazał sobie.

Jednakże typowe dlań opanowanie go opuściło i pozostał z koszmarnym poczuciem, że tym razem być może otrzyma dokładnie to, na co zasłużył. Coś niebezpiecznie gorącego napierało na tył jego oczu, w piersi czuł ciężar, niewątpliwie wstydu i żalu.

Wszystko to przygniatało Hepplewooda, kiedy odpływał w sen. Gdy zaś obudził się jeszcze przed świtem, odkrył, że nadal ma buty na nogach, a jego łóżko jest zimne.

Że obejmuje nie Isabellę, lecz jedynie poduszkę, której poszewka jest wilgotna – miał nadzieję, że od potu.

ROZDZIAŁ 15

Kilka kolejnych dni Hepplewood z determinacją starał się zapanować nad swoimi irracjonalnymi konceptami i skupić się na zapewnieniu gościom rozrywek. To drugie nie wymagało wielkiego wysiłku; był człowiekiem z natury gościnnym. Toteż kiedy Yardley go nie potrzebował – czyli, zważywszy na wielkość gospodarstwa, przez większość czasu – Hepplewood oddawał się zabawianiu dzieci oraz nadskakiwał Anne i Isabelli, jednak wyłącznie w lekkim, kokieteryjnym stylu.

Towarzystwo wyprawiało się na piesze wędrówki z Puszkim, biegnącym z nosem przy ziemi w poszukiwaniu jakiegoś świństwa, w którym mógłby się wytarzać – co często mu się udawało. Rodziło to konieczność ponownego brodzenia w strumieniu, związaną z ryzykiem, że Anne wpadnie we wściekłość, jeśli ktoś wróci zbyt mokry. Urządzili sobie także piknik na łonie natury i pojechali wspinać się na ruiny średniowiecznego zamku na wzgórzu Totternhoe Knolls.

W pogodne popołudnia Hepplewood zabierał chłopców na strzelanie do tarczy, które było jednym z jego wiejskich zwyczajów. Po krótkiej scysji z Anne pozwalał Harry’emu strzelać z rewolweru kieszonkowego, pod warunkiem że chłopiec miał uszy zapchane watą i trzymał broń z pomocą wuja. Kiedy zaś padało, udawał się do pokoju Lissie i czytał, podczas gdy dziewczynki bawiły się lalkami.

Natychmiast po przyjeździe Georgina zapalała do należącego do Lissie domku dla lalek miłością tak głęboką, że Hepplewood zdecydował się zamówić drugi. W rzeczy samej, właśnie to zlecenie wykorzystał – tchórzliwie, bez wątplenia – aby usprawiedliwić przed samym sobą fakt, że porzucił Isabellę przy strumieniu.

Tak się szczęśliwie złożyło, że Yardley kończył już w swoim warsztacie drugi domek dla lalek, przeznaczony na loterię fantową z okazji dożynek. Hepplewood wniósł datek znacznie przewyższający ewentualne wpływy z loterii i tym sposobem dobili targu.

Mnóstwo czasu upływało mu także na obserwowaniu Isabelli. Nie było to łatwe. Żądza budziła się w jego trzewiach, ilekroć ich ukradkowe spojrzenia się spotykały. Nadal był zdecydowany uczynić tę kobietę swoją. Odnalazł w sobie wszakże dziwną chęć, by przyjrzeć się jej mniej pożądanym okiem i spróbować ją poznać – poznać w taki sposób, w jaki przeciętni ludzie zwykle zaznajamiają się ze sobą.

Zaczęli w sposób daleki od przeciętności; przy ich pierwszym spotkaniu żar eksplodował. Teraz zaś Hepplewood narzucał sobie niemalże mniśnię egzystencję, ponieważ, jakkolwiek bardzo mu na Isabelli zależało – i ogromnie jej pożądał – stawał się coraz bardziej świadom, że jej nie zna. Nie tak, jak mężczyzna powinien znać kobietę, kiedy rozważa... co?

Przyjaźń z nią?

Już się z nią zaprzyjaźnił; pozwolił nawet, by zrobiła to jego córka – a taki gest nie przychodzi mężczyźnie łatwo.

Seks? Tego także już posmakował – przy czym w przeszłości fakt, że miał w łóżku jakąś kobietę, nijak nie wiązał się w jego oczach ze zgłębianiem jej osobowości. W rzeczy samej, im bardziej enigmatyczna kochanka, tym lepiej nadawała się do jego celów.

Może więc rozważał podjęcie kolejnej próby, by uczynić z niej swoją utrzymankę? Na tę myśl niemalże głośno się roześmiał. Och, spróbuje, bez wątplenia. Ale Isabella mu nie ulegnie. Nie na dłuższą metę.

Owszem, mogłaby – ewentualnie, gdyby rozegrał sprawę z najwyższą ostrożnością – przyzwolić na okazjonalne igraszki, pod warunkiem że udałoby się je dyskretnie zaaranżować. Oczywiście, że pragnęła

od niego choć tyle.

Kto wie, czy nie tylko tyle.

Zresztą podobne pytanie zadała mu kilka nocy wcześniej – tuż po tym, jak zdjęła koszulę nocną i stanęła przed nim naga.

Czy to wszystko, co istniało między nimi? Uporczywy głód siebie nawzajem – i nic ponadto?

– Marszczysz brwi – powiedziała, zniecierpliwiona sięgając przed niego. – Daj mi to. Zaraz dokumentnie go zetrzesz.

Stali obok siebie w wąskiej pomywalni. Przekazał jej nad zlewem porcelanowy talerz, a ona odłożyła go na półkę.

– Nie mogę uwierzyć, że znów wycierasz naczynia – odezwała się nieomal do siebie, na powrót zanurzając dłonie w gorącej wodzie.

Zaśmiał się nisko.

– Czyżbyś uważała, że pozbawia mnie to męskości, skarbie? – zamruczał. – Z przyjemnością wyprowadzę cię z błędu.

Skarciła go wzrokiem, po czym wręczyła mu miskę.

– Zastanawiam się, czy cokolwiek zdołaloby pozbawić cię męskości – mruknęła. – Nie licząc ostrego kuchennego noża i sporej dozy determinacji.

Roześmiał się znowu i nachylił ku niej.

– Nie rób tego, kochana, bo wkrótce oboje byśmy pożałowali – powiedział. – Aktualnie możesz mieć ze mnie o wiele więcej pożytku.

– Czy nie zarzekałeś się kiedyś – wymamrotała, szorując coś mocno pod wodą – że nigdy, przenigdy nie będziesz ze mną flirtował?

– Uznałaś to za flirt? – Wzruszył ramionami. – Sądziłem, że negocjujemy. Tak czy owak, naczyniami ktoś musi się zająć, a skoro to ja jestem tym głupcem, który zaprosił tuzin gości do domu, gdzie praktycznie nie ma służby, od czasu do czasu zadanie powinno przypaść mnie. Zresztą, Anne pomagała.

Jednakże Anne wyslizgnęła się z pomywalni dobry kwadrans temu, na odchodnym rzucając im przez ramię osobliwe spojrzenie.

– Czy ten tuzin obejmuje nianię Seawell i pokojówkę Anne? – spytała lekkim tonem Isabella.

Zaśmiał się.

– Może liczę to przekłete psisko Bertiego za dwie osoby – odparł – ponieważ sprawia co najmniej tyle kłopotów.

Isabella przerwała szorowanie.

– Prawdę mówiąc – odezwała się melancholijnie – przyjemnie jest spożywać proste potrawy, samemu gotować sobie kawę i zmyć czasem parę naczyń. Rozumiem, czemu to lubisz. Chodzi mi o prostotę takiego życia w odosobnieniu.

W rzeczywistości jednak nie kupił Greenwood, żeby bawić się w rolnika i wieść żywot w sielankowej izolacji. Kupił je z myślą o rozpuszczeniu i orgiach – których odbyło się tu mnóstwo – a fakt, że teraz przywiózł na farmę swoją rodzinę zamiast zwykłej grupy sybarytów, nadal odbierał jako niezwykle dziwny. O czymś to świadczyło, choć Hepplewood nie zastanawiał się jeszcze, o czym konkretnie.

Wyczuwał natomiast, że wbrew własnym słowom Isabella staje się coraz bardziej niespokojna. Zerknął na nią, kiedy podawała mu kolejny talerz. Była skupiona na pracy, jej ruchy świadczyły o wprawie i skuteczności. Podobało mu się to. Podobało mu się, że emanowała kompetencją i pracowała chętnie, bez słowa skargi. Aż do tej pory nie były to cechy, które cenił u kobiety.

Spędzili tutaj już prawie tydzień, ona zaś napisała dwa listy z instrukcjami dla pani Barbour oraz trzy do londyńskich hurtowników. Pilnie uzupełniała księgi rachunkowe i przeczytała całą stertę próbek od

wydawców. Jednakże prowadzenie interesów wymagało stałego nadzoru, podobnie jak zarządzanie posiadłością ziemską.

Uzmysłowił sobie, że jeśli wkrótce nie otrzyma wieści od Jervisa, będzie zmuszony zabrać ją z powrotem do Londynu. Isabella tego zażąda, jemu zaś bardzo trudno przyjdzie znaleźć argument, by odmówić. Nie miał mocnego powodu, żeby zatrzymać ją tutaj; jedynie podejrzenia i poważny niepokój, który jeżył włosy, ilekroć Hepplewood wracał myślami do sprawy.

Nie potrafił wszakże zdobyć się na to, by podzielić się z nią spekulacjami; nie w sytuacji, gdy fałszywa nadzieja mogła zranić Isabellę bardziej niż brutalna prawda jej aktualnej egzystencji.

W niewielkim pomieszczeniu zawisła ciężka cisza. O szyby umieszczonych wysoko okien bębnił wiosenny deszcz, który padał przez większą część dnia. W małej pomywalni światło lampy stwarzało intymny nastrój i Hepplewood raptem odniósł wrażenie, że reszta świata znajduje się bardzo daleko. Isabella podała mu kieliszek, ich ręce otarły się o siebie przypadkiem i raptem każdy nerw w jego ciele przebudził się do życia.

Ciało przeszła mu żądza, przemknęła przez serce do brzucha, a potem niżej. Mięśnie mu stężały, w łędźwiach wzbierał żar. Włożył szklankę do zimnej wody, by ją opłukać, i rozważał, czy nie posłać jej śladem własnej głowy.

– Isabella – rzekł chrapliwie, zacisnąwszy dłonie na krawędzi zlewu.

– O co chodzi? – Na pół odwróciła się ku niemu.

Szukał słów, żeby wyjawic jej, co czuje. Żądza, nadzieje oraz strach o nią i dzieci skłębiły się nagle razem w sposób, którego nie potrafił wytłumaczyć. Wolno zmusił się do rozwarcia rąk i znów zaczął oddychać.

– Anthony? – Przekrzywiła głowę, żeby nań spojrzeć.

– Zapomniałem, co chciałem powiedzieć – wyjaśnił nieporadnie.

– Och – odparła.

I ponownie nastała cisza.

– Czy pani Yardley zawsze ma wolne w niedzielę wieczorem? – przerwała ją wreszcie Isabella.

Wzruszył ramionami, szarpnięciem zdjął ścierkę z ramienia i wziął od Isabelli kieliszek, bacząc, by jej nie dotknąć.

– Pani Yardley nie ma ustalonego harmonogramu – odparł, płuczac kieliszek. – Rzadko tu bywam, nigdy też nie wymagałem od niej codziennego zajmowania się domem.

– Mimo to w godny podziwu sposób wykonuje lwią część pracy – zauważyła Isabella, zanurzając łyżkę w wodzie i biorąc się do szorowania. – Ale czy nie chwaliłeś się kiedyś, że potrafisz też gotować?

Wyszczerył do niej zęby w uśmiechu.

– Jajka – odparł. – Ewentualnie usmażę befsztyk. Ciesz się, skarbie, że do tego nie doszło.

Znów spojrzała nań z ukosa. Uzmysłowił sobie, że w ostatnich dniach popatrywała na niego w ten sposób coraz częściej. Jego nowa strategia może i wprawiała ją w zakłopotanie, niemniej Isabella nadal go pożądała. Powinno mu to schlebiać – i tak też było. Jednakże pod zadowoleniem kryła się bolesna niepewność.

Nie podobało mu się to uczucie. Nie tolerował niepewności. Co gorsza, nie potrafił temu zaradzić.

Niech to diabli! Z wielką chęcią ukarałby Isabellę za niedolę, na jaką go narażała. Może uda się to zorganizować, jeśli ładnie ją poprosi?

– Masz dziś niebezpieczny błysk w oku – stwierdziła Isabella, sięgając w głąb zlewu, żeby wyjąć korek.

Wycierał ręce i obserwował, jak gorąca, parująca woda wiruje i z gulgotem spływa wyściełaną miedzią rynienką. Isabella opierała opuszki palców o krawędź zlewu, knykcie miała zaczerwienione.

– Daj mi rękę – rozkazał.

Nie czekał na zgodę, tylko chwycił jej dłoń i trzymając emocje na wodzy, zaczął ją osuszać. Delikatnie przeciągał płótnem po każdym palcu.

– Masz popękana skórę na knykciach – skarcił ją łagodnie. – Co ja sobie myślałem? Mogłem sprowadzić dziewczki ze wsi.

– Anthony, nikomu nie dzieje się krzywda, jeśli zmyje parę kieliszków i talerzy po obiedzie – stwierdziła, wycofując rękę i przejmując od niego ścierkę. – A skórę miałam popękana na długo przed przyjazdem tutaj. Zapominasz, że zmywam naczynia codziennie... niekiedy dwa lub trzy razy na dzień... a do tego szoruję podłogi, gdy zachodzi taka konieczność. Tak wygląda teraz moje życie. I odpowiada mi to.

Oderwał wzrok od jej dłoni o długich palcach, poza tymi pęknięciami bardzo eleganckiej.

– Istotnie o tym zapominam – przyznał. – Tyle że mnie aż tak to nie odpowiada. Jesteś damą, Isabello. Tego rodzaju życie nie jest dla ciebie.

– A dla kogo w takim razie? – zapytała, przyglądając mu się z przekrzywioną na bok głową. – I dlaczego nie dla mnie? Kto o tym decyduje?

Wziął ścierkę, przerzucił przez krawędź zlewu i ujął dłonie Isabelli w swoje.

– Chyba nie będziemy dyskutować teraz o równouprawnieniu? – spytał, siląc się na lekki ton. – Wyznam, że temat nudzi mnie bezgranicznie. Opowiedz mi lepiej o sobie.

– O mnie?

– Na przykład o twojej rodzinie. Niewiele o niej rozmawialiśmy. – Wyciągnął ją z pomywalni do jaśniejszej kuchni i przysunął krzesło do topornego stołu. – Usiądź. Zrobię ci herbatę.

– Ale pozostali...

– Szykują się do snu – wszedł jej w słowo, z przenikliwym zgrzytem przesuwając imbryk na płytę grzejną. – Spodziewam się, że bliźniaczki już śpią.

– No cóż, jeśli chodzi o moją rodzinę, większość już wiesz. – Isabella na pół odwróciła się na krzesło, podążając za nim wzrokiem, kiedy krążył po kuchni, żeby przynieść dzbanek i skrzynkę z herbatą. – Wiesz o Everecie. I o mojej ciotce. Nikogo więcej nie ma.

– Chodziło mi o drugą stronę twojej rodziny – powiedział, zdejmując skrzynkę z półki.

– Stronę matki? – Odgarnęła z czoła wilgotny kosmyk włosów. – Właściwie sama niewiele wiem. Wywodzili się ze środkowej Anglii; mama mówiła zawsze o okolicach Shropshire.

– Masz tam jakichś krewnych?

– Nie wydaje mi się. Przodkowie mamy opuścili kraj całe pokolenia temu.

– Jak brzmiało rodowe nazwisko? – zagadnął lekkim tonem.

– Flynt, pisane przez „y”, nie przez „i” jak we flincie, ale mogło zostać w którymś momencie zmienione.

– Opuścili Anglię z jakiegoś konkretnego powodu?

– Tak, najprawdopodobniej byli kryminalistami – odparła, parszcząc śmiechem. – Na przykład złodziejami była. Niewykluczone, że zostali zesłani. Czy zsyłano złodziei do Kanady?

Posłał jej przytłumiony uśmiech i odstawił skrzynkę z herbatą na miejsce.

– Pomniejsi kryminaliści może i byli objęci kontraktem – stwierdził – spodziewam się jednak, że twoja rodzina wywodziła się z drobnej szlachty.

– Kto ci to powiedział? – spytała ostrzejszym tonem.

Ponieważ nie chciał jeszcze odkrywać kart, wzruszył tylko ramionami.

– Mówiłaś, że handlowali drewnem i mieszkali w dziczy – wyjaśnił. – Kolonialne ostępy wyrębuje się dla zysku, kiedy jest się ich właścicielem.

Wyglądało na to, że Isabella zaakceptowała wytłumaczenie.

– Zdaje się, że pierwszym osadnikiem istotnie był oficer – powiedziała – któremu spodobała się okolica i postanowił tam zostać.

– Aha. Czyli jednak wiesz co nieco o rodzinnej historii – skomentował.

– Jak mówiłam, bardzo mało – odrzekła. – Ale dlaczego cię to interesuje?

Odsunął krzesło i usiadł, żeby poczekać, aż woda się zagotuje.

– Taki kaprys – powiedział.

– Według mnie twoje kaprysy są zbyt często zaspokajane – odparła, popatrując nań groźnie.

Uśmiechnął się.

– Tak, na ile pamiętam – wymamrotał – kilka nocy temu zostałem zaspokojony bardzo dogłębnie...

I mam nadzieję, skarbie, że dostałaś to, po co przysłałaś?

Zarumieniła się pięknie.

– Musisz mi o tym przypominać?

– A czemu nie? – spytał, zastanawiając się, czy powinien odłożyć klasztorne dni do lamusa, a ostrożność posłać w diabły. – Rozmyślałem o tym każdej nocy, kiedy rzucam się w przyciasnym łóżku, dręczony wizją twoich pełnych, nagich piersi, z członkiem tak twardym, że można by nim wbijać gwoździe. Dlaczego miałbym cierpieć sam?

– Dobry Boże – wymamrotała, a rumieniec rozlał się na jej szyję... lecz nie zrodził się on wyłącznie z zawstydzenia.

Nagle zapragnął po nią sięgnąć – przeciągnąć ją nad stołem prosto w swoje objęcia. Zmusił się, żeby przestać i wrócić do poważniejszego tonu.

– Ach, dość tych wynurzeń – rzekł spokojnie. – Pora nie jest na nie odpowiednia. Poza tym naprawdę chcę usłyszeć więcej o twojej rodzinie. Nigdy do was nie pisali? Całkowicie porzucili twoją matkę?

Wzruszyła szczupłymi ramionami.

– Nie. Pamiętam, że od czasu do czasu widywałam listy nadane z Montrealu lub Bytown – odparła – a wcześniej, na któreś moje urodziny, dziadek Flynt przesłał trzy tysiące funtów z przeznaczeniem na mój posag.

– Trzy tysiące funtów? – Uzmysłował sobie, że jak na arystokratyczne standardy było to niewiele, ale jednak coś. – To z tych pieniędzy żyliście z Richardem?

Nieco się zatchnęła.

– To dość osobiste pytanie – stwierdziła. – Ale nie, żyliśmy ze szczodrości mojego ojca... jakkolwiek możliwości miał skromne. Trzy tysiące dziadka Flynta ledwie wystarczyły na spłatę starych długów Richarda.

– Aha – rzekł cicho Hepplewood.

Jej twarz stężała.

– To nie tak – oznajmiła. – Przy wszystkich swoich wadach Richard... nie kalkulował na zimno. Nigdy nawet nie spytał, co wniosę do małżeństwa. Ja zaś byłam zbyt głupia, żeby dowieść, z czego będziemy żyli.

– Czy tego pytania nie powinien był zadać raczej twój ojciec? – zagadnął Hepplewood, przypuszczalnie z jawną frustracją w głosie. – A co do zimnej kalkulacji, moim zdaniem jest to niedoceniana umiejętność.

– Cóż za makiawelizm – skwitowała.

Jednak taka była prawda, uznał w duchu Hepplewood. Fakt, że ojciec Isabelli nie naciskał na Richarda Aldridge'a, żeby poznać konkrety, zanim dał młodemu swoje błogosławieństwo, stanowił jedynie kolejny dowód jego nieudolności, nieważne, jak dobrym był człowiekiem.

Co więcej, według Hepplewooda mąż zdecydowanie powinien kalkulować. Powinien postępować bezwzględnie, kiedy wymagają tego okoliczności. Od tego może zależeć przetrwanie jego rodziny.

I wszystkie te niedociągnięcia w dużym stopniu tłumaczyły potrzebę Isabelli, żeby mieć kogoś... jak ona to ujęła?... kto stałby u steru.

Ani ojciec, ani krótkotrwałe małżeństwo nie przyniosły Isabelli poczucia bezpieczeństwa, którego ewidentnie potrzebowała. Dostała od życia ciężką lekcję, że na mężczyznach nie zawsze można polegać.

Otrząsnął się z gniewu i powiedział sobie, że przeszłość nie jest jego zmartwieniem.

– Czy twoja matka miała rodzeństwo? – zapytał, siląc się na obojętny ton.

– Brata imieniem George – odparła sztywno – ale był od niej sporo starszy.

– Mhm – mruknął Hepplewood i odchylił się na oparcie krzesła.

Jak dotąd nic z tego, co powiedziała Isabella, nie stało w sprzeczności z informacjami, które Jervis wydobyl z liverpoolskich źródeł Hepplewooda.

Wiele wykorzystywanego w Anglii drewna przyływało rzeką Mersey, a rozładowywano je w liverpoolskim basenie portowym Brunswick. Z tego względu kanadyjscy baroni drzewni niekiedy mieli w tej części miasta swoich agentów, prawników czy nawet biura. Rodzina Flyntów nie utrzymywała biura, lecz Jervis znalazł w porcie i okolicach niewielu ludzi, którzy nie kojarzyliby momentalnie tego nazwiska.

– Portret twojej matki, Isabello, ten w saloniku – odezwał się w zadumie. – Przysłano go do Thornhill zaraz po śmierci twojego dziadka?

– Mniej więcej w tym czasie, jak mi się zdaje. Ale już tam wtedy nie mieszkałam. Dlaczego? I czemu zadajesz mi te pytania?

Wsparty łokciem o stół, niedbale machnął ręką.

– Zwykła ciekawość.

– Dlaczego jest tak – zaatakowała – że tobie wolno przejawiać „zwykłą ciekawość” i zasypywać mnie tysiącem dociekliwych pytań na temat mojej przeszłości, ja natomiast nie mogę się zainteresować najdrobniejszym zdarzeniem z twojej?

– Słucham?

Isabella odsunęła krzesło i westchnęła.

– Mniejsza o to – powiedziała, wstając. – Anthony, raczej zrezygnuję z herbaty. Czuję się dziś bardzo zmęczona. I chyba oboje wiemy, że wkrótce muszę wrócić do Londynu.

Podерwał się z krzesła, kiedy tylko się podniosła.

– Przepraszam – powtórzył ostrzejszym tonem. – Nie chciałem „zasypywać cię tysiącem dociekliwych pytań”, Isabello. Z całą pewnością nie zamierzałem cię urazić.

– Ani ja ciebie tamtego dnia przy strumieniu – odrzekła sztywno. – Zadałam ci pytanie, które według mnie każda kobieta ma prawo postawić swojemu... swojemu kochankowi, choć bynajmniej nie miałeś obowiązku na nie odpowiadać.

– Toteż nie odpowiedziałem, zgadza się? – odparował.

– Nie. Nie odpowiedziałeś. – Znowu westchnęła. – Właśnie do tego zmierzam, Anthony.

– Sedno jakoś nadal mi umyka – odparł z napięciem. – Co ma tutaj do rzeczy nasza rozmowa przy strumieniu? I przy okazji, Isabello, czy my jesteśmy kochankami?

– Nie wiem, kim jesteśmy. – Lekko wzruszyła ramionami. – Wiem tylko, że ciężko mi zaangażować serce w tę relację, jakkolwiek ją zwać, kiedy nie mam nawet prawa... – Głos jej się załamał i jedynie pokręciła głową.

Obszedł stół i chwycił ją za nadgarstek.

– Do czego? – spytał ostro. – Czego ode mnie oczekujesz, Isabello?

– Niczego – odparła, kręcąc głową. – No dobrze, przyjemności. Temu nie zaprzeczę, bo wiedziałbyś, że kłamię. Tak, pragnę cię. Ale jedynie wprawia mnie to w konfuzję.

– Zatem jest nas dwoje – stwierdził mrocznie.

– Czemu więc nie zostawisz mnie w spokoju? – Jej oczy pociemniały z gniewu. – Po prostu przestań... uganiać się za mną, czy cokolwiek robisz. Przestań zadawać mi pytania, obserwować mój dom i dobierać się do mnie jak jakiś barbarzyńca. Poradzę sobie z Everettem, to zwykły krzykacz. Obawiam się natomiast, że nie poradzę sobie z tobą, Anthony.

– Do diabła, Isabello – rzekł ochryple. – Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Szarpnął ją ku sobie i pocałował; nie przestawał, dopóki nie drżała. Pochłaniał ją ustami i dłońmi, wdzierał się głęboko, pieścił.

Całował ją, aż kolana zaczęły jej się trząść, a ręce wślizgnęły się pod jego surdut. Kiedy wbiła paznokcie w twarde mięśnie jego pleców, zamknął dłoń na jej pośladkach i ordynarnie docisnął Isabellę do swojej erekcji.

– Proszę bardzo – rzucił chrapliwie. – Czy to ci obiecuje dostatecznie wiele przyjemności? Naprawdę wyłącznie tego ode mnie chcesz?

– Nie, to ty wyłącznie tego chcesz – odparowała, przy czym oddech nadal miała przyspieszony. – Nie jestem dobra w miłosnych grach, które ty wyraźnie preferujesz, Anthony.

– O nie, Isabello, w nic z tobą nie pogrywam – warknął. – Nigdy tego nie robiłem. Od początku postępowałem wobec ciebie otwarcie i uczciwie. I dokładnie ci powiedziałem, jak to będzie wyglądało.

Przełknęła z trudem ślinę, po czym skinęła głową.

– Nigdy mnie nie okłamałeś, to prawda.

– Dlaczego podejrzewam, że dzielisz włos na czworo, skarbie? – spytał, nie chcąc jej puścić. – Jeśli nie chcesz odpowiadać na moje pytania... jeśli masz ochotę na seks bez uczuciowej więzi... wówczas, Isabello, bez wątpienia dobrze trafiłaś. Zapytaj kogokolwiek, kto mnie zna.

– Nie muszę pytać. – Odepchnęła go stanowczo. – Dowiedziałam się z pierwszej ręki.

Z wysiłkiem odstąpił, zszokowany odkryciem, że trzęsie się z furii... albo czegoś innego – byleby tylko nie strachu. A jednak pod tym wszystkim czaiło się mrozące krew w żyłach przerażenie, że mógłby ją stracić.

Woda się zagotowała, imbryk wyrzucał kłęby pary. Hepplewood podszedł do płyty i gwałtownie zdjął go z ognia, przy czym omal nie przypalił sobie kciuka. Oparł się o piec na szeroko rozstawionych rękach, zwieszając głowę.

– Jesteś moja, Isabello – warknął, nie patrząc na nią. – Jesteś moja i zawsze będziesz. Słyszysz?

– Nie, należę wyłącznie do siebie – odparła twardym, opanowanym głosem. – Niech to diabli, nie jestem pańską własnością, milordzie.

Odwrócił się, a furia wrzała w nim, kiedy zbliżał się do niej sztywnym krokiem.

– Nie, może nie jesteś moją własnością, Isabello, lecz przez pewien czas opłacałem dzierżawę, zgadza się?

– Ty draniu! – Dała mu w twarz, na tyle mocno, że głowa odskoczyła mu w tył.

Przystąpił do niej sztywno i przyparł ją do ściany.

– Zapłacisz za to, Isabello – powiedział, biorąc ją pod brodę. – I dobrze wiesz, o czym mówię, prawda?

Z trudem przełknęła ślinę i pokiwała głową, a jej atramentowe rzęsy opadły nieomal skromnie.

– Chryste, to tego chcesz? – warknął. – O to ci naprawdę chodzi? Czy też ranisz mnie z czystej złościwości?

Z drzeniem wzięła głęboki oddech.

– Nie... nie jestem złośliwa – powiedziała, a w jej oczach zalśniły łzy. – Za to ty jesteś okrutny. I nie wiem, czego chcę. Ciebie, chcę ciebie. Wolałabym, żeby było inaczej. Wprawiasz mnie w konfuzję i po prostu...

Pocałował ją znowu, mocno i szybko, aż musiała oprzeć głowę o ścianę. Kolanem rozsunął jej nogi i wepchnął się między nie. Pożądanie wzbierało, ciężkie, rozpalone do czerwoności, kiedy przyspilił jej nadgarstek do boku.

Doprowadzała go do szaleństwa. Dobry Boże, obawiał się, że ta kobieta go złamie.

W tejże chwili u szczytu schodów rozległ się jakiś hałas. Niania. Jej głos niósł się, jakby mówiła do kogoś, zarazem schodząc na dół.

Roztrzęsiony Hepplewood puścił Isabelle i odstąpił.

– Idź na górę, Isabello – rozkazał.

– Na górę?

– Do swojego łóżka – warknął. – Rozpuść włosy, rozbierz się i umości tę swoją pulchną, piękną pupę w pościeli... i nie waż się zamykać drzwi na klucz. Zanim opuszczę dziś twoje łóżko, będziesz wybornie i niezawodnie pewna, czego dokładnie ode mnie chcesz.

ROZDZIAŁ 16

Czekając, aż w domu zapadnie cisza, Hepplewood poświęcił kolejną godzinę modłom, by nie okazało się, że przeszarżował z Isabellą.

Na górze ucałował Lissie na dobranoc i przeczytał na głos uroczą historyjkę z ulubionej książki młodszych dziewczynek, wdzięczny Jemimie i Caroline, że nie przewracały oczami na taką zniewagę. Później zszedł do saloniku, gdzie Anne siedziała nad cerowaniem, nalał sobie brandy na trzy palce i pił, spoglądając na okrażającą dom aleję dojazdową i zastanawiając się, czy przypadkiem nie powinien w tej chwili nią jechać – jak najdalej stąd, jak najdalej od tego, co, jak się obawiał, zrobi tej nocy Isabelli.

– Pensik za twoje myśli, staruszkule – odezwała się za jego plecami Anne.

Przełknął resztę brandy.

– Straciłabyś pieniądze – stwierdził.

Westchnęła, a po jakiś czasie szelest materiału ustał.

– Dziewczynki śpią?

– Najpewniej tak – odparł. – Sporo dziś dokazywały, pomimo deszczu. Przy okazji, jeszcze raz dziękuję, że zabrałaś Caroline. Miałaś rację: zaprzyjaźniły się z Jemimą.

– To miła przygoda dla nas wszystkich – stwierdziła Anne. – Uroczne dziewczynki, prawda? Mówię o Jemimie i Georginie. No i pani Aldridge... Jej życie na pewno nie jest proste? Może pobyt tutaj dał jej nieco wytchnienia. Tak więc... dziękuję ci za to, Tony.

Parsknął i nalał sobie kolejną miarkę brandy.

– Tak, prawdziwy altruista, oto, jak postrzegasz dobrego starego Tony'ego – wymamrotał.

– Cóż, jesteś większym altruistą niż przeważająca część mężczyzn – oświadczyła spokojnie Anne – i na pewno o wiele większym, niż to sobie przypisujesz. No i patrz, aż się zadyszałam. Powinnam oszczędzać oddech na schody.

– Dobry plan. – Przyglądał się jej odbiciu w oknie, kiedy składała robótkę. – Czyli idziesz na górę?

Podeszła i stanęła obok niego.

– Tak, pora spać – powiedziała z ziewnięciem, pełnym uczucia gestem pocierając jego ramię. – Chyba że chcesz porozmawiać? O czymkolwiek.

Zaśmiał się krótko.

– Przeraziłbym cię – orzekł. Potem, patrząc nieobecny wzrokiem, nachylił się, żeby pocałować ją w czoło. – Dobranoc, skarbie. Śpij dobrze.

– Dobranoc, Tony.

Wyszła z pokoju i przecięła hol szybkimi, zgrabnymi kroczkami. Jednakże u podnóża schodów zatrzymała się i obejrzała na niego.

– Moim zdaniem powinieneś poprosić panią Aldridge o rękę – oznajmiła ni stąd, ni zowąd. – Ona nie będzie tak tego ciągnąć, Tony. Naprawdę nie sądzę, żeby leżało to w jej naturze.

Odwrócił się ku niej, pytająco unosząc brew.

– Ciągnąć czego konkretnie, Anne?

Jego kuzynka raczyła się zarumienić.

– No cóż, życia... jako kobieta niezamężna.

Gniew znów w nim wezbrał i Hepplewood otworzył usta, żeby zrugać Anne, jak na to zasługiwała, ale zaraz je zamknął. Nie było sensu zaprzeczać oczywistości.

– Ta dama nie jest moją kochanką, Anne – rzekł ponuro – jeśli to właśnie sugerujesz. A jeżeli mam być szczerzy, nie uśmiecha mi się oglądać, jak kolejna moja żona umiera w połogu. Felicity prawie złamała mi serce, choć nawet jej nie kocha...

Urwał i mocno ścisnął grzbiet nosa.

Anne wróciła do saloniku, wyraz jej twarzy złagodniał.

– Tony, tylko w jeden sposób da się zagwarantować, że kobieta nie umrze w połogu – powiedziała – i nie ma on nic wspólnego z aktem małżeństwa... albo tym, jak bardzo się tę kobietę kocha.

Opuścił rękę, nienawidząc łatwości, z jaką Anne go przejrzała. Zawsze była w tym dobra, niech ją diabli! Bez wątpienia to z tego powodu tak radośnie zrezygnowała z małżeństwa z nim.

Odkasznął szorstko.

– Logicznie patrząc, wiem, że masz rację – odparł. – Musisz mi jednak wybaczyć, jeśli nie jestem w stanie... Och, na litość boską, Anne! Idź spać. Nie chcę o tym rozmawiać.

– Świetnie. Nie rozmawiajmy o tym. – Anne mocno ścisnęła jego dłoń. – Ale poród jest ryzykiem, które każda kobieta podejmuje, żeby zyskać to jedno, czego łaknie równie rozpaczliwie jak dobrego kochanka... przy czym mam tu na myśli, najchętniej, dobrego męża. I w kwestii tego, czy podjąć owo ryzyko, najlepiej, jeśli pozostawisz decyzję tej konkretnej damie.

Odwrócił się z powrotem do okna.

– Nie ma żadnej konkretnej damy, Anne – oznajmił. – Idź do łóżka. Ty... i dziecko, które nosisz... potrzebujecie wypoczynku.

– Owszem, potrzebujemy – zgodziła się. – Toteż złożę zmęczenie i obolałe stopy na karb głupstwa, które zamierzam zaraz powiedzieć, Tony.

– Co znowu? – warknął.

Anne westchnęła.

– Kiedy pani Aldridge da ci odprawę, a zrobi to, wezmę ją pod swoje skrzydła i przedstawię każdemu znanemu mi kawalerowi do wzięcia. A znam wszystkich członków Izby Gmin, staruszku, przy czym większość z nich bawi u mnie na salonach przynajmniej raz w miesiącu.

– Och, daj spokój, Anne! – powiedział. – Dziewczyna jest pięknnością. Gdyby pragnęła wyjść za mąż, już by to zrobiła.

– Sądzi, że nikt jej nie zechce – odparła Anne. – Do tej pory Fenster stale rzucał cień... nie, stale zagrażał jej szczęściu. Niemniej Fenster wkrótce umrze, choć jego opinia i tak nie będzie mieć znaczenia, jeśli Philip i ja przyjmujemy panią Aldridge pod nasze skrzydła jako wdowę po jego kuzynie. Powinniśmy byli to zrobić lata temu, po prostu nigdy nawet o tym nie pomyślałam. Ale kiedy już o czymś pomyślę, Tony... kiedy poświęcę danej kwestii całą uwagę...

– Nie, ty nie ponosisz porażek, prawda, Anne Wszehmocna? – spytał kąśliwie. – Wiem wszystko o twoich politycznych manewrach. Proszę bardzo. Rzuć parę nazwisk.

– Brat Philipa, Edward – zasugerowała. – Niedawno owdowiał i jest...

– ...śmiertelnym nudziarzem – wszedł jej w słowo Hepplewood. – Musisz się bardziej postarać, staruszko.

Bez wahania wymieniła sześć kolejnych nazwisk, samych zamożnych, wielce szanowanych dżentelmenów – lecz żaden z nich, ocenił w duchu Hepplewood, nie zdołałby dać Isabelli tego, czego łaknęła. Byli to przeważnie pomniejsi politycy, którzy jedynie płaszczyliby się przed jej urodą i postawili tę kobietę na piedestale. Albo jeszcze gorzej, pobleżali jej na każdym kroku.

Isabella nie potrzebowała pobleżania. Potrzebowała silnego mężczyzny o silnej ręce. Potrzebowała, przynajmniej raz na jakiś czas, przekazać kontrolę komuś godnemu zaufania. Jeśli nie mylił się w ocenie, czuła się piekielnie zmęczona byciem jedyną kompetentną osobą w okolicy.

Oznajmiła lady Petershaw, że nigdy nie wyjdzie ponownie za mąż. Na poły wierzył, że to prawda. Niewykluczone, że krótki związek z Richardem Aldridge'em wstrząsnął nią tak ciężko, iż nie życzyła sobie nigdy więcej łączyć swego losu z mężczyzną.

Jednak z całą pewnością potrzebowała mężczyzny w łóżku.

Wychylił resztę brandy i z głuchym stuknięciem odstawił szklaneczkę na kredens.

– Idź spać, Anne – powtórzył. – Głupio postąpiłem, rzucając ci rękawicę. Droga wolna, wydaj panią Aldridge za mąż, jeśli zdołasz. Życzę jej wyłącznie szczęścia.

– Och, nie teraz – odparła beztrąsko Anne. – Za bardzo cię kocham, żeby łamać ci serce. Poczekam, aż nie będzie chciała mieć z tobą nic wspólnego. Wówczas uniknę takiego poczucia winy.

Powrócił na stanowisko przy oknie, lecz zrobiło się zbyt ciemno, żeby cokolwiek widział. Po dłuższej chwili Anne ustąpiła wobec jego milczenia i podążyła schodami na piętro. Niemniej poruszyła paskudną kwestię, która skądinąd od pewnego czasu nie dawała mu spokoju.

Był samolubny. Samolubny tam, gdzie chodziło o jego potrzeby i pragnienia, jak również najwyraźniej niezdolny się powstrzymać przy Isabelli. Usprawiedliwiał fakt, że zaciągnął ją do Greenwood, wmawiając sobie, że tutaj łatwiej mu czuwać nad jej bezpieczeństwem, lecz byłoby lepiej dla niej – i mniej udręczyłoby jego serce – gdyby po prostu wynajął dwóch ludzi, żeby strzegli jej i jej sióstr.

A jednak tego nie zrobił.

Co gorsza, właśnie okłamał Anne. Nigdy nie pozwoliłby innemu mężczyźnie tknąć Isabelli. Uczyniłby wszystko, żeby temu zapobiec. Tak, ożeniłby się z nią, gdyby musiał – gdyby postawiła mu ultimatum – i zrobiłby to z samolubnych pobudek. Być może zdołałby żyć bez niej, przetrwać, jedynie obserwując ją z oddali, lecz nigdy dobrowolnie nie oddałby jej innemu.

I również z samolubnych pobudek zaczekał, aż w domu zapadnie cisza, a księżyc znajdzie się wysoko na niebie, zanim, ubrany jedynie w kalesony, przeciął ciemny korytarz dzielący ich sypialnie. Kiedy pchnął drzwi, skrzypiące lekko na zawiasach, zaatakował go zapach Isabelli. Ujrzał ją w snopie księżycowego blasku, który wpadał przez niezastłonięte okno, na pół siedzącą na łóżku z szeroko otwartymi oczami.

Wezbrało w nim coś bliskiego radości. Czekala na niego.

– Podkręć lampę – rozkazał.

Odwrócił się, żeby zamknąć drzwi na klucz, a następnie zasunął rygiel, który zamontował tu dodatkowo, kiedy kupił Greenwood. Teraz mógł okazać się przydatny.

Śledzony przez Isabellę wzrokiem, przeszedł przez pokój, po drodze rozwiązując sznurki kalesonów. Zwisaly mu luźno wokół bioder, kiedy wsparł się kolanem o łóżko i brutalnie przyciągnął ją do siebie, zanurzając twarz w zagięciu jej szyi.

– Przepraszam – rzekł chrapliwie, wsuwając dłoń w jej włosy. – Przepraszam za sugestię, że kiedykolwiek byłaś moją własnością. Dopuściłem, żeby górę wzięły we mnie ból i gniew, i zachowałem się podle.

Poczuł, jak z trudem przełknęła ślinę.

– Ale nie minąłeś się z prawdą, czyż nie? – spytała. – Sprzedałam się. Prawda zawsze boli najbardziej.

Otworzył usta na jej szyi, chłonąc jej ciepłą, mydlaną woń.

– Nikt nigdy nie będzie cię miał na własność, Isabella – oświadczył. – Twoja cena jest tak wysoka, że żaden mężczyzna nie zdołałby jej zapłacić. Ale jesteś moja, Isabella, i zawsze będziesz. Zostałaś mi przeznaczona, nich ci Bóg dopomoże.

– Nie... nie wiem, co to znaczy – powiedziała.

– To znaczy, że między nami istnieje coś mrocznego, trwałego i rozkosznego – odparł – ja zaś nigdy

z tego nie zrezygnuję. Nigdy! Chyba że spojrzysz mi w oczy i powiesz, że już nie pożądasz mnie ani tego, co mogę ci dać. Rozumiesz?

Potrząsnęła głową, a jej włosy połaskotały go w ramię.

– Niczego nie rozumiem – szepnęła. – A już najmniej ze wszystkiego rozumiem te... te rzeczy, których pragnę.

Uniósł głowę i spojrział na nią, przytrzymując ją w niewielkiej odległości od siebie.

– To moje zadanie, Isabello – rzekł. – A ja cię rozumiem. Rozumiem, czego ci trzeba.

– A na czym polega moje zadanie? – spytała, opuszczając wzrok.

– Na podporządkowaniu mi się w takich chwilach – szepnął, unosząc jej brodę. – Kiedy jesteśmy razem, w łóżku. Przynajmniej tej nocy.

Poczuł, jak przeszywa ją dreszcz.

– W ogóle nie powinniśmy być razem – wyszeptała natarczywie. – Powtarzam sobie, Anthony, że z ciebie zrezygnuję. Że powiem „Nie”. Że przestanę pragnąć... tego, co mi robisz. Jeśli jestem tak piekielnie silna, dlaczego mi się to nie udaje?

– Ponieważ jesteś moja – powtórzył, zacieśniając uchwyt – i twoje serce o tym wie, tak jak moje wie, czego ci potrzeba. Isabello, ufasz mi?

Prawie potaknęła.

Otarł się wargami o jej wargi.

– Wiem, kochana, że mam mnóstwo wad – ciągnął – ale czy kiedykolwiek cię okłamałem? Nie dotrzymałem obietnicy? Nie zdołałem doprowadzić do tego, że zatraciłaś się w rozkoszy? Albo choć minimalnie wprowadziłem cię w błąd w jakiegokolwiek sprawie?

– Nie – odrzekła. – Ale chciałabym... lepiej rozumieć ciebie, nas.

– Pomijając tę kwestię, czy ufasz mi, że się tobą zaopiekuję? – naciskał. – Że będę miał na sercu interes twój i dziewczynek?

Tym razem skinęła głową bardziej stanowczo.

– Tak. Przepraszam, że cię uderzyłam, ale...

– Ale się o to prosiłem? – Uśmiechnął się. – Musisz mi to wynagrodzić, kochana.

Jej twarz stopniowo pokrywała się rumieńcem.

– Jak?

– Mówiąc mi, czego potrzebujesz – wyjaśnił, wierzchem dłoni przeciągając po jej policzku – i pozwalając, żebym ci to dał. Oraz robiąc wszystko, o co poproszę.

– Ja... najwyraźniej potrzebuję ciebie – powiedziała.

Pokręcił głową, a później pocałował ją głęboko, popychając z powrotem na stos poduszek. Wolno naparł do wnętrza jej ust, docisnął jej rękę do materaca, unieruchamiając ją. Po chwili westchnęła mu w usta i uniosła się ku niemu.

Ach, słodka uległość... albo jej początki.

Oderwał się od jej warg i przesunął uchwyt na jej nadgarstki.

– Powiedz mi, czego chcesz – rozkazał chrapliwie.

– Ciebie – powtórzyła. – We mnie. Mocno.

– I?

Przełknęła ślinę i umknęła wzrokiem. Puścił jeden z jej nadgarstków i siłą odwrócił jej twarz ku sobie.

– Isabello, patrz na mnie – polecił. – Mów do mnie. Co miałaś na myśli tam w kuchni? Kiedy nazwałaś mnie okrutnym? Nie jestem taki, wiesz?

– Otwórz szafkę – powiedziała, zamykając oczy. – Po prostu... otwórz ją. Proszę.

– Nie będzie odwrotu, kochana, jeśli wysunę tę ukrytą szufladę – przestrzegł. – Będziesz zdana na moją

łaskę. Chyba że powiesz „Stop”. Jeśli to zrobisz, przestanę. Całkowicie. I wyjdę przez te drzwi.

Gwałtownie uniosła powieki.

– I... nigdy nie wrócisz?

Pokręcił głową.

– Zawsze będę do ciebie wracał – odparł chropawym głosem – dopóki nie powiesz, że mnie nie chcesz. Dopóki nie powiesz, że nie potrzebujesz... tego. Lecz nie dziś w nocy. Nie, tej nocy nie wrócę.

Ponownie zamknęła oczy i przełknęła ślinę.

– Diabeł z ciebie – wykrztusiła. – Otwórz skrytkę.

– Nie, mam nieco inny plan, kochana.

Uniósł się na kolanach, kalesony uwodzicielsko zwisały mu z kości biodrowych, kiedy sięgał wysoko nad głowę po hak, ukryty w zakładkach baldachimu. Połyskliwy metalowy łańcuch opadł na prawie pół metra i zatańczył szelmowsko w blasku księżyca.

Jej oczy natychmiast upodobniły się do lśniących spodków.

– To nie jest skrytka – powiedziała.

– Nie, to odpłata – oznajmił, przekręcając się, żeby usiąść na skraju łóżka.

Wstał i zrzucił kalesony, już twardy. Isabella obserwowała go z chciwością i zarazem niepokojem w oczach. Przeciągnął dłonią po swej długości i przyglądał się, jak jej wzrok się rozpala.

– Jeśli będziesz bardzo grzeczna, kochana, dostaniesz go – szepnął. – Gdzie byś go chciała?

Podniosła na niego niewinne spojrzenie.

– Nie wiem.

– Kłamczucha – stwierdził, wykręcając tułów, ale tak, by nie zerwać z nią kontaktu wzrokowego.

– Między nogami – szepnęła, oblizując wargi.

– Zła odpowiedź – oznajmił i minimalnie przechylił się na bok.

Zwolnił zapadkę i wysunął pojemną ukrytą szufladę. Wyjął z niej małą szpicrutę i długie pasmo plecionego białego jedwabiu – swego rodzaju sznur, ale delikatny.

– Jak brzmi prawidłowa? – spytała, z niepokojem przesuwając się w górę łóżka.

Rzucił jej linę na podolek.

– Gdziekolwiek mi się spodoba – odrzekł z tłumionym uśmiechem. – Powiedz to, kochana: „Chcę mieć w sobie twój członek, Tony, gdziekolwiek zapragniesz go włożyć”.

– A jeśli nie zechcę? – spytała. – Jeśli nie zechcę... w jakieś konkretne miejsce?

Wzruszył ramionami.

– Wtedy będę musiał ukarać cię za nieposłuszeństwo – odparł spokojnie. – Czy jesteś nieposłuszną, Isabello? Bez wątpienia jesteś uparta... która to cecha, tak przy okazji, działa na mnie niezwykle pobudzająco.

– Nie będę nieposłuszną... chyba – powiedziała.

Roześmiał się i z aksamitnych przegródek wyjął komplet sztucznych członków z kości słoniowej.

– Do ciebie należy wybór, czy będziesz posłuszną, czy nie – przypomniał jej, rzucając dilda na poduszki. – Możesz też kazać mi przestać. Ale co się wtedy stanie?

– Przestanieś?

– I wyjdę – uzupełnił stanowczo. – Nie zostawię ci nawet moich kościanych ślicznotek na pocieszenie. Przypominam ci też, kochana, że jestem absolutnie trzeźwy. Mam się na bacności. Tej nocy nie dostaniesz ode mnie łatwego ruchanka. Kiedy indziej? Tak, bez wątpienia. Ale nie dzisiaj. Zgadząmy się?

Zerknęła na baldachim.

– Zamierzasz... przykuć mnie łańcuchem?

– Na chwilę – wyznał – chyba że powiesz... co takiego, kochana?

– Stop – odparła.

– Dobrze.

Zdołał się do niej uśmiechnąć, lecz sprawa stawała się śmiertelnie poważna. Nachylił się i odgarnął z łóżka przykrycia. Isabella nadal miała na sobie pantaloney.

– Och, kochana. – Z karcącym cykaniem pokręcił głową. – To nie jest nago. Dałaś plamę, dziewczyno.

Człowiek mniejszego kalibru sprząby ci tyłek już tylko za to.

Był niemal pewien, że w jej oczach zamigotało rozczarowanie.

Odkasznął głośno.

– Prawdę mówiąc, nagle poczułem, że mój kaliber... znacząco się zmniejszył – dodał. – Tak, lepiej od razu wyłożę swoje racje.

– Twoje racje?

– Że masz mi się podporządkować, kochana – wyjaśnił. – Pamiętać, kto tu rządzi. Wstawaj, Isabello, i zdejmuj to w tej chwili.

Posłuchała, szybko zsunęła się z łóżka i, skrępowana jego spojrzeniem, zaczęła nieporadnie rozwiązywać pantaloney. Supeł nie chciał puścić, aż wstrzymała oddech, lecz wreszcie zdołała go poluzować, i batyst z szelestem spłynął po jej nogach.

Długich, smukłych, niemożliwie apetycznych nogach, między którymi kryła się brama do nieba.

– Chodź tu – rozkazał szorstko – i połóż mi się w poprzek ud.

– Będiesz mnie chłostał?

– Chyba że powiesz „Stop” – odparł. – Tak, zdaje się, że muszę. Ponieważ jesteś nieposłuszna, kochana. I moim zdaniem robisz to z rozmysłem. Mam rację?

Nie odpowiedziała, lecz karnie przegięła się nad jego kolanami i niemal potulnie wsparła czoło o materac.

– Naprawdę jesteś okrutny – szepnęła.

Zaśmiał się i w prawą rękę wziął szpicrutę.

– Nie, ja po prostu tu rządzę – oznajmił – a ty właśnie tego potrzebujesz.

Potem, niezmiernie delikatnie, przeciągnął szpicrutą z czarnej skóry między jej rozkosznymi pośladkami, na tyle głęboko, że zadrżała.

Wydała z siebie jakiś odgłos, najcichszy jęk.

– Och, Isabello.

Wziął zamach i smagnął ją boleśnie. Podskoczyła ze zduszonym krzykiem. Rzucił szpicrutę na łóżko i nachylił się, dociskając wargi do blad różowej pręgi. Następnie czule wsunął palec między jej pośladki i sięgnął w dół, by potrzeć jej wilgotny pączek.

– Oooch – szepnęła.

Wezbrało w nim raptem coś zmysłowego i nieokiełznanego.

– Dziś w nocy, kochana, jesteś moja – rzekł, znów pocierając owo rozkoszne miejsce. – To jest moje. Jesteś moja i będę cię brał, jak mi się spodoba. Czy się zgadzamy?

– Tak – szepnęła, wierząc się trochę.

Delikatnie rozepchnął jej kolana.

– Będiesz smakować tak słodko, kochana – rzekł, wsuwając palec w jej jedwabisty tunel. – Muszę dostać tego więcej... w końcu. Ale na razie wstawaj. Trzeba mi czegoś.

Podniosła się z jego ud jakby z niechęcią.

– Możesz dostać, cokolwiek zechcesz – wymamrotała.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił. Myślę, że chciałbym teraz... tak, skorzystać z tego twojego wspaniałego talentu. – Wziął jej rękę i przeciągnął nią po swoim członku, twardym jak stal i pulsującym.

– Tak, na kolana, dziewczyno.

Skinęła głową i osunęła się na podłogę.

– Co za uroczy widok – rzekł z zachwytem, ciągnąc ją z powrotem w górę. – Nie zamierzasz być choć troszkę nieposłuszna, kochana? Wyznam, że czuję lekki zawód. Z wielką chęcią smagnąłbym jeszcze raz te twoje piękne, blade pośladki. Tylko na tyle, żeby należycie cię zawstydzić?

– Och – wykrztusiła ochryple.

Uśmiechnął się i pociągnął ją na łóżko.

– Korzysz się, Isabello? – zapytał niskim głosem. – Bo z pewnością nie mówisz jeszcze „Stop”.

– Nie mówię „Stop” – zgodziła się, a jej piersi kołysały się uwodzicielsko, kiedy wspinała się z powrotem na łóżko.

– Zatem między moje nogi, dziewucho, na kolanach.

Odwrócił się i rozparł na poduszkach niczym pasza, z ramieniem założonym za głowę, spoglądając na nią z góry. Na czworakach przeszła po materacu i ulokowała się między jego nogami, kurtyną jedwabistych włosów łaskocząc go w udo. Wzięła go w ciepłe, sprawne dłonie i wsunęła do ust.

Całym jego ciałem szarpnęło, aż syknął przez zęby.

Na moment podniosła wzrok.

– Nie przerywaj – jęknął, gwałtownie wsuwając palce w jej włosy, żeby nie mogła się cofnąć. – Och, Isabello. Tak, och... po prostu... nie przerywaj.

Jakież to było dobre – mimo że nadal pozbawione finezji. Ale nie przestała. Przez długie chwile pieściła go, owijając palce wokół jego członka, prześlizgiwała się wargami ponad jego żołądź, delikatnie skrobała zębami rozpalone ciało.

Dobry Boże, pomyślał. Nie mogłoby być lepiej.

Zdawał sobie sprawę, że mężczyźnie piekielnie łatwo jest wyobrazić sobie, iż zakochał się na zabój, kiedy kobieta klęczy z jego penisem głęboko w ustach. Jednakże Hepplewood nie był takim głupcem; jego niezliczone wcześniejsze kochanki robiły dokładnie to, co w tej chwili Isabella – i niemal wszystkie bardziej umiejętnie.

A jednak nie tak dobrze. Nie, nawet nie w przybliżeniu. Kiedy Isabella brała go w usta rozkosznymi, niewyćwiczonymi ruchami, on zaś poczuł, że ulga się zbliża, śpiewając w jego ciele, wiedział, że jest zakochany. Prawdziwie i głęboko.

I wiedział, że nie chodzi o błąd w ocenie; nie miało to nic wspólnego z wdzięcznością za przelotną, fizyczną przyjemność. Nie, to było prawdziwe – rozpaczliwie prawdziwe – i pojmował także, że weźmie ją na każdych warunkach, jakie ona mu podyktuje. Że tamten zimny strach, który poczuł w kuchni, prawdopodobnie zblednie w zestawieniu z tym, co go spotka w ostatecznym rozrachunku.

Tak, ostatecznie to on znajdzie się na kolanach.

To on będzie błagał. O nią. O to.

Zacisnął w pięści prześcieradło i pozwolił, by Isabella wyssała z niego słodkie wyzwolenie, które szarpało jego lędźwiami i napinało mięśnie brzucha, gdy pośród spazmów wypływało z niego nasienie.

Kiedy powrócił z wyżyn zmysłowej rozkoszy, odkrył, że wsparła policzek na jego brzuchu, a dłoń przyłożyła mu do serca.

– Wydajesz się taki silny – wymruczała, odwróciwszy głowę, żeby powieść pocałunkami wzdłuż linii ciemnych włosów na jego brzuchu. – Taki... porażająco męski, Anthony.

Udało mu się zaśmiać.

– Podobnie opisałbym ciebie, Isabello – rzekł. – Wstawaj, kochana. Chcę na ciebie popatrzeć, ponieważ w moim odczuciu nie istniała dotąd istota bardziej porażająco kobieca.

Uniosła się na kolanach, rozczapierzając palce na jego piersi. Pomacał na oślep obok siebie i znalazł

szur z białego jedwabiu.

– Tak, wystawmy cię na pokaz, kochanie – wydusił, rzucając jej sznur. – Bądź łaskawa związać sobie nadgarstki.

Podwinęła pod siebie nogi i usiadła.

– Chyba... chyba nie dam rady – powiedziała.

– Mówisz „Stop”? – spytał bardzo cicho. – Czy jesteś nieposłuszna?

Coś mrocznego błysnęło w jej spojrzeniu.

– Nie mówię „Stop” – wykrztusiła – ale nie wiem, jak związać oba...

– Czyli nieposłuszna.

Przemieścił się na kolana, plecami do wezglowia, a jego przyrządy z kości słoniowej stoczyły się z poduszki. Zauważył, że zerknęła na nie zafrapowana.

– Zakładam, że domyślasz się, do czego służą?

Odrobinę zbladła.

– Jeden z nich, chyba – wymamrotała.

– Ten drugi, mniejszy, ma uwieść twój maleńki pączek, kochana – mruknął. – Isabello, ufasz mi?

Przytaknęła.

– Ale na jakiej zasadzie to działa? – szepnęła. – Czy może nie wolno mi zadawać pytań?

– Pomaga zacieśnić to i owo, kochana – odparł. – Wywiera dodatkowy nacisk w bardzo specjalny sposób. Pozwolisz mi go użyć?

– Ja... nie jestem pewna – szepnęła.

– Ach, dama wstrzymuje się z wyrokiem – mruknął, śmiejąc się cicho. – Bardzo mądrze. A teraz nadgarstki, kochana, jeśli łaska?

Nadal klęcząc, wziął linę, mocno związał jeden koniec wokół lewego nadgarstka Isabelli, a potem zrobił pętlę z węzłem przesuwającym i założył ją na prawy. Nie odrywał wzroku od jej rąk. Czuł na sobie żar jej spojrzenia i przyczajone na jej wargach niezadane pytanie.

Była zaintrygowana. Chętna. A mimo to ciągle niepewna własnych potrzeb.

– Isabello? – odezwał się.

– Tak?

– O czym myślisz? – spytał. – Mów do mnie.

Popatrzyła mu w oczy, wstydliwie, lecz zarazem z tęsknotą.

– Myślę, że musi być ze mną coś nie tak – wyznała.

Pokręcił głową.

– Jesteś najbardziej zdrową kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem – wyznał uczciwie. – Najdoskonalszą, w środku i na zewnątrz.

– Ale ty... jesteś taki władczy – powiedziała. – Doprowadzasz mnie do takiej wściekłości. A potem mówisz mi, co mam robić... ja zaś, niczym jagnię, po prostu... robię to. I chcę. Chcę tego.

Pokręcił głową i związał kolejny węzeł.

– Gdybyś naprawdę robiła to, co chcę, kochana, codziennie klęczałabyś z moim penisem w ustach – rzekł cicho, unikając jej spojrzenia. – Nie prowadziłabyś księgarni. Nie mozoliłabyś się, żeby zarobić na życie. Byłabyś na każdy mój rozkaz, w każdym sensie. Byłabyś moja i troszczyłbym się o ciebie. Ale tak nie jest. I tak oto na pociechę zostały mi te rzadkie chwile, kiedy naginam cię do swej woli.

Nic na to nie odrzekła – paliła go jednak spojrzeniem, kiedy ją wiązał. Gdy się z tym uporał, pociągnął lekko za sznur, ona zaś szarpnęła się instynktownie.

– Za bardzo boli? – spytał chrapliwie, przeciągając palcem pod pętami.

– Jeszcze nie – odparła.

Podniósł wzrok i pochwycił spojrzenie jej szeroko otwartych, pięknych oczu.

– Chcesz, żeby bolało? – spytał, sugestywnie zniżając głos. – Dam ci, czegokolwiek potrzebujesz, kochana. Muszę tylko wiedzieć.

Szybko pokręciła głową.

– Dobrze więc. – Wsunął dłoń pod jej łokieć. – Unieś się na kolanach, kochana – rozkazał łagodnie – i wyciągnij te swoje grzeszne rączki nad głowę.

Zawahała się, toteż szarpnął ją w górę i dał klapsa.

– Au! – jęknęła, lokując się na kolanach i unosząc wysoko rękę.

– Odpowiedz w takich przypadkach, kochana, brzmi: „Tak, Tony, natychmiast”... Chyba że jesteś nieposłuszna? Jesteś, Isabella? Mam ci pomóc być grzeczną?

Bojaźliwie zerknęła na szpicrutę i krótko, szybko potrząsnęła głową.

Zaśmiawszy się, pocałował ją soczyście i pociągnął w dół srebrny łańcuch, żeby zaczepić hakiem o węzeł między jej nadgarstkami.

– I proszę – szepnął, kiedy uporał się z zadaniem. – Och, Isabella. Te piersi, uniesione tak wysoko. Tak doskonałe i śliczne, z sutkami, na widok których zaczynam się ślinić. Nadal uważam, że przyozdobione ametystami osiągnęłyby doskonałość.

– A ja uważam – rzekła złowrogo – że tej fantazji pisane jest umrzeć w niespełnieniu.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Ach, cóż. Jakoś przeżyję – oznajmił.

Lecz jej spojrzenie opadło tymczasem na rozrastający się ciężar jego erekcji. Na próbę pociągnęła za hak.

– Co robisz? – spytała.

– Napawam się, skarbie.

Musnął palcami jej sutek, przyglądając się z fascynacją, jak znów twardnieje. Jak na kochankę tak niewyrobioną, była niewiarygodnie podatna. Nachylił się i wessał jej prawy sutek w żar swych ust.

Zgodnie z oczekiwaniami Isabella naprężyła się, łapczywie chłonąc pieśczętę. Kiedy ją ssał, drażniąc językiem rozkoszną, twardą brodawkę, w dłoni zważył jej lewą pierś, delikatnie pocierając sutek kciukiem. Wydała cichy odgłos, coś pomiędzy westchnieniem, jękiem a prośbą.

– Czego potrzebujesz, kochana? – spytał.

– Nie... nie wiem – wydusiła.

Przesunął rękę w dół, aż Isabella podskoczyła. Wrócił ustami do jej piersi i wolno powiódł dłonią po apetycznej wypukłości brzucha, rozkoszując się dreszczem, jaki w odpowiedzi przebiegał po jej skórze.

– Tego? – wymruczał, wpychając palec między jej wilgotne loki.

– Uhm – powiedziała.

– Otwórz się dla mnie, kochana – rozkazał. – Rozstaw kolana. Łańcuch ustąpi pod twoim ciężarem.

Na moment się zawahała. Odsunął się od niej i wziął szpicrutę.

– Isabella, chcę, żebyś robiła to, o co proszę, kiedy cię proszę, albo powiedziała „Stop” – rzekł niskim, łagodnym głosem. – Rozumiesz? Musisz przekazać mi kontrolę. Potrafisz?

Mocno zacisnęła powieki.

– Nie jestem pewna.

Chciała czegoś. Wędrował spojrzeniem po jej ciele, usiłując dociec czego. Jej sutki były twarde jak kamień, wiedział też, że jest już mokra. Przeciągnął szpicrutę między palcami, tak że jej koniuszek pstryknął głośno.

– Myślę, że znów chcesz zostać ukarana, kochanie – rzekł, powtarzając gest. – Zgadza się? Mam cię nagiąć do swej woli?

Jej sutki stwardniały jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe, niemniej odwróciła głowę. Smagnął ją porządnie przez pośladki barwy kości słoniowej, aż się zakołysały.

Szarpnęła się odruchowo i wydała z siebie przeciągłe „Ooch...”.

Zabrzmiało to niemal jak jęk. Niemalże widział, jak trawi ją żądza. Podczołgał się bliżej i przygarnął ją do siebie. Wtulił twarz w jej szyję, podczas gdy członkiem napierał na miękką strzechę między jej nogami.

– Co jest ze mną nie tak, Tony? – szepnęła.

– Nic – zapewnił ponownie. – Jesteś wyjątkowa, Isabello. Silna. Pozwól, że dziś w nocy to ja będę silny. Pozwól mi na to. Ostatecznie jesteś przywiązana do łóżka. Jesteś moim więźniem. Równie dobrze możesz się poddać.

– Ale mogę powiedzieć „Stop” – szepnęła.

Zaśmiał się.

– Czy jednak posłucham, Isabello? – zamruczał. – Czy cię puszczę? Jesteś pewna? Czy też stałaś się niewolnicą seksualną, której przeznaczeniem jest zaspokajać moje najbardziej grzeszne żądze?

– Mogę powiedzieć „Stop” – powtórzyła.

– Tak, ale czy mówisz? – Opuszką palca przeciągnął po jej policzku, między piersiami i w dół brzucha. – Czujesz się nieszczęśliwa, kochana? Mam cię uwolnić i wyjść? – Z tymi słowy znowu wsunął palec między jej kobiece fałdy.

– Nie – odparła szybko i pewnie. – Nie wychodź. Nie.

– Zatem powiedz mi, czego potrzebujesz – zażądał. – Czy byłaś niegrzeczna?

Przygryzła dolną wargę i skinęła głową.

Po raz kolejny smagnął ją przez pośladki, choć pod trochę niewygodnym kątem. Szarpnęła się, uderzając o niego, i wydała cichy jęk.

– Jak bardzo niegrzeczna, Isabello? – spytał, muskając jej łechtaczkę. – Czy na przykład przez ostatnich kilka dni tęskniłaś za seksem ze mną?

Przytaknęła, a włosy opadły jej przez ramię.

– Powiedz to – rozkazał, palcem wślizgując się głębiej między jej loki.

– Tęskniłam – szepnęła. – Potwornie. Tony, postępowałeś... okrutnie, unikając mnie noc w noc.

– Dotykałaś się, Isabello? – zapytał. – To żaden powód do wstydu. Wierz mi, wiem coś o tym.

Pokręciła głową.

– Kłamczucha. – Znowu smagnął ją szpicrutą. Szarpnęła się tak, że zderzyli się biodrami. – Powiedz prawdę.

– Chcę mieć cię w sobie – wyrzuciła na bezdechu. – Teraz.

– Hm – zadumał się. – Nie wydaje mi się, kochana.

– Proszę – powiedziała. – Po prostu... możemy? Proszę?

– Jeszcze nie, kochana. Cierpliwości.

Odsunął się i usiadł na skraju łóżka, żeby wyjąć ze skrytki długą taśmę z czarnego jedwabiu.

– Co robisz?

– Wiążę cię – odparł. – Chcę cię zobaczyć, Isabello, oplecioną czarną taśmą. Nie zadam ci bólu, kochana, obiecuję... Chyba że mnie o to poprosisz.

– Mam jakiś wybór? – spytała, wpatrzona w wąski pas jedwabiu, który nawijał sobie na dłoń.

– Owszem – rzekł z powagą. – Możesz mi się oddać, Isabello, dla mojej przyjemności... i obiecuję, że twojej także. Albo możesz powiedzieć „Stop”.

Kiedy odwinął połowę taśmy, przepasał nią Isabellę w talii, ściągnął mocno i zawiązał koniec nad jej kością biodrową. Następnie poprowadził jedwab między jej piersiami, wokół szyi i z powrotem w dół.

Wykonał dwa ciasne kręgi pod biustem, dzięki czemu wypchnął go wysoko. Delikatnie skrępował jej łokcie za głowę, po czym przeciągnął taśmę między jej nogami, oplatając każde udo z osobna, i zawiązał po drugiej stronie.

Gdy skończył, miał przed sobą erotyczną wizję kobiety z nadgarstkami spętanymi nad głowę i atramentowymi włosami spływającymi po plecach, starannie oplecioną długą, czarną taśmą. Sutki Isabelli były twarde, jej uda minimalnie rozwarłe pod naporem pęt. Ciemny jedwab wcinał się w ciało tak ponętnie, że Hepplewood poczuł, jak krew znowu napływa mu do lędźwi.

– Dobry Boże, Isabello, ależ jesteś piękna w tych pętach – szepnął. – Jakie to uczucie?

– Dziwne – odparła.

– Chcesz, żebym to odwiązał? – spytał, modląc się, by nie odpowiedziała twierdząco.

– Nie – szepnęła.

– Zatem opisz mi dokładnie, jak się czujesz.

– Grzesznie – odparła na bezdechu. – Ciasno, grzesznie i... bezpiecznie.

Bezpiecznie. Tak, chyba rozumiał.

Potem kochał się z nią ustami, zaciskając w garści jej włosy i całując ją głęboko. Delikatnie pociągnął jej głowę do tyłu i przejechał zębami po szyi. Wsunął koniuszek języka pod krawędź czarnej taśmy i powiódł nim w dół. Do jej piersi. Każdą z nich posażł, skubiąc zębami słodkie brodawki, aż wydała cichy, cienki okrzyk.

Dotknął jej intymnie i w nagrodę otrzymał jęk. Dobry Boże, czuł, że zaraz znowu eksploduje. Przez chwilę pragnął po prostu wedrzeć się w nią i załatwić sprawę, lecz duma by mu na to nie pozwoliła. Nie dlatego zyskał reputację zdyscyplinowanego kochanka, że ulegał pokusie.

Wsunął w nią palec, a ona zacisnęła się na nim, pulsując.

– Proszę – zaklinała go. – Błagam. Uwolnij mnie, Tony. Potrzebuję twojego...

– Nie – przerwał jej szorstko. – Isabello, jesteś moja. Dzisiaj jesteś moja i będę cię rznął, kiedy i jak zechcę, chyba że powiesz „Stop”. Innej nocy możemy na nowo renegocjować warunki. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj albo mówisz „Stop”, albo oddajesz mi się dla mojej przyjemności. Co wybierasz, kochana?

– Jestem twoja – rzekła chrapliwie. – Jestem twoja. Tylko... błagam.

Wziął większe dildo z kości słoniowej, rozepchnął szeroko jej nogi i wsunął je między jej fałdy.

– O Boże – szepnęła, dygocąc.

– Boisz się? – spytał zaniepokojony. – To tylko miłosna zabawka, Isabello, nawet nie w połowie tak duża jak mój penis. Tylko zabawka.

Udało jej się nieznacznie pokręcić głową.

– Nie. – Oblizwała wargi. – Jestem... twoja.

– Dzielna dziewczynka. – Delikatnie wsunął sztuczny członek na parę centymetrów, Isabella zaś drgnęła w reakcji na inwazję. – Rozluźnij się, kochana, i pozwól, że cię zadowolę – powiedział. – Tak, właśnie tak.

Kolejny centymetr, i następny, aż w końcu zamknęła oczy, odchyliła w tył głowę i osunęła się niemal do jego dłoni, z cichym „Aaach”, biorąc w siebie całą długość kościanego penisa.

– Co za łakomstwo – wymruczał, poruszając nim. – Och, Isabello. Wielbię cię.

Delikatnie podtrzymując dildo na miejscu, podparł się na łokciu i rozciągnął. Opuściwszy głowę, leciutko polizał jej miękkie fałdy. Isabella ponownie wydała z siebie przeciągłe „Aaach” – niespieszne westchnienie przyjemności.

Podrażnił ją znowu, tym razem sięgając językiem dalej, aż do jej drżącego pączka. Pomyślał, że Isabella długo nie wytrzyma, nie nauczyła się bowiem jeszcze dyscypliny. W pętach z czarnej taśmy jej pełne sutki były twarde, głowę odrzuciła w tył, jakby ulga znajdowała się blisko.

Częściowo wyciągnął kościany członek, a Isabella zakwiliła zawiedziona. Tym razem dłużej poigrał językiem z klejnotem jej łechtaczki i kontynuował pieszczotę, kiedy ponownie wepchnął w nią dildo, napierając nim mocno na przednią ścianę pochwy w owym słodkim, idealnym punkcie, co niemal zawsze doprowadzało kobiety do szaleństwa.

Ją doprowadziło. Zaczęła się trząść, zwisając ciężko na jedwabnym sznurze, walcząc z nim. A potem znowu poruszył sztucznym członkiem i poczuł, jak wypływają z niej soki. Wygięła się do tyłu, otwierając usta w cichym, nieomal bezgłośnym okrzyku ulgi.

Pragnął wziąć ją w tej chwili, nadal związaną. Wytrzymał, jak długo zdołał, a kiedy jej dreszcze przygasły, odrzucił dildo i przetoczył się na kolana z czołem wilgotnym od potu, trzymając w dłoni swój członek. Opasał ją ramieniem w talii i już prawie na siebie nadział, kiedy udało mu się odzyskać resztki kontroli.

– Dobry Boże, kobieto. – Opuścił głowę, tak że ich skronie się zetknęły, po czym, trzymając ją mocno przy sobie, wolną ręką sięgnął, żeby odhaczyć łańcuch.

Isabella opadła na niego, bliska łkania. Wtulił twarz w jej szyję i zagłębił palce w jej włosach, po prostu ją trzymając.

– Kochana, jesteś taka piękna – rzekł cicho.

Jej oddech wolno odzyskiwał normalny rytm.

– O Boże – szepnęła. – Co robiłeś tym... och, nie potrafię się zmusić, żeby spytać...

Pocałował ją, głęboko i rozkosznie, przeciągając palcami przez jej włosy.

– Wszystko w porządku, kochana? – zapytał z ustami przy jej policzku. – Czujesz się wyczerpana?

– Nie... wypatroszona – odparła. – Ale to nie znaczy „Stop”, Tony.

Uniósł do góry jej brodę.

– Na pewno?

Naparła bliżej i pocałowała go niemal agresywnie, wpychając mu język do ust, splatając z jego językiem. Oparty o jedwabistą skórę uda Isabelli, jego członek podrygiwał niecierpliwie.

– Dobry Boże – wychrypiał, kiedy skończyła. – Odwróć się, skarbie.

– Tak – odparła cicho i ulegle.

Niecierpliwie zmagął się z węzłami sznura i jedwabnej taśmy. Dałby fortunę za ostry nóż, pomyślał ponuro. Zanim stracił resztki cierpliwości, udało mu się poluzować oba supły, ale nie bawił się w odplątywanie taśmy.

– Twarzą w dół, kochana – szepnął, popychając ją lekko. – Byłaś bardzo grzeczna. Jeszcze chwilę, dobrze?

Skinęła głową.

– Co mi zrobisz?

– Po prostu dam ci przyjemność, Isabello – mruknął, wargami pocierając o jej skroń. – Albo spróbuję. Pozwolisz mi? Zaufasz? Jeśli ci się nie spodoba, więcej tego nie powtórzymy.

Zawahała się.

– Isabello – rzucił ostrzej – ufasz mi? Oddajesz mi się dla mojej przyjemności?

Przytaknęła.

– Więc połóż się i daj mi się wziąć – polecił, biorąc mniejsze dildo.

– To wygląda dziwnie – stwierdziła. – Ale chyba nie jest za duże?

W pytaniu jakby pobrzmiwała nadzieja.

– Nie patrz – zasugerował. – Nie zrobię ci krzywdy, Isabello. Po prostu daj mi się tobą nasycić, kochana. Proszę. Chcę zabrać cię ponownie w to rozkoszne, wyjątkowe miejsce.

Krótko, prędko przytaknęła i ulokowała się na poduszkach, odwracając głowę od jego pełnej

drobiazgów skrytki. Sięgnął po sółj ze smarowidłem i nałożył go hojnie na kościaną zabawkę. Jego penis znów drgnął niecierpliwie. Niech to diabli, wieki trwało, nim znajdzie się w tej dziewczynie, lecz prędzej by umarł, niż ją skrzywdził.

Ostrożnie położył dłoń na jej lewym pośladku, ale wzdrygnęła się pod jego dotykiem.

– Isabello, czy mam cię wychłostać? – spytał ostrzegawczo.

Obejrzała się, patrząc spod osłony gęstych czarnych rzęs.

– A byłam niegrzeczna? – dociekała cicho.

– Trochę – odparł. – Przed chwilą pocałowałaś mnie w sposób doprawdy niegodziwy.

Bez słowa przyciągnęła do siebie poduszkę i ukryła twarz w jej miękkości.

No cóż, pomyślał kwaśno, potrzebom damy wypada uczynić zadość.

Odłożył kościaną zabawkę, wziął szpicrutę i przeciągnął nią głęboko między jej pośladkami. Zaskoczyło go, gdy Isabella zadrżała. Powtórzył pieszczotę, tym razem wsuwając między jej nogi śliskie od smarowidła palce i delikatnie okrążając jej łechtaczkę. Kiedy wijącym się ruchem naparła na jego rękę, smagnął ją boleśnie szpicrutą.

– Niegrzeczna dziewczynka – powiedział. – Potrzebujesz dyscypliny, prawda?

– Potrzebuję ciebie – rzekła ochryple. – Dotknij mnie znowu.

Zrobił to, pieścił ją niespiesznie, aż poczuł świeżą perłę jej rosy.

– Ooooch – szepnęła.

Kolejne smagnięcie, akurat takie, by zaróżowić jej pośladki. Napierała na jego dłoń, błagając o coś.

– Tony – wyszeptwała. – Proszę...?

– Poczekaj – szepnął, odkładając szpicrutę. – Cierpliwości, kochanie.

– Ale to, co robisz... wydaje się takie grzeszne. Moim zdaniem to tobie należałaby się chłosta.

– Możemy poddać to pod negocjacje innej nocy – rzekł, po czym uległ pokusie.

Zapomniał o kościanych zabawkach i wszedł w jej śliskie, kobiece przejście, na co gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Uhm – zamruczała.

Uniosła plecy, on zaś pochylił się nad nią, sunąc wargami po miękkiej skórze między jej łopatkami. Wydawała się pod nim taka drobna i doskonała. Zarostem drapał jej wrażliwe ciało, czuł ciepło jej skóry i wilgoć potu. Zmusił się, by trwać nieruchomo głęboko w niej, rozkoszował się tą niejako zawieszoną przyjemnością.

Jego penis pulsował niecierpliwie. Isabella także to odczuła i łapczywie zaczerpnęła tchu.

– Kochana – szepnął. – Och, Isabello. Taka słodka.

Ale długo w ten sposób nie wytrzymał. Przesunął dłonie niżej, gładząc krągłości jej bioder, a potem rozchylił pełne, idealne pośladki, żeby pchnąć głębiej. Przemieściła się z cichym jękiem, poszukując instynktownie – i zachłannie.

W bladym blasku księżycy jej rozgrzana skóra zdawała się jarzyć. Twarz skryła w cieniu, otworzyła usta, wzdychając. Raz za razem napierała na niego chciwie, a on starał się pohamować własną nagłą potrzebę, wchodząc w nią pod tym zdecydowanym, idealnym kątem.

Zmieniła pozycję, drząc odrobinę, a jej jedwabiste włosy rozsypały się z jednej strony na poduszce. Odgarnął je delikatnie. Potem ujął w dłoń jej pełną pierś, skubiąc twardy, rozkoszny sutek, aż zaczęła łąkać. Poczuł, że z takim trudem odzyskana kontrola mu się wyslizguje, i z całych sił walczył, by nie wdzierać się w nią nazbyt zapalczywie.

Podparta na łokciach i kolanach, Isabella parła ku niemu nagląco. Jej oddech przyspieszył, chwytiała powietrze cicho i łapczywie, odchylając głowę do tyłu. Desperacko starał się zachować kontrolę, utrzymać się w ryzach; koniecznie chciał dać jej to, czego potrzebowała, i przywiązać ją do siebie

w owym doskonałym, bolesnym wyzwoleniu.

Isabella zaczęła go błagać – o grzeszne rzeczy, słowami, które zaszokowały go w jej ustach. Napędzała go erotyczna wizja. Wchodził w nią szybko i mocno, a ona szeptała jego imię tonem cichej prośby.

Uniósł ją, silnie dociskając czołówek do przedniej ściany jej jedwabistego tunelu, podczas gdy ona naparła nań z instynktownym wdziękiem. A kiedy jego żołądź dotknęła owego ukrytego głęboko, rozkosznego miejsca, Isabella odrzuciła w tył głowę i wydała jęk intensywnej rozkoszy, zaciskając w pięściach pościel.

Boże, jakże jej pragnął.

Potrzeba pulsowała w jego krwi, wzrok zasnuła mu mgła, kiedy został otoczony przez samą esencję Isabelli. Zamknął dłoń w jej włosach, dosiadając jej jak ogier klaczy. Natarczywie parła w tył, żeby wziąć go w siebie, uniosła tułów i wyprężyła się, a on zatopił zęby w delikatnym ciele na jej barku.

Targnęła się z cichym krzykiem i znów nachyliła, paznokciami orząc poduszkę, on zaś czuł, jak pulsuje wokół jego penisa, a potem roztrzaskuje się na kawałki. Doprowadzony do szaleństwa tym widokiem, pchnął znowu, wchodząc w nią niebezpiecznie głęboko.

Krzyknęła ponownie i zdawało się, że ogień i żar eksplodowały w oślepiającym pędzie. Pchnął raz jeszcze i dopadły go spazmy ekstazy, szarpiąc całym jego jestestwem.

Rzeczywistość się zaćmiła, znał jedynie palącą potrzebę, by ją zawłasczyć, wytrysnąć głęboko w niej. Pchnąć ją poza punkt wyzwolenia i związać się z nią, przekuć w jedno w palącym żarze. Isabella z łkaniem opadła na poduszki, podczas gdy jego pustoszyła rozkosz.

Nadal pulsując głęboko w niej, wypuścił długie, nierówne westchnienie i przetoczył się na bok, zabierając ją ze sobą.

– Isabella – szepnął. – Och, Isabella, moja miłości.

Zatapiając się w miękkość łóżka, zdumiewał się tym, co właśnie mu dała, ona, jego delikatna, niedoświadczona kochanka. Zdumiewał się, jak rozpaczliwie ją kocha, i próbował odsunąć od siebie dławiący strach.

Przez jego życie przewinęły się niezliczone kochanki, lecz tym razem było inaczej.

Isabella była inna.

Isabelli nie dało się nikim zastąpić. Jeśli zniknie z jego życia, ono dobiegnie końca. Nie pozostanie mu nic więcej, jak tylko wychowywać dziecko i usiłować przetrwać lata dzielące go od śmierci.

Oczywiście, uświadamiał to sobie nie po raz pierwszy, lecz ta wiedza w minionych tygodniach zyskiwała stale na intensywności. Jej potęga nadal nim wstrząsała.

Przez jakiś czas drzemali, ona opleciona jego ramionami, potem się obudzili, żeby się całować, ocierać o siebie i szeptać, zanim ponownie zapadli w sen. O wiele później, w najciemniejszych godzinach nocy, przy zgaszonej lampie, omywani bladym, czystym blaskiem księżyca, obudzili się i kochali znowu jak tamtego ranka w Fulham; twarzą do siebie, dochodzili zatopieni każde w oczach tego drugiego. Poczuł, jak po raz kolejny wylewa się głęboko w niej – wlewa w nią serce i duszę – łokcie trzęsły mu się, kiedy pustoszyły go spazmy.

Obudził się, gdy na horyzoncie pojawiła się już sugestia brzasku, i uzmysłowił sobie, że jest zgubiony. Zatracił się w Isabelli, przy czym naprawdę istniało tylko jedno rozwiązanie. Wiedział to, nawet kiedy na wszystkie sposoby analizował ową możliwość. Niemniej teraz, kiedy jego potrzeba spaliła się na popiół, rozumiał, że nic z tego, co do niej czuł, nigdy się nie zmieni.

Odgarnął jej długie pasmo włosów za ramię. Ile już razy napełnił nasieniem jej łono? Dwakroć tej nocy. Raz wcześniej w tym tygodniu. Przedtem także kilkakrotnie uniknęli katastrofy.

Podejrzewał, że w takich chwilach przewagę zdobywa podświadomość. Pierwotny, samczy instynkt i egoizm brały w nim górę nad rozsądkiem.

Będzie musiał to naprawić.

Miał tylko nadzieję, że nie pogorszy sytuacji.

ROZDZIAŁ 17

Zamknięta w kokonie ciepła, Isabella poruszyła się przed świtem, przebudził ją dotyk kochanka. Odgarnąwszy jej pasmo włosów za ramię, Anthony otulił ją swym ciałem i ciężko położył dłoń na jej łonie. Przycisnął wargi do jej pleców, na co leniwie rozchyliła powieki.

Przez niezastłonięte okno dostrzegała nikły blask na horyzoncie. Przeciągnęła się, a wtedy powiódł wargami po łuku jej szyi.

– Uhm – mruknęła, oglądając się na niego. – Która godzina?

– Około piątej. – Pocałował ją znowu, odrobinę wyżej. Miętko, jakby melancholijnie, zataczał dłonią kręgi na jej brzuchu. – Odwróć się, kochana – wymamrotał w jej skórę. – Musimy porozmawiać.

Jej serce na moment zmyliło rytm, lecz spełniła prośbę, okręcając się w jego objęciach.

– Brzmi złowieszczo – stwierdziła, w mroku badając wzrokiem jego twarz. – O czym?

Czule założył jej za ucho luźny kosmyk.

– O różnych sprawach – odparł mgliście. – O pytaniach, które mi zadałaś. Wtedy przy strumieniu. Isabello, zależy mi na tobie. Bardzo. Wiesz o tym, prawda?

Położyła mu palec na wargach.

– Nie oczekuję takich słów – powiedziała. – One... komplikują sprawy.

– Słowa niczego nie komplikują – stwierdził z westchnieniem – ale ja być może to zrobiłem. Postępowałem nierozważnie. Raz za razem. Kiedy jestem z tobą, najwyraźniej zawsze tracę rozwagę.

Dopiero wtedy zrozumiała, do czego nawiązuje, i przeszył ją chłodny dreszcz niepewności.

– Wszystko będzie w porządku – oznajmiła. – Musi.

– Życie nie słucha rozkazów, Isabello, a jeżeli nosisz moje dziecko... – Urwał i pokręcił głową. – Będziemy musieli się pobrać. Może cię to przeraża. Nie wiem. Jeśli tak, przepraszam.

Otworzyła szeroko oczy.

– Tony, nie możesz mnie poślubić – powiedziała, przetaczając się na ramię. – Zastanów się, co sugerujesz. Ludzie będą plotkować. Fenster... nadal żyje, a jego ohydne insynuacje nie odeszły w zapomnienie. Ja zaś jestem nikim. Z wyboru. Wielkie nieba, prowadzę księgarnię.

– Daj spokój, sądzisz, że ludzkie gadanie cokolwiek mnie obchodzi? – spytał ostro. – Że jad Fenstera coś dla mnie znaczy? Wyjdiesz za mnie, nie zostawię ci wyboru.

Z sapnięciem irytacji przetoczyła się na plecy w miękkim łóżku.

– Tej nocy może i poczynałeś sobie ze mną niecznie, Tony, ale poza sypialnią nie waż się mnie zastraszać. Pożałujesz tego, obiecuję.

Delikatnie pogłaskał ją po twarzy.

– Nie kłóćmy się z powodu problemu, którego na razie nie mamy, co, kochana? – złagodził ton. – W przyszłości jednak... i nie mów, Isabello, że takiej nie mamy... w przyszłości obiecuję zachowywać większą ostrożność. Przecież nie jestem głupi. Wiem, jak nie począć dziecka. Mimo to samolubnie nie stawiałem twojego dobra na pierwszym miejscu.

Ponieważ nie wiedziała, co jeszcze rzec, Isabella przytuliła się do niego, składając mu policzek na piersi. Słyszała bicie jego serca, silne i pewne. On był silny i pewny. Zdążyła już pojąć, że jest kimś więcej niż tylko kuszącym – czy nawet udęczonym – kochankiem. Diabeł nakłaniał go do arogancji, gniewu i wstrętu do samego siebie, lecz miał również przy sobie anioła.

– Dziecko mnie nie zabije, Tony – uspokoiła go. – Myślisz, że nie rozumiem, iż tego właśnie się

obawiasz? Wiem, że nie chcesz mieć mnie na sumieniu. Ale jeśli zdarzy się najgorsze, przeżyję. Zawsze wychodzę cało z opresji. Nie jestem Felicity.

– Rzeczywiście, nie jesteś – odparł z przekonaniem – ponieważ ona była wątła, tobie zaś do tego daleko. Ale najgorsze, Isabello? Co jest najgorsze, tak się zastanawiam?

– Czasami odpowiedź poznajemy dopiero, kiedy dana rzecz się wydarzy – stwierdziła. Zdawał się rozważać jej słowa.

– Powiedziałaś kiedyś, że twoim zdaniem muszę siebie nienawidzić – wymamrotał, dociskając wargi do czubka jej głowy.

– Miałam na myśli jedynie tyle, że wydajesz się przepełniony goryczą – wyjaśniła. – Pomijając to, moje słowa były nieuprawnione.

– Ale być może miałaś słuszość – stwierdził. – Nie jestem pewien, kim pozwoliłem sobie się stać. Anne... Anne ciągle mnie strofuje.

– Ponieważ jej na tobie zależy – oznajmiła Isabella. – Cokolwiek wydarzyło się między wami dwojgiem, jesteś jej bardzo drogi. Widzę to.

Parsknął zduszonym śmiechem.

– Wczoraj wieczorem przestrzegła mnie, że powinienem się z tobą ożenić – powiedział. – Zagroziła, że jeśli ja cię nie poślubię, znajdzie innego chętnego. Spróbowałabyś zrobić coś takiego, skarbie? Poślubić innego?

Nie umknęło jej owo „spróbowałabyś”.

– Nie zamierzam poślubić nikogo – odrzekła z napięciem. – Jestem wdzięczna Anne za jej dobroć, lecz to nie podlega negocjacji.

– Zdecydowana zachować swoją księgarę, hm? – wymruczał, ocierając się wargami o jej brew.

– Jestem zdecydowana przetrwać i opiekować się siostrami – odparła. – Możemy pomówić o czym innym? Naprawdę nie chcę się kłócić, Tony. Nie po... minionej nocy. Nie po tym, czego razem doświadczyliśmy.

Przez jakiś czas po prostu leżał obok niej w milczeniu, z ramieniem założonym za głowę, a blask zbliżającego się świtu delikatnie podmalowywał jego surowy, męski profil. Isabella wręcz czuła, jak jego umysł pracuje, czuła ciężar niewypowiedzianych słów.

Usiadła, zapaliła lampę i przykręciła knot, zastanawiając się, co dalej zrobić lub rzec.

Po chwili się poruszył, jakby budził się ze snu.

– Mogę wobec tego odpowiedzieć na twoje pytanie? – odezwał się z dziwnym znużeniem w głosie. – To, które zadałaś mi kilka dni temu?

Obejrzała się na niego przez ramię.

– Kiedy pokłóciliśmy się o Anne?

Westchnął.

– Tak, ale to nie ze względu na Anne nie chciałem o tym mówić – rzekł. – Chodzi o to, jaki jestem, Isabello. O moje niewłaściwe osądy. Moje błędy. One... nie stawiają mnie w dobrym świetle.

– O – rzuciła cicho, wróciwszy do łóżka.

Odchrząknął.

– Wszystko to jednak ściśle wiąże się z tym, dlaczego Anne i ja się nie pobraliśmy – przyznał. – Jestem ci winien wyjaśnienie, Isabello. Wiem o tym. Masz prawo znać moją przeszłość. Ostrzegam jednak, to podła historia.

Podciągnęła przykrycia pod brodę.

– Anthony, czy byłeś niewierny Anne?

Wykrzywił usta w gorzkim grymasie.

– Zdefiniuj słowo „niewierny” – powiedział. – Nie traktowałem Anne tak, jak powinienem, to na pewno. Ale nie złamała mi serca, Isabello. Nie zrobiła tego.

Zawahała się krótko.

– Dziękuję – powiedziała na wydechu. – Dziękuję, że mi to mówisz.

– Och, ubodła moją męską dumę, zapewniam cię – dodał – lecz moje serce pozostało nietknięte.

– To ty jesteś dumny? Po raz pierwszy słyszę. Tak, Tony – ciągnęła poważniejszym tonem – chciałabym się dowiedzieć, co naprawdę zaszło.

Bardzo wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Nie chcę ci tego mówić, jeśli mam być szczery. Ale odmowa nie byłaby słuszna. Nie... pamiętając o tym, co nas łączy. Jednak prawda... moja rola w całej tej sprawie... no cóż, mogą cię zniesmaczyć. Grzechy zaniedbania, Isabello, potrafią czasami wyrządzić ogromną krzywdę, bez względu na to, jak bardzo będziemy się okłamywać.

Isabella się nie odzywała; nie nalegała, żeby mówić, ale też nie wybawiała go z opresji. Po minionej nocy towarzyszyło jej dziwaczne uczucie, że muszą załatwić tę sprawę – o cokolwiek chodziło – ponieważ ich związek minął punkt, skąd nie było już powrotu. Zanim jednak dobrowolnie runie z urwiska, musiała pojąć, co takiego zmieniło go w owego rozjuszonego, bliskiego upadku człowieka, którego poznała w Loughford.

„Jako chłopiec był przesłodki”, powiedziała swego czasu lady Petershaw. „Taki czarujący i miły... i niezmordowanie oddany swoim kochankom”.

Co się stało z tamtym słodkim, czarującym chłopcem? Co zaszło między Anthonym i Anne, że zawędrował w tak mroczne miejsce? Isabella wzięła głęboki oddech i spróbowała poskromić wyobraźnię.

Znowu pocałował jej włosy, ona zaś odprężyła się w jego ramionach. Odnosiła wrażenie, że nie chce patrzeć jej w oczy, trochę jakby spoglądał już w przeszłość.

Wreszcie odwrócił się ku niej.

– Tak, Anne i ja dorastaliśmy w przeświadczeniu, że pewnego dnia się zaręczymy – rzekł – i choć rzadko rozmawialiśmy na ten temat, nie czuliśmy się z tego powodu nieszczęśliwi. Byłem starszy od Anne, ale wiele nas łączyło. Opiekowałem się nią... i Dianą, odrobinę od niej starszą. Przez wiele lat żyłem, Isabello, zadowolony z tego, że znam swoją przyszłość i że kiedy tylko Anne dorośnie, zaręcę się z nią.

– Co takiego się wydarzyło, że to uległo zmianie?

– Diana – odparł. – Diana... się wydarzyła.

– Diana? – Isabella przekrzywiła głowę, żeby nań spojrzeć, a w jej pamięci odżył strzęp przekazanych jej przez lady Petershaw plotek. – Kolejna... kuzynka, czy tak?

– Ze strony ojca, nie matki – uzupełnił. – Choć traktowały ją jak członka rodziny, Anne, Gwen i Beę nie łączyły z nią więzy krwi. Ojciec Diany był naszym zarządcą, mieszkali w ładnym dworku w Loughford. Może go widziałaś, niedaleko bram od strony wsi?

Przytaknęła, szorując włosami o poduszkę.

– W pierwszej chwili myślałam, że to właśnie Loughford. Niewielu zarządców posiada tak okazałe domy.

– Był kuzynem ojca – podkreślił Hepplewood. – Edgar Jeffers. Edgar poznał moją guwernantkę... w zasadzie bardziej nianię, gdyż na guwernantkę byłem stanowczo za młody... i się pobrali. Jednakże trzy lata później umarła, Edgarowi zaś nie zależało na Dianie. Ojciec mówił, że chciał mieć syna. Zatem kiedy Diana była jeszcze całkiem mała, praktycznie zamieszkała z nami.

– Jak młodsza siostra?

– Właśnie – potwierdził. – Ale nigdy nie wydawała się w pełni szczęśliwa. Myślę, że dotkliwie odczuwała ambiwalencję swego ojca. W każdym razie mama, z błogosławieństwem ojca, wzięła Dianę pod swoje skrzydła, i w zasadzie ją wychowała.

– Jak się z tym czułeś? – sondowała delikatnie Isabella. – Byłeś zazdrosny?

– Nie, nigdy nie odnosiłem wrażenia, że zasoby miłości moich rodziców są ograniczone. – Pokręcił głową. – Cieszyłem się ze względu na Dianę. I... w gruncie rzeczy jej współczułem. Wszyscy jej współczuliśmy: Gwen, Anne i ja. Przez długie lata nie pojmowałem, jak bardzo nie znosiła tego współczucia ani też jak ogromnie się do mnie przywiązała. Całkiem jakby mama, ojciec i ja byliśmy wszystkim, co miała.

– Wygląda na to, że byliście – stwierdziła ponuro Isabella. – A jej ojciec wydaje się nieprzyjemnym typem.

– Był jedynie zgorzkniałym pijakiem – odparł. – W każdym razie, kiedy Diana miała może czternaście lat, Gwen zaczęła jej dokuczać opowieściami, że kiedyś poślubię Anne. Gwen zawsze potrafiła wyczuć czyjeś czułe punkty, a jej docinki doprowadziły Dianę do wybuchu. Popłakała się, a później przez dwa dni ukrywała w naszym rodzinnym apartamencie w Burlingame. Następnie przysłała do mnie i oznajmiła, że to ona chce za mnie wyjść... że umrze beze mnie... i spytała, czy przyjmę ją w miejsce Anne.

– O mój Boże – powiedziała Isabella.

– Sprawiała wrażenie zdesperowanej, jakby tonęła – ciągnął. – Powiedziałem jej, że zostałem przyrzeczony Anne, ona jednak należy do rodziny i zawsze tak będzie.

– Czy to ją uspokoiło?

– Może odrobinę – odparł – niemniej moi rodzice spostrzegli, co się dzieje, i odesłali mnie z domu na uniwersytet. Nienawidziłem nauki. Kochałem Loughford i chciałem jedynie nauczyć się, jak zarządzać posiadłością, gdyż już wtedy widziałem, że podupada pod nadzorem Edgara i przy zaniedbaniach mojego ojca.

– Twój ojciec był zajęty służbą narodowi.

– Tak, cóż, w tamtym czasie wszyscy uciekaliśmy się do tej wymówki – skomentował gorzko. – W każdym razie udało mi się doprowadzić do tego, że mnie wydalono... kwestia paru sprytnych sztuczek... ale mama po prostu kazała mi spędzić trochę czasu z ojcem przy Clarges Street. On jednak stale przesiadywał w Whitehall ewentualnie w pałacu. W Londynie zaś na znudzonego młodzieńca czekają przeróżne dekadenskie rozrywki.

– A jakże – mruknęła Isabella. – Ciekawe, co o tym myślała Anne?

– Anne nie opuściła jeszcze sali lekcyjnej – odparł, parszcząc szorstkim śmiechem – ja zaś również pobierałem nauki, tyle że w miejscach takich jak salon La Séductrice czy jaskinie hazardu. Chyba wyobrażałem sobie, że dobroć Anne ostatecznie ocali mnie przed samym sobą.

– Łaskawe nieba... – Najwyraźniej wszystko, co powiedziała Isabelli lady Petershaw, odpowiadało prawdzie.

– Anne wkrótce osiągnęła stosowny wiek – ciągnął – ale jej matka niedomagała, toteż poproszono moją mamę o zajęcie się jej debiutem. W przekonaniu, że debiut Anne stanowi czystą formalność poprzedzającą nasz ślub, mama zdecydowała się wprowadzić do towarzystwa także Dianę, choć ona miała już wtedy około dziewiętnastu lat. Ojciec ustanowił dla niej posag w wysokości dwudziestu tysięcy, jednak Diana przez dwa kolejne lata odmawiała debiutu.

– Bo... co? Czekala na ciebie?

Wzruszył ramionami.

– Tak przypuszczam – rzekł – lecz tym razem mama nie zostawiła jej wyboru. Tak więc znaleźliśmy się wszyscy przy Clarges Street, przy czym Anne i Dianę ciągnano z jednego balu na drugi, ja zaś krążyłem po

obrzeżach, starając się prezentować jak układny przyszyły narzeczony.

– Jakie to było doświadczenie?

– Koszmarne – oświadczył. – Sir Philip Keaton skwapliwie rezerwował wszystkie walce z Anne i słał mi paskudne spojrzenia, ilekroć nasze ścieżki się przecinały. Pewnej nocy na Pall Mall pchnął mnie na drzwi klubu Athenaeum, podduśił laską i oznajmił, że jestem darmozjadem i rozpustnikiem, niegodnym całować ubłoconych rąbeków spódnic Anne... co bez wątpienia było prawdą, niemniej za tę bezczelność rozkwaśliłem mu nos, a później złamałem mu tę przeklętą laskę na głowie. Anne zaś, trzeba jej to przyznać, ciągle mówiła o naszym małżeństwie, jakby chodziło o rzecz postanowioną.

– Spodziewam się jednak, że Diana tego nie robiła?

– Nie – mruknął. – Podpierała ściany, odmawiając każdemu mężczyźnie, który do niej podchodził. Zaczęła mi się narzucać, czego Anne nigdy nie robiła. Byłem próżny, schlebiało mi to, a przy tym nie mogłem znieść myśli, że miałbym ją skrzywdzić. Aż pewnej nocy Anne weszła do salonu i zobaczyła, jak się całujemy... ja tego nie zacząłem, ale ogromnie się zaangażowałem w doprowadzenie sprawy do końca... i zwyczajnie coś w niej pękło. Życzyła mi, żebym się smażył w piekle, a potem wyciągnęła mamę z łóżka i oświadczyła, że przyjmuje starania sir Philipa Keatona.

– Jak się czułeś?

– Zdruzgotany – odparł. – Zawstydzony. Jakbym zawiódł Anne. Ona wszakże... jakby wreszcie odzyskała wolność. Uwolniła się od cudzych oczekiwań. Mogła swobodnie zapolować na mężczyznę, który pasował do niej o wiele lepiej niż ja, choćbym bardzo się starał. Była... szczęśliwa.

– A Diana?

– Tydzień później powiedziałem „Tak” – odrzekł. – Czemu nie? Anne mnie porzuciła, praktycznie nie oglądając się za siebie, a moja młodzieńcza duma dotkliwie ucierpiała.

– Och, biedaczek – rzuciła kąśliwie Isabella.

– Tak, tak, wiem. – Przewrócił oczami. – Porywczy młokos, nawykły do tego, że kobiety się za nim uganiają. Niemniej dopóki wszystko nie poszło w diabły... czy też dopóki nie udało mi się posłać wszystkiego w diabły... chciałem jedynie się ustatkować. Chciałem się ożenić i osiąść w Loughford. Toteż poszedłem do mamy i oznajmiłem jej, że sprawa jest ustalona.

– Że co jest ustalone?

– Oznajmiłem jej, że Diana albo żadna. Że Diana mnie potrzebuje, ja zaś ją kocham i chcę, żeby była szczęśliwa. No i niby czemu nie ona? Dziedzic musi się ożenić, ciągle mi to powtarzano. Zatem po wielkiej kłótni wokół tego, że Diana nie jest dla mnie dość dobra, mama ustąpiła, poszła do ojca i obwieściła, że skończyły jej się pomysły, jak utrzymać nas z dala od siebie, toteż trzeba wyrazić zgodę na ślub.

– Ale twój ojciec odmówił?

– Z wielką zawziętością.

– Dlaczego?

– Po prostu oświadczył, że nic z tego – odparł. – Mama była jednak przekonana, i miała rację, że postawiłem ultimatum na poważnie. Nieubłaganie nastawała na ojca, aż pewnego dnia doszło do awantury. Mama wyszła z jego gabinetu z szaleństwem w oczach, rzuciła mi kilka paskudnych słów, a później zamknęła się w swoim pokoju i zaczęła zawodzić... co nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło.

– Dobry Boże – powiedziała Isabella. – Co się stało potem?

Wzruszył słabo ramionami.

– Zasadniczo nic – stwierdził. – Spędziłem parę lat, łajdacząc się, uprawiając hazard i nurzając się w rozwiązłości, a Dianę zdegradowano do roli starej panny, dotrzymującej mamie towarzystwa w Burlingame. Ojciec Diany nadal pił. Mój ojciec nadal zajmował się polityką. Loughford nadal

marniało. Aż wreszcie pewnego dnia ojciec zmarł. I nagle stałem się lordem Hepplewoodem. Philip musiał mnie wyciągać z burdelu w Covent Garden, żeby mi powiedzieć, że ojciec znalazł się na łożu śmierci. Zabawne przeżycie.

– Ja bym powiedziała, że tragiczne.

– Tak czy owak, mama oznajmiła, że jeśli prędko nie ożenię się dla pieniędzy, Loughford przepadnie. Poczuję się urażony, że obnosi się mnie jak jakąś matrymonialną zdobycz, toteż żeby zrobić jej na złość, zdecydowałem się na córkę przemysłowca ze środkowej Anglii, bardzo nieokrzesanego człowieka, który byłby w stanie wykupić Manchester.

– Felicity – mruknęła Isabella.

– Tak – potwierdził. – Następnie zaciągnąłem ją do Burlingame, gdzie cała rodzina zebrała się, by celebrować zaręczyny mojego kuzyna Roydena, i przeparadowałem z nią przed wszystkimi. Och, a także uwiodłem ją i wpędziłem w ciążę. Właśnie, czy wspomniałem, że była przyjaciółką Anne? Tak się poznaliśmy. – W jego głosie wstręt do samego siebie mieszał się z sarkazmem.

– Jak Diana to przyjęła?

Zawahał się.

– Bardzo źle – szepnął w końcu. – Podstępem zwabiła Felicity do obserwatorium na wieży i próbowała biedaczkę stamtąd zepchnąć. Aż do tego momentu sądziliśmy wszyscy, że Diana jest zaledwie skupiona na sobie i nieco dziwna. Okazało się, że była kompletnie szalona. Tamtego dnia światło dzienne ujrzało wiele paskudnych rzeczy. To było przerażające.

– Dobry Boże – powiedziała Isabella. – Czy... czy Diana trafiła do więzienia?

Pokręcił głową.

– Nie, Royden miał wpływy w Home Office i zatuszował sprawę – odparł. – Felicity porzuciła mnie przerażona i umknęła do domu, do ojca. Gwen wywiozła Dianę do szpitala dla umysłowo chorych we Francji, gdzie nieszczęsna marniała aż do dnia, gdy dwa lata temu zabrała ją cholera.

Isabella przez długi czas leżała w całkowitym bezruchu.

– Okropna historia – odezwała się wreszcie. – Nic dziwnego, że nie chciałeś o tym mówić. Nie musiałeś... opowiadać mi wszystkiego, wiesz?

– Czuję, że muszę – odparł z napięciem w głosie. – Ale jeszcze tego nie zrobiłem. Nie powiedziałem ci, że to ja ponoszę winę za szaleństwo Diany. Że miałem w ręku środki, by... by jej pomóc, lecz z nich nie skorzystałem. Pozostałem bierny. To przeze mnie oszalała.

– Nie ma mowy, Anthony, żebyś ponosił winę za poczynania Diany – oznajmiła kategorycznie. – Nie zbałamuciłeś jej. Byłeś dobrym synem, a kiedy twoi rodzice odmówili zgody na ślub, zaakceptowałeś ich decyzję i trzymałeś się od Diany z daleka.

Zaśmiał się.

– Och, Isabello, jesteś taka naiwna – stwierdził. – Byłem złym synem i nicponiem, poślubiłbym ją, żeby zrobić im na złość. Kochała mnie, a po tym, jak mnie ściagała przez prawie dekadę, mocno jej pożałowałem.

Isabella zmarszczyła brwi.

– Ale się z nią nie ożeniłeś.

– Nie, ponieważ nie mogłem – odparł. – Z powodu tego, co ojciec powiedział mamie, nim z płaczem zamknęła się w pokoju.

– Tak? Czyli?

– Wyznał mamie prawdę, którą ukrywał przez blisko dwadzieścia lat – rzekł. – Że Jane, moja dawna guwernantka, była jego kochanką. Oraz że Diana, widzisz, to tak naprawdę moja przyrodnia siostra.

Coś w Isabelli zamarło w całkowitym bezruchu.

– Co takiego?

Wziął długi oddech, żeby się uspokoić.

– Ojciec zrobił Jane dziecko – powiedział – zmanipulował więc Edgara, by ją poślubił. Tym sposobem Edgar zdobył pozycję i wspaniały dom w Loughford. Był zawodowym rogiaczem.

Isabelli zrobiło się raptem niedobrze. Uwidoczniło się to chyba na jej twarzy.

– Czujesz wstręt – wyszeptał Hepplewood.

– Nie... nie wstręt, Tony – odszepnęła. – Smutek.

– Czy istnieje coś bardziej odrażającego od mężczyzny, który całuje własną siostrę, a nawet rozważa seks z nią? – Brzmiało to, jakby mówił raczej do siebie niż do niej. – Jak można odczuwać tego rodzaju pociąg? W kółko zadaję sobie to pytanie. Jak mogłem nie wiedzieć? A gdyby ojciec mnie nie powstrzymał?

– Nie mogłeś wiedzieć – oznajmiła gwałtownie – i w tym właśnie rzecz. Okłamano cię.

Pokręcił głową.

– Mój ojciec zachował się karygodnie, lecz ja niewiele lepiej. Ukrył kochankę pod nosem żony, ja zaś, nawet po jego śmierci, dochowywałem podłego sekretu, żeby udobruchać matkę. Przez lata zabraniała mi wyjawiać Dianie prawdę, przekonana, że wieść wydostałaby się na zewnątrz i uczyniła pośmiewisko z jej małżeństwa.

– Ależ, dobry Boże, Diana miała prawo wiedzieć, kto jest jej ojcem – wymamrotała Isabella.

– Miała też prawo wiedzieć, dlaczego ją odepchnąłem – szepnął. – Tysiące razy błagałem ich, żeby wszystko jej wyjaśnili; nieomal czułem, jak rozrasta się w niej mrok. Och, ojciec, na swój dwuznaczny sposób, troszczył się o Dianę i podstępem nakłonił matkę do współdziałania, lecz dobra materialne nie wystarczą, żeby dziecko poczuło się kochane.

– Posag nie wzbudził podejrzeń?

– Zapewne powinien – odparł cicho. – Nie opływaliśmy w gotówkę. Wszyscy wiedzieli, że Diana jest ulubienicą ojca... to znaczy bardziej niż Anne czy Gwen... ale postępował ostrożnie, zresztą z piekielnie dobrego powodu. Niemniej ukrywanie prawdy było złe, a ja o tym wiedziałem. Okazałem się jednak słaby. Nie mogłem znieść łez mamy. Było to okrutne wobec Diany. Przyprawiło ją o szaleństwo... i o włos nie doprowadziło do śmierci niewinnej osoby.

– Kochałeś ją? – szepnęła Isabella. – Dianę?

Zawahał się.

– Jakże mógłbym jej nie kochać? Była piękna i krucha, a przy tym mnie potrzebowała. Wierzyła, że ma tylko mnie.

– A twoja matka?

– Moja matka z lubością uprawiała wobec Diany słynne: „Szlachectwo zobowiązuje” – odparł – kiedy jednak poznała sekret ojca, zaczęła na mniej lub bardziej czytelne sposoby dawać jej do zrozumienia, że uważa ją za coś gorszego. Była skończoną snobką ta moja matka. Nie odważyła się wszakże powiedzieć Dianie prawdy i ją odesłać.

– Boże, ależ zagmatwana historia.

Isabella odgarnęła włosy z czoła, zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszała. W pokoju zapadła cisza, lecz za oknem szybko wstawał ranek, a wraz z nim narastały ptasie trele.

Właśnie wtedy w ścianie za wezłowiem dał się słyszeć wytłumiony rumor. Isabella usiadła gwałtownie.

– Okna jadalni – szepnęła. – Widocznie pani Yardley już przyszła.

– Niech to diabli! – zaklął pod nosem Hepplewood. – Isabello, czy to... ta paskudna sprawa... odgrodzi nas od siebie?

Puściła przykrycia, szukając w myślach odpowiednich słów.

Na dole coś zaszurało; może przesuwane krzesło.

Westchnął.

– Nie, lepiej już pójde – rzekł. – Zejdiesz na śniadanie?

Popatrzyła na niego dziwnie.

– Oczywiście – odparła. – Dlaczego miałabym nie zejść?

– Nie wiem. – Wyglądał na zmęczonego i zagniewanego, kiedy odrzucił pościel. Przez chwilę siedział na skraju łóżka, wsparty łokciami o kolana, a układ mięśni na jego plecach sugerował napięcie. – Może czujesz obecnie głęboką odrazę do mnie i całej mojej rodziny. Isabella, jest tak?

– Nie. – Pokręciła głową, lecz wtedy w pokoju pod nimi zazgrzytało kolejne otwierane okno. – Anthony, idź – rzuciła, popychając go lekko – zanim Lissie przyjdzie cię zbudzić. Masz rację, to była tragiczna, okropna historia. Ale niesprawiedliwie znalazłeś się między młotem a kowadłem. Teraz nie ma już sensu tego żałować.

– W tej konkretnej chwili? – spytał, nachylając się, żeby porwać z podłogi kalesony. – Nie, będę miał na to mnóstwo czasu później. Przez resztę życia.

ROZDZIAŁ 18

Niezdolna całkowicie wyrzucić z myśli tragicznej historii Diany Jeffers, Isabella machinalnie wykapała się i ubrała, a następnie pospieszyła korytarzem do pokoju dziewczynek, jak robiła to każdego ranka tuż po szóstej.

Ponieważ jednak czuła się troszkę obolała po nocnych wyczynach – i to w więcej niż paru miejscach – guzdrała się przy ablucjach. Kiedy weszła do dziewczynek, Caroline i Jemima zakładały już buty, a Lissie nie było nigdzie widać. Zapewne pobiegła obudzić ojca, jak to miała w zwyczaju.

Niania Seawell pomagała Georginie się ubrać.

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry, pani Seawell.

– Bello, popatrz! – powiedziała dziewczynka z oczami jak spodki. – Pikiel spał dzisiaj w domku dla lalek. Caroline zrobiła mu legowisko.

Isabella nachyliła się, żeby spojrzeć na drewnianego psa, opatulonego pończochą i ułożonego we wzbudzającym taki zachwyt domku dla lalek.

– Jak sprytnie!

Georgina zsunęła się z kolan niani, ubrana na wypad na zewnątrz.

– Dziękuję, nianiu – powiedziała, wylądowawszy lekko na nogach.

Isabella przyznała w duchu, że Hepplewood podarował jej wspaniały prezent: szansę ujrzenia dziewczynek dokazujących z rówieśnikami na wsi, z dala od zadymionych, tłocznych londyńskich ulic. Szansę, by się odprężyć, daleko od wścibskich spojrzeń Everetta i robionych przezeń przykrości.

Szansę, by poznać prawdę. Zerknąć za zasłonę skrywającą przeszłość jego rodziny i ujrzeć młodzieńca, jakim niegdyś był; zepsutego i aroganckiego, owszem, lecz zarazem tak desperacko, szczerze ludzkiego.

Jednakże nie mogła długo pozostać w Greenwood, podobnie jak nie mogła dalej dryfować bez celu. Powiedziała sobie, że jest po prostu wykluczone, by wzięła pod rozwagę szalony pomysł Hepplewooda. Złożył tę propozycję w akcie dżentelmeńskiego poświęcenia; rozpaczliwe rozwiązanie na wypadek rozpaczliwej sytuacji, Isabella zaś potrafiła docenić ów gest. Jeżeli wszakże nie okaże się, że jest w ciąży...

– Pani Aldridge? Coś nie w porządku?

Isabella uzmysłowiła sobie, że położyła dłoń na brzuchu, a niania Seawell patrzy na nią dziwnie.

– Myślałam właśnie – rzekła Isabella, opuszczając rękę – jak to miło z pani strony, że pomaga pani moim siostram, i jaki cudowny tydzień tu spędziłyśmy.

– Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani – odparła niania, ale nadal taksowała Isabellę wzrokiem.

Isabella odsunęła od siebie to zmartwienie i uklękła, żeby spojrzeć na młodszą siostrę.

– Georgie, chcesz zjeść na dole? – spytała. – Ale wtedy musisz grzecznie się zachowywać. Czy wolisz tutaj?

– Tutaj – odparła prędko dziewczynka. – Lissie zaraz wraca. Będziemy nurzać pasiaste tosty w ciapowatych jajkach.

– Aha – powiedziała Isabella, puszczając oko do niani Seawell. – Nie śmiałabym temu przeszkodzić. W takim razie zejdem na dół. Jemmo?

Dziewczynka zerknęła na Caroline i obie się rozchichotały.

– Możemy także dostać pasiaste tosty? – zdołała w końcu wykrztusić.

– Dobry wybór – stwierdziła z uśmiechem Isabella. – Spożyję więc sama moje nudne śniadanie w postaci zwykłych tostów i zwykłych jajek.

Jednakże nie jadła sama; Anne dotarła na dół przed nią i akurat napełniała talerz przy kredensie. Hepplewood wszedł do jadalni minutę po Isabelli i natychmiast obrał kurs na kawę.

– Dzień dobry, Anne, pani Aldridge – rzekł, posyłając Isabelli wymowne spojrzenie, kiedy ją mijał. – Ufam, że dobrze panie spały?

– Dziękuję, tak – wymamrotała Isabella, poruszając się z niejaką ostrożnością.

– Jak zabita, a teraz umieram z głodu. – Nieświadoma niczego Anne nałożyła sobie pasek bekonu i wróciła na miejsce. – O właśnie, Tony, napisałam list do Gwen. Wyślesz go?

Odwrócił się od kredensu, żeby odstawić dzbanek z kawą.

– Oczywiście – rzekł i odsunął dla kuzynki krzesło. – Co wy dwie knujecie tym razem?

Anne uśmiechnęła do niego i usiadła.

– Nic, absolutnie.

– Zamierzam później jechać do wsi – powiedział w rozkojarzeniu. – Po prostu zostaw list na stoliku w holu.

– Jakież plany na dzisiaj, Isabello? – spytała Anne, rozgrzebując jedzenie. – Myślałam, żebyśmy wspięli się na to strome wzgórze za chatą Yardleya i urządzili sobie piknik po drugiej stronie. Ładnie tam, Tony?

– Bardzo, ale zbyt stromo, żebyś ryzykowała wspinaczkę. – Odsunął krzesło dla Isabelli, być może nieco zbyt długo podtrzymując ją za łokieć, kiedy siadała. – Zawiozę cię, jeśli sobie życzysz.

– Zapowiada się przyjemny spacer – odparła Anne. – Co o tym sądzisz, Isabello?

– Wykluczone – oznajmił bardziej stanowczo Hepplewood. – Zbocze jest zbyt strome, a tobie już nie tak wiele brakuje do rozwiązania.

– Ależ z ciebie dyktator, Tony! – Niemniej Anne została chyba nieco utemperowana. – Świetnie. Inni się przejdą, a ty możesz wziąć ze stajni te dwa wielkie szajry Yardleya, żeby mnie wciągnęły na górę.

– Wydaje mi się, że jeszcze przez jakiś miesiąc zwykłe konie zaprzęgowe dadzą radę, skarbie. – Hepplewood zajął krzesło naprzeciw Isabelli, obserwując ją czujnie.

Isabella wzięła głęboki oddech; nienawidziła tego, co musiała powiedzieć.

– W zasadzie, jeśli nie masz nic przeciw, Anne, powinnam zacząć szykować się do powrotu – oznajmiła, z niezręcznym brzękiem odkładając widelec na skraj talerza. – Dręczy mnie poczucie winy, że zanedbuję sklep. Muszę napisać do pani Barbour, żeby nas oczekiwała.

– O nie! – stropiła się Anne. – Dzieci tak dobrze się bawią.

– Nie mówię, że musimy jechać dzisiaj czy nawet jutro – uzupełniła Isabella, po czym spojrzała pytająco na Hepplewooda. – Myślałam o środzie albo czwartku. Czy byłby pan tak miły i poczynił stosowne ustalenia?

Przez jego twarz przemknął mroczny, nieszczęśliwy wyraz.

– Oczywiście, ale...

W tejże chwili w drzwiach jadalni ukazała się drobna postać, jedna z dziewcząt ze wsi, które od czasu do czasu przychodziły pomóc pani Yardley.

– Bardzo przepraszam, milordzie – powiedziała, dygnawszy. – Pan Cosley z gospody przysłał pańskiego „Timesa” i pocztę.

– Jak miło, że przynosisz je z samego rana – rzekł, sygnalizując gestem, by dziewczyna położyła gazetę i listy.

Zapłoniona, zostawiła je na stole obok niego, dygnęła ponownie i wycofała się z taką rewerencją, jakby uczestniczyła w audiencji u królowej.

– Komuś gazetę? – spytał Hepplewood, przesuwając „Timesa” po stole, podczas gdy sam przeglądał korespondencję.

– Tak, z chęcią sprawdzę, co tam słyhać w Izbie Gmin – obwieściła Anne. – Dziwi mnie, że są w stanie funkcjonować, kiedy nie pociągają za sznurki.

Jednakże Hepplewood zamarł nagle w skupieniu. Jakby w ogóle nie usłyszał Anne, wyjął jeden list z pliku, pozostałe rzucając na gazetę, i rozerwał go gwałtownie.

– Wielkie nieba, co się stało? – spytała Anne, nachylając się nad talerzem, żeby spojrzeć na kuzyna. – Ktoś umarł?

Hrabia pędził wzrokiem po linijkach. Zdawał się nieświadom pytania. Jednym ruchem złożył list i odepchnął krzesło.

– Przepraszam panie – rzekł z marsową miną. – Pilna sprawa. Muszę natychmiast posłać Jervisowi wiadomość. Anne, możesz przynieść swój list na dół nie później niż za dziesięć minut?

Wzruszyła ramionami.

– Och, nieważne – oznajmiła. – Zajmij się swoim kryzysem.

Lecz zwracała się już do pleców kuzyna, gdyż Hepplewood właśnie wychodził z pokoju.

– Czyżby jakieś problemy w Loughford? – wymamrotała Anne, jakby do siebie.

Potem znowu wzruszyła ramionami, zaatakowała jajka na swoim talerzu i podjęła gawędę o dzieciach, czemu oddawała się zwykle przy śniadaniu.

Isabella mechanicznie udzielała odpowiedzi, lecz myślami przebywała gdzie indziej. Po jakimś czasie Anne to wyczuła. Odchyliła się na oparcie krzesła, wyraźnie zaciekawiona.

– Zastanawiam się, co się dzieje – odezwała się w zadumie. – Orientujesz się, co było w tym liście?

– Nie mam pojęcia. – Isabella otworzyła szeroko oczy. – Skądże miałabym wiedzieć?

– Wyszedł, jakby się paliło – stwierdziła niespokojnie Anne. – Wiem, że ma lekką obsesję na punkcie Loughford, ale wyglądał na... zatroskanego.

– Jeśli tak się martwi o Loughford, dlaczego woli to miejsce? – zagadnęła Isabella, wpatrując się w puste krzesło.

– Smutne wspomnienia – odparła neutralnym tonem Anne. – Wszyscy jakieś mamy, prawda?

Istotnie, pomyślała Isabella.

– Mówisz o jego zmarłej żonie? – spytała.

– Cóż, między innymi – odpowiedziała Anne. – Po narodzinach Lissie rzędy w Loughford objęła ciocia Hepplewood, a ona potrafiła zaleźć człowiekowi za skórę. Co do wuja Hepplewooda, był wielkim mężem stanu, ale nie jestem pewna, czy takim wspaniałym ojcem. Albo dobrym mężem.

– Rozumiem, że Felicity była twoją przyjaciółką? – wymamrotała Isabella.

– Czyli Tony ci o tym wspomniał? – spytała miękko Anne. – Tak, bardzo się przyjaźniłyśmy. Jej ojciec wspierał jedną z politycznych kampanii Philipa, był ogromnie bogaty. Trochę wulgarny, niemniej serce miał na właściwym miejscu. Zaprosiłam go na imprezę charytatywną i tam poznałam Felicity.

– Mogę spytać, jaka ona była? – dociekała Isabella. – Jeśli nie uznasz tego za impertynencję?

– Cudowna – odparła Anne. – Oczytana, wykształcona, pięknie śpiewała. Tony ją oczarował, naturalnie, w tamtym czasie kobiety za nim szalały, ale go nie kochała. Mimo to myślę, że gdyby wypadki nie potoczyły się tak potwornie, mogliby w końcu się pokochać. Wiem, że on zamierzał spróbować.

Isabella poczuła, że się rumieni.

Anne popatrzyła na nią pytająco.

– Isabella, moja droga, dobrze się dziś czujesz? – zaniepokoiła się. – Wydajesz się... jakaś inna.

– Naprawdę? Przypuszczam, że to na myśl o tym, jak smutno mi będzie opuszczać takie piękne i spokojne miejsce.

– Och, bzdura. – Spojrzenie Anne nabrało ostrości. – Cokolwiek cię trapi, uważam, że powinnaś mi powiedzieć; domyślam się zresztą, w czym rzecz. Ale gadam po próżnicy, czyż nie? Jesteś uosobieniem dyskrecji.

Isabella uśmiechnęła się blado.

– Moje problemy są nad wyraz przyziemnej i dokuczliwej natury – odparła. – Nie zanudzałabym nimi nowej i tak miłej przyjaciółki.

– Ależ od czego są przyjaciele, moja droga, nieistotne, nowi czy starzy?

Przez chwilę Isabella w zadumie bawiła się jedzeniem. Zgodnie z niepisanymi zasadami kobiecych pogaduszek każda strona czegoś się dowiadywała, a później ujawniała coś w zamian.

Co więcej, z pewnością nie był to pierwszy raz, kiedy Anne zachęcała ją, jakkolwiek subtelnie, do rozmowy o Hepplewoodzie. Ewidentnie zastanawiała się, dlaczego kuzyn przywiózł tutaj Isabellę – czy też, ściślej, dlaczego przywiózł ją tutaj wraz z całą świtą zamiast samą, jak najwyraźniej zwykł postępować z kobietami.

Miniona noc poruszyła w Isabelli nieznaną jej wcześniej głębię emocji, rozbudziła też palącą ciekawość. Tak beznadziejnie zakochała się w Hepplewoodzie, że sama myśl o tym, iż miałyby całkowicie z niego zrezygnować, przepełniała ją smutkiem.

Skoro zaś decydowała się na powrót do Londynu – a tu nie miała wielkiego wyboru – rychło straci sposobność, żeby dowiedzieć się czegoś od Anne.

Ale czego? I z jakim skutkiem?

– No dalej, Isabello, wyrzuć to z siebie – zachęciła cicho Anne. – Coś się wydarzyło.

Isabella pokręciła głową i wbiła wzrok w jedzenie, którego prawie nie tknęła.

– Nic – odparła. – Zastanawiam się po prostu nad przeszłością twojego kuzyna. Obecnie trudno go nazwać czarującym, prawda? Jest... Właściwie nie wiem, jak to ująć.

Anne na moment zasznurowała usta.

– No cóż, pozwól, że spytam o jedno – odezwała się. – Co Tony opowiedział ci o swojej przeszłości?

Isabella zmusiła się do śmiechu.

– Domyślam się, że większa część tej opowieści nie nadaje się dla uszu damy – odparła lekkim tonem.

– Ale z pewnością wyjawiał mi to, co powinnam wiedzieć.

Anne zareagowała uśmiechem i przez chwilę bawiła się leżącą na spodku łyżeczką.

– Czyli powiedział ci, że on i ja byliśmy kiedyś nieformalnie zaręczeni? – spytała. – Wieki temu, oczywiście.

– W zasadzie usłyszałam o tym najpierw od lady Petershaw – odparła Isabella. – Nie żebym uważała wtedy, że to moja sprawa. Nadal nic mi do tego. Widzę jednak, że wy dwoje jesteście sobie bardzo bliscy.

Anne zdawała się lekko dotknięta.

– Ale nie w ten sposób, moja droga – rzekła prędko. – Jesteśmy bliscy jak kuzyni. Prawie jak brat i siostra.

Isabella przytaknęła.

– Rozumiem, Anne, naprawdę.

– To dobrze. – Anne zamilkła na uderzenie serca. – W każdym razie cieszę się, że Tony zaprosił nas tutaj na te krótkie wakacje. Cieszę się, że odnowiliśmy znajomość, Isabello. Liczę, że bez względu na rozwój wydarzeń pozostaniemy przyjaciółkami.

– Rozwój wydarzeń?

– Bez względu na to, co zajdzie między tobą a Tonym – doprecyzowała Anne. – Rodzina Aldridge’ów cię zawiodła i jest mi z tego powodu bardzo przykro. Mam nadzieję, że teraz utrzymamy naszą przyjaźń. Może zajrzałaś na jeden z moich wieczorków politycznych?

Isabella pokręciła głową.

– Sprzedają obecnie książki, Anne – powiedziała. – Z pewnością ludzie pokroju tych, których musisz zabawiać na swoich salonach, nie byłiby zainteresowani sklepikarką z Knightsbridge.

Anne, trzeba jej to przyznać, nie zaprzeczyła.

– Ich strata, moja droga, lecz ja takiej nie poniosę, zamierzam bowiem pielęgnować naszą przyjaźń – oznajmiła beztrąsko. – Skoro więc nie mogę włączyć cię do mojego życia, czy wolno mi wściubić nos w twoje? Przed wyjazdem z Londynu Tony napomknął, że miałas problemy ze swoim kuzynem, lordem Taffordem.

Isabella naprawdę nie życzyła sobie o tym myśleć, a tym bardziej rozmawiać. Niemniej Anne kierowały dobre intencje.

– Tak, mój kuzyn zasugerował, że życzy sobie, by Georgina i Jemima z nim zamieszkały – wyznała, opuszczając wzrok na podolek. – W rzeczy samej, zasugerował, że może spróbować mi je zabrać.

– Dobry Boże! – Oczy Anne rozszerzyły się ze zdumienia. – I oczekuje, że coś takiego ujdzie mu płazem?

Isabella westchnęła.

– Jest opiekunem prawnym Georginy – powiedziała – zatem, technicznie rzecz biorąc, może mu się udać. Jednak do niedawna nie przejawiał najmniejszego zainteresowania dziewczynkami.

– Wobec tego ani chybi chodzi o pieniądze – zawyrokowała Anne, zwężając oczy. – W przypadku mężczyzn pokroju Tafforda zawsze o nie chodzi... Wybacz, zdaję sobie sprawę, że jest twoim kuzynem, ale to powszechnie znany łajdak. Najwidoczniej twój ojciec zostawił dziecku coś, o czym nie wiesz.

Isabella pokręciła głową.

– Ojciec nie posiadał niczego, co nie wchodziłoby w skład ordynacji... a to obejmowało tylko Thornhill z ciekącym dachem i wałącymi się stajniami.

– O – powiedziała Anne. – Cóż, na pewno orientujesz się w temacie lepiej ode mnie.

– W każdym razie – podjęła Isabella, z brzękiem odstawiwszy filiżankę na spodek – z tego powodu twój kuzyn przywiózł nas tutaj. Po prostu... żeby dać mi trochę wytchnienia i zabrać dziewczynki poza zasięg Everetta. To wszystko, Anne. Po tym wyjeździe pozostanie między nami jedynie uprzejmość.

– I ponownie, moja droga, orientujesz się w temacie lepiej ode mnie – powtórzyła Anne. – Widzę jednak, że przeze mnie się wzburzyłaś, a nie taki miałam zamiar. Daj, doleję ci kawy.

– Dziękuję – powiedziała Isabella, śledząc spojrzeniem Anne, kiedy ta szła do kredensu.

Anne przechyliła dzbanek, kierując pełen gracji strumień do filiżanki.

– Czy mój kuzyn mówił ci, Isabello, dlaczego on i ja się nie pobraliśmy? – spytała lekkim tonem.

– Z pewnością nie jest to moja sprawa – odparła Isabella.

Anne roześmiała się i postawiła przed nią kawę.

– Nieźle! – oznajmiła. – Ale mówił ci?

– Powiedział, że zakochałaś się w sir Philipie – odparła wymijająco Isabella.

– I...? – Anne ociężale opadła z powrotem na krzesło, po czym wygładziła na brzuchu luźną suknię. – Błagam, nie mów, że zrzucił na mnie całą winę za fiasko sprawy i zasugerował, że byłam niestała!

– Nie. – Isabella wbiła wzrok w obrus. – Nie, przyznał, że to on taki był. I opowiedział mi o Dianie. Oraz o... strasznych rzeczach, które się wydarzyły. Nikomu tego nie powtórzę, oczywiście.

Anne lekceważąco machnęła ręką.

– Niewiele mnie obejdziesz, jeśli to zrobisz – oświadczyła. – Diana nie żyje, niech Bóg ma w opiece jej

duszę, a ciocia Hepplewood odeszła do lepszego świata.

– Nie lubiłaś jej – wypaliła Isabella. – To znaczy Diany. Przepraszam, nie wypadło to dobrze.

– Istotnie chyba nie lubiłam Diany – odparła w zadumie Anne. – Ciocię Hepplewood można uznać za wytwór jej pokolenia i klasy. Natomiast Diana była zawsze... cichą intrygantką. Gardzę ludźmi podstępnyimi. Wolę już osoby otwarcie skorumpowane, które się z tym przede mną nie kryją.

Isabellę zszokowała zaciekłość Anne.

– Wybacz – bąknęła – ale do tej pory odnosiłam wrażenie, że ona była... w pewnym sensie rozbita.

– Miała totalnego bzika, jeśli do tego nawiązujesz – odparła cierpko Anne. – To jednak nie wyklucza intryganctwa, prawda?

– Cóż, nie – przyznała Isabella.

– Tony zawsze był ślepy, kiedy chodziło o Dianę... a ona potrafiła to wykorzystać. Ta bałamutka niemalże zrujnowała mu życie, tymczasem on ciągle zмага się ze smutkiem i z poczuciem winy.

– Wydaje się jednak, że miała ciężkie życie – zauważyła Isabella.

– Tak, cóż, a czyje takie nie jest, przynajmniej na pewnym etapie? – Anne zapaliła się do tematu. – Spójrz chociażby na siebie.

– Na mnie?

– Tak, na siebie. – Anne wyrzuciła rękę w stronę Isabelli. – Miałaś trudne małżeństwo i jako wdowa zostałaś bez środków do życia. Wyrzucono cię z rodzinnego domu i złożono na twoje barki ciężar wychowania dwójki dzieci. Nauczyłaś się zarabiać na utrzymanie, podczas gdy przygotowano cię do zupełnie innego życia. Czy rozważałaś, żeby kogoś z tego powodu zamordować?

– Owszem – przyznała Isabella, zmuszając się do uśmiechu. – Mojego kuzyna Everetta.

Anne się roześmiała.

– Och, Isabello, nie jesteś do tego zdolna – oznajmiła. – I z całą pewnością nie próbowałaś podstępem nakłonić kogoś, kto cię nie kochał, żeby się z tobą ożenił.

Isabella po raz kolejny opuściła wzrok, czując, że się rumieni.

– To właśnie zrobiła Diana?

– Tak, a w dodatku...

Wypowiedź Anne przerwał jednak odgłos szybkich, ciężkich kroków na głównych schodach. Moment później w progu stanął Hepplewood, wysoką, barczystą sylwetką wypełniając ościeżnicę.

– Panie wybaczą – rzekł w niejakiem pośpiechu. – Isabello, obawiam się, że pilna sprawa wzywa mnie z powrotem do Londynu. Sądzę... tak, sądzą, że pani również powinna jechać.

Isabella niezręcznie odsunęła krzesło. Hepplewood sprawiał wrażenie wyjątkowo rozkojarzonego. Kilka chwil wcześniej nie chciał pozwolić jej odejść. Teraz jakby nie mógł się doczekać, kiedy się jej pozbędzie.

– Pojadę, oczywiście – oświadczyła, wstając. – Dziękujemy za gościnę. Czy to znaczy, że wyruszamy natychmiast?

– Nie, nie, jutro z rana – odparł, gestem sygnalizując, żeby z powrotem usiadła. – I bardzo przepraszam za ten pośpiech. Wiem, że damy potrzebują czasu na...

– Ja nie potrzebuję – przerwała mu spokojnie Isabella. – Decyzję o przyjeździe podjęłam z dnia na dzień i na tej samej zasadzie mogę wyjechać.

Popatrzył na kuzynkę.

– Anne? – spytał. – Oczywiście, możesz zostać, jeśli tylko chcesz.

– Co, kiedy dusza towarzystwa wyjeżdża? – Anne odsunęła krzesło. – I zabiera ze sobą moją nową przyjaciółkę? Dziękuję, nie. Nie mam tu nic więcej do roboty.

– Dobrze z ciebie stworzenie, kuzyneczko. – Potem uklonił się im lekko. – W takim razie, moje panie,

do zobaczenia przy obiedzie. Muszę przesłać wiadomość Jervisowi.

I już go nie było, poły eleganckiego fraka załopotwały w ślad za nim.

Anne i Isabella wymieniły niespokojne spojrzenia.

– No cóż, źle to wróży – stwierdziła Anne, podnosząc się z trudem. – Lepiej weźmy się do pakowania.

ROZDZIAŁ 19

Wieczór upłynął Isabelli równie nerwowo jak cały dzień, tak że zanim jeszcze udała się na spoczynek, wiedziała, iż ostatniego ranka w Greenwood wstanie z ciężkim sercem.

Jakkolwiek bardzo na to liczyła, Hepplewood słowem nie napomknął, że przyjdzie do jej łóżka po raz ostatni. W rzeczy samej, przy obiedzie ledwie się odzywał, a zaraz po posiłku poszedł do gabinetu, usprawiedliwiając się listami, które musiał koniecznie napisać.

Anne odprawiła go machnięciem ręki, po czym we dwie z Isabellą spędziły wieczór, kartkując magazyny. Niewytłumaczalny pośpiech Hepplewooda w kwestii wyjazdu rzucił ponury cień na radosne zwykle towarzystwo, tak więc ostatecznie zarówno Isabella, jak i Anne wcześniej udały się na górę.

Kiedy już otuliła do snu nieszczęśliwe dziewczynki, ledwie uprzedziwszy atak wściekłości Lissie z powodu rychłego rozstania, Isabella poszła do swego pokoju i zagapiła się na puste łóżko oraz pełne grzesznych tajemnic nocne szafki obok niego. Nadpłynęły obrazy z minionej nocy, przyprawiając ją o rumieniec, choć nie było nikogo, kto by go zobaczył.

Siłą odepchnęła od siebie gorące wspomnienia, założyła najprostszą koszulę nocną i peniuar, a potem naląła sobie wina z karafki na toaletce, uzupełnianej regularnie przez panią Yardley. Tuląc kieliszek w dłoniach, przeszła do okna w wykuszu i wyjrzała w noc, tak cudownie rozświetloną blaskiem księżyca, że sięgała wzrokiem aż do lasu, który rozciągał się na tyłach dziedzica stajennego.

Coś, co Anne powiedziała przy śniadaniu, nie dawało jej spokoju.

Ani chybi chodzi o pieniądze.

I Anne mogła mieć rację. Niewykluczone, że Isabella musiała znaleźć się daleko od Everetta, żeby zadać sobie tego rodzaju pytanie. Ślicznych małych dziewczynek można było dostać w Londynie na pęczki za tyle co nic, a śliczne małe pomywaczki mężczyzna mógł więzić pod swym dachem niewiele większym kosztem.

Dlaczego Everett zadawałby sobie tyle trudu z powodu Georgie i Jemmy? I dlaczego lady Meredith tak wytrwale naciskałaby na Isabellę, żeby wyszła za jej syna? Bez wątpienia chodziło o coś więcej niż urażoną dumę.

Nie, Anne miała rację, w jakimś stopniu. Strach Isabelli związany ze skłonnościami Everetta wpędził ją w panikę, przez co pochopnie wysnuła wnioski. Nie widziała lasu spoza drzew.

Ufała hrabiemu, że pomoże jej pokrzyżować szyki Everettowi i jego matce, na ile tylko zdoła. Jednak prawo pozostawało prawem, Isabella zaś od jakiegoś czasu zmagала się z tym problemem, zawsze dochodząc do tej samej potwornej konkluzji.

Jeśli Everett spełni swoją groźbę w kwestii Sądu Lorda Kanclerza, widziała przed sobą jedynie dwie możliwości. Poślubi kuzyna, żeby zostać z dziewczynkami. Albo sprzeda wszystko, co jeszcze zostało jej po matce, i wykupi pierwsze wolne miejsca na statku do Stanów Zjednoczonych.

Nie do Ontario, o tym już postanowiła; długie ramię brytyjskiego sądownictwa z łatwością by ich tam dosięgnęło. Jednakże Zachodnie Terytoria, jak czytała, były krainą bezprawia, gdzie rozpaczliwie brakowało nauczycieli.

Myśl o opuszczeniu Anglii przyprawiała ją o mdłości.

O opuszczeniu Anthony'ego.

Pod wpływem impulsu wychyliła resztę wina, nasłuchiwała chwilę, by się upewnić, że w domu panuje spokój, po czym zeszła na dół sprawdzić, czy pod drzwiami jego gabinetu nadal widać światło. Nie była

do końca pewna, co zamierza mu powiedzieć, lecz rozpaczliwie pragnęła zobaczyć się z nim sam na sam po raz ostatni.

Zapukała cicho, a kiedy zaprosił ją do środka, weszła i zastała go usadowionego za biurkiem.

Do pracy we własnym gabinecie wybrał swobodniejszy strój, rezygnując z surduta czy fularu. Na rozpiętej pod szyją koszuli miał jedwabną kamizelkę w kolorze burgunda, dopasowaną i elegancką. Nakrochmalone rękawy koszuli podwinął do łokci, odsłaniając muskularne przedramiona, oprószone ciemnymi włosami.

Przed nim, w kałuży rzucanego przez lampę światła, leżały dwa wielkie, złowieszczo wyglądające pistolety, jeden rozebrany na części. W powietrzu unosiła się ostra woń rozpuszczalnika.

Hepplewood wstał na widok Isabelli.

– Moje pistolety podróżne – wyjaśnił, gdy wytrzeszczyła oczy. – Tylko je czyszczę.

– Wielkie nieba! – powiedziała, obchodząc biurko, żeby lepiej się przyjrzeć imponującej broni. – Czyżbyśmy jednak spodziewali się rabusiów na trakcie?

Uśmiechnął się blado.

– Broń Boże, nie sugeruję, że ty i dziewczynki mogłybyście ich jutro potrzebować.

– Nie. Nie, mam taką nadzieję.

– Isabello? – Kiedy podniosła nań wzrok, przekonała się, że bacznie się jej przygląda. – Chciałaś czegoś?

Tak, ciebie, omal nie wypaliła.

Jednak widok ogromnych pistoletów zbił ją z tropu – w rzeczy samej, nagła zmiana planów Hepplewooda zbiła ją z tropu, podobnie jak jego dziwne skupienie. I raptem zwątpiła, czy powinna kwestionować jego decyzje.

Ostatecznie, dokładnie o to go prosiła: żeby zabrał ją z powrotem do Londynu.

Popatrzyła mu w oczy.

– Anthony, mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Nasz pospieszny powrót do Londynu... czy to ma coś wspólnego z Everettem? – rzuciła.

Zawahał się.

– Tak, poniekąd – przyznał. – Kazałem Jervisowi trochę poszperać. Sądzi, że czegoś się dowiedział... nie jestem pewien czego, czy też, ściślej, co z tego wyniknie.

– Ale w tym wszystkim nie chodzi tak naprawdę o dziewczynki, zgadza się? – spytała w zadumie. – Anne dała mi rano do myślenia, kiedy zostawiłeś nas przy śniadaniu. Jest mniej naiwna ode mnie.

Roześmiał się mrocznie.

– Anne przestaje z politykami – stwierdził. – Nic skuteczniej nie miazdzy naiwności, skarbie. Ale co takiego powiedziała?

– Zauważyła, że zachowanie Everetta musi mieć coś wspólnego z pieniędzmi – odparła Isabella. – Ma?

Zawahał się znowu, sznurując usta.

– Nadal brak mi w tej kwestii pewności, skarbie – rzekł. – Możemy na razie tak to zostawić? Zaufasz mi, że odkryję prawdę? Isabello, czy ufasz mi, że zajmę się Taffordem?

– Tak – odparła szybko i z przekonaniem. – Nie zmienisz angielskiego prawa, oczywiście, lecz na ile leży to w granicach ludzkich możliwości...

– „Granice ludzkich możliwości” sugerują, Isabello, że coś jest niemożliwe – przerwał jej niebezpiecznie cichym głosem – podczas gdy mało co istotnie takie jest. To jedna z tych rzeczy, które mówią mężczyźni bez charakteru, kiedy nie chce im się dostatecznie wysilić, wydać dostatecznie dużo

pieniędzy albo dostatecznie się nacierpieć, żeby doprowadzić sprawę do końca.

Pewność, z jaką mówił, zaparła jej dech w piersiach.

– Co właściwie starasz się mi przekazać?

– Że zrobię, co będę musiał – odparł – by zagwarantować bezpieczeństwo twojej rodzinie i zadbać o twoje szczęście. Nigdy w to nie wątp.

Składał już wcześniej podobne deklaracje, niemniej po raz pierwszy Isabella zdała sobie sprawę, że mówił nawet nie poważnie, lecz śmiertelnie poważnie. Nie sypał frazesami czy płytkimi zapewnieniami, obliczonymi wyłącznie na to, by zaciągnąć ją do łóżka. Zresztą tam już była – i poszła z łatwością.

Wyprostowała się.

– Masz rację – powiedziała z większym spokojem – i dziękuję. Nie wiem, czym zasłużyłam sobie na takie oddanie, jednak...

– Jesteś moja – przerwał jej, z głuchym stukotem odkładając broń. – Jesteś moja, Isabello, a to obejmuje także dziewczynki. Podobnie jak Lissie jest twoja. Opiekujemy się tym, co nasze.

– Owszem, ale...

– Ale pomyśl tylko, jak szybko do niej biegłaś, kiedy w zeszłym tygodniu spadła z muru – łagodnie wszedł jej w słowo. – Jak szybko poderwałaś ją z ziemi. Następnie pomyśl, co byś zrobiła, gdyby upadła na drugą stronę, na przykład prosto pod koła toczącego się aleją powozu. Bez wątpienia również rzuciłabyś się ją ratować. Tak właśnie postępujemy, kiedy naszym zadaniem jest kogoś chronić.

Isabella bez słowa wbijała w niego wzrok i zdumiewała się, że kiedykolwiek wydawał jej się płytki. Zdumiewała się, że sam siebie mógł uważać za samolubnego, pod jakimkolwiek względem. Zastrzeliłby Everetta w mrocznym zaułku, pojęła nagle, gdyby, Boże broń, okazało się to niezbędne.

Niewykluczone, że to dlatego czyścił pistolety. Była to mroząca krew w żyłach i zarazem pocieszająca myśl.

– Anthony, jesteś moim błogosławieństwem – powiedziała wreszcie, wolno podnosząc na niego wzrok.

– Tak mnie jeszcze nie nazywano, kochana.

– Ale to prawda. – Uśmiechnęła się. – Przy okazji, zadałeś mi rano pytanie – ciągnęła cichym głosem. – Ważne. Spytałeś, czy Diana coś między nami zmienia.

– Tak. – Zawahał się krótko. – Zatem, Isabello? Zmienia?

Pokręciła głową.

– Nie – odparła. – Nie wiem, Anthony, co właściwie między nami jest ani w co to się przekształci. Wiem jednak, że moje uczucia się nie zmieniają. Nigdy. I po prostu... po prostu musiałam ci to powiedzieć. Na wypadek gdyby nie było to oczywiste.

– Dziękuję – rzekł zaskakująco miękko.

Potem wziął ją w objęcia i pocałował na ten swój sięgający do głębi duszy sposób. Uwielbiała jego dotyk. Uwielbiała, gdy zamykał ją w żelaznych objęciach. Gdy zanurzał palce w jej włosach, by unieruchomić ją do pocałunku.

Jakby trzeba ją było unieruchamiać.

Jakby trzeba ją było zachęcać.

W rzeczy samej, odwzajemniała pocałunek równie zmysłowo, wpychając mu język do ust, by pieścić ich wnętrze, splatać go z jego językiem. Poczwała, jak zadrżał, a potem usiadł i pociągnął ją sobie na kolana.

Nadal wpijając się w jego usta, dosiadła go okrakiem.

– Kochana – rzekł, sunąc pocałunkami w dół jej szyi.

Przerwał, żeby rozwiązać jej koszulę nocną, językiem igrał w zagłębieniu u styku jej obojczyków.

Odsunęła się, ujmując w dłonie jego twarz.

– Tak się bałam – szepnęła, ocierając się wargami o jego czoło – że nie przyjdiesz do mnie dziś w nocy.

Pocałował ją znowu, głębiej, zacisnął w garści skraj jej koszuli nocnej. Szarpnął mocno, rozrywając szew. Palce Isabelli powędrowały do guzików jego spodni, pracowały zapalczywie.

Kiedy przedarła się, cokolwiek szaleńczo, przez warstwy jego ubrań, uniosła się na kolanach, oddychając chrapliwie i nieco zbyt szybko. Jej potrzeba Anthony’ego zawsze budziła się do życia w nagłym rozbłysku, jednakże tej nocy płonęła wolno i spokojnie.

– Anthony – poprosiła cicho.

Wszedł w nią najpierw delikatnie, a potem, przy drugim pchnięciu, znalazł się w niej cały, tłumiąc triumfalne stęknienie w zagłębieniu jej szyi.

Kochali się niespiesznie, bez słowa, patrząc sobie głęboko w oczy, a oparcie fotela skrzypiało do ich rytmu. Isabella głaskała go po twarzy, przeciągała palcami przez gęstwinę jego loków, następnie zaś nachyliła głowę, by otrzeć mu się wargami o ucho.

Kochała go. Kochała jego zapach. Doznanie jego w sobie. Sposób, w jaki odmierzał każde pchnięcie, oceniając jej potrzebę i jej przyjemność.

Kochała go.

A kiedy cicho doszli razem, bez żadnych fanfar poza radosnym, przenikającym do szpiku kości drżeniem, Isabella wtuliła twarz w zarost na jego szyi i powiedziała mu to.

*

Nazajutrz rano tworzyli spory orszak, kiedy szykowali się do powrotu do Londynu w mniej więcej takiej konfiguracji, w jakiej tu przyjechali, tyle że Hepplewood przypasywał do grzbietu swego olbrzymiego konia dwie wielkie, pękate sakwy, a chłopcy wpychali do karety matki krótkowłosego obecnie psa.

Tym razem Hepplewood wystarał się o wóz na bagaże. Jego elegancka kareta podróżna czekała na alei dojazdowej niedaleko pojazdu Anne, czarna farba i złoty herb lśniły, a przez otwarte drzwi widać było obite aksamitem siedzenia. Ukoronowanie stanowił wszakże ogromny domek dla lalek, przyniesiony o świcie z warsztatu pana Yardleya i starannie przymocowany na dachu.

Yardley zawiązał ostatnią linę, by zapewnić pakunkowi stabilność.

– Gotowe, panno Georgino! – obwieścił, gramoląc się na dół po koźle. – To go utrzyma aż do samego Londynu.

Na podejździe Isabella nachyliła się do ucha Georgie.

– Musisz podziękować panu Yardleyowi za ciężką pracę – szepnęła – a lordowi Hepplewoodowi za tak wielką dobroć.

Nadal z oczami okrągłymi z zachwytu, dziewczynka uścisnęła wyciągnięte ku niej olbrzymie łapsko pana Yardleya.

– Dziękuję panu – wyszeptała. – Jest cudowny.

– Ha, a cóż to ma znaczyć? – spytał Hepplewood, odwracając się od sakw i Kolosa. – Ja się nie zadowolę marnym uściskiem dłoni, Georgie, w zamian za mój wkład w to arcydzieło architektury.

Zdążył już przykłęknąć na jedno kolano. Georgina pomknęła, by zarzucić mu ramiona na szyję.

– To najcudniejszy domek na calutkim świecie! – wyszeptała nieśmiało. – I taki sam jak ma Lissie! Bardzo panu dziękuję.

Chyba jeszcze nigdy dziewczynka nie wypowiedziała tylu słów naraz do dorosłego spoza rodziny.

Lissie wychylała się z karety, śledząc scenę ze zniecierpliwieniem, lecz na szczęście bez oznak zazdrości.

– Szybciej, Georgie – skarciła koleżankę. – Chodź tu do mnie i do Pikła. Wzięłam warcaby.

Hepplewood puścił dziecko, podnosząc wzrok na Isabellę z jakąś intensywną, choć nieodgadnioną emocją w oczach. Później wolno wstał i poprawił kapelusz, który Georgie przekrzywiła mu na głowie.

– Niech się pan szykuje, panie Marsh – zwrócił się do podstarzałego stangreta, który wolno wspinał się na kozioł. – Jak Bóg da, chciałbym, żebyśmy jechali bez przystanków, dopóki nie zobaczymy przedmieść Londynu.

– Tak, milordzie – odparł dziarsko stangret.

Po drugiej stronie alei dojazdowej Anne pomagała niani Seawell ulokować bliźniaczki w swojej karecie. Isabella już miała wsiadać, kiedy Hepplewood złapał ją za łokieć i pociągnął za karete, gdzie nie byli widoczni.

– Isabello – odezwał się chrapliwie, przytrzymując ją mocno za ramiona – powiedz mi, że nie żałujesz. Przyjazdu tutaj. Niczego. Powiedz mi, że zeszłej nocy mówiłaś szczerze.

Wolno skinęła głową.

– Każde moje słowo było prawdą.

Wtedy ją pocałował, szybko i mocno, po czym równie prędko puścił.

– Nic się nie zmieniło, Isabello – rzekł cicho, lecz groźnie. – Nic się nie zmieniło także dla mnie. Nigdy się nie zmieni. Bez względu na to, co nastąpi po dzisiejszym dniu, nadal jesteś moja. Rozumiesz?

Czując bolesny skurcz serca, Isabella zdołała ponownie skinąć głową.

Później Hepplewood podszedł do nadal otwartych drzwi karety i przystanął na chwilę akurat na tyle dłużej, żeby pomóc jej wsiąść. Pojazd ruszył z szarpnięciem, uprząż zabręczczała i potoczyli się niespiesznie.

Wyjrawszy do tyłu, Isabella zobaczyła, jak Hepplewood dosiada konia, płynnie przerzucając nad siodłem długą nogę, i podąża ich śladem.

– Bello – odezwała się Georgina – popatrz na maleńkie warcaby Lissie!

Isabella odwróciła się, by podziwiać pudełko z palisandru, po otwarciu którego ukazywała się sukienka plansza do gry. Piony rozmiarów niewielkiej monety wyrzeźbiono z hebanu oraz kości słoniowej, przy czym od spodu były chropowate, żeby trzymały się sukna.

– Jak sprytnie – powiedziała.

– Mogłyby się dobrze sprzedawać – zadumała się Jemima, nachyliwszy się nad planszą. – Oczytane dzieci często też wiele podróżują. Co sądzisz, Bello?

– Sądzę, że masz dobre oko – orzekła Isabella, uśmiechając się przelotnie do dziewczynki.

Wkrótce wyciągnięto książki i magazyny, a dzieci radośnie dostosowały się do podróży warunków. Nie była to zresztą męcząca podróż; pogoda dopisywała, na drodze panował niewielki ruch. Ponieważ jechali z dziećmi, życzenia Hepplewooda, aby bez przystanku dotarli do Londynu, nie dało się spełnić, jednakże postój w zajezdzie trwał krócej niż kwadrans.

Caroline i Jemima przez całą drogę czytały, przerywając czasem, żeby podsunąć jedna drugiej jakiś fragment w książce, podczas gdy młodsze dziewczynki grały w warcaby albo przetaczały Pikła w tę i z powrotem po podłodze powozu.

Isabella jedynie spoglądała przez szybę na przemykające za oknem wsie i starała się skupić na nadchodzącym tygodniu oraz powrocie do normalnego życia – przy założeniu, że jej życie kiedykolwiek stanie się znowu normalne. Niemniej uwaga Jemimy skierowała jej myśli ku pilnej kwestii zarobienia na utrzymanie. Wedle relacji pani Barbour interes szedł dobrze, ale nie żywiołowo. Rachunki czekały na zapłatę, należało przyjąć i ułożyć na półkach zamówiony towar.

W czwartek miała przyjść skrzynia klocków matematycznych, które zamówiła w trakcie pobytu w Greenwood. Powinny ładnie się prezentować na sklepowej wystawie.

Jednakże nie potrafiła koncentrować się długo na żadnej z tych ważnych spraw, ponieważ jej zdradzieckie myśli wytrwale powracały do Hepplewooda. Czuła się tak bardzo pokrzepiona jego mocnym, namiętym pocałunkiem na podjeździe, że wydawało się to aż niemądre.

Zarazem mnóstwa rzeczy jej nie mówił. Jego niepokój dotyczył czegoś więcej niżli tylko perfidii Everetta. To wrażenie przybierało na sile, im bardziej zbliżali się do Londynu.

Pieniądze, powiedziała Anne. Jednak Georgina żadnych nie miała, Isabella była tego pewna, najzupełniej. A gdyby Jemima dziwnym trafem doświadczyła nieoczekiwanego przyływu gotówki, chciwy sir Charlton dawno by ją porwał.

O co jeszcze mogło chodzić? Łamała sobie głowę i wkrótce zimny strach zaczął brać ją we władanie.

Jakiegokolwiek były motywy Everetta, czy możliwe, że otworzył już sprawę w Sądzie Lorda Kanclerza? Czy jej wyjazd z Londynu pchnął go do działania, zamiast dać czas na ochłonięcie? I czy Hepplewood mógł się o tym dowiedzieć, podczas gdy ona sama nic nie wiedziała?

Oczywiście, że mógł. Był potężnym człowiekiem, wysoko postawionym arystokratą. Prawdopodobnie niewielu rzeczy nie zdołałby odkryć, jeśli tylko mu zależało.

Czy tym właśnie zajmował się pan Jervis? Wydawało się to wysoce nieprawdopodobne.

Och, zaczynało ją łupać w głowie! Wstydziła się za siebie. Robiła dokładnie to, czego Hepplewood swego czasu kazał jej unikać – dopuszczała do głosu swe obawy. Cokolwiek zamierzał Everett, Hepplewood dogrzebie się do tego i jej pomoże. Kto wie, czy nie powinna poprosić, żeby pożyczył jej jeden z tych ogromnych, świeżo wyczyszczonych pistoletów podróжных, i zwyczajnie zastrzelić Everetta.

Zmusiła się, by się odprężyć, i usiadła wygodnie, śledząc grę dziewczynek, dopóki się nią nie znudziły. Wtedy otworzyła książkę z bajkami i czytała na głos, aż wreszcie Georgie zwinęła się przy niej w kłębek na siedzeniu i zasnęła. Lissie prędko poszła w jej ślady, tuląc się do koleżanki jak senny szczeniak.

Ponieważ Jemima i Caroline czytały, Isabella po prostu siedziała, raz po raz przeczesując palcami kręcone, dziecięce włosy Georgie. Z pewnością Anne nie chciała być niemiła, jednak Isabellę ubodło, kiedy nazwała Jemmę i Georgie ciężarem.

Nie były ciężarem. W rzeczy samej, dla Isabelli oznaczały zawsze czystą radość. I prędzej piekło zamarznie, niż ona odda je człowiekowi pokroju Everetta, z jakiegokolwiek powodu.

– Znowu obgryzasz paznokiec kciuka – szepnęła z siedzenia naprzeciw Jemima.

– Rzeczywiście, Jemmo. – Isabella splotła dłonie na podołku. – Brzydki nawyk.

Jemima otaksowała ją spojrzeniem swych zbyt dorosłych oczu.

– Wszystko w porządku, Bello?

– Tak, słonko. Myślałam tylko...

Nie dokończyła, ponieważ Marsh raptownie zatrzymał karete. Kiedy Isabella wyjrzała przez okno, okazało się, że włączają się w sznur pojazdów na londyńskich ulicach. Nagły postój obudził dziewczynki. Kiedy Marsh znów popędził konie, Isabella usiłowała poprawić uczesanie Georginy i Lissie, podczas gdy Jemima pakowała ich rzeczy.

W Brompton Road skręcili już sami, ponieważ kareta Anne odłączyła się od nich gdzieś na północ od Hyde Parku, zabierając ze sobą wóz z bagażami, gdyż, jak ustalili wcześniej, kufer Isabelli miał zostać dostarczony na końcu.

W południe zatrzymali się przed księgarnią. Isabella zobaczyła w oknie niewielką wywieszkę z napisem „Zamknięte”. Pani Barbour zapewne poszła na górę napić się herbaty lub wstawić coś do pieca.

Dziewczynki pożegnały się ze łzami w oczach i wysiadły, a Hepplewood asystował im jak

najdostojniejszym damom. Kiedy Jemima dziękowała pięknie za gościnę, Isabella szperała w torebce w poszukiwaniu klucza.

– Jest! – Wydobyła go z triumfem.

– Isabello? – Z chodnika nadpłynął zadumany głos Hepplewooda. – Ma pani przypadkiem klucz do ogrodowej furtki?

Wychyliła się i odkryła, że hrabia z niejaką obawą spogląda na domek dla lalek.

– Nie przy sobie – odparła.

– Nie zmieści się, milordzie – oznajmił z dachu Marsh. – Mogę zmierzyć liną, ale mówię panu, że utknie w drzwiach.

– Ale przejdzie od ogrodu – zawyrokował z przekonaniem Hepplewood. – Isabello, spróbujemy z drugiej strony. W przeciwnym razie stracimy komin Georgie.

– Jemmo – powiedziała Isabella, podając siostrze klucz – zabierz Georginę na górę i poproś Barbę, żeby zeszła i otworzyła tylne wejście, dobrze?

– Tak jest – odparła dziewczynka.

Hepplewood zamknął drzwi karety i kiedy tylko Jemima przekręciła klucz w zamku, pojazd ruszył, żeby okrążyć ciąg domów. Isabella usiadła z powrotem z Lissie i Caroline, które nagle zdawały się opuszczone.

– Chcę wracać do Greenwood z Georgie – oznajmiła nadąsana Lissie. – Londyn cuchnie.

– Istotnie, w mieście odrobinę śmierdzi. – Isabella uśmiechnęła się czule do dziewczynki. – Jesteś szczęśliwą młodą damą, Lissie, że możesz czasem pomieszkać w Greenwood.

Powóz przechylił się w prawo, kiedy skręcali za róg. Stangret trochę się namęczył, by wprowadzić potężny wehikuł w wąską uliczkę, lecz później odwiązanie wyrafinowanych mocowań Yardleya okazało się już proste.

Ogrodowa furka pozostawała zamknięta – Isabella na próbę nacisnęła kłanek.

Hepplewood zapewnił ją, że domek jest nieporęczny, ale nie ciężki. Mężczyźni ostrożnie zdjęli go z dachu, podczas gdy Isabella z dołu czuwała nad przebiegiem operacji.

– Uf – sapnął Hepplewood, ustawiając domek na sztorc. – Jak tam furka?

– Nadal zamknięta. – Tym razem głośno zapukała. – Pani Barbour? Pani Barbour!

Żadnej odpowiedzi. Caroline i Lissie wisiły w oknie karety. Isabella spojrzała na Hepplewooda, który, trzeba mu to przyznać, nie okazywał ani odrobiny zniecierpliwienia.

Załomotała znowu, tym razem pięścią. Nic.

– Postawcie go na ziemi – powiedziała. – Pójdę naokoło. Widocznie Jemma źle mnie zrozumiała.

– Nic nam nie jest – zapewnił Hepplewood.

Jednakże niemłody Marsh nie radził sobie tak dobrze; Isabella widziała, jak krzywi się z niewygody, kiedy manewrowali obaj nieporęcznym domkiem, odsuwając się od furki.

Odwróciła się i pomknęła z powrotem uliczką, za róg i do drzwi księgarni.

Tabliczka „Zamknięte” nadal wisiała w oknie, lecz drzwi sieni ustąpiły. Isabella otwarła je na oścież, zebrała spódnice i pospieszyła po schodach w górę.

Pani Barbour wychodziła właśnie z mieszkania, z kromką posmarowanego masłem chleba w dłoni.

– Ma go pani? – spytała Isabella.

Kobieta krzyknęła, chleb pofrunął wysoko w górę.

– Och, panna Bella! – zawołała kucharka i okręciła się, plując okruszkami. – Przestraszyła mnie pani na śmierć! Weszłam na chwilę coś przegryźć.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Isabella, wyciągając rękę. – Proszę mi tylko dać klucz. Stoją z tym diabelstwem w uliczce na tyłach.

Pani Barbour zmarszczyła brwi.

– Tak, panienko? Stoją z czym?

– Domkiem dla lalek Georginy. – Pod Isabellą raptem ugięły się kolana. – Lord Hepplewood stoi z...

z domkiem Georginy.

Mars na czole pani Barbour się pogłębił.

Nagle Isabella nie mogła złapać tchu.

– O Boże – wydusiła, przykładając dłoń do serca. – Klucz. Jemima weszła na górę po klucz. Tak?

Lecz pani Barbour pokręciła głową.

– Niech mnie licho, panienko, ale nie – odparła. – W ogóle nie wiedziałam, że wróciłyście.

Isabella zacisnęła dłoń na poręczy. A potem zaczęła głośno wołać Jemimę. Klatka schodowa pulsowała krzykiem, gdy Isabella pędziła z powrotem na ulicę.

Kolejne minuty rozmazały jej się przed oczami. Krzyk sprowadził Hepplewooda, który nadjechał galopem. Zeskoczywszy z siodła, w trzech krokach dopadł do Isabelli.

Zanim pojął przyczynę paniki, nadciągnął wóz z bagażami, a zaraz potem pokazał się Marsh z kareta.

– Mills! – rzucił hrabia do służącego, który gramolił się z furmanki. – Mniejsza o bagaże. Zabierz Lissie i Caroline z karety i zawieź je na Clarges Street. Nie spuszczaaj ich z oczu, słyszysz?

Odwrócił się z powrotem do Isabelli. Stojąc teraz w wejściu do sieni, schyliła się po coś złotego i lśniącego.

– Klucz do głównych drzwi! – zaszlochała. – Dobry Boże, Jemma otworzyła je, a później upuściła klucz! Ale ona jest taka uważna. Anthony, to Everett! Zabrał je! Po prostu wiem!

Hepplewood rozglądał się po ulicy, oceniając sytuację.

– Cholerna racja, że to on – rzekł groźnie. – Ale nie uciekł daleko.

Znienacka u boku hrabiego pojawił się stangret.

– Milordzie, co mogę zrobić?

– Niech pan na razie zapomni o domku dla lalek – rozkazał Hepplewood. – Proszę się przejść ulicą i stukać do wszystkich drzwi, aż znajdzie pan kogoś, kto widział, jak dziewczynki wsiadają do powozu. Chcę mieć jego opis.

Isabella się rozejrzała.

– Na Brompton Road – powiedziała szybko, wskazując palcem. – Żona zieleniarza. Zamiatała podest przed wejściem. Proszę ją zapytać.

– Tak, proszę pani – odparł stangret i oddalił się, kuśtykając.

Isabella próbowała zebrać myśli, dociskając opuszki palców do skroni.

– Everett będzie korzystał ze starej karety podróźnej papy – szepnęła. – Nie odważyłby się wziąć otwartego powozu. Matowo czarna, z musztardowymi kołami. Czarno-złota liberia.

– Nie da się wykluczyć, że uprowadził je pieszo, ale w to wątpię – rzekł hrabia.

– Jemima nigdy nie poszłaby z Everettem – oświadczyła Isabella. – Musiałby ją ciągnąć. Nie mógłby wlec dwojga dzieci przez Knightsbridge w biały dzień, prawda? O Boże! Nigdy ich nie odzyskam!

– Odzyskasz je, nim ten dzień dobiegnie końca, gwarantuję ci to – oznajmił z zaciekłością Hepplewood. – Łajdak zabiera je do Thornhill.

– Nie możesz być tego pewien! – krzyknęła Isabella. – On... on je porwał! Może się gdzieś ukryć!

– Niestety, nie porwał ich... w każdym razie Georginy – sprostował. – Ma prawo po swojej stronie, przynajmniej częściowo. Ale jest też rzeczywistość.

– Rzeczywistość?

– Nieważne, kochana – rzekł. – Zabiera je do Thornhill. Ponieważ spodziewa się, że za nim podążysz, i tego właśnie chce. Na razie nic poważnego im nie grozi. Zapewne towarzyszy mu ta jego matka-

intrygantka.

– Chce, żebym za nim jechała?! – wykrzyknęła Isabella. – Dlaczego? Jaka w tym logika?

– Ponieważ łotr ma w kieszeni specjalny kontrakt – wycedził przez zęby Hepplewood. – Stawiam na to połowę majątku.

– Kontrakt małżeński? – spytała z niedowierzaniem.

Znienacka odwrócił się i chwycił ją za rękę.

– Isabello, nie zrobisz tego – rozkazał. – Nie panikuj. Nie poślubisz tego mężczyzny. Obiecuj mi.

Popatrzyła na niego przez łzy i nic nie powiedziała.

Jak mogła komukolwiek cokolwiek obiecać? Najgorsze się zdarzyło. Kusiła los. Błędnie oceniła sytuację i mitrężyła czas. A teraz nawet ucieczka z Anglii nie wchodziła dłużej w rachubę.

– Dobry Boże, co ja zrobiłam? – szepnęła, mruganiem odpędzając łzy.

Mocno ścisnął jej dłonie.

– To nie twoja wina – oznajmił. – Nawet mnie się nie śniło, że czort posunie się do takiej zuchwałości.

Zaiste znalazł się w desperacji.

– Ale... dlaczego?

– Pieniądze – odparł cicho Hepplewood. – W przypadku takich jak on zawsze chodzi o pieniądze.

– Dziewczynki nie mają żadnych pieniędzy! – zawołała. – Anthony, co się dzieje?

– Dzieje się to, że ruszam za Jemmą i Georgie – oświadczył, po czym puścił jej dłonie i podszedł do wozu.

– Papo! – zawołała niesiona przez lokaja Lissie. – Czemu Mills nas zabiera?

Hepplewood ścisnął rączki córki.

– Potrzebuję karety, Lissie – wyjaśnił. – I zależy mi, żebyś przez następnych kilka godzin była bardzo, ale to bardzo grzeczna. Georgie i Jemma się zgubiły, a ja muszę je odnaleźć. Ty i Caroline pojedziecie na Clarges Street i zaczekacie tam na mnie, zgoda?

Dziewczynka skinęła głową.

– Tak, papo – powiedziała z nagłym niepokojem w oczach. – Przywieziesz Georgie na Clarges Street?

Zerknął przez ramię na Isabelle.

– Niewykluczone – odparł. – Zobaczymy. A teraz idź już i bądź grzeczna, mały łobuzie.

– Zajmę się nią, proszę pana – obiecała Caroline Aldridge.

– Grzeczne dziewczynki z was obu – rzekł, po czym wyłuskał banknot ze zwitka, który wyjął z kieszeni. – Mills, daj mi swój bat, a sobie zorganizuj inny. Zawieź dziewczynki do domu i osobiście przekaz je pod opiekę pani Seawell... Aha, i znajdź Jervisa, jeśli już wrócił. Powiedz mu, co się stało. Że Tafford zabrał dzieci. Będzie wiedział, co robić.

– Tak, proszę pana. – Służący skłonił głowę.

– Powinniśmy zawiadomić policję? – wydukała Isabella, kiedy wóz odjechał.

– Nie, to ostatnie, co powinniśmy zrobić. – Hepplewood mówił przez ramię, przywiązując bicz do siodła. – Isabello, musisz mi pozwolić zająć się Traffordem. Posiadanie to dziewięć dziesiątych prawa. Ufasz mi?

Załąmywała rękę.

– Tak.

Uporawszy się z zadaniem, Hepplewood okręcił się na pięcie i znowu do niej podszedł.

– Isabello, posłuchaj mnie – rzekł. – Wiem, co on zamierza. Ufasz mi, że się tym zajmę? Upoważniasz mnie, bym działał w twoim imieniu i przywiózł dziewczynki z powrotem?

– Tak, ale jadę z...

– Nie jedziesz – rozkazał. – Nie chcesz brać w tym udziału, jeśli robi się nieprzyjemnie, a tak będzie.

Wejdź do domu i nalej sobie brandy. A potem czekaj.

– Nie – odparła, biorąc się w garść. – Nie będę po prostu tu siedzieć, podczas gdy ten... ten szubrawiec wywozi gdzieś moje siostry.

W tejże chwili wróciła zasapana i gniewna pani Barbour.

– W tym kierunku nikt niczego nie widział, milordzie – poinformowała Hepplewooda, z łatwością rozpoznając, kto tu dowodzi. – Nie poszedłby przez Hyde Park, tak myślę. Mam zabrać pannę Bellę na górę?

– Za chwilę – odparł lakonicznie.

Od strony Brompton Road nadchodził spieszenie stangret.

– Czarna karetka z brązowymi kołami, no i krzyżującym dzieckiem w środku, pojechała tam i skręciła w prawo – zameldował.

– Stara się w miarę możliwości ominąć miasto, ale musi przeprowadzić się przez rzekę. – Hepplewood chwycił stangreta za ramię i przyciągnął bliżej. – Niech pan tu podejdzie i słucha uważnie – polecił. – A teraz, Isabello, powiedz nam, którą drogą Tafford pojedzie stąd do Thornhill? Jak będzie najszybciej? Którymi drogami, przez które wsie?

– Prosto na południe, przez Croydon – odparła. – To nietrudne. Nie ma za wielu możliwości, jeśli chce rozwinąć sensowną prędkość. – Szybko wymieniała kolejne wsie, a stangret słuchał.

Hepplewood puścił jej rękę.

– Na Kolosie dogonię go w ciągu godziny – oznajmił z przekonaniem, podchodząc do sakw. – Pan, panie Marsh, pojedzie za mną. I proszę wziąć to ze sobą na kozioł. – Podał stangretowi jeden z pistoletów podręcznych. – Jest naładowany, ale nieodbezpieczony. Sam mam drugi. Gdyby się zdarzyło, że znajdzie go pan pierwszy, niech pan wyceluje mu w głowę... ale uważa przy tym na jego matkę, bo z nich dwojga tylko ona ma mózg. Niech pan jej powie, że jeśli choćby drgnie, zabije pan Tafforda.

– Dobry Boże, milordzie – zapowietrzył się stangret.

– Proszę go tak od razu nie zabijać – rzekł Hepplewood. – Niech pan mu najpierw strzeli w stopę. A teraz w drogę. Wkrótce pana wyprzedzę.

– Tak, proszę pana. – Stangret wetknął wielki pistolet za pas i wspiął się na kozioł.

– I proszę, błagam, niech pan nie postrzeli Brooksa! – zawołała za nim Isabella. – To dawny stangret papy. Bardzo dobry człowiek, pomoże, jeśli tylko zdoła.

Marsh skłonił głowę na znak, że przyjął informację do wiadomości.

– Konie są zmęczone, proszę pana! – zawołał z góry. – Ale damy radę, słowo.

– Niech pan uważa – poradziła pani Barbour. – Tego typu stać na podłość, a jakże. Trzy dni z rzędu tu zachodził, razem z tą swoją mamuszką.

– O Boże – powiedziała Isabella.

Jednak karetka z panem Marshem na kozle toczyła się już z powrotem w kierunku Brompton Road.

Pani Barbour przeniosła wzrok z Isabelli do Hepplewooda i z powrotem.

– Pójdę wstawić wodę na herbatę – wymamrotała, po czym odwróciła się i weszła do domu, kierując się ku schodom.

Hepplewood delikatnie wciągnął Isabella do zacienionej sieni i przyłożył wierzchnią stronę palców do jej policzka.

– Idź na górę i się połóż, skarbie – powiedział. – Złapię Tafforda, a wtedy drogo za to zapłaci, obiecuję.

– Nie dam rady – odparła. – Na pewno coś mogę zrobić?

Zawahał się.

– Znam kogoś, kto mógłby nam pomóc – rzekł. – Nie policja, lecz być może mój kuzyn Royden.

– Gdzie go znajde?

Hepplewood pokręcił krótko głową.

– To połowa problemu – odparł. – Nie wiem. Idź do Home Office i powiedz oficerowi dyżurnemu, że szukasz jego nowego biura. Będą zorientowani. Nie wspominaj o dzieciach, podaj się za przyjaciółkę.

– Dobrze. – Pokiwała głową.

– Niewykluczone, że wyjechał do Burlingame – przestrzegł Hepplewood. – Po prostu znajdź jego biuro, a jeśli go nie zastaniesz, zostaw wiadomość, że pilnie oczekuję go u siebie. Później wracaj prędko tutaj i czekaj na wieści ode mnie. Zawsze istnieje szansa, że Jemma ucieknie Taffordowi i wróci do domu.

– Tak, tak, masz rację. Dziękuję. – Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek, pokryty już lekkim zarostem. – Dziękuję, Tony. Uważaj na siebie.

Pocałował ją szybko i mocno, choć byli doskonale widoczni z ulicy, a potem odszedł.

Z sercem w gardle Isabella po raz kolejny tego dnia przyglądała się, jak wskakuje na wielkiego konia, którego zaraz popędził w kierunku Brompton Road.

ROZDZIAŁ 20

Hepplewood opuścił Londyn w doskonałym czasie; Marsha i karete minął zaraz za Hans Place, a potem w popołudniowym ścisiku kluczył między pojazdami, żeby przeprowić się przez rzekę po Battersea Bridge.

Kolos z pewnością nie był wypoczęty, ale dzielnie parł naprzód przy najłżejszej zachęcie. Hepplewood przyznawał w duchu, że Tafford mógł obrać inną drogę, niemniej gdzieś na południe od miasta ich trasy bez wątpienia się zbiegną.

Ruch na drodze wkrótce zmałał, a przedmieścia Londynu ustąpiły miejsca rozległym terenom zielonym, raz po raz przełamywanym przez skupiska domów bliższe wsiom niż miasteczkom. Gniew kipiał mu w trzewiach, kiedy Hepplewood wybiegał wzrokiem ku każdemu zakrętowi w oddali.

W połowie drogi przez błonia Wandsworth dogonił nijaką, staromodną karete, która wlokła się pod baldachimem z gałęzi. Czując wzbierającą żądze mordy, popędził Kolosa, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

Jednakże na następnym zakręcie mignęły mu czerwone koła. Zaklął pod nosem i parł dalej, wyprzedzając pojazd. Godzinę później, kiedy Croydon zostało za nim, Hepplewood zaczął powątpiewać, czy prawidłowo ocenił sytuację.

Kiedy wszakże rozważył wszystko ponownie, nadal nie dostrzegał lepszego planu. Georginę dałoby się ugłaskać słodyczami i pieśzcotami, lecz Tafford popełnił błąd, porywając także Jemimę. Dziewczynka była nie w ciemną bita. Gdyby spróbował umieścić ją w pociągu, kopałaby i krzyczała, chyba że zostałaby odurzona do nieprzytomności.

Nie, Tafford może i był bezmyślnym bydlakiem, lecz jego matka miała na coś takiego za wiele sprytu.

Z pewnością nie pozostałoby w Londynie; w tej kwestii informacje Jervisa były wyjątkowo precyzyjne. Prawnik z Kanady miał podróżować przez Liverpool z nastawieniem, że złoży wizytę Isabelli w Thornhill Manor w Sussex. Zatem to właśnie do Thornhill należało zwabić Isabellę.

Hepplewood utrzymał ją poza zasięgiem Tafforda akurat na tyle długo, żeby zapobiec prawdziwej katastrofie. Nie udało mu się jednak – chyba że Jervis sprawi mu wielką niespodziankę – przechwycić dżentelmena z Kanady. A nie liczył na zbieg okoliczności.

Pozostawała oczywiście możliwość, że Tafford okazał się na tyle sprytny, by przyprowadzić przed sklep Isabelli nieznaną powóz. Wydawało się to wszakże mało prawdopodobne; ani Tafford, ani lady Meredith nie mogli wiedzieć, że Hepplewood i Isabella wrócą z dziećmi tego konkretnego dnia o tej konkretnej godzinie. A Isabella, nawet jeśli szalała z niepokoju, była rozsądną kobietą. Z wielkim przekonaniem opisała karete.

Nie, przy tym porwaniu skorzystano z nadarzającej się sposobności i działano w desperacji. Hepplewood miał co do tego pewność. Nie umknęło mu też, że to on przyczynił się do owej desperacji; podejrzewając, jakimi motywami kieruje się Tafford, zabrał Isabellę tam, gdzie kuzyn nie mógł jej dopaść.

I z tego powodu Tafford wpadł w panikę, a Isabelli odebrano to, co miała najcenniejszego. Hepplewood uzmysłowił sobie, że jeśli kobieta nie odzyska szczęśliwie dzieci, jej życie dobiegnie końca – a i jego życie praktycznie również.

Dwie mile dalej minął pole na wzniesieniu, na którego końcu znajdował się niewielki zagajnik, skąd właśnie wyłonili się dwaj rolnicy z wielkim wiadrem, być może po spożytym w południe posiłku. Zaprzężony do pługa koń odpoczywał w cieniu w towarzystwie krzepkiego kuca o niskim kłębie.

Pod wpływem impulsu Hepplewood podjechał do niewielkiego przełazu i uchylił kapelusza.

– Widzieli może panowie przejeżdżającą tędy starą czarną karetę? – spytał przez ogrodzenie. –

Z musztardowymi kołami?

Starszy z mężczyzn zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

– Nie, ale tamuj jedną ciągli – powiedział, wskazując palcem – akurat jak kobita obiad przyniesła.

– Ciągnęli? – powtórzył Hepplewood.

– Taa... woźnica mówił, że coś mu się spsuło w kole.

– Ten woźnica – rzekł nagłaco Hepplewood. – Jakiego koloru liberię nosił?

Jednak ostrzał pytań zaniepokoił chłopą, który podejrzliwie zmrużył oko.

– Tak dobrze się nie przyglądoł – odparł.

– Ach, no cóż. Tak czy owak, dziękuję. – Hepplewood znów uchylił kapelusza. – Wnosząc z akcentu, pochodzi pan z Yorkshire – ciągnął bardziej neutralnym tonem. – Sam jestem z Northumbrii. Co pana sprowadziło na południe?

Mężczyzna pokazał w uśmiechu krzywe dolne zęby.

– Och, za kobitą żem przyszedł – odpowiedział. – To pole tutaj to jej ojca.

– Pięknie położona ziemia – rzekł szczerze Hepplewood.

Znienacka młodszy rolnik zeszywniał i przyłożył dłoń do ucha.

– To tamten powóz jedzie z powrotem.

Hepplewood okręcił Kolosa, spoglądając w dół wzgórza.

– Czarno – powiedział chłop za jego plecami. – Czarno jak się patrzy, obrobiona w złocie, znaczy ta liberia.

Hepplewood obejrzał się przez ramię, unosząc brew.

– Zatem to tego powozu szukam – stwierdził ze spokojem. – Uprzejmie dziękuję. Przy okazji, dokąd prowadzi ta dróżka?

– Do kuźni – odrzekł mężczyzna, spluwając w trawę. – Miłego dnia panu szanownemu.

Hepplewood uśmiechnął się ponuro.

– Jak na razie, nie był szczególnie miły – skonstatował. – A teraz, obawiam się, zanosi się na drobne kłopoty.

– Taa...? – Rolnik zmrużył oczy. – Że niby jakie?

– Tym powozem uprowadzono dwoje dzieci, a ja zamierzam je odzyskać – wyjaśnił Hepplewood, sięgając po pistolet podręczny. – Zostałem do tego uprawniony, żeby była jasność. A woźnica to porządny gość. Mimo to można się spodziewać awantury.

– Nie moja rzecz – odparł rolnik, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku zagajnika.

Młodszy mężczyzna podążył za nim, a później obaj z cienia obserwowali Hepplewooda, który pozostał na poboczu, skrywając pistolet za końskim kłębem. Z wnętrza powozu Tafford przypuszczalnie nie mógł go zobaczyć. A stangret, przygarbiony osobnik w średnim wieku, go nie znał. Niemniej czujnie obserwował jeźdźca, kiedy prowadził karetę w górę niewielkiej pochyłości.

Gdy pojazd znalazł się w zasięgu strzału, Hepplewood skierował Kolosa na środek drogi i wymierzył z pistoletu między oczy stangreta.

– Proszę łaskawie się zatrzymać – rozkazał ze spokojem – albo będę zmuszony strzelić.

Wytrzeszczając oczy z przerażenia, Brooks nie tylko zatrzymał pojazd, ale też gwałtownie uniósł ręce nad głowę i wrzasnął.

– Co u diabła?! – zawołał z wnętrza karety męski głos.

– Rabusie, milordzie! – odkrzyknął nieszczęsny Brooks.

– Nonsens! – Ktoś siłował się ze starą klamką u drzwi, która najwyraźniej się zacięła.

– Nie rabusie, panie Brooks – rzekł podniesionym głosem Hepplewood, celując teraz w drzwi – lecz jedynie wysłannik pani Aldridge. Nie chcę nikomu zrobić krzywdy, ale zabieram porwane przez Tafforda dziewczynki.

Przerażenie Brooksa przekształciło się w coś zbliżonego do ulgi, opuścił ramiona.

– Jemimo! – zawołał Hepplewood. – Wsiądź i zabierz ze sobą siostrę!

Rozległ się zduszony krzyk, a po nim ciąg głośnych, głuchych uderzeń, jakby ktoś kopał w drzwi. Łajdak ją zakneblował!

Znienacka klamka ustąpiła i drzwi otworzyły się na oścież, niemal uderzając o bok karety. Tafford zeskoczył na ziemię z paskudnym, szyderczym uśmiechem na twarzy.

– Niech się pan do tego nie miesza, głupcze! – krzyknął do Hepplewooda. – Te dzieci są moimi podopiecznymi.

Hepplewood zatoczył lufą krąg między rozbieganymi oczami Tafforda.

– Nic mnie nie obchodzi, czy to pańskie krewne... a nawiasem mówiąc, Jemima nią nie jest. Zabieram je, tak czy owak.

– Do diabła z panem! – Tafford zerknął do wnętrza karety.

– Niech pan nawet o tym nie myśli – przestrzegł Hepplewood, lufą pistoletu pokazując, żeby baron odsunął się od drzwi. – Proszę przejść na pobocze albo będę zmuszony przestrzelić panu kolano.

– Niech pan się do tego nie miesza – rozkazał znów Tafford, choć zarazem chyżo uskoczył w trawę. – Ta sprawa pana nie dotyczy. Georgina Glaston jest moją podopieczną. Co do drugiej dziewczyny, mam pozwolenie od jej wuja, żeby zabrać ją, gdziekolwiek zechcę.

– Zatem ten człowiek albo jest bezduszny, albo nieświadom pańskiej natury. – Hepplewood spokojnie odwiódł kurek. – Teraz niech pan powie dziewczynkom, żeby wysiadały. A pan, panie Brooks – dodał, przelotnie spoglądając na kozioł – niech trzyma te przekłete konie, na wypadek gdybym musiał wystrzelić.

Przytaknąwszy gwałtownie, Brooks chwycił lejce.

Brawura Tafforda przygasła.

– Matko, wypuść Jemimę – polecił nerwowo. – Daj je tu na zewnątrz, obie.

– Nie ma mowy! – odkrzyknęto z wnętrza karety. – Jedź, Brooks, ty głupcze!

– Matko!!! – ryknął Tafford.

Brooks spojrzął na Hepplewooda, unosząc brew w cichym pytaniu.

– Proszę trzymać konie, panie Brooks – przestrzegł znowu Hepplewood.

Raptem rozległ się krótki, ostry krzyk, a moment później w drzwiach zamigotał niebieski jedwab.

– Ty mała wiedźmo! – wrzasnęła lady Meredith, nieporadnie gramoląc się na zewnątrz, gdyż nie opuszczono schodków; ścisnęła się za rękę. – Ten niewdzięczny bachor mnie ugryzł!

Hepplewood zaśmiał się cicho.

– Ale pan z pewnością ich nie dostanie, hrabio – podjęła, zapanowawszy nad sobą. – Niech pan tylko spróbuje, a to ja oskarżę pana o porwanie. Georgina należy do nas i zabierzemy ją, dokąd nam się spodoba. Jeśli Isabella chce ją odzyskać, ma przecież do czynienia z ludźmi rozsądnymi. Wystarczy przyjechać do Thornhill i podjąć negocjacje.

– Dzień dobry, lady Meredith – rzekł spokojnie Hepplewood. – Negocjuję aktualnie w imieniu Isabelli. Proszę zatem starannie odnotować, że celuję z pistoletu w kolano pani syna i mam bat przytroczony do siodła. Następnie proszę zadać sobie pytanie, czy sprawiam na pani wrażenie osoby nadmiernie zatroskanej subtelnościami prawa.

Dama rzuciła synowi paskudne spojrzenie.

– Everecie, zrób coś!

– Nawiasem mówiąc, panie Tafford – dodał Hepplewood – nie strzelam najlepiej, a ta broń ociupinkę znosi w górę. Niekiedy o jakieś pół metra. Strach pomyśleć, gdzie może trafić kula.

– Matko, wyprowadź dziewczynki – powiedział Tafford.

– Ty zasmarkany tchórz! – zaatakowała go rodzicielka. – Powinnam pozwolić ci zdechnąć z głodu.

– Wy dwoje możecie do woli obrzucać się inwektywami, kiedy dotrzecie do najbliższej gospody – rzekł kąśliwie Hepplewood. – Ja niestety mam napięty harmonogram. Jemmo, wysiądź z powozu i zabierz ze sobą Georgie. Teraz.

Jemima wystawiła głowę na zewnątrz.

– Tak, proszę pana. – Zeskoczyła na drogę; na szyi zwisała jej luźno męska chustka do nosa. – Bardzo przepraszam, proszę pana. Everett porwał nas, zanim zdołałam wprowadzić Georgie do domu.

– Jemimo Goodrich, ty niewdzięczna kłamczucho! – oburzyła się lady Meredith. – W tej chwili wracaj do karety!

Dziewczynka popatrzyła niespokojnie na Hepplewooda.

– Wszystko w porządku, Jemmo – zapewnił miękko. Wolną ręką wyjął pugilares i rzucił w stronę przełazu. – Po prostu pomóż siostrze wysiąść, a później idźcie za ten przełaz z moim pugilaresem. Opowiedz tamtym rolnikom, co wam się przydarzyło w Londynie, i zaproponuj im pięćdziesiąt funtów za kuca z siodłem. Ja się zajmę kuzynem Everettem. Nie mdlejesz na widok krwi, prawda, Jemmo?

Jemima rzuciła przez ramię pogardliwe spojrzenie.

– Nie jego krwi – odparła zimno.

Następnie wyciągnęła ręce po siostrę i we dwie pomknęły na drugą stronę drogi. Georgina miała oczy wielkie jak spodki i policzki mokre od łez. Pociągnęła nosem, wiercąc piąstką w oku.

– Ch-ch-chcę do Belli! – załkała.

– Ciii... Georgie, biegniemy do tych drzew – powiedziała Jemima, podsadzając siostrę na przełaz.

Moment później dziewczynki pokonały przełaz i biegły w kierunku zagajnika, Jemima z pugilaresem w rękę.

– A teraz zakończymy tę sprawę – oznajmił Hepplewood. – Panie Brooks, ma pan dwie możliwości. Może pan zejść z kozła, udać się za dziewczynkami i tym samym wymówić posadę u Tafforda, a przyjmując u mnie. Albo może pan pozostać na kozle i zawieźć tych nieszczęsnych sprzedawczyków z powrotem do Sussex.

Brooks natychmiast zaczął zsiadać.

– Próbowałem ich oszukać, milordzie, że niby coś z kołem, ale kowal nie pomógł.

– Ależ... ależ to nie do pomyślenia! – wykrzyknęła lady Meredith. – Stanie pan przed sędzią, hrabio! Nie wolno się panu wtrącać między mężczyznę a jego podopieczną.

– Lady Meredith – rzekł Hepplewood, zniżając głos – nikt nie nazwałby pani syna mężczyzną. Jest dewiantem i tchórzem. Nie zamierzam dopuścić, by do listy swoich grzechów dopisał kazirodztwo... co zapewne spróbowałby zrobić, gdyby te dziewczynki pozostały dłużej w jego rękach.

– To jest potwarz, drogi panie! – oznajmiła dama. – Doniosę na pana!

– Szanowna pani, jeśli uważa pani, że może ze mną wygrać, wówczas zapraszam, niech pani szuka sędziego pokoju – odrzekł. – Znajdzie mnie pani w moim domu przy Clarges Street.

– Everecie, zrób coś! – Lady Meredith tupnęła nogą. – Zamierzasz poślubić Isabellę czy nie?

– Do tego nigdy nie dojdzie – oświadczył spokojnie Hepplewood. – Panie Brooks, proszę dosiąść tego kuca i wziąć przed siebie Georginę. Tafford, pan sięgnie do kieszeni surduta i wyjmie ten specjalny kontrakt, który ma pan przy sobie.

Baron wytrzeszczył oczy.

– Ale... ale... jakim...?

Hepplewood strzelił palcami, by popędzić Tafforda. Brooks spiesznie pokonał przełaz, nie oglądając się za siebie.

– Everecie, nie waż się! – wycedziła przez zęby lady Meredith, zaciskając pięści.

– Szanowna pani, nigdy dotąd nie postrzeliłem kobiety, lecz pani okrutnie mnie kusi – rzekł Hepplewood, biorąc ją na cel. – Proszę łaskawie wsiąść z powrotem do karety i zamilknąć. Tafford, dokument. Czy woli pan bat? Radzę nie pozostawiać decyzji mnie.

Choć z gorzkim grymasem na ustach, Tafford wyjął papier.

– A, kooperacja! – skomentował Hepplewood. – Wyznam, że czuję lekki zawód. A teraz będzie pan łaskaw podrzeć go na dwadzieścia kawałków... i tak, zamierzam liczyć.

– Everecie, ty przekłety głupcze! – powiedziała matka barona, która zdążyła opuścić schodki karety i właśnie ociężała wspinała się po nich z powrotem do środka. – Ten kontrakt jest naszą jedyną nadzieją.

– Niech pan drze – ostrzegł Hepplewood, lewą ręką sięgając po bat. – Nie ma dla pana nadziei. Nie w związku z Isabellą. Nie zobaczy pan złamanego pensa z jej spadku.

– Jakiego spadku? – zaszydził Tafford, niemniej przedarł dokument na dwie części. – Isabella nie ma co do garnka włożyć.

– Dwadzieścia kawałków – powtórzył Hepplewood. – Drzyj, chłopie.

Kiedy skrawki kontraktu małżeńskiego rozwiewał wiatr, a Tafford wyglądał na kompletnie pobitego, Hepplewood dał mu znak, żeby wspiął się na kozioł.

– Dobrze. Teraz na kozioł i pobawi się pan w stangreta. Sugeruję, żeby z podwiniętym ogonem pognał pan z powrotem do Sussex. Ale wiem, że pan tego nie zrobi, bo ta harpia w środku na to nie pozwoli.

– Zapłaci pan za to, hrabio! – wrzasnęła przez otwarte drzwi lady Meredith. – Naśle na pana tylu sędziów pokoju, że się pan nie pozbiera!

– Ależ proszę bardzo, szanowna pani – zachęcił, przyglądając się, jak Tafford gramoli się na miejsce stangreta. – Niech pan rusza, Tafford. A jeśli ośmieli się pan podążyć za mną z powrotem do miasta, wówczas, na Boga, niech pan nie wchodzi mi w oczy.

*

Kolejna godzina wlokła się w nieskończoność, a wzburzony Hepplewood nie potrafił przestać myśleć o Isabelli i cierpieniu, jakiego przysporzył jej Tafford. Większość tego czasu spędził, uspokajając dziewczynki, że wkrótce zobaczą siostrę, oraz przepytując Brooksa w kwestii poczynań jego pana.

Jakkolwiek Brooks wyraźnie nie darzył swego pracodawcy szacunkiem, wiedział tyle co nic. Zarazem porwanie dzieci przeraziło go do tego stopnia, że z ulgą porzucił posadę.

Do czasu gdy spotkali się na drodze z Marshem, gniew Hepplewooda nieco ostygł, jakkolwiek było jasne, że kłopoty z Taffordem się nie skończyły.

Zatrzymali się w Croydon na tyle długo, by zostawić kuca w miejscowej stajni, zaopatrzywszy stajennego w instrukcje, gdzie należy zwierzę odprowadzić. Hepplewood oddał Brooksowi Kolosa, a sam wsiadł do karety, żeby raz jeszcze uspokoić dziewczynki, iż z gróźb Tafforda nic nie wyniknie.

– Ale twierdził, że on i Isabella się pobiorą – powiedziała Jemima, skubiąc mankiet. – Mówił, że wyda bal w Thornhill dla uczczenia ślubu. I że znowu będziemy tam mieszkać.

– Jemmo, co to jest Thornhill? – spytała przez nos Georgina, nadal z zaczerwienionymi oczami.

– Miejsce, gdzie mieszkaliśmy kiedyś z mamą – wyjaśniła cierpliwie Jemima. – Ale teraz nie chcę tam mieszkać. Nie z kuzynem Everettem.

– Ale gdyby nie on, nie miałybyś nic przeciw? – sondował delikatnie Hepplewood. – To znaczy zasadniczo nie byłabyś przeciwna mieszkaniu na wsi?

Jemima otworzyła szerzej oczy.

– Och, nie, proszę pana – odparła z ziewnięciem. – Bardzo lubimy wieś.

– Hm – mruknął Hepplewood. – No dobrze, chodź tu, Jemmo, oprzyj się o mnie. Georgie, ty z drugiej strony. Najadłyście się strachu, ale już po wszystkim, na zawsze, obiecuję. Zamknijcie oczy, a ja was obudzę, kiedy dojedziemy do Londynu.

– Tak, proszę pana – powiedziała Jemima, ziewając po raz kolejny.

Później wtuliła się w niego zgodnie z propozycją, on zaś otoczył ją ramieniem.

Hepplewood zsunął sobie kapelusz na oczy, wsparł buty o siedzenie naprzeciw i przygarnął Georgie do swego drugiego boku. I przez chwilę wydawało się, że wszystko – być może – będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 21

Przybycie hrabiego na Clarges Street w towarzystwie dwóch niespokrewnionych z nim dziewczynek wymagało kilku subtelnych wyjaśnień. Fordingowi, kamerdynerowi Hepplewooda, chwaliło się, że nawet nie uniósł brwi, kiedy jego pan poinstruował, by Jemimę i Georginę zabrano prosto do niani Seawell i wraz z Lissie napojono herbatą w pokoju dzieciennym.

Kuzyn Royden się nie pokazał – nie żeby Hepplewood żywił na to wielką nadzieję.

Wróciwszy na ulicę, polecił Brooksowi udać się do stajni, wziąć kariołkę i jak najszybciej przywieźć z Knightsbridge Isabelle.

– Co będzie z tym gościem? – spytał Marsh, odprowadzając Brooksa wzrokiem.

– Zobaczmy – odparł Hepplewood. – Na razie niech go pan wyszkoli na młodszego stangreta. Powozi dość dobrze, ale wątpię, czy ma doświadczenie na londyńskich ulicach.

– Tak kalkuluję, że potem pošle mnie pan na emeryturę – zasugerował kwaśno Marsh.

– Jeśli pan zechce, to oczywiście, ale nie podejmę tej decyzji za pana – odparł Hepplewood. – Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce będę potrzebował drugiego stangreta.

Marsh sapnął, kiedy Hepplewood wchodził po schodach.

– No dobrze. Lepiej pójde pomóc przy tej kariołce. Bo jeszcze bałwan omyłkowo zaprzęgnie do wozu.

– Ufam, że go pan naprostuje, panie Marsh. – W westybulu Hepplewood podał kapelusz kamerdynerowi. – Żadnych wieści od Jervisa?

– Nie, milordzie, na ile mi wiadomo, nadal przebywa w Liverpoolu – odparł Fording. – Czy mam wezwać pańskiego lokaja?

– Tak, życzę sobie kąpieli i kanapki, w tej kolejności, i to szybko. – Hepplewood ruszył po schodach w górę. – Jeśli się nie mylę, w ciągu pół godziny do drzwi zapuka sędzia pokoju. Proszę go zaprowadzić do mojego gabinetu.

– Tak, proszę pana. – Fording obskubywał ulubiony, aczkolwiek nieco już znoszony, kapelusz Hepplewooda, jakby wyroiło się na nim robactwo.

– Wkrótce przybędzie też pani Aldridge – ciągnął Hepplewood. – Zapewne pamięta ją pan z Loughford. Jest ciotką panny Caroline i matką tych dwóch dziewczynek.

– Ta guwernantka, milordzie? – Fording był wyraźnie zaintrygowany.

– Aktualnie rozważam jej kandydaturę na inne stanowisko – odparł Hepplewood. – Proszę ją zaprowadzić prosto do sali lekcyjnej, jeśli do tej pory nie zejde jeszcze na dół. Aha, i przyjęliśmy na służbę młodszego stangreta nazwiskiem Brooks. Proszę łaskawie zaopatrzyć go w stosowną liberię.

Hepplewood wykąpał się i ubrał w nadzwyczajnym tempie, a później z całkowitym lekceważeniem dobrych manier pożarł pół kanapki. Nie wątpił, że Tafford się pokaże; matka nie zostawi mu wyboru. A kiedy to nastąpi, Hepplewood zamierzał wyglądać jak arystokrata w każdym calu – i to bogaty.

– Mój najlepszy czarny frak – polecił lokajowi.

Wykluczone, żeby jakikolwiek londyński sędzia pokoju odebrał dziewczynki Isabelli, uspokajał się, kiedy lokaj pomagał mu założyć elegancki strój. A jednak odnosił wrażenie, że całe jego życie zależy od tego, czy zdoła wyprostować sytuację.

Tak, rzucił rękawicę i zarazem pozwolił sobie na potężny blef. I mimo że dziesięć lat uprawiania hazardu oraz ostrego życia zaszczerpiło w nim umiejętność maskowania emocji, zimny strach nadal szarpał mu trzewia.

Strach przed utratą zarówno Isabelli, jak i dziewczynek.

Strach przed utratą czegoś, o czym do niedawna nie wiedział nawet, że tego pragnie.

Ale pragnął, na Boga – i zdobędzie to, modlił się, choć przypuszczalnie sporo zależało tutaj od ustaleń Jervisa.

Zarazem miał pewność, że Tafford okaże się o wiele mniejszym wyzwaniem niż Isabella. Gdy zaś chodziło o niego samego... Cóż, nie zasługiwał na to, czego pragnął. Nigdy. Ale znowu postępował samolubnie; potrzebował Isabelli z desperacją, która prędko brała górę nad zdrowym rozsądkiem.

Tak, całkiem możliwe, że to jednak nie Tafford odpowiadał za ów dręczący strach.

Ruszył właśnie głównymi schodami w dół, kiedy zakołatano do drzwi. Zwlekał na podeście, nasłuchując coraz głośniejszej wymiany zdań – bynajmniej nie przyjaznych, przy czym jeden z głosów Hepplewood rozpoznał natychmiast.

– Ach, baronie, pański tupet nie zna granic – oznajmił, prędko pokonując schody. – Zatem przyprowadził pan sędziego pokoju?

– To jest pan Horace Wells, wasza lordowska mość – sapnął Fording, wręczając swemu panu bilet wizytowy. – Lorda Tafforda, jak wnoszę, już pan zna.

Wetknąwszy wizytówkę do kieszeni, Hepplewood otaksował wzrokiem pana Horace'a Wellsa. Jeżeli kiedykolwiek istniał urzędnik bardziej nieszczęśliwy z tytułu swojej roli, Hepplewood takowego nie spotkał. Na twarzy drobnego, łysiejącego jegomościa coraz wyraźniej odmalowywał się strach. Biedaczysko.

– Panie Wells, żałuję, że wyciągnięto pana z domu bez powodu – rzekł bardziej uprzejmie Hepplewood. – Rzeczone dzieci przebywają pod moją opieką i mają się dobrze.

– Ale to nie są pańskie dzieci – wtrącił Tafford, wyskakując naprzód na dobre pół kroku, z zaciśniętą pięścią. – Georgina jest moją podopieczną i zarazem kuzynką. A do Jemmy nie ma pan najmniejszych praw.

– Podobnie jak pan – zaripostował spokojnie Hepplewood. – Co więcej, dzieci od pięciu lat znajdują się pod opieką ich starszej siostry, szacownej wdowy, która...

– Szacownej, dobre sobie! – przerwał mu Tafford. – Isabella Aldridge para się handlem. Prowadzi księgarnię. Teraz zaś dochodzę do wniosku, że wkrótce ta kobieta stanie się niczym więcej jak pańską dzi...

– Kim takim? – zimno wszedł mu w słowo Hepplewood. – Niech pan dokończy to zdanie, baronie, a znajdzie się pan w kłopotach, od których uwolni pana wyłącznie grób, nie obecny tu pan sędzia.

– Milordzie, z całym szacunkiem – powiedział sędzia, unosząc obie ręce, jakby chciał zapobiec wymianie ciosów – to doprawdy interesująca sprawa. Czy przeczy pan, że ten człowiek jest opiekunem prawnym dziewczynki?

– Być może formalnie – zgodził się Hepplewood – ale to musi rozstrzygnąć sąd.

Teraz bliski apopleksji Tafford zaczął chaotycznie tłumaczyć, dlaczego dzieci powinny zostać mu oddane niezwłocznie, oraz jak straszliwie cierpiały pod opieką siostry.

Kiedy skończył, Hepplewood uśmiechnął się chłodno do sędziego.

– Rozumie pan, kim jestem, panie Wells? – spytał cichym głosem. – Rozumie pan, że moim wujem jest hrabia Duncaster, a jego dziedzic, mój kuzyn, zajmuje wysoką pozycję w Home Office?

– Tak, jasne – warknął Tafford. – Popisuj się pan swoimi wpływami, ale pan Wells nie da się zastraszyć.

– Ależ absolutnie nie jest moim życzeniem zastraszać pana Wellsa – oznajmił Hepplewood. – Zamierzam zastraszyć pana, panie Tafford. Oraz jasno wyłożyć, jaka siła i władza zostaną zaangażowane przeciw panu i każdemu, kto stanie mi na drodze, kiedy chodzi o te dzieci i ich szczęście.

– Dobro Georginy ogromnie leży mi na sercu – obwieścił Tafford – a panu nic do tego.

– Leży panu na sercu? – spytał sarkastycznie Hepplewood. – Może więc zechciałby pan wytłumaczyć temu biednemu, tak przez pana wykorzystywanemu sędziemu pokoju, dlaczego na blisko pięć lat pozostawił pan to dziecko w obskurnej chatce w Fulham, z ciekącym dachem, łuszczącą się farbą i prawie bez jedzenia na stole?

– No cóż... była z Isabellą – odparł Tafford, blednąc odrobinę.

– Tak, z kobietą, którą dopiero co oskarżył pan, że nie jest właściwą osobą, by wychowywać dziecko – podsumował Hepplewood. – A jednak nie uznał pan za stosowne, mimo tak wielkiej troski, zapewnić dziewczynce odpowiedniej guwernantki i odpowiedniej edukacji? Nie uznał pan za stosowne zapewnić jej odzieży i schronienia właściwych jej urodzeniu?

– Próbuję właśnie to zrobić – oświadczył Tafford – lecz pan mi przeszkadza.

– Nie, próbuje pan zmusić panią Aldridge, żeby za pana wyszła – sprostował Hepplewood.

– Tak, cóż, ponieważ to najlepsze dla dzieci – odrzekł Tafford.

– Dlaczego? – spytał ostro Hepplewood. – Jakoś nie dostrzegam, co jedno ma wspólnego z drugim. Albo chce pan dla dzieci jak najlepiej, albo nie. Albo zamierza się pan zatroszczyć o ich dobro, albo nie. Jednak przez wszystkie te lata nie podarował pan Georginie nawet bochenka chleba, a zamiast tego wywierał pan coraz większy nacisk na panią Aldridge.

Tafford spojrział na urzędnika.

– Niech pan coś zrobi – warknął.

– Proszę nie patrzeć na pana Wellsa – rzekł Hepplewood – ponieważ on nie zabierze tych dzieci od jedynej kochającej je krewnej, jaką znały przez ostatnie pięć lat... nie bez nakazu Sądu Lorda Kanclerza.

– I zdobędę go! – odparował Tafford. – Wie pan, hrabio, że go dostanę.

– Jednak nie dość szybko – stwierdził cicho Hepplewood – żeby powstrzymać Isabellę przed poślubieniem mnie.

W westybulu nagle zapadła cisza.

– Tak, proszę dalej prowadzić swój wywód, panie Tafford – zachęcił Hepplewood. – Może mi pan jednak wierzyć, że pański prawnik nie zdąży nawet sklecić stosownej skargi, zanim Isabella i ja się pobierzemy, a pan straci szansę na przejęcie kontroli nad jej fortuną.

– Pan... pan się z nią nie ożeni – wybełkotał Tafford. – Ona... no jak, przecież ona jest nikim.

– Ja wszakże mam w zwyczaju żenić się z bogatymi kobietami bez znaczenia – stwierdził z sarkazmem Hepplewood. – Niech pan spyta dowolną osobę. Nie, panie Tafford, źle pan to rozegrał.

Począł, aż na ziemistej twarzy Tafforda odmaluje się panika, a potem się roześmiał.

– Z początku nie byliście pewni, czy rzeczywiście jest jakiś spadek, zgadza się? – podjął. – Zatem pan i ta gorgona, pańska matka, podstępem wydobywaliście informacje... podając się za Isabellę, jak podejrzewam. Może nawet udawał pan, że jesteście już małżeństwem. Wpajaliście jej kanadyjskim krewnym przekonanie, że nigdy nie opuściła Thornhill. Na razie nie mogę tego dowieść, ale jestem bardzo cierpliwym człowiekiem, panie Tafford. A pan?

– Ja... ja spotkam się z panem w sądzie, hrabio – odparł Tafford, lecz z jego zaciętrzewienia niewiele zostało. – Panie Wells, co zamierza pan zrobić w tej sprawie?

– Nie odpowiada mi rola narzędzia w cudzych intrygach – odparł ponuro sędzia. – Hrabio, chciałbym zobaczyć się z dziećmi, na osobności. Nalegam. Upewnię się co do ich dobrostanu. A potem spotkam się z ową tajemniczą siostrą.

– Kiedy tylko przybędzie – rzekł lord Hepplewood.

– Ale ja już tu jestem. – Głos Isabelli dobiegł od strony schodów.

Z zamierającym sercem Hepplewood odwrócił się i ujrzał ją, przycupniętą na podeście niczym

delikatny ptak. Dłoń wspierała lekko na poręczy, lecz jej oczy płonęły gniewem.

– Moja droga – zdołał gładko ją powitać. – Ogromnie panią przepraszam.

– To Everett powinien mnie przepraszać – oznajmiła zimno. – I tak, bardzo bym chciała, żeby pan Wells poznał moje siostry. Być może zechce obejrzeć sińce, jakie matka lorda Tafforda pozostawiła Jemimie, kiedy ją kneblowała i wiązała jej ręce? Albo zerknąć na zapuchnięte od płaczu oczy Georginy? Spodziewam się, że pomoże mu to stwierdzić, czy Everett istotnie chce dla dziewczynek jak najlepiej.

– Dobry Boże! – Pan Wells zgromił Tafforda spojrzeniem.

– Czy mogę zaprowadzić pana Wellsa do sali lekcyjnej, hrabio? – spytała Isabella, lecz w jej oczach kryło się inne, mroczniejsze pytanie. – Dziewczynki są zmęczone... i przerażone, dzięki tobie, Everecie. Bądź łaskaw odejść i zostawić moje siostry w spokoju. Nienawidzą cię, na wypadek gdybyś nie zauważył.

Tafford nic nie powiedział.

Isabella popatrzyła znowu na Hepplewooda.

– Zostawiłam w Home Office wiadomość dla lorda Saint-Bryce’a, żeby przybył tutaj, kiedy tylko wróci – poinformowała. – Na pewno można polegać na pańskim kuzynie, że tak właśnie postąpi.

– Dziękuję, moja droga – rzekł z ukłonem Hepplewood. – Panie Fording, proszę zaprowadzić panią Aldridge i pana Wellsa do sali lekcyjnej i zorganizować dla nich miejsce, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać.

– Isabello, to szaleństwo – przemówił w końcu Everett. – On... no jak, on się z tobą nie ożeni! A ty nie byłabyś na tyle głupia, żeby wychodzić za tak nikczemną parodię dżentelmena.

Isabella odwróciła się ze spokojem.

– Przyganiał kocioł garnkowi – stwierdziła cicho.

– Panie Tafford – rzekł groźnie Hepplewood – sugeruję, żeby poczekał pan na pana Wellsa na ulicy.

Z tymi słowy chwycił Tafforda za ramię i powiódł ku drzwiom wejściowym. Fording otworzył je z napiętym uśmiechem, a Hepplewood wypchnął niepożądanego gościa na zewnątrz.

Everett zszedł na chodnik, klnąc i złorzecząc im wszystkim, wyglądał jednak na pobitego, z nalaną twarzą wydawał się wręcz chory.

– Życzę miłego dnia – rzucił szorstko Hepplewood. – Proszę nie oczekiwać zaproszenia na ślub.

Posławszy hrabiemu ostatnie mroczne spojrzenie, Everett odwrócił się i podążył chodnikiem w kierunku stajni po drugiej stronie Curzon Street. Od strony Picadilly nadjechała właśnie dorożka, ale Tafford się nie obejrzał.

Hepplewood stał na najwyższym stopniu i, wstrzymując oddech, obserwował zbliżający się pojazd. Mieszkańcy Clarges Street zasadniczo nie korzystali z dorożek. Służba niższego stanu jeździła omnibusem. Albo chodziła pieszo.

Jednakże ludzie określonych profesji...

Tak, dorożka zwalniała, choć zdawało się to trwać wieki. Kiedy znalazła się blisko, Hepplewood wypatrzył za szkłem twarz Jervisa i pospieszył na dół, żeby osobiście otworzyć drzwi. Ulga i nadzieja wezbrały w nim, kiedy ujrzał krągłego, zmęczonego jegomościa, usadowionego obok jego sekretarza.

– Panie Jervis – rzekł – witam w domu.

– Dziękuję, milordzie – powiedział sekretarz, wysiadając. – To jest pan Colfax z kancelarii Spratt, McCann i Colfax w Montrealu. Szczęśliwie odnalazłem go wczoraj, kiedy schodził na ląd w Liverpoolu.

Hepplewood nareszcie odetchnął; jakkolwiek przedstawiała się sytuacja Isabelli, wkrótce wszystko stanie się jasne – choć fakt, że Everett nie wyparł się wiedzy o spadku, utwierdził go w podejrzeniach.

Wyciągnął dłoń na powitanie.

– Hepplewood – przedstawił się krótko. – Zapraszam do środka, panie Colfax.

Isabella pozostawiła pana Wellsa usadowionego wygodnie w bawialni guwernantki z Jemimą i dzbankiem herbaty. Urzędnik grymasem niezadowolenia zareagował na widok zapuchniętych oczu Georginy, lecz przy oględzinach nadgarstków Jemimy aż posapywał z gniewu.

Kiedy poprosił o możliwość porozmawiania z dziewczynką w cztery oczy, Jemima się uśmiechnęła.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności – oznajmiła, pochwyciwszy zatroskane spojrzenie Isabelli. – Z całą pewnością mogę uspokoić pana Wellsa w kwestii dzisiejszych poczynań lorda Tafforda... oraz jego bezczynności w minionych latach.

Isabella niechętnie wyraziła zgodę i wycofała się, zostawiając otwarte drzwi na użytek niani oraz młodszych dziewczynek, które znowu bawiły się radośnie.

– Będę na dole, panie Wells – rzekła przed wyjściem.

Jednakże sędzia odprawił ją gestem człowieka, który musi jedynie uczynić zadość biurokratycznym wymogom.

To był straszny, męczący dzień, myślała Isabella, kierując się ku schodom, a jeśli podsłuchane przez nią wcześniej strzępy konwersacji znaczyły to, co jej się wydawało, utrapienia jeszcze się nie skończyły. Ona i Hepplewood będą musieli zamienić kilka mocnych słów.

Jednakże nie ustaliła nawet połowy faktów, uzmysłowiła sobie, kiedy znalazła się przy głównych schodach. Spojrzawszy w dół, zobaczyła lorda Hepplewooda i jego sekretarza, którzy wchodzili właśnie do domu, ostrym tonem rozmawiając z nieznanym Isabelli, wymizerowanym jegomościem.

– Reprezentuje pan interesy rodziny Flyntów, jak wnoszę? – mówił właśnie Hepplewood.

Isabella zamarła w połowie schodów, spoglądając przez balustradę. Co u licha?

– Tak, tak, ale szukam pani Isabelli Aldridge – odparł z rozdrażnieniem mężczyzna, podążając za hrabią i jego sekretarzem po schodach wejściowych – albo lady Tafford, jeśli tak się teraz nazywa?

W westybulu Hepplewood okręcił się na pięcie.

– Z pewnością tak się nie nazywa, panie Colfax – odparł z napięciem. – Isabella Aldridge nie wyszła za lorda Tafforda ani nie ma takich planów... choć nie wątpię, że podjęto kroki, by zaciemnić ten fakt.

– Czyli mieszka tutaj? – Mężczyzna zwany Colfaksem zmarszczył brwi.

– Absolutnie nie – odparł Hepplewood. – Jest przyjaciółką... bardzo bliską przyjaciółką. I opuściła Thornhill na długo przed śmiercią swego ojca.

– Co innego przekazano naszej firmie – upierał się pan Colfax.

– Zatem państwa okłamano – skonstatował Hepplewood.

– Lecz przecież rzeczona dama sama twierdziła...

– Rzeczona dama nie wie o pańskim istnieniu, panie Colfax – przerwał mu stanowczo Hepplewood. – Ufam, że mój sekretarz wyjaśnił to panu, kiedy odnalazł pana w Liverpoolu? Od kilku tygodni rozmawiał z przedsiębiorstwami i prawnikami, z którymi współpracuje rodzina Flyntów.

Pan Colfax jedynie pokręcił głową.

– Niewątpliwie tak utrzymywał, nie pojmuję jednak, jak mogło dojść do równie wielkiego nieporozumienia – oznajmił piskliwym głosem prawnik. – W rzeczy samej, nie jestem nawet pewien, czy powinienem być tutaj. Lord Tafford oczekuje mnie w Thornhill.

– Zapraszam więc do mojego gabinetu, a pospieszę z dalszymi wyjaśnieniami – rzekł Hepplewood.

– Nic nie uczyniłoby mi większej przyjemności – stwierdził cierpko pan Colfax. – Ta sprawa nie może być dłużej odkładana. Rodzina Flyntów złożyła ostateczną ofertę. Nie proponują więcej. A teraz muszę zobaczyć się osobiście z lady... eee, z panią Aldridge.

Isabelli zaczynało się kręcić w głowie. Nie pojmowała, co się dzieje – ale na pewno zamierzała to

ustalić.

– Czy nadal się o mnie rozmawia? – spytała, zstępując ze schodów.

Hepplewood popatrzył na nią niemal skruszony.

– Moja droga, dołącz do nas, bardzo proszę – rzekł, wychodząc jej naprzeciw. – Przepraszam za to zamieszanie. Masz gościa.

Przeciął marmurową podłogę, wyciągając ręce ku Isabelli.

– Nie rozumiem, jak mogłabym mieć gościa, skoro sama przebywam tu z wizytą – powiedziała. Chwyciła jego dłonie, spoglądając nań niepewnie. – Zostawiłam pana Wellsa z Jemimą – dodała ciszej.

– Chciałam, żeby nie miał najmniejszych wątpliwości, że dziewczynki wypowiadają się swobodnie. On... on nie spróbuje ich zabrać, prawda, Anthony?

– Nie – wymruczał Hepplewood. – Ale to bez znaczenia, nigdy bym ich nie oddał. Wells musiałby nasłać na nas połowę stołecznej policji, a kuzyn Royden do tego nie dopuści.

Część napięcia z niej opadła, Isabella popatrzyła na niego z wdzięcznością. Zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że nie ma czasu na takie sprawy, ponieważ trzech mężczyzn spogląda na nią dziwnie nagłaco.

Hepplewood zaprosił wszystkich do swego gabinetu i posłał Fordinga po herbatę. Później odwrócił się ku Isabelli.

– Moja droga, pan Colfax jest prawnikiem z Montrealu – wyjaśnił. – Na moje polecenie pan Jervis od wielu dni usiłował go przechwycić. Jak rozumiem, pan Colfax reprezentuje twoich kuzynów, Williama i Jamesa Flyntów. Zgadza się, panie Colfax?

– Moich kuzynów...? – zdumiała się Isabella, opadając na fotel. – Ależ nie wiedziałam nawet, że jakichś mam. Czego mogą ode mnie chcieć?

Oblicze pana Colfaksa spochmurniało.

– Pani Aldridge, korespondujemy z panią od śmierci pani dziadka, usiłując zamknąć tę sprawę.

– Wybacz pan, panie Colfax, lecz aż do dzisiaj nie słyszałam pańskiego nazwiska – oświadczyła mocniejszym głosem Isabella. – Nie ma powodu odnosić się do mnie ze zniecierpliwieniem, o jakąkolwiek sprawę chodzi.

Stosownie upomniany, pan Colfax popatrzył przepraszająco na Jervisa.

– Proszę, usiądźmy – zaproponował wspaniałomyślnie Hepplewood. – Chyba teraz już pan pojmuje, panie Colfax, że wszystko, co pan Jervis mówił panu o pani Aldridge, odpowiada prawdzie.

– Co odpowiada prawdzie? – przerwała mu z irytacją Isabella. – Pana Jervisa spotkałam tylko raz w życiu, w Loughford. Przyznam, że był to przerażający dzień.

– Bardzo panią przepraszam. – Jervis zwiesił głowę.

– Moja droga, sprawa przedstawia się tak – rzekł łagodnie Hepplewood. – Posłałem pana Jervisa do Liverpoolu, żeby spróbował przechwycić pana Colfaksa albo przynajmniej ustalił, z czym konkretnie przybywa. Widzisz, pan Colfax jest przekonany, że przez cały czas korespondował z tobą w Thornhill.

– W Thornhill? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Tak, sądzi, że mieszkałaś tam przez cały czas... w istocie, że nigdy stamtąd nie wyjechałaś, ponieważ takie przeświadczenie wywołała u niego lady Meredith. Podejrzewam, że to dlatego po śmierci twojego dziadka portret, który zapisał ci w spadku, został wysłany do Thornhill.

Isabella popatrzyła bacznie na Colfaksa, który nieco się zarumienił.

– Mój ojciec umarł blisko sześć lat temu, proszę pana – wyjaśniła – pozostawiając moje siostry i mnie samym sobie. Mieszkamy w Knightsbridge, nad naszą księgarnią. Nie przychodzi mi do głowy, dlaczego moja ciotka miałaby sugerować co innego. Z drugiej strony, nie mam pojęcia, z czym pan się do mnie zwraca.

– Ależ chodzi o postanowienia testamentu pani dziadka – odparł piskliwie prawnik. – Ta sprawa

wymaga załatwienia. Brak kierownictwa zaczyna utrudniać Flyntom podejmowanie strategicznych decyzji inwestycyjnych. Po prostu chcą wiedzieć, czy pani zostaje, czy wychodzi.

– Zostaje czy wychodzę skąd? – wypaliła.

– Z rodzinnego interesu – rzekł Colfax. – Proszę pani, czy pani nie rozumie, że należy do pani połowa firmy?

Isabella zrobiła wielkie oczy.

– Słucham?

– Ale gotówka się gromadzi – ciągnął Colfax, wyraźnie zadowolony, że wreszcie zawładnął uwagą słuchaczy – i pilnie wymagane są znaczące inwestycje. Flyntowie pisali i czekali, pisali i czekali, lecz pani... no cóż, ktoś ciągle ich zbywał.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Isabella wyprostowała się sztywno w fotelu.

– Teraz to bez znaczenia – stwierdził Colfax, zbywając kwestię machnięciem ręki. – Obecnie muszę tylko wiedzieć, czy chce pani sprzedać udziały. Flyntowie szykują się do zakupu przedsiębiorstwa żeglugowego, co ograniczy płynność firmy. Musi pani podjąć decyzję, pani Aldridge.

– Anthony. – Głos nieco jej drżał, nie śmiała się odwrócić, żeby spojrzeć na Hepplewooda. – O czym ten człowiek mówi? I jakim sposobem ty znasz temat, podczas gdy ja o niczym nie wiem?

Hepplewood przez krótką chwilę rozważał pytanie Isabelli, a potem stanowczo wsparł dłonie o uda. Nadeszła pora, by odbyli bardzo prywatną rozmowę.

– Panowie, proszę, zostawcie panią Aldridge i mnie samych – oznajmił, wstając. – Musimy omówić kilka ważnych spraw.

Colfax wytrzeszczył oczy.

– Ale... ale przyjechałem tutaj aż z Montre...

– Czego mam pełną świadomość, szanowny panie. – Hepplewood gestem uciszył prawnika. – Jednakże rodzina Flyntów padła ofiarą kłamcy, a to nie jest problem pani Aldridge. Lata temu należało przysłać tutaj jednego z państwa liverpoolskich współpracowników.

– Skąd mieliśmy wiedzieć, że lord Tafford zmarł, a pani Aldridge wyprowadziła się z Sussex? Albo że ktoś ośmielił się udawać... no cóż, podawać się za nią?

Hepplewood jedynie wzruszył ramionami.

– Tak czy owak, pani Aldridge potrzebuje teraz czasu, żeby skonsultować się z własnymi prawnikami – naciskał. – Nie może polegać na radach pańskich czy pana Jervisa... ani nawet moich, skoro o tym mowa. Zakładam, że przywiózł pan dane finansowe? I ofertę Flyntów?

– No cóż, owszem – odparł Colfax.

– Proszę je więc powierzyć panu Jervisowi, a pani Aldridge pozostanie z panem w kontakcie – polecił, zaganiając obu mężczyzn w stronę wyjścia. – Panie Jervis, proszę odprowadzić pana Colfaksa do Claridge's i wynająć apartament na mój rachunek.

– Naturalnie, milordzie.

W tejże chwili nadszedł Fording.

– Pan Wells się pożegnał, proszę pana – poinformował. – Mówił, że jest już spóźniony na herbatę, a żona go oczekuje. Przekazuje pani Aldridge wyrazy uszanowania.

– Ach tak? – Hepplewood odchrząknął, oglądając się na Isabellę. – Zapewne Jemma opowiedziała mu, jak ten diabeł porwał je prosto z ulicy.

Kamerdyner uśmiechnął się blado.

– Tak, jak rozumiem, młoda dama porównała wydarzenie do branki – powiedział. – Pan Wells nie wydawał się ubawiony.

– Proszę pana? – Jervis zniżył głowę, żeby pochwycić wzrok pracodawcy. – Czyli jestem wolny?

– Tak, tak, dziękuję. – Jednakże w ostatniej chwili Hepplewood wyszedł za drzwi i przytrzymał sekretarza za ramię. – Proszę poczekać, o jakich pieniądzach mówi Colfax? – spytał cicho. – Orientuje się pan?

– Flyntowie zajmują się drewnem: ścinką, obróbką oraz eksportem, a do tego bankowością i transportem morskim – odparł Jervis, ostrzegawczo unosząc brew. – William Flynt zasiada w zarządzie Banku Montrealu. Rodzina ma powiązania z domami handlowymi na całym świecie. Colfax ocenia całość na dwa i pół miliona funtów. A jedynie zerknąwszy na dane finansowe, powiedziałbym, że szacuje ostrożnie.

– Dobry Boże – rzekł Hepplewood. – Proponują jej ponad milion funtów?

– Wstrząsające, czyż nie? – wymamrotał Jervis.

„Wstrząsające” nawet w części nie opisywało sytuacji.

Hepplewood wrócił do gabinetu i zamknął drzwi, nieco roztrzęsiony.

– Anthony. – Isabella podniosła się z sofy. – Co się dzieje? Bądź łaskaw mi wytłumaczyć.

Wziął głęboki oddech i ponaglił ją, żeby na powrót usiadła, po czym usadowił się obok niej.

– Dzieje się to, skarbie, że jesteś bardzo bogatą kobietą – powiedział, zwracając się ku niej. – Wygląda na to, że po zamążpójściu twojej matki twój dziadek nie zmienił testamentu.

Isabella rozdziawiła usta.

– Dziadek nie... co?

– Nie zmienił testamentu – powtórzył Hepplewood. – George Flynt umarł, pozostawiając swój majątek do podziału w równych częściach między syna i córkę, mimo że oboje odeszli przed nim. Jego syn miał dwoje dzieci, to twoi kanadyjscy kuzyni, William i James. Jego córka tylko jedno. Ciebie. Co oznacza, że jesteś właścicielką połowy imperium Flyntów, podczas gdy do Williama i Jamesa należy po jednej czwartej.

– Imperium? – podchwyciła. – Jakim sposobem kanadyjska dzicz przekształciła się w imperium? To niedorzeczne. I dlaczego miałby zostawiać cokolwiek mnie?

– Może był sentymentalny? – Hepplewood wzruszył ramionami. – Może po prostu nie potrafił się zdobyć na to, by odciąć twoją matkę. Albo tylko zaniedbał papierkową robotę. Zostawił stary testament u swego dawnego prawnika w Liverpoolu i nigdy go nie zmienił. Jervis ustalił to dość szybko. A w czasie, kiedy sporządzano dokument, majątek zapewne nie był wart tyle co dzisiaj.

– A ile jest wart dzisiaj?

Hepplewood wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Dużo – odparł wreszcie. – Suma jest dość szokująca. Na tyle szokująca, że wolałbym, aby specjalista przejrzał dane finansowe, zanim podam ci liczbę. Zgadzasz się?

– Dość szokująca suma – wymamrotała Isabella. – Nie umiem... ogarnąć tego myślami.

– Samemu trudno mi to przyswoić – przyznał – mimo że podejrzewałem prawdę albo raczej jej część. Nie spodziewałem się jednak, że dysponował aż takim majątkiem.

Isabella patrzyła na niego oczami jak spodki; zamigotała w nich iskierka nadziei.

– Czyli... sądzisz, że jednak nie będę musiała żyć z dochodów z księgarni?

Roześmiał się niepewnie.

– Nie, skarbie, skądże – odparł. – Co do tego mogę cię uspokoić. I już nigdy nie będziesz musiała się obawiać Everetta.

– Naprawdę? – spytała, podnosząc na niego zafrapowane spojrzenie. – To wszystko jest takie dziwne. Anthony, jak mogłam o niczym nie wiedzieć?

Ujął jej dłonie w swoje.

– Isabello, czy jest możliwe, że twój ojciec jednak wiedział? – dociekał. – I że nie mówił ci,

ponieważ... sam nie wiem... bał się, że cię straci? Albo z powodu jakiejś urazy do twojego dziadka?

Pokręciła głową

– On nie był taki – zapewniła. – Natomiast matka... tak, ona mogła wiedzieć. Lub podejrzewać. Ale temat dziadka sprawiał papie ból, toteż nigdy o nim nie mówiła. No i, jak sugerujesz, interes był wtedy prawdopodobnie wart mniej.

– Czy zatem matka mogła w którymś momencie zwierzyć się lady Meredith z planów twojego dziadka? – naciskał. – Czy to możliwe?

Spojrzenie Isabelli odpłynęło w dal.

– Nie widzę powodu, by miała to robić – odparła. – Oczywiście, kiedy lady Meredith pozostawała jeszcze żoną młodszego brata papy, często przyjeżdżali z wizytą. Ona i mama poniekąd się przyjaźniły, ale nigdy nie były ze sobą blisko.

– Mówiłaś, że twój dziadek czasem pisał – zadumał się. – Może lady Meredith przeczytała list, który nie był przeznaczony dla jej oczu?

Isabella popatrzyła na niego z przejęciem.

– Anthony, to postępek dokładnie w jej stylu! – szepnęła. – W istocie, kiedy mama umarła tak nagle, to właśnie ona przyjechała spakować jej rzeczy. Papa był tak zdruzgotany, że nie wstawał z łóżka.

– Cóż, całej prawdy zapewne nigdy nie poznamy – wymamrotał Hepplewood. – Lady Meredith się nie przyzna. Niemniej bez wątpienia podawała się za ciebie, zbywając w listach Colfaksa i Flyntów. Przypuszczalnie usiłowała wydobyć od nich dokładną wartość firmy, a jednocześnie nakazała Everettowi, by nakłonił cię do małżeństwa.

– Tyle że Flyntowie mieli w końcu dość zwodzenia. – Isabella podniosła głos. – Stąd brała się coraz większa desperacja Everetta, prawda? Dlatego podjął dziś takie szalone ryzyko? Lady Meredith wiedziała, że Colfax przyjeżdża... i spodziewa się zastać mnie w Thornhill, być może jako żonę Everetta. Dobry Boże. Czy to z tego powodu wywiozłeś nas wszystkie do Greenwood?

– Po części. – Hepplewood uśmiechnął się ponuro. – Brooks powiedział ci, jak przypuszczam, że Tafford miał w kieszeni specjalny kontrakt?

Pokręciła głową.

– Nie widziałam się z Brooksem – odparła zafrapowana. – Dręczył mnie taki niepokój, że postanowiłam przejść się tutaj z Whitehall. Ale nie poślubiłabym Everetta. Anthony, nie zrobiłabym tego. Bałabym się o dziewczynki, lecz ufałabym, że się o nie zatroszczysz. Że odzyskasz je dla mnie.

Przez kilka chwil po prostu siedział obok niej na wąskiej sofie, trzymając jej dłonie w swoich i wciągając w nozdrza jej krzepiąco znajomy zapach. Myślami uparcie wracał do ostatniego razu, kiedy się kochali; do bólu, jaki czuł w sercu po opuszczeniu jej łóża.

Miał dosyć opuszczania jej łóża. Dosyć opuszczania jej.

Dosyć swego zniszczonego, pustego życia.

Jednakże życie Isabelli – jej bogate, nowe życie, pełne możliwości i obietnic – dopiero się zaczynało.

Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do jej oczu.

– No cóż, teraz już mnie w zasadzie nie potrzebujesz, Isabello – rzekł, uspokajająco ściskając jej dłonie. – Nie w celu zapewnienia dziewczynkom bezpieczeństwa; nie przy pieniądzach, jakimi będziesz dysponować.

– Co masz na myśli?

– Możesz podarować Jemie i Georgie cały świat, skarbie – rzekł – i wynająć armię prawników, która zaciągnie Everetta przed sąd i przetrzyma tam do końca jego nędznego żywota. Niemniej on nie będzie cię dłużej nachodził, ponieważ wie, że nigdy nie dostanie fortuny Flyntów. Jego jedyną nadzieją było utrzymać cię w biedzie, przybitą. Nakłonić do ślubu, zanim poznasz prawdę.

Znienacka zadrżała.

– Dobry Boże, Anthony – powiedziała. – Zawdzięczam ci... wszystko.

Uniósł do ust jej dłoń i przywarł do niej wargami.

– Nie jesteś mi nic winna, kochana.

– Och, jestem, lecz nadal z trudem ogarniam sytuację – stwierdziła. – W rzeczy samej, nie uwierzę w to, dopóki... cóż, szczerze, sama nie wiem, co by mnie przekonało. Potrafię myśleć wyłącznie o tym, jak bardzo się cieszę, że chodziło tylko o pieniądze.

Zmarszczył brwi, skonfundowany.

– Obawiam się, kochana, że straciłem wątek.

– Ulżyło mi, że Everett zabiegał o mnie z powodu pieniędzy – wyjaśniła. – Chodziło tylko o pieniądze.

Nie o jakąś... podłość nie do opisania. Cała ta sprawa nie miała nic wspólnego z Jemmą i Georgie.

Zrozumiał to, co pominęła milczeniem.

– Och, biedactwo – zamruczał, obejmując ją. – Nie wątpię, że to był jeden z najgorszych dni w twoim życiu. A teraz ten dziwny zwrot wydarzeń. Musisz mieć mętlik w głowie.

Słabo wzruszyła ramionami w jego objęciach.

– Pieniądze właściwie niewiele mnie obchodzą – stwierdziła, wtulając twarz w jego szyję. – Najważniejsze, że uwolniłam się od Everetta i że ty...

– Tak? – zachęcił cicho.

Przez dłuższy czas trwała w całkowitym bezruchu.

– Jak mam interpretować to, co powiedziałaś Everettowi?

– Och, powiedziałem dziś Everettowi mnóstwo rzeczy – odparł ponuro – i każdą z nich szczerze.

Wolno odsunęła się od niego, wspierając dłonie o jedwabną kamizelkę na jego piersi.

– Co miałeś na myśli – doprecyzowała – kiedy mówiłeś... że się ze mną ożenisz?

Ze spokojem popatrzył jej w oczy i starannie dobrał kolejne słowa.

– Miałem na myśli dokładnie to: że ożenię się z tobą, by ochronić cię przed nim – wyszeptał. – Jak również, że chcę cię poślubić. Że cię kocham. Do szaleństwa. Namiętnie. Mam poczucie, że moja dusza tak całkowicie zespoila się z twoją, iż nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

– O – zająknęła się cicho. – Ojej. Jakie to... romantyczne, Anthony.

Uniósł palcem jej brodę.

– Ale nie musisz za mnie wychodzić, Isabello – rzekł. – Teraz, kiedy jako pierwsi odnaleźliśmy Colfaksa, Everett nie będzie cię więcej niepokoił. To miałem na myśli, skarbie, kiedy mówiłem, że już mnie nie potrzebujesz. Nie potrzebujesz mnie jako ochrony przed Everettem. Jego gra dobiegła końca.

– A co z... z twoją grą? – wymamrotała, uwodzicielsko opuszczając wzrok. – Jak się miewa?

Wtedy mocno przygarnął ją do siebie i pocałował – całował ją bardzo długo, językiem, dłońmi i sercem – zarazem modląc się, by w jej przypadku postąpić słusznie. Całował ją, aż nie mogła złapać tchu, a jej włosy znalazły się w rozsypce. Aż przywarła biustem do jego torsu, praktycznie wczółgując mu się na kolana.

Z całych sił starał się zachować przyzwoitość, pohamować się przed pchnięciem jej na sofę i parzeniem się z nią jak zwierzę. Koszmarnie się bał, że ją straci, lecz nigdy by jej nie okłamał.

Kiedy wreszcie przerwała pocałunek, z oczami pociemniałymi z pożądania, lekko odsunął ją od siebie.

– Nigdy z tobą nie pogrywałem, Isabello – rzekł chrapliwie. – To, co płonie między nami... och, kochana, to nie jest żadna gra. To coś śmiertelnie poważnego. Coś, co nigdy się nie skończy, nigdy, pobierzemy się czy nie.

– Ale czy ty chcesz się ze mną ożenić? – zapytała tak cicho, że prawie niesłyszalnie.

– Ponad wszystko – oświadczył zapalczywie. – Kocham cię, Isabello. Nie potrafię... nie, nie będę żył

bez ciebie. I nigdy nie pozwolę innemu mężczyźnie cię mieć. Tak, chcę zbudować z tobą życie. Rodzinę. A zarazem boję się tego.

– A ja kocham ciebie – powiedziała cicho. – Co więcej, nie boję się. Nie w sposób, o którym mówisz. Ciężę mi nie zaszkodzi, wiem to na pewno. Ale bez ciebie nie będzie mi dobrze. To jedno, Anthony, mogłoby mnie zniszczyć.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Niemniej raz jeszcze, kochana, chcę, żebyś zrozumiała, że nie musisz za mnie wychodzić – rzekł bardziej natarczywie. – Jestem twój. A ty, niech Bóg ci dopomoże, jesteś moja. Moja. Udusiłbym Everetta gołymi rękami, zanim bym dopuścił, żebyś się z nim związała. Rozumiesz? Podobnie jak udusiłbym każdego mężczyznę, który ośmieliłby się spróbować mi ciebie odebrać.

Popatrzyła na niego nieomal błagalnie.

– Anthony, do czego zmierzasz?

– Do tego, że jesteś bogata, Isabello, i bezpieczna. Nie musisz obawiać się Everetta. Nie musisz obawiać się trudów i ubóstwa. Nie musisz nawet, w znacznym stopniu, obawiać się plotek, ponieważ bogactwo doskonale przed nimi izoluje – dodał. – Co więcej, kochana, nie musisz... podejmować tego okropnego ryzyka, które pociąga za sobą małżeństwo.

– Ryzyka porodu – doprecyzowała. – O to ci chodzi, zgadza się?

Zacisnął powieki.

– Tak – przyznał ochryple. – Dokładnie o to.

– Jednakże, och, Anthony, nade wszystko pragnę mieć dzieci – wyszeptła. – Twoje dzieci. Dzieci, które będą się bawiły z Lissie, Georgie i Jemną. Ciebie wszakże pragnę jeszcze bardziej. – Roześmiała się nerwowo. – Chyba chcę cię na każdych warunkach. Cokolwiek okaże się konieczne, żebym cię miała.

Pocałował ją znowu, tym razem delikatniej.

– Tak, tego chcę – rzekła gardłowo, odsuwając się i opuszczając wzrok na podolek. – Chcę ciebie i tego, co możesz mi dać. Co wyłącznie ty możesz mi dać. Rozumiesz, Anthony?

– Wszystko to – wymamrotał, ocierając się wargami o jej skroń – i na dokładkę jeszcze dzieci?

– Wkrótce będę bogata – oznajmiła. – Zatem tak. Chcę wszystko. Czy nie tak mawiają bogacze? Lady Petershaw na pewno.

Ze śmiechem odrzucił w tył głowę.

– W takim razie to mnie niech Bóg dopomoże – stwierdził. – Pobierasz lekcje u La Séductrice?

– Prawdę mówiąc, korzystałam z jej nauk... a przynajmniej porad... już od jakiegoś czasu – wyznała Isabella.

Udało mu się roześmiać.

– Prawdę mówiąc, zauważyłem – przyznał. Zastanowił się nad kolejnymi słowami. – No cóż – rzucił wreszcie – lepiej zrobię to, jak należy.

Podążyła za nim wzrokiem, kiedy podszedł do ściennego sejfu, ukrytego za książkami na półce.

– Co robisz? – spytała, gdy układał w stos na biurku *Encyklopedię Britannica*.

Nie odpowiedział, lecz tylko otworzył sejf, a następnie wrócił do sofy.

– Isabello Glaston Aldridge – rzekł, opadając na jedno kolano – oto korzę się przed tobą. Jestem złym człowiekiem, niegodnym twej dobroci i piękna. Czy mimo to przyjmiesz mnie na dobre i na złe? Czy wyjdiesz za mnie i dożyjesz swych dni, posłuszna moym grzesznym rozkazom, rodząc moje dzieci?

– W twoich ustach brzmi to doprawdy jak świetny interes – stwierdziła. – Tak, Anthony. Wyjdę za ciebie, przy dorozumieniu, że niekiedy, tylko niekiedy, to ja będę wydawać grzeszne rozkazy.

– Widzę, że finansowa niezależność już uderza ci do głowy – mruknął.

Następnie wyjął pierścionek z półkaratowymi ametystami otaczającymi diament, który wyglądał na

dość wielki, by zasłonić pół jej palca.

– Doskonale, kochana – rzekł, ujmując lekko jej lewą dłoń. – Kocham cię ponad życie. I ożenię się z tobą... oraz, tak, będę posłuszny twym grzesznym rozkazom... pod jednym nienaruszalnym warunkiem.

Isabella zdążyła wyprostować palce, lecz teraz cofnęła je odrobinę.

– Jakim?

Popatrzył na nią bez śladu figlarności w oczach.

– Że całą fortunę Flyntów, jakkolwiek duża ona jest, przekaziesz pod zarząd powierniczy na rzecz swych sióstr oraz, jeśli zechcesz, naszych dzieci – oświadczył. – Ja jednak nie chcę tych pieniędzy, ani pensa. Lissie zaś ich nie potrzebuje. Rozumiesz, Isabello, jakie to dla mnie ważne?

– Doskonale, tak – odparła ze śmiechem – ale zachowujesz się, jakby chodziło o miliony.

– Bez względu na kwotę, kochana – rzekł – czy właśnie mi to obiecałaś? Jeśli nie możesz mi tego obiecać, pozostanie mi pogodzić się z myślą, że będzie nas łączyć jedynie długi i gorący romans.

– Wobec tego, tak – powiedziała z większą powagą. – Obiecałam.

Trochę nieporadnie wsunął jej pierścionek na palec.

– Zatem ja obiecuję być wiernym i oddanym mężem – rzekł uroczyście – dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Isabella poruszyła palcem.

– Pierścionek jest piękny – stwierdziła na lekkim bezdechu – obawiam się jednak, że odrobinę przyciasny.

– Chyba masz rację – zgodził się – ponieważ byłaś o wiele chudsza, kiedy go kupowałem.

– Ach – powiedziała cicho. – U Garrarda, jak przypuszczam?

– Owszem.

Później Hepplewood skłonił głowę, uniósł dłoń Isabelli do ust i na dłużej przywarł wargami do jej knykci.

EPILOG

Hepplewood poruszył się, czując na twarzy słoneczne cętki, kiedy światło i cień przemieszczały się ponad nim na ciepłym wietrze. Otworzywszy oczy, zamrugał, patrząc na zielony baldachim, a potem chciał unieść rękę, by zgarnąć z twarzy pajęczynę snu.

Ale jego ręka stawiała dziwny opór.

Rozbudził go cichy śmiech, gdy zaś przetoczył głowę, zobaczył siedzącą obok na kocu Isabellę.

– Uf – wymamrotał. – Zasnąłem?

– I chrapałeś – rzuciła oskarżycielsko. – Hałas dałoby się słyszeć aż w Thornhill... gdyby ktokolwiek był w domu.

Nadal senny, Hepplewood spróbował rzucić okiem na dwór na wzgórzu po prawej. Uzmysłowiwszy sobie, że ma ograniczone ruchy, zerknął wreszcie na swoje nadgarstki.

– Do diabła! – powiedział.

Ta wiedźma go związała.

Kiedy spał w słońcu, unieruchomiła go niczym sprytna Liliputka, przywiązując za nadgarstki i kostki do tralek otaczających miniaturową altanę – tych kilku, które pozostały. Balustrada wokół nich słaniała się i przechylała jak pijany marynarz w czasie huraganu. Dachowe gonty także dawno temu rozwiął wiatr, tak że w górze straszyl jedynie szkielet krokwi.

Podobnie jak spora część dawnego domu Isabelli, altana była w zasadzie zaledwie uroczą ruiną.

Na próbę szarpnął cienki sznur, oplatający mu lewą kostkę.

– Zamierzasz znowu niecznie sobie ze mną poczynać, czyż nie? – spytał, szczerząc zęby w uśmiechu, kiedy sznur ustąpił.

– Planuję nagiąć cię do swojej woli, tak – powiedziała, nonszalancko machając ręką. – Jaką konkretnie formę przybierze to ujarzmienie, nad tym nadal się zastanawiam.

– A sznur? – dociekał ubawiony.

– Ze starej szopy przy furtce. – Kokieteryjnie przechyliła głowę ku niegdyś eleganckiemu tylnemu wejściu do ogrodu. – Ogrodnik papy zawsze go tam trzymał. A teraz zostałeś moim więźniem.

Zaśmiała się i opuściła głowę na coś miękkiego.

– Och, kochana, twoim więźniem jestem od dawna – stwierdził. – Nawiasem mówiąc, co mam pod głową?

– Moją bieliznę. Zrobiłam ci poduszkę.

– Aha. – Zerknął na skromną krynolinę, którą odrzuciła na bok. – Wielce intrygujące.

– Zdjęłam ją jedynie po to, żebyś miał miętko – powiedziała.

– Moja droga, jesteś dla mnie zbyt dobra – skonstatował.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Prawdę mówiąc, liczyłam, że wtedy przestaniesz chrapać.

– Dobra i szczerza – uzupełnił. – Zaiste mądrze wybrałam sobie żonę.

– Przestań gadać – rozkazała, z gracją podnosząc się na kolana. – Jesteś moim więźniem. Decyduję właśnie, jak cię wykorzystywać.

– Zdjęłaś już pantalone – zauważył. – Czy mogę ci złożyć nieprzystojną propozycję?

– Nie – oznajmiła surowo jego żona. – A przynajmniej nie tak ochoczo.

– Tak jest – zamruczał, mrużąc oczy w słońcu. – Pięknym za nadobne?

– Żebyś wiedział.

Nachyliła się nad nim, chciwie sunąc spojrzeniem po jego ciele, a jej ciemne, pierzaste rzęsy opadły sugestywnie.

I chociaż leżał dobrze zaspokojony po wcześniejszych harcach w ogrodzie, Hepplewood poczuł w trzewiach gorący przyływ tęsknoty. Jego ciało rozbudziło się, zmysłowo świadome – jak zawsze, ilekroć ona w ten sposób przymykała oczy.

– Na górę – rozkazał szorstko.

Isabella z namysłem – dręcząco – przeciągnęła palcem po jego policzku, a potem wzdłuż żyły na szyi.

– To zabrzmiało niebezpiecznie władczo jak na mężczyznę, który leży związany – powiedziała ochryłym głosem.

– Isabella – odezwał się bardziej neutralnie. – Chodź, kochana. Po prostu odepnij mi...

– Za jakiś czas, być może – przerwała mu, przysuwając się bliżej.

Jako że surdut i kamizelkę porzucił gdzieś na zboczu po drodze z domu, Hepplewood zdrzemnął się w samej koszuli. Nachylając się nad nim, Isabella z rozmyślnie dokuczliwą powolnością wyjęła mu połe koszuli ze spodni. Kiedy zrobiła to samo z drugą, pochyliła się niżej i lekko przeciągnęła językiem po włosach na jego brzuchu.

Jęknął, nakazując sobie leżeć nieruchomo.

Zdażała w górę, wolno przesuwając materiał coraz wyżej. A choć podejrzewał, że cienki sznur dawno przegnił, nie opierał się jej poczynaniom. Kiedy ta kobieta wreszcie z nim skończyła, na jego czole perlił się pot, spodnie miał rozpięte i oddychał chrapliwie.

– Dalej, kochana – wykrztusił. – Bądź rozsądna.

Isabella zlitowała się nad nim wtedy, zebrała spódnice wokół kolan i dosiadła go. Następnie pewnie wzięła go w rękę i nadziała się na niego z cichym westchnieniem rozkoszy. Wspierała drobne, blade dłonie o jego klatkę piersiową, a jej ślubny pierścień połyskiwał w słońcu, kiedy poruszali się, szepcząc słowa nieskończonej miłości, aż raz jeszcze odnaleźli ową nieopisaną radość.

Doszedł we wstrząsającej eksplozji rozkoszy, a potem wolno spłynął z nieba i umościł się na powrót w owym cichym, spokojnym miejscu, którym cieszył się do woli, odkąd się pobrali. Isabella zległa na jego klatce piersiowej, łapczywie chwytając powietrze, jej lśniące włosy posypały się w dół. Dopiero wtedy uzmysłowił sobie, że porwał stary sznur na kawałki.

– Szanowna pani, doprowadziła pani swego więźnia do kresu sił – stwierdził ze śmiechem.

– Rzeczywiście, dziś w nocy chyba nie zaprzęgnę cię do kołowrotu – zgodziła się, tuląc twarz do jego wilgotnej od potu szyi.

– Może zatem niewielka chłosta? – zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu. – Albo znowu nieco ciężkiej pracy?

Kryli się tylko we dwoje w tym leniwym zakątku Sussex od jakichś trzech dni, ulokowawszy się w wiejskiej gospodzie, ładnym, przyjemnym, niewielkim przybytku. Pobyt tutaj niekiedy przypominał drugi miesiąc miodowy, gdy bowiem dzieci im nie przerywały, ich noce – a sporadycznie także popołudnia – okazały się gorące i romantyczne, kiedy to zanurzali się w sobie nawzajem.

Resztę czasu spędzali fetowani jak dzieci marnotrawne, jedząc, tańcząc i plotkując w domach dawnych przyjaciół i sąsiadów Isabelli w całej okolicy.

Wszyscy ekscytowali się ucieczką lorda Tafforda na kontynent przed mniej więcej trzema miesiącami. Skonfrontowany z długami nie do pokonania, wyprzedził, co tylko mógł, jakkolwiek niewiele tego było, a następnie porzucił zarówno matkę, jak i Thornhill, zostawiając służbę bez zapłaty i pusty dom. Dzisiaj, kiedy już Hepplewood i Isabella leniwie obeszli należące do dworu ziemie, hrabia uległ niecierpliwości i po prostu zajrzał przez okno.

Było gorzej, niż się spodziewał. A zarazem lepiej. Miejsce znajdowało się w stanie skrajnego

zaniechania, zniknęła większość mebli i dekoracji. Niemniej po Taffordzie nie ostał się żaden ślad.

Isabella trochę popłakała, lecz potem osuszyła łzy i kontynuowała swój plan. Wyglądało na to, że ostatecznie Thornhill będzie musiało zostać sprzedane. Jak wyjaśniono Hepplewoodowi, kiedy długi aktualnego powiernika majątku są dostatecznie pokaźne, a przy tym nie ma on dziedzica, nawet ordynację rodową można znieść. Korona, sądy albo ktoś inny w końcu będą musieli coś zrobić.

Z całą pewnością Hepplewood zamierzał okazać się tym kimś. Choć tyle mógł uczynić dla niej, swojej z takim trudem zdobytej żony. Zlecił już Jervisowi – jak również połowie londyńskich prawników oraz wszystkim wpływowym krewnym – by wywierali stosowny nacisk na ludzi u władzy.

Tak, Isabella w końcu odzyska swój dom. Był zdeterminowany. I, co Anne nieustannie z lubością mu wytykała, ostatecznie zawsze dostawał to, czego chciał – zasłużenie czy nie.

Przez jakiś czas leżeli w milczeniu, lecz pomimo letargu wyczuwał kotłujące się w niej znów pytania.

Złożył pocałunek na jej włosach.

– O co chodzi? – wymamrotał, wsuwając palec pod jej brodę.

Uniosła głowę i spojrzała nań z chytrym uśmiechem.

– Anthony, czy dobrze się ożeniłeś?

Śmiał się chwilę z samego siebie.

– Och, ożeniłem się o wiele lepiej, niż na to zasługuję – stwierdził. – Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Anne. Awansowałem przez małżeństwo, Isabello. Ożeniłem się z doskonałością.

– Doprawdy? – Usiadła, a jej rzęsy znów opadły, kiedy przeciągała palcem przez środek jego klatki piersiowej. – Zatem nie będzie to dla ciebie aż tak uciążliwe? Podjęcie się zadania, które ci wyznaczyłam?

Hepplewood z uśmiechem odgarnął jej za ucho luźny kosmyk.

– Za najmniejszy strzęp twych względów, kochana – oświadczył – mężnie stanę do boju z niezmordowanymi smokami, Sądem Lorda Kanclerza i sądem dla dłużników.

– Ach – powiedziała, uśmiechając się szeroko. – Zaiste śmiały z ciebie rycerz.

Wyszczrzył zęby.

– Prawdę mówiąc, na pierwszy ogień pošlę Jervisa, mego wiernego giermka – wyjaśnił – z kołczanem zaostrzonych ołówków i baterią ksiąg rachunkowych. Już terkocze coś o akcie zniesienia ordynacji. Tak urodzajny majątek ziemski nie może po prostu leżeć ugięty.

Isabella tymczasem zaczęła wyrzucać z altany kawałki sznura.

– Jest piękny, prawda? – spytała z melancholią, rozwiązując supeł. – Nie przemawia przede mną wyłącznie sentyment?

– Oczywiście, że jesteś sentymentalna – sprzeciwił się, wyciągając prawy nadgarstek na użytek jej zabiegów – to jedna z wielu rzeczy, które w tobie kocham. Ale tak, to dobra ziemia. Wielka szkoda, że ją zaniebano.

– Wierzę, że dalej tak nie będzie – oświadczyła Isabella, przerzucając nad balustradą ostatni kawałek sznura – skoro Everett umknął w niesławie na kontynent.

Hepplewood chrząknął.

– Przy odrobinie szczęścia wpadnie w sidła którejs z tamtejszych wojenek – wymamrotał – i zginie od kuli. Z pewnością nie splugawi znów angielskiej ziemi.

– Nie wydaje ci się trochę smutne, że po jego wyjeździe ciocia Meredith tak szybko rzuciła go wilkom na pożarcie? – spytała cicho Isabella, podnosząc się, żeby pozbierać swoje rzeczy.

Hepplewood parsknął śmiechem.

– Och, ta stara kocica zawsze spada na cztery łapy – stwierdził, podając żonie halkę i pantalon – ale do tej ziemi nie ma żadnych praw. Przy okazji, ufam, że nie odpowiedziałas na żaden z jej uniżonych

listów?

Isabella pokręciła głową.

– Nie i modłę się, żeby nigdy mnie nie sprowokowała – powiedziała. – Z wielką niechęcią poszatkowałam ją publicznie. Ale dla dobra Jemmy i Georgie będę musiała.

– Będiesz musiała dla dobra własnego męża – wymamrotał. – Co zrobisz z tym starym dworem, kochana? Zamieszkamy tutaj? To by ci sprawiło przyjemność?

Uśmiechnęła się miękko.

– Nie, tutaj to już nie jest moje życie – stwierdziła, wstępując z powrotem w krynolinę. – Moje życie jest przy tobie, Anthony. Nie, myślę, że dwór powinien należeć do Georginy. Miał być jej domem rodzinnym. Powinna była móc tu dorastać, w domu swego ojca, jako pozbawione trosk, szczęśliwe dziecko. Tymczasem nawet go nie pamięta.

– Los ją oszukał – powiedział, sięgając wzrokiem ku odległej linii dachu, ciemniejącego na tle popołudniowego nieba. – Thornhill mogłoby zostać jej posagiem. Mam to zorganizować, kochana? To by cię zadowoliło?

Isabella pojaśniała aż po koniuszki palców u nóg.

– Och, ponad wszystko! – oświadczyła, wyciągając do niego rękę. – Niekiedy, mój drogi Anthony, bywasz najmądrzejszym z mężczyzn... bez względu na to, co twierdzi Anne. A teraz dalej, wstawaj. Panny Greenbittle czekają wraz ze swą niesławną nalewką z dzikiego bzu.

– Niech to licho! – skomentował, podnosząc się. – Siostry pastora?

– One właśnie – odparła, biorąc go pod ramię i prowadząc w dół po rozchwierutanych stopniach. – Spodziewają się nas punkt szósta. Obiecuj mi, kochany, że będziesz puszczał do nich oko i skandalicznie z nimi flirtował. Ostatecznie musisz podtrzymać swoją reputację bezwstydnika... a im tu, na wsi, brakuje rozrywek.

– Puszczać oko i flirtować? – Skrzywił się. – Wyznam, Isabello, że granie skończonego rozpustnika ostatnimi czasy odrobinę mnie nuży.

– Biedny Tony! – powiedziała, przeciskając się przez ogrodową furtkę. – Masz takie ciężkie życie. A teraz chodź, skarbie. Musimy odnaleźć twój surdut i halsztuk... inaczej będziesz wyglądać o klasę niżej niż skończony rozpustnik.

– Ha! – rzucił, obłapiając ją znieacka i zanurzając oboje w cień szopy. – Jak dla mnie, panny Greenbittle mogą poczekać. Gdzie, u diabła, jest reszta tego sznura?

[1](#) Dante Alighieri, *Boska Komedia*, tłum. Edward Porębowicz, Ks. I 3/9.

[2](#) Kalesza – wytworny, reprezentacyjny czterokołowy powóz.

[3](#) William Szekspir, *Juliusz Cezar*, tłum. Stanisław Barańczak.

Pięknej kobiecie niełatwo jest znaleźć posadę guwernantki. Kiedy zdesperowana Isabella ubiega się o pracę u znanego utracjusza i kobieciarza, hrabiego Hepplewooda, ten składa jej zgoła inną propozycję – i kończy z sińcem pod okiem.

Niestety, Isabella prędko musi pogodzić się z myślą, że jeśli chce utrzymać rodzinę, pozostaje jej tylko takie rozwiązanie: sprzedać się jako kochanka bogatemu mężczyźnie. Wykorzystuje więc znajomość ze znaną z dość swobodnych obyczajów damą, by zaaranżować tego typu związek. Tymczasem wzgardzony hrabia poszukuje ciemnowłosej kochanki, która pomogłaby mu zapomnieć o Isabelli...

